



Szczęściara to piękna powieść o przyjaźni, wstydzie, tajemnicy i granicach, które sami sobie narzucamy.

Poruszająca historia trzech kobiet, które łączy niezwykła więź.

Odpowiedzialna i zachowawcza Waverly prowadzi piekarnię. Niestety wpada w długi, z którymi nie potrafi sobie poradzić. Kate jest żoną mężczyzny, który ma ogromne szanse zostać gubernatorem Wirginii. Kobieta nie jest jednak pewna, czy chce żyć na świeczniku. Amy, zajmująca się domem matka, prowadzi z pozoru idealne życie. Ukrywa jednak sekret, którego nikt się nie domyśla.

Życie powoli zaciska wokół nich pętlę. Okazuje się, że problemy same się nie rozwiążą i trzeba podjąć szybkie decyzje, ryzykując wszystko w imię przyjaźni. Jak pomóc przyjacielowi, który cierpi, ale odrzuca wszelką pomoc?

Książka, mimo poważnej tematyki, którą porusza, jest napisana lekko, czyta się ją jednym tchem i długo pozostaje w pamięci. Krytycy przyrównują ją do powieści Emily Giffin.

Autorka ma polskie korzenie, jedna z bohaterek książki często przywołuje wspomnienie ukochanej babci z Polski.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jestem w jadalni i liczę nakrycia, kiedy rozlega się dzwonek do drzwi.

Ten dźwięk może rozbrzmiewać tak radośnie, uroczco i wytwornie tylko w starym domu, takim jak mój. Odziedziczyłam go po babci.

- To pewnie Amy i Mike - wołam do siedzącej w kuchni Kate. Odkładam garść srebrnych sztućców, które zamierzałam rozłożyć, i idę otworzyć.

Uwielbiam przyjmować gości. Mój obłożony brązowym piaskowcem dom, na który samej nigdy nie byłoby mnie stać, nie jest może najbardziej ekstrawagancki ani zadbany na naszej ulicy, ale ma w sobie coś, co sprawia, że ludzie zatrzymują się u stóp jego terakotowych schodów z ustami otwartymi w niemym zachwycie. Po kamiennej fasadzie wspina się bluszcz, ze skrzynek na kwiaty wylewają się nasturcje, a nad podwójnymi dębowymi drzwiami mieniają się witrażowe szybki.

Wygląda tak, jak powinien wyglądać dom.

Przekręcam mosiężną klamkę i otwieram ciężkie drzwi.

- Hee-ej - wołam śpiewnym głosem, jak mam w zwyczaju, kiedy witam gości. Wyciągam ręce do Amy i przytulam ją, jednocześnie mówiąc „cześć” jej mężowi. — Tak się cieszę, że was widzę. Kate już jest.

Wracając, dostrzegam, że Kate siedzi na jednym z taboretów przy wyspie kuchennej i podnosi do ust kawałek roqueforta z talerza serów, który przygotowałam godzinę wcześniej. Wiem, że nas słyszy - Amy zawsze mówi zbyt głośno i z takim entuzjazmem, jakby wciąż była cheerleaderką - ale zamiast odwrócić głowę w naszą stronę i się przywitać, delikatnie zlizuje okruszki z palców. Nie ma w tym nic dziwnego. Moja przyjaciółka ma w sobie coś z księżniczki - jak zwykle czeka, aż ludzie podejną do niej.

Amy idzie obok mnie, opowiadając o swojej trzyletniej córeczce, Emmie, która przechodzi teraz przez fazę, w której koniecznie chce się sama ubierać.

- Postanowiłam jej odpuścić. Niech robi, co chce - wyznaje. - Dzisiaj poszła do szkoły w fioletowych rajstopach, koszulce nocnej z Myszka Minnie i eleganckich skórzanych pantofelkach, które jej kupiłam do sukienki na Boże Narodzenie.

Rozmowy z Amy nie zaczynają się od wymienia-
nia uprzejmych uwag o niczym, bo ona od razu prze-
chodzi do interesującego ją tematu. Kiedy Kate i ja
pознаłyśmy ją trzynaście lat temu na dwumetrowym
odcinku korytarza oddzielającym nasze pierwsze
wynajęte po studiach mieszkanie od jej mieszkania,
zerknęłyśmy dyskretnie na siebie z niemym pyta-
niem: „Czy ona mówi tak na serio?”. Nie do wiary, ale
tak. Nie przypominam sobie, by podczas całej naszej
znajomości Amy choć raz była zgryźliwa, naburmu-
szona albo niegrzeczna. Jej niewzruszony optymizm
potrafi zająć człowiekowi za skórę. Nie powinnam

jednak narzekać - kiedy potrzebuję kogoś zgryźliwego, naburmuszonego bądź niegrzecznego, mam do dyspozycji Kate. Ta z kolei wyznała mi, że ona i jej mąż nazywają Amy „golden retrieverem”.

Kiedy wchodzimy do kuchni, Amy urywa w pół zdania i uśmiecha się, jakby właśnie znalazła się na przygotowanym dla niej przyjęciu niespodziance.

- Kaaate! - piszczy. - Dzisiaj bez Brendana?

- Pracuje - odpowiada Kate i wstaje, by się z nimi przywitać, jednocześnie wyładzając dłońmi wełniane spodnie. - Jak zwykle zresztą. - Ścisła Amy i bez przekonania unosi dłoń, by pomachać Mike'owi. Ten odpowiada kiwnięciem głowy.

Kate całkiem dobrze dogaduje się z Amy - mimo że diametralnie się różnią, to i tak się lubią, aja odgrywam rolę łączącego je ogniwa - ale Mike'a nie cierpi, zresztą z wzajemnością. W zależności od dnia ich wzajemne nastawienie oscyluje między chłodną obojętnością a wyraźną pogardą. „Dlaczego Amy za niego wyszła?”, powtarza Kate, ilekroć jego imię pojawi się w rozmowie. Po wieczorach takich jak ten, kiedy jest zmuszona oddychać tym samym powietrzem co on, potrafi być strasznie złośliwa. Mogę się założyć, że podczas naszej jutrzejszej rozmowy telefonicznej będzie się wyśmiewać z jego pochodzenia: „Skąd on jest? Z Buffalo? Z Allentown? Czy z jakiejś innej zawszonej dziury?”. W rzeczywistości Mike jest z Rochester w stanie Nowy Jork. Albo zawodu: „Lekarz rodzinny? I czym on się niby zajmuje? Wypytuje staruszków, czy regularnie się wypróżniają, i mierzy temperaturę zasmarka-

nym niemowlakom?". Moim zdaniem Kate przesadza, choć prawdą jest, że ostatnimi czasy Mike zrobił się męczący. Ilekroć pojawia się na naszych imprezach, siedzi ze znużoną miną, jakby normalnie prowadził inne, fascynujące życie i przez to, że musi przebywać z żoną i jej przyjaciółkami, tracił okazję, by powłóczyć się po klubach z brazylijskimi modelkami lub rozpracowywać rosyjskich szpiegów. Przestałam się cieszyć na myśl, że się z nim zobaczę, i nieraz się zastanawiam, jak Amy znosi jego zachowanie. Inna sprawa, że nigdy nie ośmieliłam się porozmawiać z nią na ten temat. Bo niby jak powiedzieć przyjaciółce - zwłaszcza takiej, która idzie przez życie radosnym krokiem, traktując je jak jeden wielki broadwayowski musical — że jej mąż jest beznadziejny?

Podaję Amy kieliszek wina i pytam Mike'a, co będzie pił.

- A, czekaj! - woła Amy, wyciągając z torby nieduże pudełko mydeł od Crabtree & Evelyn. - Rzuciły mi się w oczy, jak byłam parę dni temu w centrum handlowym, i pomyślałam, że ci się spodobają.

- Amy, nie musiałaś... - mówię, przewracając oczami i przyciągając ją do siebie, żeby ją uścisnąć. - Znamy się już tyle lat, że naprawdę się nie obrażę, jak mnie odwiedzisz bez prezentu.

- Właśnie, Amy - wtrąca się Kate, przesuwając nóżkę kieliszka między kciukiem a palcem wskazującym, tak że jego podstawka ślizga się po blacie z klejonego drewna. - I jak ja teraz przez ciebie wyglądam?

Rzucam jej krzywy uśmieszek nad ramieniem Amy.

- Daj spokój, Kate - broni się Amy. - Ty nigdy w życiu źle nie wyglądałaś.

- Mówiłem jej, że nie musi niczego przynosić, ale jak zwykle mnie nie posłuchała - znienacka z narożnika kuchni odzywa się Mike. Jego głos jest szorstki, słychać w nim irytację.

Zaskoczone, obracamy się wszystkie w jego stronę, ale on tylko wzrusza ramionami i rozgląda się dookoła, przestępując z nogi na nogę w swojej lotniczej kurtce i czapce z logo Redskinsów. Po sposobie, w jaki Kate porozumiewawczo unosi brwi, domyślam się, że jeszcze się nasłucham o tej kurtce. Odwracam się, zanim Amy cokolwiek dostrzeże, otwieram lodówkę i sięgam po warzywa na sałatkę, słoik musztardy dijon i maselniczkę.

Amy odchrząkuje i zaczyna opowiadać historię, którą usłyszeli w radiu, jadąc tutaj - coś o romansie piosenkarki pop i niespodziewanej ciąży. Słucham jej, myjąc sałatkę w zlewie. Spoglądam na Kate, która pociąga kilka sporych łyków wina. Mam nadzieję, że nie przesadzi, bo na kolację przychodzi też kolega z pracy Larryego i jego dziewczyna.

- Co ugotowałaś? Bardzo ładnie pachnie - stwierdza Amy, podchodząc do kuchenki. Podnosi drewnianą łyżkę leżącą obok emaliowanego rondla i miesza jego zawartość.

- Wołowinę po burgundzku. Z przepisu Julii Child - odpowiadam. Na dworze było wściekle zimno, jak to czasami bywa w lutym, kiedy zima próbuje dać jasno

do zrozumienia, że jeszcze długo się nie skończy. Na dodatek przepracowałam cały dzień, a mam do nakarmienia siedem osób, więc uznałam, że bardziej skomplikowane dania nie wchodzi w grę. - Robiłam to już milion razy, podobnie zresztą jak mama, kiedy zapraszała gości na kolację. Jak byłam mała, to stawałam na krześle przy kuchence - w koszulce nocnej z *Diukami Hazzardu*, rzecz jasna - i za każdym razem, kiedy mama próbowała, czy już jest dobre, ja też mogłam spróbować. Czułam się bardzo ważna, kiedy mogłam powiedzieć „Więcej pieprzu”.

- Ale to musiało słodko wyglądać - śmieje się Amy.

- Waverly, przyszła kucharka!

— Cóż... — Puszczam do niej oko.

Wracam do swojej sałatki i przysłuchuję się, jak Amy wypytuje Kate, czy oglądała *Diuków* i którego z braci bardziej lubiła - Bo czy Luke'a.

Pozostaje jeden drobiazg, o którym zapomniałam wspomnieć w związku z dzisiejszą kolacją - moja decyzja, by zrobić wołowinę po burgundzku, była podyktowana również niską ceną mięsa gulaszowego. Ceny różnych rzeczy mają dla mnie ostatnio coraz większe znaczenie. Prawdę mówiąc, powinnam zacząć podawać gościom chleb z ketchupem.

Średnio dwa razy w tygodniu w National Public Radio wypowiada się jakiś analityk, który twierdzi, że istnieją przesłanki wskazujące na to, iż kryzys powoli się kończy. Muszę jednak przyznać, że niżej podpisana właścicielka małej firmy ani trochę nie czuje tych pozytywnych zmian. Maggie's, moja piekarnia-cukier-

nia, znajduje się w samym środku mojego rodzinnego miasteczka, Maple Hill w stanie Wirginia, niecałe dziesięć kilometrów od Waszyngtonu. Nasze miasto stanowi niemal idealne połączenie budownictwa miejskiego i podmiejskiego - jego centrum otaczają stykające się bocznymi ścianami domy obłożone brązowym piaskowcem, takie jak mój, dalej na południe znajdują się osiedla domków jednorodzinnych, natomiast od strony dawnej wsi, a obecnie rozwijających się w szalonym tempie przedmieść Waszyngtonu, usadowiły się luksusowe rezydencje naśladujące stylem dawne domy farmerskie. Ze względu na bliskość stolicy Maple Hill zawsze przyciągało ludzi przeprowadzających się do Waszyngtonu, by podjąć pracę dla rządu, więc zanim gospodarka wzięła w łeb, domy znajdowały nabywców dosłownie minutę po tym, jak pojawił się przed nimi znak „Na sprzedaż”. Teraz dobre czasy się skończyły. Tylko na mojej ulicy są zajęte trzy hipoteki, a moja firma od około roku coraz gorzej przędzie, podobnie jak wiele innych.

Należę do osób, które z natury za bardzo się wszystkim przejmują - za każdym razem, kiedy mój chłopak, Larry, wsiada do samolotu, żeby odwiedzić rodzinę w Minnesocie, budzi się mój uśpiony katolicyzm i zaczynam mamrotać pod nosem zdrowaśki - ale te problemy z piekarnią przerastają wszystko, czego dotychczas doświadczyłam. Larry, Kate i Amy zdają sobie oczywiście sprawę, że kryzys mnie dotknął, jak każdego. Rzecz w tym, że *nikomu* - a w szczególności Larryemu, z którym mieszkam i wspólnie płacę rachunki - nie przyznałam się, jak tragiczna jest moja

sytuacja. Mój chłopak nie ma więc pojęcia, że ledwo dają radę spłacać odsetki od pożyczki hipotecznej, którą wzięłam, żeby założyć interes. Ani o dwudziestu siedmiu tysiącach dolarów długu na karcie kredytowej. Ani o tym, że stale się spóźniam z zapłatą czynszu.

- Hej, Mike? - odwracam się w jego stronę i zauważam, że przygląda się śmietnikowi na drzwiach lodówki, jakby rzeczywiście interesowało go przypomnienie o wizycie u dermatologa i pocztówka ze zdjęciem trzech kobiet w staromodnych kostiumach kąpielowych. - Larry powinien być lada chwila. Na pewno nie chcesz piwa? Albo zdjąć kurtki?

- Nie, dzięki - odpowiada, potrząsając głową i wpychając dłonie do kieszeni.

Patrzę, jak znika w salonie, i w myślach wzdycham z ulgą. Wreszcie zostaliśmy same.

- Kate! - Po pięciu sekundach Amy uznaje, że dość się już nasiedziałyśmy w ciszy. - Nie widziałam cię od dobrych dwóch tygodni. Jak idzie kampania?

- Jak to kampania. Bankiet, spotkanie, bankiet, impreza dla darczyńców, i tak dalej, i tak dalej...

- Oj, chyba nie chcesz powiedzieć, że naprawdę tak uważasz! Przecież to wszystko musi być *takie* ekscytujące - entuzjazmuje się Amy, tęsknie przyciskając dłoń do serca, niczym księżniczka z kreskówki Disneya. - Pomyśleć, że za rok być może będziesz mieszkała w willi gubernatora!

- Zdaję sobie z tego sprawę. Już pękam z radości - mówi Kate niewzruszonym tonem i sygnalizuje Amy, by podała jej butelkę wina stojącą na blacie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy przeprowadzimy się do Richmond i będę mogła spędzać czas, przyglądając się hordom spaśłych turystów w świeżo kupionych trampkach, jak człapią pod naszymi drzwiami. Będzie bosko.

- Przesadzasz, Kate. Na pewno nie będzie tak źle - mówię, siekając tymianek, który zebrałam w zgrabny stosik na desce do krojenia.

Od pewnego czasu odpowiedzi Kate na pytania o kampanię Brendana są równie sarkastyczne i niewzruszone jak ta przed chwilą, zupełnie jakby opowiadała o beznadziejnej szkolnej imprezie. Jej jawne rozgoryczenie żywo kontrastuje z doniesieniami większości gazet, które już teraz, choć do wyborów pozostało jeszcze dziewięć miesięcy, publikują pełne entuzjazmu artykuły o prawdopodobnym zwycięstwie Brendana i zbliżających się rządach jego i Kate - porównywanych do władców Camelotu - nad stanem Wirginia.

Przyglądając się Kate bawiącej się diamentowym kolczykiem wielkości kulki gumy do żucia i przysłuchującej się wspomnieniom Amy o tym, jak po przeprowadzce z Karoliny Północnej do Waszyngtonu pierwszy raz w życiu poszła na wycieczkę po Białym Domu, myślę, że tak naprawdę trudno się dziwić dziennikarzom. Kate ma w sobie coś urzekającego. Dostrzegłam to, kiedy tylko ją poznałam, czyli pierwszego dnia nauki w Madeirze - prywatnym liceum dla dziewcząt, do którego chodziłyśmy.

Kate wparadowała na lekcję historii Ameryki spóźniona o dwadzieścia minut i skinęła głową nauczy-

cielowi - pedantycznemu okularnikowi z lekką wadą wymowy, w typie Alexa P. Keatona - a ten, nie wiedząc dlaczego, uznał to za wystarczające wyjaśnienie. Był to gest, jakim królowa może zaszczyścić podwładnych, kiedy przechadza się po pałacu. Następnie opadła na ławkę przede mną, obróciła się i podała mi dłoń. Zwróciłam uwagę, że ma zrobiony manikiur. Nawet moja mama nie pozwalała sobie na takie ekstrawagancje.

- Cześć, jestem Kate - powiedziała, ani odrobinę nie ścisząc głosu, jakbyśmy siedziały na ławce w parku, a nie w klasie, w której odbywa się lekcja.

Kate jest piękna w sposób, z którego istnienia ludzie nie zdają sobie sprawy, dopóki nie obejrzą filmu z młodą Grace Kelly albo nie pojedą na wakacje do Włoch. Szybko odkryłam, że jest pyskata i dysponuje nazwiskiem, dzięki któremu wiele uchodzi jej płazem. Mówiąc krótko, była chodzącym ideałem, szczególnie dla nas, zwyczajnych czternastolatek. Jej ojciec, William Townsend, od kilkadziesiąt lat kierował rodzinną firmą - międzynarodową korporacją spedycyjną. Matka, Evelyn, była córką legendarnego sędziego Sądu Najwyższego, do którego prawicowi politycy w Waszyngtonie mieli niemal nabożny stosunek. Pozostałe dziewczyny zazdrościły jej w tym samym stopniu, co pały do niej nienawiścią. Naśladowały jej sposoby zaplatania włosów i zawiązywania pożyczonych od matki apaszek Hermes na pasku skórzanej torby na ramię, w której nosiła podręczniki, a jednocześnie szeptały za jej plecami, jaką to jest głupią suką. Mężczyźni - na-

uczyciele, koledzy jej ojca, ojcowie koleżanek z klasy, przechodnie na ulicy - wpatrywali się w Kate tak bezwstydnie lubieżnym wzrokiem, że przywodziło mi to na myśl sceny z kreskówek, w których obiekt pożądania zmienia się w stek przed głodnymi, wybałuszonymi oczami drapieżnika. Moja mama, widząc pewnego razu Kate wybiegającą od nas z domu w spódniczce tenisowej ledwo zasłaniającej pupę, stwierdziła, że wyrośnie ona na kobietę, której inne nie będą chciały widzieć w towarzystwie swoich mężów.

Od początku zdawałam sobie sprawę, że nasza przyjaźń jest zupełnie nieprawdopodobna. Uczyłam się w Madeirze wyłącznie dzięki stypendium. Mój ojciec był zatrudniony jako fotograf średniego szczebla w agencji prasowej United Press International, a matka pracowała w firmie ubezpieczeniowej. Mieszkaliśmy w „gorszej” części Maple Hill - ponurej dzielnicy parterowych domów jednorodzinnych, gdzie wszystkie frontowe trawniki przez cały rok przykrywała gruba warstwa opadłych liści. Zresztą nawet gdybym pochodziła z bogatej rodziny albo była córką polityka, jak pozostałe dziewczyny, z którymi chodziłam do szkoły, nie miałam wyglądu osoby, z którą ktoś pokroju Kate chciałby nawiązać bliższą znajomość. Po babci polskiego pochodzenia odziedziczyłam krępa budowę. Nośiłam tony wypalanej biżuterii zebranej przez mamę w czasach, kiedy wspólnie z ojcem - wtedy jeszcze jej chłopakiem - podążali śladami różnych zespołów. Nie chciało mi się również użerać z masą loków, które sterczały z mojej głowy, jakby były pod prądem, co

zresztą zostało mi do dziś. Gdy Kate brylowała w klubie konnym i tenisowym, ja spędzałam wolne chwile na oglądaniu powtórek *What's Happening!!* i czytaniu pikantnych fragmentów powieści Judith Krantz kupowanych przez mamę, czekając, aż ktoś wróci do domu.

Mimo wszystko coś między nami zaskoczyło. Póki byłyśmy nastolatkami, zdarzało mi się czasami zastanawiać, czy nie jest prawdą to, co mówiły o nas inne dziewczyny - że Kate zaprzyjaźniła się ze mną tylko dlatego, że byłam na samym dole szkolnej hierarchii i nie zagrażałam jej pozycji. Z upływem czasu te podejrzania się rozwiały, a nasza znajomość zacieśniła. Jeśli było coś, co początkowo sprawiło, że wydałam się Kate atrakcyjna, to prawdopodobnie chodziło o moją całkowitą nieświadomość, kim ona jest i co to oznacza. Teraz za to wiem, choć nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, że Kate mnie kocha, ponieważ w moim towarzystwie, jak z nikim innym, może być sobą.

* * *

Obie wyruszyłyśmy na studia na północ - ja do Bowdoin, a Kate do Browna, uczelni tak liberalnej, że od razu było jasne, iż wybrała ją tylko po to, żeby wkurzyć rodziców, którzy chcieli, aby skończyła Yale - tak jak reszta rodziny. Amy poznałyśmy, kiedy miałyśmy po dwadzieścia dwa lata. Było to w dniu przeprowadzki do naszego pierwszego mieszkania w Waszyngtonie, znajdującego się w brudnym ceglany budynku w dzielnicy Adams Morgan. Jego standard odpowiadał możliwościom finansowym typowych świeżo upieczo-

nych absolwentek wyższych uczelni - ciemny korytarz z utrzymującą się wonią kociego jedzenia i potraw na wynos, lepiąca się niewielka kuchnia z dwoma rzędami szafek naprzeciw siebie i mikroskopijne sypialnie. Znalazłam to mieszkanie latem, kiedy Kate była na wakacjach w Hiszpanii. Jego widok jeszcze bardziej niż ją przeraził jej matkę, Evelyn, która natychmiast zaproponowała, że pokryje moją część czynszu, bylebyśmy tylko zamieszkały gdzie indziej. Nic jednak nie cieszyło Kate bardziej niż możliwość przeciwstawienia się matce, toteż zgodziła się biedować ze mną - chociaż też uznała to mieszkanie za obrzydliwe - o ile pozwolę, żeby je urządziła. Oczywiście z radością się na to zgodziłam.

Kate i ja mieszkaliśmy pod 4B, a Amy ze współlokatorką po drugiej stronie korytarza, pod 4A. Ówczesny chłopak Kate (o ile można go tak nazwać, skoro poznali się cztery dni wcześniej) zebrał grupę kolegów, żeby pomóc nam przenieść nasz dobytek na niecałe pięćdziesiąt sześć metrów kwadratowych, które miały stać się dla nas domem na następne cztery lata. Cała ta hałaśliwa gromada należała do bractwa studenckiego z Uniwersytetu Vanderbilt, wszyscy mieli na sobie znoszone czapeczki baseballowe oraz haftowane tekstylne paski. Po dniu przeprowadzki większości z nich już nigdy nie spotkałyśmy. Chłopak Kate był asystentem Trenta Lotta, który miał lada chwila objąć stanowisko przywódcy większości w Senacie, więc przeważnie przebywał w pracy. Moja przyjaciółka nawet w wieku dwudziestu dwóch lat nie miała zwyczaju czekać, aż ktoś znajdzie dla niej czas, toteż rzuciła go

po dwóch tygodniach dla właściciela księgarni, który poderwał ją na przyjęciu koktajlowym w ogrodzie rzeźby w Hirshhorn Museum.

Kiedy już wszystkie nasze rzeczy znalazły się na miejscu, poszliśmy z chłopakami na piwo, a wracając do domu, spotkałyśmy na korytarzu Amy. Kate bawiła się naszymi nowymi kluczami.

- Cześć - zawołała Amy z uśmiechem i podeszła do nas. - Przepraszam, że wam zawracam głowę, ale właśnie wysiadła mi klimatyzacja, a nie mogę znaleźć telefonu do dozorczy.

Zaprosiłyśmy ją do siebie i zaproponowałyśmy piwo, lecz przyjęła propozycję dopiero wtedy, kiedy same otworzyłyśmy sobie po jednym. Kate natychmiast zaczęła ją wypytywać - wiedziałam, że próbuje ocenić, czy warto zawierać z nią bliższą znajomość. Okazało się, że Amy przyjechała do Waszyngtonu, żeby pracować jako pedagog szkolny i doradca zawodowy w nowej szkole czarterowej w południowo-wschodniej części miasta, niegdyś uważanej za „światową stolicę morderstw”. Zarząd szkoły zakwaterował ją wraz z drugą nową nauczycielką, ale jej koleżanki prawie nigdy nie było w domu, bo miała chłopaka w którymś z podmiejskich osiedli w stanie Maryland. Amy bardzo się denerwowała, że ma mieszkać praktycznie sama. Nigdy wcześniej nie opuszczała swojego rodzinnego Chapel Hill. Nawet studiowała na miejscu, na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Chapel Hill, i mieszkała przez ostatnie cztery lata w akademiku bractwa, trzy kilometry od domu.

Absolutnie nie musiała się jednak martwić o znalezienie znajomych. Szybko się przekonałyśmy, że doskonale do nas pasuje, i zaczęłyśmy wspólnie prowadzić życie typowe dla dwudziestokilkuletnich dziewczyn w wielkim mieście. Chodziłyśmy razem na wyprzedaże i drinki po niższej cenie, oglądałyśmy telewizję - czasem u nas, czasem u niej - omawiałyśmy potencjalnych chłopaków, pożyczaliśmy sobie ciuchy i leczyliśmy nawzajem kaca.

W tych pierwszych latach znajomości Kate i Amy były sobie bardzo bliskie. Co prawda nie w tym sensie, żeby się sobie zwierzać, ale chętnie spędzały razem czas również beze mnie. W pewien deszczowy sobotni wieczór, kiedy nie udało im się mnie przekonać do wyjścia - nigdy nie miałam takiego zamiłowania do życia towarzyskiego jak one i wolałam spokojnie spędzać czas sama w kuchni - wróciły do domu tuż przed północą, nie mogąc się wprost doczekać, żeby mi powtórzyć, co usłyszały od wróżki z Georgetown. Miałyśmy wówczas po dwadzieścia cztery lata.

- Nie uwierzysz! Naprawdę w to nie uwierzysz, Waverly! - bełkotała Amy, klękając na podłodze przed kanapą, na której siedziałam, i łapiąc mnie za nogi lepkimi rękami. - Powiedziała, że się zaręcę jeszcze w tym roku. *W tym roku!*

- To prawda. - Kate energicznie potakiwała ruchem głowy. - Słyszałam to zza zasłony.

- Powiedziała, że to będzie ktoś, o kim w życiu bym nie marzyła - cudzoziemiec. Prawda, Kate? Takiego słowa użyła, prawda?

Kate stała przy otwartej lodówce, dłubiąc widelcem w pojemniku z *lo mein*, którego nie zjadłam. Zdążyła już pochłonąć dwie z magdalenek studzących się na kratce na blacie kuchennym. Upiekłam je, oglądając *Annie Hall* na wideo.

- Powiedziała, że będę miała sześcioro dzieci - kontynuowała Amy rozmarzonym tonem, kładąc mi głowę na kolanach.

- To wspaniale, Amy. - Poklepałam ją po głowie.

- A co z tobą, Kate?

- Cóż... - zaczęła Kate, rzucając się na przeciwległy koniec kanapy, przy okazji odsuwając stopą moje nogi.

- Powiedziała, że ja też kogoś poznam w tym roku, kogoś powszechnie znanego. - Wzruszyła ramionami.

- Zatem nic nowego. Moja matka od niepamiętnych czasów mi powtarza, jak będzie wyglądać - albo *powinna* wyglądać - moja przyszłość. Nigdy jej nie słuchałam, więc czemu miałabym słuchać jakiejś stukniętej wróżki z M Street?

W tamtym okresie Kate pracowała jako reporterka działu turystycznego „Washington Post”. Jej matka uważała to za rodzaj bardzo stosownego hobby, dzięki któremu córka ma zajęcie i poznaje właściwych ludzi do czasu, aż wyjdzie za mąż. Wtedy może zrezygnować z pracy zawodowej, zacząć się udzielać w organizacjach charytatywnych oraz zająć się rodzeniem i wychowywaniem dzieci. Plany Kate były jednak zgoła inne. Zawsze powtarzała, że gdyby mogła być pewna w życiu tylko jednej rzeczy, to chciałaby mieć gwarancję, że nie stanie się podobna do swojej matki.

Nie chciała się obracać w kręgach, w których głównym celem rozmów jest udowadnianie swojej wyższości i popisywanie się znajomościami. Często snuła przed nami marzenia o życiu wypełnionym podróżami do rozmaitych zakątków świata. Budapeszt we wtorek, Santiago w środę. Apartament w Nowym Jorku i mieszkanie w Paryżu. Nie wykluczała mężczyzny przy boku (zresztą przy Kate zawsze się kręcili jacyś mężczyźni), ale też nie snuła fantazji o mężu jako takim ani o zamieszkaniu z nim w domku z ogródkiem, tak jak Amy. Jeśli chodzi o dzieci, miała mieszane uczucia, co z pewnością wynikało z faktu, że dla swoich rodziców była tylko mało znaczącym dodatkiem do ich życia. Dorastała w domu, gdzie należało mieć dzieci - tak jak należało się starać o członkostwo w Congressional Country Club lub nazwać swojego springer spaniela nazwiskiem jednego z ojców założycieli.

Wszystko się zmieniło, kiedy cztery lata temu w jej życiu pojawił się Brendan. Plany podróżnicze okazały się nic nieznaczącymi kaprysami - „dawne marzenia”, jak mówiła rzewnym tonem. Nagle jakby zapomniała, że przez tyle czasu starała się unikać określonego stylu życia, i teraz gładko się w niego wpasowała. Brendan wychowywał się w Charlottesville, chodził do szkoły przygotowawczej i studiował na Harvardzie, a przy tym był umiarkowanym konserwatystą. Można by pomyśleć, że rodzice zamówili go dla Kate z katalogu domu wysyłkowego.

Kiedy oświadczyła mi, że się w nim zakochuje i rozważa wyjście za niego za mąż, a potem rzeczywiście

wzięła z nim ślub, choć znali się ledwie rok, chciałam móc powiedzieć, że mnie to zaskoczyło, ale wcale tak nie było. Nie podoba mi się, że muszę to przyznać, bo nie należę do osób, które uważają, że w pewnym wieku trzeba się ustatkować. Sądzę jednak, że Kate myślała właśnie o tym, że czas ucieka. Ja byłam wówczas z Larrym od sześciu lat, małżeństwo Amy trwało już tak długo, że trudno było ją sobie przypomnieć jako singielkę. Wprawdzie Kate stałe otaczało liczne grono wielbicieli - i pewnie zawsze tak będzie - ale ona najwyraźniej patrzyła na to inaczej. Nawet jeśli Brendan nie był mężczyzną jej marzeń, poślubienie go dało jej poczucie bezpieczeństwa w okresie, kiedy zaczynała czuć się odrobinę samotna. A gdybym miała zgadywać, przed czym Kate uciekała przez całe życie, to powiedziałabym, że była to samotność, której tak boleśnie doświadczyła w dzieciństwie.

Jest jeszcze druga sprawa. Kate bardzo dużo mówiła o pragnieniu ucieczki od swojego pochodzenia, ale naprawdę trudno mi uwierzyć, że można zrezygnować ze związanych z nim przywilejów, jeśli było się do nich przyzwyczajonym przez całe życie. A kiedy po sześciu miesiącach małżeństwa zrezygnowała z pracy ze względu na karierę Brendana? Owszem, uznałam za swoistą ironię, że przyjmuje na siebie rolę żony wspierającej męża, dokładnie tak, jak oczekiwała tego jej matka, ale to również nie było dla mnie wielkim zaskoczeniem. O ile bowiem Kate nienawidziła rodziców za to, że na ogół ją ignorowali, to odpowiadał jej uzyskany dzięki nim status życiowy i zapewne zupełnie

naturalne było wybranie łatwiejszej drogi i postępowanie zgodnie ze znanymi od zawsze wzorcami. Poza tym, co charakterystyczne dla Kate - i co wzbudza mój podziw, a czasem nawet zazdrość - podejmuje ona wszelkie decyzje z taką stanowczością i niezależnością, że po prostu nie można ich kwestionować, nawet jeśli jest twoją najbliższą przyjaciółką.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na schodach za kuchnią słyszę tupot Larryego, wstrząsający moją kolekcją wysmukłych wazoników na parapecie nad zlewem. *Wreszcie*, myślę, zerkając dyskretnie przez kuchenne drzwi na Mike'a, który siedzi na kanapie w salonie i od niechcienia przegląda album z okładkami magazynu „Rolling Stone”. Larry potrafi go czymś zająć.

- Cześć! Cześć! - woła Larry, wchodząc do kuchni.

Jesteśmy razem od dziesięciu lat i mamy za sobą niezliczone takie wieczory, a ja nadal nie potrafię namówić tego faceta, żeby włożył do kolacji porządną koszulę. Przed chwilą wyszedł spod prysznic - czuję zapach jego dezodorantu, mimo że stoję po drugiej stronie kuchni. Jego gęste, falujące włosy zostawiły mokry, półksiężycowaty ślad na T-shircie.

- Lare, a mógłbyś chociaż założyć buty? - pytam, wskazując nożem na jego gołe stopy.

Mój chłopak należy do tych osób, których wygląd zdradza, skąd pochodzą. Założyć mu flanelową koszulę, a mógłby spokojnie zostać dublerem faceta reklamującego ręczniki papierowe Brawny. Przeniósł się tu z Minnesoty, żeby pracować w Smithsonian, i jest kustoszem w National Museum of American History, gdzie opiekuje się ogromną kolekcją memo-

rabiliów z dawnych kampanii oraz innych eksponatów związanych z polityką. Przez całe życie był wielkim miłośnikiem historii i wzmianka o plakacie z II wojny światowej ekscytuje go tak samo jak mnie odkrycie nowego kremu do tortu.

- Kotku, przecież to rodzina. - Śmieje się i odstawia butelkę z piwem na blat kuchenny, żeby móc swobodnie uściskać Amy. Jej barki i szyja nikną w objęciach jego potężnych ramion.

Larry jest jedną z tych nielicznych osób, które prawie wszyscy lubią. Snuje absurdalne opowieści o swoim dorastaniu w Minnesocie - niefortunnych sytuacjach podczas łowienia ryb pod lodem, awanturach barowych kończących się zawarciem wspianącej przyjaźni - i zawsze otacza go wianuszek słuchaczy. Pewnego wieczoru w Old Town cały bar śpiewał z nim „Skol Vikings”, pieśń bojową Minnesota Vikings, a było to w trakcie sezonu rozgrywek futbolowych w sali pełnej zionących piwem zaciekłych kibiców Redskinsów. Jednym słowem, wszyscy bardzo lubią jego towarzystwo. Ja też, choć teraz martwię się, że mu nie powiedziałam o swoich problemach finansowych (które - prawdę mówiąc - jego również dotyczą, skoro mieszkamy razem), co odbija się na stosunkach między nami. Nigdy wcześniej niczego przed nim nie ukrywałam, toteż dręczy mnie takie poczucie winy, że staram się go unikać. Zauważył to, ale żadne z nas nic nie mówi na ten temat. Powtarzam sobie, że to przejściowe, że to zwykła przeszkoda, którą pokonamy jak wiele innych przedtem, ale w głębi ducha wiem, że to nieprawda.

Larry puszcza Amy, na odchodnym wicherząc jej włosy, jakby była jego młodszą siostrą, po czym obejmuje Kate. Nazywa ją „Katie”, chociaż wielokrotnie go prosiła, żeby tego nie robił. Larry i Kate są jak rodzeństwo - chociaż stale sobie dokuczają, skrycie uwielbiają się nawzajem. Kiedy w końcu idzie w moją stronę, mieszam akurat zawartość garnka na kuchence. Otacza mnie ramionami i głęboko się pochyla, żeby mnie pocałować w zagięcie szyi. Ma metr osiemdziesiąt dziewięć, czyli jest wysoki, ale nie tak, by starczyło na NBA. Jest też silny w najlepszym tego słowa znaczeniu, jak ktoś, kto w razie potrzeby mógłby dźwignąć ładunek drewna, a nie jak łykający proteiny osiłek z siłowni. Ja natomiast jestem średniego wzrostu - nie najmniejsza, ale i nie największa dziewczyna w mieście. Kiedy Larry mnie przytula, to całym sobą.

- Jakie są zakłady, czy doktor Dobre Samopoczucie uśmiechnie się dziś wieczorem? - szepce mi Larry do ucha.

Ma na myśli Mike'a, który teraz gapi się sennym wzrokiem przez moje frontowe okno. Daję mu delikatnego szturchańca w bok.

- Idź! Zanieś mu piwo - mówię cicho.

Kiedy się odwracam, spotykam spojrzenie Amy. Boję się, że usłyszała, jak Larry kpi z Mike'a, ale ona wpatruje się we mnie z dziwną tęsknotą. Uśmiecha się z zażenowaniem, klaszcze w dłonie i mówi:

- Dobra! W czym ci pomóc? Nie mogę tak tu stać i patrzeć, jak pracujesz.

Moja jadalnia jest za mała na siedem osób. Kate stoi jeszcze w drzwiach kuchni. Wiem, że czeka, aż Mike usiądzie, bo nie chce się znaleźć koło niego. Tymczasem mąż Amy rozluźnił się przynajmniej na tyle, żeby rozmawiać z Larrym i jego współpracownikiem Kyle'em o hokeju.

Przeciskam się za krzesłem Amy, przenosząc nad jej głową garnek z duszonym mięsem, a wszyscy zaczynają się wiercić na swoich siedzeniach.

- Pachnie niesamowicie - zauważa moja przyjaciółka, robiąc na stole miejsce, żebym miała go gdzie postawić.

Pięć lat temu Kate, Amy i Larry przekonywali mnie tak długo, aż rzuciłam pracę nauczycielki angielskiego w liceum i otworzyłam Maggie's, nazwaną tak od imienia mojego psa z dzieciństwa. Wiem, wiem, świat jest pełen piekarni, kawiarni i barów, których nazwy upamiętniają ukochane psy. Tak, mam na ścianie przy kasie jej czarno-białe zdjęcie. Nie zamierzam się z tego powodu usprawiedliwiać. Była fantastycznym psem.

- A zatem, toast - stwierdza Larry, kiedy w końcu siadam, wsuwając się ostrożnie pomiędzy Amy i Kate. Podnosi kieliszek. - Za Waverly, gospodynię z...

- Larry, przestań, zanim wszystkich zemdli i stracą apetyt - przerywam mu. - Zdrowie wszystkich. - Podnoszę kieliszek. - Jedzmy.

- Zatem... - odzywa się Kate, kiedy już wszyscy napełnili talerze, i wskazuje widelcem w stronę Rebeki, nowej dziewczyny Kyle'a. - Co wykładasz?

Rebeka jest drobną kobietą z mnóstwem półdługich loczków w stylu Gildy Radner i prowadzi zajęcia na American University.

- Studia kobiece - odpowiada. Ma zaskakująco gardłowy głos, szczególnie jak na osobę o posturze łyżwiarki figurowej.

Akurat rozglądam się wokół stołu, czy wszyscy mają, co trzeba, i zauważam minę Mike'a. Kate trąca mnie stopą pod stołem. Ona też to dostrzegła.

- Interesujące! - stwierdza Amy i podkreśla swoje słowa potakującym ruchem głowy, kończąc przełykanie kęsa. Wreszcie mówi: - Czy mogłabyś podać przykładowy temat swoich zajęć?

- Cóż, pracuję też na Wydziale Literatury Angielskiej, więc teraz mam wykłady na temat autobiografii kobiet. Czytamy Carolyn Heilbrun, Annie Dillard, Maxine Hong Kingston. Znasz je?

- Przykro mi, nie. - Amy śmieje się z zażenowaniem. - Od urodzenia córki z trudem udaje mi się przeczytać jedną książkę rocznie.

Mike potrząsa głową.

- Co? - pyta Amy żartobliwie, nieco zaczepnie.

Jej mąż przewraca oczami, ale bez rozbawienia. Jest autentycznie wkurzony.

- Czy chciałbyś coś powiedzieć, Mike? - odzywa się Kate.

Cholera, zaczyna się. Co gorsza, jest już trochę wstawiona, co nie wróży dobrze.

- Mike po prostu wie, jak mało czytam - wyjaśnia Amy ze śmiechem, który ma rozładować sytuację.

Wyraźnie stara się go udobruchać. - Siostra kupiła mi w prezencie urodzinowym prenumeratę magazynu „People” i muszę się przyznać, że nie jestem w stanie skończyć jednego numeru, zanim przyjdzie następny.

Mike odkłada widelec i potrząsa głową.

- Nie, Amy. - Śmieje się ironicznie. - Może trudno ci w to uwierzyć, ale nie chodziło mi o ciebie. Po prostu nie rozumiem, czemu ma służyć Wydział „Studiów Kobięcych”. - Mówiąc to, pokazuje palcami cudzysłów. - Jeśli chodzi o równouprawnienie, to czy nie powinien też istnieć Wydział Studiów Męskich?

- No wiesz, Mike - odparowuje Kate. - Dokładnie takiego kiepskiego argumentu używali moi nastoletni koledzy w Brown piętnaście lat temu.

- Daj spokój - Mike mówi to tak zajadle, że aż pryca sosem - chyba nie myślisz, że Brendan, superbohater Republikanów, jest entuzjastą „Studiów Kobięcych”. - Znowu robi znak cudzysłowu, wymachując trzymanym w ręce widelcem tak blisko twarzy Larry'ego, że ten musi się gwałtownie odchylić.

I to ma być moja odprężająca piątkowa kolacja z przyjaciółmi. Widzę piorunujące spojrzenie, jakim Mike wpatruje się w Kate, czuję, jak Kate prostuje się na krześle - jakby zamierzała rzucić się na niego przez stół. I nagle przypomina mi się scena z pewnego filmu, gdzie również podczas przyjęcia pojawiły się problemy, a twórcy na głosy aktorów nałożyli nasilające się dźwięki kolejki górskiej - bum, klik, bum, klik, bum, klik. To właśnie czuję w piersiach.

- Mój mąż jest na tyle męski, że nie czuje się zagrożony przez silne kobiety - stwierdza Kate, pociągając kolejny łyk wina.

Spoglądam na Amy. Wbija wzrok w talerz. Kładę dłoń na ręce Kate.

- Przepraszam - mówię do wszystkich - może zmienimy temat?

Mam cerę, która zawsze jest zaróżowiona jak po przebywaniu na mrozie, ale w tej chwili czuję, że na całej twarzy i szyi rozlał mi się jaskrawy rumieniec.

- Nie, nie, nie ma sprawy - odpowiada Rebeka, zupełnie nieporuszona. - Często spotykam się z taką reakcją ze strony mężczyzn. Nie przeszkadza mi to. Niektórzy z nich po prostu nie rozumieją przydatności wykładów o problematyce kobiecej w dwudziestym pierwszym wieku.

- Dokładnie! - Mike wali pięścią w stół, aż podskakują kieliszki.

Wzdrygam się na ten dźwięk i zerkam na Larry'ego, którego brwi sięgają w tej chwili linii włosów.

- No, a co ty sądzisz o tym wszystkim? - Mike zwraca się do Kyle'a.

- Przepraszam, właściwie o co pytasz? - odpowiada ten ostatni, podnosząc wzrok znad prawie opróżnionego talerza.

Wystarczy na niego spojrzeć, żeby odgadnąć, jakimi zasadami się kieruje. Sprawia wrażenie intelektualisty, ale jest to zamierzony efekt, osiągnięty dzięki okularom w drucianej oprawce i wełnianemu swetrowi z golfem. Wygląda jak ktoś, kto ma zwyczaj medytować. I pija herbatę.

- Co myślisz o pracy swojej dziewczyny? - uściśla Mike, wypowiadając te słowa głośno i powoli, jak ignorant do obcokrajowca.

- Cóż... - zaczyna Kyle i starannie odkłada widelec na stół, po czym krzyżuje ręce na piersi jak jogin. - Uważam, że to fascynujące. Bardzo dużo się nauczyłem od Rebeki na temat teorii feminizmu oraz tego, co oznacza być kobietą we współczesnym świecie.

- Kyle właśnie przeczytał *Mistykę kobiecości* - wtrąca Rebeka.

- Naprawdę? - odzywam się w nadziei, że uda mi się uciszyć Mike'a i Kate. - Larry, może powinienes skorzystać z przykładu kolegi.

Wiem, że Larry czyta głównie naukowe czasopisma historyczne, potrzebne mu do pracy, a poza tym wyłącznie strony sportowe, niedzielne historyjki obrazkowe i kryminały, ale staram się poprawić nastrój. Uśmieciam się do niego, podając mu kieliszek - właśnie wstał, żeby dolać wszystkim wina - i mam nadzieję, że domyśli się, iż potrzebuję pomocy.

Ale już po chwili staje się jasne, że to wszystko na nic.

- Och, dajcie spokój - prycha Mike. - Wiesz, Kate? Myślę, że możesz ich skreślić z elektoratu swojego męża. Nie ma szans, żeby na niego głosowali!

Kate wznosi oczy do sufitu i potrząsa głową.

- Jesteś taki... - zaczyna.

- A ja uważam, że to wszystko jest bardzo interesujące - przerywa jej pospiesznie Amy, która w końcu zdecydowała się zabrać głos. Wcześniej

zerkałam na nią i widziałam, że rysuje widelcem ósemki na talerzu. - Czytałam *Mistykę kobiecości* na studiach i bardzo mi się podobała. - Uśmiecha się do Rebece.

- Też coś - śmieje się złośliwie Mike. - Ledwo pamiętasz, żeby odebrać pranie, a co dopiero książki, które czytałaś na studiach. - Spogląda na Rebece.
- Moja żona stara się zrobić na tobie wrażenie.

Amy bierze głęboki oddech i potrząsa głową.

- Proszę, nie zwracajcie uwagi na mojego męża. On ma zdecydowane poglądy.

- Mniejsza o to - rezygnuje Mike i wkłada sobie do ust sporą porcję jedzenia.

Zapada cisza. Amy patrzy na mnie przez stół i bezgłośnie mówi „przepraszam”, widzę w jej oczach łzy. Stary grzejnik pod oknem syczy i trzeszczy.

Larry odchrząkuje.

- Komu dokładkę? - pyta.

Kiedy Larry i Kyle zaczynają opowiadać, jak to się stało, że deskorolka Tonyego Hawka trafiła do stałej kolekcji eksponatów sportowych, spoglądam ponownie na Amy. Nieznacznie przygryza dolną wargę i jestem przekonana, że potakując i uśmiechając się podczas opowieści obu panów, myśli o zupełnie czymś innym. Mike zachowywał się w ten sposób już wcześniej, ale *nigdy* w towarzystwie osób spoza naszego ścisłego grona, w dodatku dziś jest bardziej podminowany niż zwykle.

Wiem, że Amy musi być okropnie zażenowana, ale trudno mi jej współczuć - nasz wieczór miał przebiegać zdecydowanie inaczej i nikt nie czuje się bardziej

upokorzony niż ja. Kate najwyraźniej to odgaduje, bo ściska pod stołem mój nadgarstek i mruczy pod nosem:

- Co za dupek.

Dotykam jej stopy swoją, żeby potwierdzić, że usłyszałam, po czym wstaję i idę do kuchni po deser.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sobotni poranek, godzina piąta. W radiu leci Emmylou Harris, parzy się kawa i pozostała jeszcze godzina do czasu, gdy jeden po drugim zaczną się schodzić członkowie mojej załogi - bezładna zbieranina studentów, artystów, niedawnych imigrantów i byłych przestępców. Lubię tę porę dnia. Mam całą piekarnię dla siebie, a ciszę zakłóca wyłącznie moja muzyka oraz szum przemysłowego mieszalnika. Wtedy najlepiej mi się myśli. Przesiewając mąkę przez palce albo wyrabiając ciasto na chleb, aż zacznie przypominać ciepłą poduszkę, odnoszę wrażenie, że mogłabym rozwiązać wszystkie problemy świata. Tak naprawdę nie jestem typem rannego ptaszka, ale świadomość, że większość ludzi jeszcze śpi, kiedy ja oglądam wschód słońca, napawa mnie chęcią do pracy i optymizmem. Jakbym miała przewagę na starcie. Oczywiście, uczucie to idzie w cholerę, kiedy tylko otwieram piekarnię i zaczyna się zwyczajny pośpiech, ale poranki mam tylko dla siebie i są dla mnie święte.

Moja mama całe życie gotowała obiady. Były to nieskomplikowane posiłki, ale miały tę zaletę, że były domowe: spaghetti z sosem, zapiekanka z tuńczykiem, pieczony kurczak. Narzekałam na większość z tych dań - marzyłam, by żyć jak Kate, której rodziców prawie

nigdy nie było wieczorem w domu, i kupować pizzę albo chińszczyznę na wynos. Mama jednak nigdy nie dała za wygraną. Po dziesięciu godzinach spędzonych w firmie ubezpieczeniowej wracała do domu, rzucała na krzesło w kuchni jeden z kilku noszonych na zmianę blezerów od Liz Claiborne, po czym ruszała do lodówki, zakasując po drodze rękawy i mówiąc:

- Waverly, jestem po całym dniu pracy. Muszę coś ugotować, żeby oczyścić umysł.

Żeby zrozumieć, o co jej chodziło, musiałam przeżyć najgorszy dzień swojego życia. Miałam wtedy dziewiętnaście lat i byłam w połowie drugiego roku studiów. Właśnie wychodziłam na kolację z moją współlokatorką, Nancy, kiedy zadzwonił telefon. Nancy pobiegła do pokoju, tłumacząc, że to może być Christopher, jej chłopak, który w ten weekend miał przyjechać w odwiedziny z Massachusetts. Uniosłam brwi. Dopiero co zakończyli jeden ze swoich telefonicznych maratonów, umierałam z głodu, a na dodatek był to jedyny wieczór w tygodniu, kiedy w stołówce można było dostać pizzę. Przez pozostałe sześć dni na terenie kampusu nie dało się kupić niczego jadalnego.

Telefon był do mnie. Dzwonił funkcjonariusz wirginijskiej policji stanowej z informacją, że na obwodnicy pijany kierowca uderzył w samochód moich rodziców. Oboje byli na oddziale intensywnej terapii. Ojciec zmarł następnego ranka, trzy godziny po tym, jak dotarłam do szpitala. Jechałam całą noc, chociaż Kate i Nancy upierały się, że w tym stanie nie powinnam w ogóle siadać za kierownicą. Mama umarła dzień

później. Kiedy żegnałam się z ojcem, ścisnął moją dłoń, dając do zrozumienia, że mnie słyszy, ale mama odniosła tak poważne obrażenia kręgosłupa, że kiedy tylko ją zobaczyłam na szpitalnym łóżku, zdałam sobie sprawę, że już opuściła swoje ciało. Zanim odłączyli ją od respiratora, siedziałam przy niej przez kilka godzin, przyglądając się odpryskom lakieru na jej paznokciach oraz popękany naczynkom krwionośnym wokół oczu i próbowałam sobie przypomnieć temat naszej ostatniej rozmowy. Choć minęło tyle lat, nadal nie mam pojęcia, czego dotyczyła.

Wzięłam urlop dziekański na resztę semestru i spędziłam większą część następných dwóch miesięcy w kuchni rodziców, gotując. Babcia - mama mojej mamy - wprowadziła się do mnie i wzięła na siebie zmywanie. Babcia była moją ostatnią żyjącą krewną - oboje rodzice byli jedynakami. Czasami podwijiała rękawy i pomagała mi gotować. Kiedy indziej pojawiała się na chwilę i delikatnie podpowiadała, jak sobie z czymś poradzić („Będzie ci łatwiej pokroić ten ser, jeśli włożysz go na chwilę do zamrażarki”, „Przesyp jagody mąką, to nie poskleją się podczas pieczenia”). Na odchodnym dawała mi całusa w policzek, zostawiając na nim ślad czerwonej szminki Max Factor.

W weekendy Kate przyjeżdżała z Providence, siadała przy stole kuchennym i w zależności od tego, na co miałam ochotę, albo rozmawiała ze mną, albo czytała na głos przywiezione książki i czasopisma. Przy okazji pomagała zjeść góry potraw, które inaczej babcia oddałaby komuś albo wyrzuciła. Czasem

mówiła, że mogłabym wykarmić całą armię. Byłam chyba jedyną na świecie osobą w żałobie, która przynosiła jedzenie sąsiadom, a nie na odwrót. Wykorzystałam wszystkie połówki, zaplamione przepisy z segregatora mamy, odkrywając przy okazji, że choreografia siekania, mieszania i odmierzania uspokaja niczym znajoma modlitwa. Przejęłam też przyzwyczajenia mamy, które podpatrzyłam, towarzysząc jej w kuchni - sposób zagniatania obróbka ciasta, przyprawiania pieczonego kurczaka - podobnie jak ona przejęła je od babci, a ta od swojej matki. W środku nocy ugotowałam słynne *gumbo* mojego ojca, a o świcie zjadłam całą miskę, siedząc na kuchennej podłodze. Zrobiłam zupę grzybową mamy, pieczeń babci, ciasto marchewkowe według przepisu z „New York Timesa”, które mama co roku piekła sobie na urodziny. Nie znałam innego sposobu, by zatrzymać rodziców przy sobie.

Teraz aż trudno mi uwierzyć, że w ogóle rozważałam inne zajęcia. Czasami, kiedy w piekarni pojawi się któryś z moich dawnych podopiecznych, na chwilę dopada mnie nostalgia - wspominam głuchy odgłos gąbki uderzającej o tablicę, tę chwilę każdego dnia, kiedy stałam w pustej klasie, wsłuchana w narastający huk nadciągającej korytarzem fali uczniów, ale najwyraźniej urodziłam się, by gotować. Kuchnia jest jedynym stałym elementem mojego życia - w trudnych chwilach zawsze mogę do niej wrócić i mieć pewność, że nie spotka mnie w niej żadna katastrofa, z którą nie będzie umiała sobie poradzić.

Moje dni toczą się w prostym, niezmiennym rytmie, na którym nauczyłam się polegać. Za dziesięć siódma pod drzwiami pojawia się trójka skulonych z zimna stałych klientów, emerytowanych inżynierów z Instytutu Badawczego Marynarki Wojennej, którzy czekają, aż im otworzę. Około ósmej robi się ruch - ludzie jadący do pracy wpadają i wypadają, ani na chwilę nie odrywając wzroku od ekranów telefonów. O dziesiątej pojawiają się spragnione dawki kofeiny, zmęczone wczesnym wstawaniem młode mamy, popychając przed sobą spacerówki. Kolejna fala klientów przychodzi w porze lunchu, a potem, koło trzeciej, wpadają wypuszczone ze szkoły nastolatki. Wreszcie, późnym popołudniem, docierają do nas biurowe niedobitki, otępiałe od wpatrywania się przez cały dzień w monitor.

Dochody są niestety mniej przewidywalne od klientów. Tym z nas, którzy nie sprzedają kawy w kubkach oznaczonych logo pewnej olbrzymiej sieci, nie wiedzie się zbyt dobrze. Potrafię zrozumieć, że rodziny borykające się z brakiem pieniędzy szybko rezygnują z wizyt w miejscowej cukierni, ale mam ochotę rzucić czymś w telewizor, kiedy słyszę doradców finansowych ostrzegających, by nie wydawać pieniędzy na „niepotrzebne drobiazgi”. Niegdyś zlecenia cateringowe - wieczory panieńskie, firmowe lunche - zapewniały dodatkowe dochody, dzięki którym zostawało mi coś na własne potrzeby po wypłaceniu pensji ośmiu pracownikom, zakupieniu wszystkich potrzebnych surowców, wypisaniu czeku właścicielowi lokalu i opłaceniu rachunków.

Obecnie tylko dzięki tym dodatkowym zamówieniom udaje mi się wyjść na zero. Rok temu, szukając sposobu na zwiększenie zarobków, otworzyłam w kącie lokalu stoisko z upominkami o tematyce kulinarnej i wystawiłam na nim artystyczne słoiki na miód i herbatę, książki kucharskie Iny Garten i inne drobiazgi. Okazuje się jednak - co za niespodzianka - że sprzedaż kilku słoików galaretki firmowanej logo Stonewall Kitchen po osiem dolarów każdy niczego w zasadzie nie zmienia (tak naprawdę mam tylko więcej do odkurzania przez to cholerstwo). Nie jest jeszcze aż tak źle, żebym musiała przestać pobierać regularną pensję, ale niewiele do tego brakuje. Bardzo, bardzo niewiele.

Zaczęłam wymyślać sposoby na poszerzenie działalności. Przyszły mi do głowy obiady z dostawą i książka kucharska, ale jak mówią - żeby coś zarobić, trzeba najpierw zainwestować. Na dodatek planowanie nowego przedsięwzięcia wymaga mnóstwa czasu, a ja spędzam w pracy piętnaście godzin dziennie. Nie mam ani pieniędzy, ani czasu. Naprawdę utknęłam, a właściwie się pograżam. Jak szybko - to wie jedynie mój księgowy, który na szczęście niemal co dzień dzwoni, by przekazać mi najnowsze informacje o rozmiarach tragedii.

Dzisiejszego ranka mam do przygotowania babeczki cytrynowo-kokosowe na wieczór panieński. Związuję włosy jedną z gumek, które zwykle noszę na nadgarstku, wycieram dłonie w mój ulubiony pomarańczowy fartuch, po czym wkładam cukier i masło do miksera i ustawiam go na wysokie obroty.

Nadal nie mogę się otrząsnąć po wczorajszej kolacji. Choć staram się o tym nie myśleć, wciąż wracam do awantury, którą Mike wywołał przy stole. Kate ma rację - co za dupek. Dlaczego Amy się z nim nie rozwiedzie? Kiedy zbierała się do wyjścia, miałam ochotę ją udusić. Mike konsekwentnie rozsiewał swój wątpliwy urok przez resztę wieczoru - najpierw parsknął lekceważąco, kiedy Kyle wspomniał, że w niedzielę zabiera Rebeke na koncert Ani DiFranco, potem wdychał z irytacją, kiedy Kate odpowiadała na pytania Rebeci dotyczące kampanii. A Amy nic, tylko siedziała przy nim, milcząc i uśmiechając się tępo, jak odurzona środkami uspokajającymi pani domu z lat sześćdziesiątych. Nie rozumiem, dlaczego nie daje Mike'owi bardziej kategorycznie do zrozumienia, że nie może tak traktować ludzi, ani dlaczego w ogóle toleruje jego chamstwo. Amy może i ma nadwyzczaj dobre serce, ale zawsze była wygadana i niezależna. Zdarzało mi się słyszeć ich awantury, kiedy mieszkali naprzeciwko. Przeważnie chodziło o jakieś głupoty - on zapomniał zadzwonić, chociaż obiecywał, albo ona umówiła się na weekend, nie pytając, czy mu to pasuje - ale umiała wyrazić swoje zdanie, kiedy ją zdenierwował. Teraz zachowuje się tak, jakby problem nie istniał, jak gdyby Mike był jednym z tych okropnych plakatów z wzorami geometrycznymi sprzedawanych w sklepikach z tandetą w centrach handlowych, które przedstawiają dwa różne obrazy w zależności od punktu widzenia, a ona jako jedyna nie dostrzegała tego, który widzą wszyscy inni.

Larry uparcie twierdzi, że Kyle i Rebeka się nie obrazili.

- Serio, Wave, nic się nie stało. Rebeka na pewno ciągle spotyka się z czymś takim - zapewnił mnie, kiedy wszyscy wyszli. - Poza tym nikogo to specjalnie nie zaskoczyło. Po Mike'u widać na pierwszy rzut oka, że jest głupim fiutem.

Rozbijam jajko o krawędź misy i obserwuję, jak znika w ubijanej masie. Zastanawiam się, czy nie będzie przesadą, jeśli wyślę Rebecę coś smacznego na przeprosiny. Tuzin ciasteczek z marmoladą malinową, dwa bochenki chleba cukiniowo-bananowego, a może staroświecki tort czekoladowy? Wcale nie wierzę w zapewnienia Larryego, że nic się nie stało, bo wszyscy uciekli natychmiast po deserze - nawet Kate. Jeszcze nigdy nie przytrafiło mi się coś takiego.

Idę na drugi koniec kuchni po łopatkę. Larry na pewno ma rację co do Mike'a - jest palantem i szkoda życia na zastanawianie się nad jego zachowaniem, ale jednocześnie coś nie pozwala mi machnąć ręką na tę sprawę. Larry jest zdania, że moja wrodzona potrzeba zgłębiania tego rodzaju sytuacji i uporczywego poszukiwania odpowiedzi na pytanie „dlaczego?” wynika z tego, że jestem kobietą - podobnie jak zdolność rozmawiania przez telefon dla przyjemności. „Nie martw się tym, kochanie, daj spokój, za bardzo się wszystkim przejmujesz” - powiedział wczoraj w nocy. Kiedy zwykłe metody podtrzymania mnie na duchu nie skutkują, zwykle zaczyna mnie namawiać, żebym poszła się przebiec albo otworzyła sobie piwo. Wiem, że ma rację.

Na pewno by mi nie zaszkodziło, gdybym się nauczyła odpuszczać sobie pewne sprawy. Tu jednak chodzi o Mike'a, który jest w końcu mężem Amy, co sprawia, że traktuję go jak członka rodziny. Już zawsze będzie obecny w jej życiu, a więc i w moim.

Cała ta sytuacja jest dziwna. Mike nigdy nie był szczególnie rozmowny, ale kiedyś zachowywał się przyjaźnie, miło spędzało się z nim czas i prowadziło towarzyskie rozmowy. Kiedy Amy zaczęła się z nim spotykać, byliśmy wszyscy zdania, że doskonale do siebie pasują. Pragnęli tego samego: rodzinnych obiadów przy kuchennym stole, huśtawki w ogrodzie. Nawet wyglądają podobnie - oboje są smukli, o wysportowanych sylwetkach, ciemnych włosach i twarzach pokrytych piegami. Przypominają te wyidealizowane, typowo amerykańskie, przesadnie schludne pary, które widuje się na billboardach reklamujących sieci sklepów jubilerskich albo zakłady stomatologii estetycznej.

Kiedy Mike oświadczył się Amy, klękając na jedno kolano po tym, jak wspólnie wzięli udział w biegu szlakiem wzdłuż kanału C & O, byłam w siódmym niebie. Ich wesele w Chapel Hill, urządzone w wiejskim stylu, włącznie z pieczeniem prosiaka, było jednym z tych nielicznych, na które goście przyszli nie tylko ze względu na darmowe jedzenie i alkohol, ale by wspólnie z nowożeńcami cieszyć się ich świetlaną przyszłością. Pamiętam, że kiedy Mike i Amy radosnym krokiem opuszczali kaplicę po uroczystości zaślubin, wydawało mi się, że dokładnie takiego związku pragnę. Z całego serca popierałam ich decyzję. Od tamtej pory

spędziłam w towarzystwie Mike'a tak dużo czasu, że naprawdę nie rozumiem, dlaczego teraz nie potrafimy już swobodnie ze sobą rozmawiać, tylko zdenerwowani wysilamy się, by znaleźć jakiś temat. Wczoraj wieczorem, kiedy nakładałam tiramisu, Mike przyszedł do kuchni wyrzucić butelkę od piwa, a ja poczułam się, jakbym próbowała nawiązać rozmowę z zupełnie obcym człowiekiem. Przecież to nie ma sensu - przez ostatnie dziesięć lat Mike był nie tylko mężem Amy, lecz także *moim* dobrym znajomym.

Był taki sobotni wieczór, lata temu. Wciąż jeszcze mieszkaliśmy w wynajętych mieszkaniach, a Mike i Amy dopiero co się poznali i byli w sobie szaleńczo zakochani. Ja nikogo nie miałam i co tu wiele mówić - trochę uważałam się nad sobą. Moja gadka, jak to „jestem niezależna, nikogo nie potrzebuję” najwyraźniej wypadła niezbyt przekonująco, ponieważ Mike - *ten sam Mike* - odstawił miskę chili, które zjadał, oglądając z nami mecz Redskinsów, i zapowiedział, że umówi mnie z jednym ze swoich kolegów rezydentów.

W następny piątek cała nasza czwórka udała się na podwójną randkę. Facet, którego znalazł mi Mike (*Jak mu było na imię... Rob? Bob?*), zupełnie nie był w moim typie. On zresztą miał podobne zdanie o mnie. Wiedziałam, że akcja nie wypali, kiedy tylko dostrzegłam go z okna sypialni Amy. Obserwowałam, jak idzie splekanym betonowym chodnikiem prowadzącym do naszego bloku - wyglądał jak reklama sklepu Brooks Brothers - spodnie w kolorze khaki, eleganckie brązowe mokasyny, jasnoniebieska koszula, jaką niemal

każdy facet z Waszyngtonu zakłada co najmniej dwa razy w tygodniu. Ja natomiast miałam na sobie ohydną wzorzystą spódnice, którą kupiłam od ulicznego sprzedawcy podczas weekendowego wyjazdu do Nowego Jorku. Z jakiegoś powodu na początku wydawała mi się fajna i artystyczna, ale potem zdałam sobie sprawę, że to jarmarczne byle co, świadczące o moim złym guście.

Wracając do tematu - nie był to facet dla mnie. Co dziwne, Mike tej nocy zrobił na mnie doskonałe wrażenie. Zręcznie podtrzymywał konwersację przy stole, dzięki czemu wszyscy mogliśmy się zrelaksować. Pamiętam, że przyglądałam się reakcjom Amy, która trzymała dłoń na jego przedramieniu i ścisnęła je za każdym razem, kiedy powiedział coś szczególnie zabawnego albo mądrego. Kiedy Mike zaczął wliczać moje osiągnięcia, aby zainteresować mną Roba/Boba: „Skończyła Bowdoin z wyróżnieniem!”, „Przebiegła maraton piechoty morskiej w trzy i pół godziny!”, „Jeśli nie jadłeś jeszcze brownie upieczonego przez Waverly, to nie masz pojęcia, jak powinno smakować!” - trochę mnie zaskoczyło, że tyle o mnie wie. Jednocześnie zrobiło mi się tak miło, że Mike przez chwilę wydał mi się atrakcyjny i pomyślałam, że przyjemniej byłoby, gdybym to ja go dotykała.

Wrzucam wiórki kokosowe do miski miksera i mieszam je z ciastem. Zastanawiam się, jak poruszyć trapiący mnie temat tak, by nie urazić Amy. Teoretycznie powinno to być proste, skoro jesteśmy ze sobą tak blisko. (Kiedy rozmawiam o tym z Kate, słyszę: „No i co zamierzasz jej powiedzieć, Waverly? Twój mąż

jest dupkiem? Nie możemy go już znieść?"). Nie za-
ważyłam, żeby zachowanie Amy się zmieniło - poza
zwyczajowym narzekaniem, że „niedługo przez niego
zwaruje”, jest równie rozpromieniona i radosna jak
zawsze - ale teraz jestem przekonana, że tylko udaje.
Przecież musi być nieszczęśliwa, żyjąc z kimś takim.
Inna sprawa, że może nie jestem odpowiednią osobą,
by ją osądzać - myślę, wyciągając foremki do babeczek.
Ostatnio mnie także zdarza się robić rzeczy, w obliczu
których raczej nie powinnam namawiać innych do
szczerości na temat ich związków. Owszem, denerwuje
mnie, że Amy ignoruje okropne zachowanie męża, ale
dziś rano sama zwinęłam Larryemu z portfela dwa
banknoty dwudziestodolarowe, żeby nie płacić za pa-
liwo zadłużoną kartą.

Sześć godzin później poranny ruch mamy za sobą.
Akurat stoję przy ladzie z Randym, kierownikiem mo-
jej piekarni, kiedy wpada nieskazitelnie ubrana Kate.
Jej przesadna elegancja czasami daje karykaturalny
efekt - w beżowej pelerynce i ciemnogrnatowym gar-
niturze wygląda jak gwiazda filmowa odgrywająca rolę
żony polityka. Ścieram pot z czoła wewnętrzną stroną
przedramienia i sięgam po srebrny termos ściskany
przez Kate. Mimo zimnej mżawki na dworze klienci
dopisali, co trochę poprawiło mi humor.

- Gdzie idziesz, że tak się odstawiłaś w sobotni
poranek? - pytam. Kojarzę, że wczoraj wspominała
o jakiejś imprezie związanej z kampanią wyborczą,
ale nie potrafię sobie przypomnieć, o co dokładnie
chodziło.

- Ho, ho! - komentuje Randy. - Fantastycznie dziś wyglądasz, Kate.

Randy prowadzi mój zakład od kilku lat. Jest trochę po trzydziestce i wygląda, przynajmniej z mojego punktu widzenia, jak stereotypowy pracownik sklepu Apple: obcisłe sztruksy, hipsterskie tenisówki, artystycznie rozczochrane włosy, biały kabel od słuchawek bezustannie wystający z tylnej kieszeni spodni. Przekonał mnie do siebie podczas pierwszej (i jedynej) rozmowy, kiedy zdradził, że zaczął gotować w liceum, bo musiał sobie jakoś poradzić z bezlitosnym gnębieniem, którego doświadczał każdego dnia. Na pewno pomogło również to, że przyniósł najpyszniejszą szarlotkę z cheddarem, jaką kiedykolwiek jadłam. Gust Randy'ego bardzo przypomina mój - oboje wolimy tradycyjne przysmaki (tort czekoladowy i wszystko co zawiera boczek) od misternie skomponowanych, wykwintnych potraw wyglądających jak małe dzieła architektury. Kiedy jedno z nas utknie w ślepym zaułku, próbując wymyślić nowy przepis, drugie żartobliwie podpowiada, żeby dodać więcej masła albo boczku - albo obu - co, o dziwo, zwykle się sprawdza.

- Lunch dla sponsorów - odpowiada Kate marudnym głosem. - Kolejna sobota, kolejne przemówienie.

- Ale dostajesz w nagrodę darmowy posiłek, prawda?

Napełniam termos, a Randy sięga po bułeczkę z jagodami, którą moja przyjaciółka zawsze bierze.

Kate unosi brwi.

- Tak, super. Gdyby nie ty, odżywiałabym się wyłącznie gumiąstym kurczakiem z hotelowych sal ban-

kietowych. - Popija łyk kawy. - No właśnie, dzięki za wczorajszy wieczór.

Wysłałam Randy'ego do kuchni.

- Ech. Było aż tak beznadziejnie, jak mi się wydaje? - pytam szeptem. Przygryzam wargę i szykuję się na cios, ale Kate mnie nie słucha. Zamiast tego wpatruje się w dwie starsze panie, które powoli dryfują w jej stronę, zastanawiając się na głos, które quiche wygląda bardziej zachęcająco - ze szpinakiem i boczkiem czy z szynką i serem gruyere. W pewnej chwili otrząsa się niczym koń odpędzający muchę i przysuwa bliżej lady.

Nasza przysłała Pierwsza Dama, rzeczniczka ludu - myślę.

- No dobra - stwierdza Kate, skupiając uwagę z powrotem na mnie. - Wczoraj wieczorem. Co to, kurwa, było?

Jedna z kobiet milknie, rzuca Kate spojrzenie spode łba i robi minę do swojej znajomej.

- Kate, słownictwo - szepczę. Nauczycielem zostaje się na całe życie. - Naprawdę mi głupio - mówię. Wyciągam szmatkę, którą trzymam w kieszeni fartucha, i zaczynam ścierać z lady niewidzialne plamki. Randy lubi żartować, że to taka moja wersja zawijania się w ciepły kocik w trudnych chwilach, i pewnie ma rację.

- Sądzisz, że powinnam coś upiec Rebecę? - pytam.
- Larry twierdzi, że nie, ale mi się wydaje, że naprawdę było okropnie.

- Cóż - Kate wzrusza ramionami. - Gdyby to była moja pierwsza wizyta w twoim domu, miałabym

poważne wątpliwości, czy przyjąć zaproszenie na następny piątek.

Przestają ścierać i wzdycham:

- Dzięki.

Kate przewraca oczami.

- Daj mi dokończyć! To, co się stało, nie ma nic wspólnego z tobą. Wszystkiemu winien jest Mike.

- Rzuca mi krzywy uśmiech. - Co za dupek, szkoda słów. Zresztą od początku był taki.

Rzucam okiem na starsze panie, które stanęły za Kate. Ze skupieniem przyglądają się sałatce owocowej.

- Bo ja wiem - odpowiadam. - Tak na serio to martwię się o Amy. Nie wiem, jak ona sobie z nim radzi. Myślisz, że w ogóle dostrzega jego zachowanie? Co się z nim stało? I dlaczego Amy nigdy nie rozmawia z nami na ten temat? Zaczyna mnie to wkurzać.

- Powiem ci, co się stało - odpowiada Kate, jednocześnie syjąc do termosu cukier ze szklanego pojemnika. - Wybrali sobie takie, a nie inne życie. Mam na myśli dom w zaułku, minivana na podjeździe i kolacje organizowane wspólnie z sąsiadami, podczas których rozmawiają na temat najnowszych wydarzeń w *Idolu*.

- Kate robi minę, jakby rozmawiała o zawartości kontenera ze śmieciami. - Uwielbiam Amy, o czym zresztą wiesz, ale po kilku latach czegoś takiego też bym pewnie zaczęła się wyżywać na innych.

- Nie przesadzaj. Rozumiem, że masz inny gust niż Amy, ale nie musisz o niej mówić w ten sposób.

- Pewnie - chichocze Kate. Otwiera usta, jakby chciała powiedzieć coś więcej, ale się powstrzymuje.

- W każdym razie jego wczorajsze zachowanie było nie do przyjęcia. To skończony dupek, bez dwóch zdań.

- Ale nie zawsze taki był.

- Waverly, ty naprawdę patrzysz na ludzi w zbyt różowych okularach. To znaczy, słuchaj - zaczyna i pochyla się w moją stronę. - Zdaję sobie sprawę, że Brendan nie jest idealny - nawet nie można z nim normalnie porozmawiać, bo kiedy poruszam jakikolwiek temat niezwiązany z kampanią, reaguje, jakbym próbowała mu opowiadać o swoim okresie czy czymś takim - ale moim zdaniem Amy skapcianała. Chciała mieć małżeństwo jak z bajki. Biały płótek dookoła działki, mąż lekarza, dziecko, cały zestaw. No i ma. Szkoda tylko, że księżę na białym koniu okazał się totalnym niewypałem.

Przyznaj się, co naprawdę czujesz, Kate.

Za każdym razem, kiedy wpada w ten ton, słyszę głos matki: „Przez złośliwych ludzi przemawia zazdrość”.

- Tak na marginesie, zauważyłaś, że Mike miał na sobie kurtkę lotniczą, którą nosi chyba od 1994? Jak mu nie wstyd coś takiego zakładać?

- Chwileczkę... - przerywa jedna ze starszych klientek, zdejmując z nosa okulary do czytania w czerwonych oprawkach i podchodząc bliżej Kate. - Pani jest żoną Brendana Berkshire'a!

Kate rzuca mi znaczące spojrzenie, subtelnie unosząc jedną brew w ten sam sposób, jak wówczas, gdy jej mama zaglądała do pokoju, w którym udawałyśmy, że się uczymy, by przypomnieć córce o zbliżającym się bankiecie Cór Rewolucji Amerykańskiej. Następnie

odwraca się do pań, które ją zaczepiły, i jej twarz łagodnieje. Uśmiecha się szeroko, odsłaniając rząd lśniących białych zębów. Czuję się, jakbym oglądała magiczną sztuczkę - trzepnięcie peleryną, pstryknięcie palcami i na miejscu mojej przyjaciółki pojawia się ktoś zupełnie inny.

- Cóż, obawiam się, że tak - odpowiada, wyciągając rękę. Zwracam uwagę na to, jak wprawnym ruchem zaciska palce na dłoni rozmówczynie i natychmiast je rozluźnia. Jest to ciepły, wyćwiczony gest, który nie narusza prywatności i nie jest przesadnie sztywny. - Miło mi poznać. Mogę zapytać, jak się pani nazywa?

- Ruby Sampson - oświadcza kobieta, przyglądając się Kate z uniesioną głową. - A to moja znajoma, Roberta Jenkins.

- Pani Sampson i pani Jenkins, bardzo mi miło panie poznać - mówi Kate. - Wypada mi się przyznać, że podsłuchałam wasze rozważania. Muszę powiedzieć, że oba rodzaje quiche są fantastyczne, ale osobiście wolę to z szynką i gruyérem.

- W takim razie poprosimy właśnie to - kobieta zwraca się do mnie, nie odrywając oczu od Kate. Upaja się jej idealną fryzurą, promienną cerą, szykownym naszyjnikiem z pereł. Przyglądam się, po raz Bóg wie który w życiu, jak Kate udaje, że tego nie zauważa. Bywają takie dni, że ledwo wyjdzie na ulicę, a ktoś przystaje, żeby się na nią pogapić - zupełnie, jakby była bohaterką reklamy szamponu.

Klientki ruszają do stolika, dzierżąc porcje quiche i szczebiocząc na temat swojego przypadkowego spo-

tkania z przyszłą Pierwszą Damą Wirginii („Na żywo jest jeszcze bardziej olśniewająca!”), a Kate przewraca oczami.

- Cóż, to należy do moich obowiązków - stwierdza. - No właśnie, lepiej już pójde. Kiedy się spóźnię, ekipa Brendana reaguje, jakbym sypiała z wrogiem.

- Okej - odpowiadam. - To do zobaczenia.

Kate odwraca się, żeby wyjść, po czym zatrzymuje się w pół kroku.

- Zamierzasz porozmawiać z Amy na temat Mike'a?

- Wzruszam ramionami. - Bo mogłabyś, wiesz. Po tym, co się stało, masz do tego prawo. Zrzuć na ci imprezę.

Potrząsam głową i odpowiadam:

- Nie wiem. Zobaczymy.

- Tak tylko mówię.

Kate zarzuca pelerynę na ramię dramatycznym gestem, który, o dziwo, w jej wykonaniu wcale nie wygląda śmiesznie. Gdyby magazyn „Town & Country” zdecydował się zamieszczać historyjkę obrazkową, byłaby idealną superbohaterką. Macha do mnie na pożegnanie i popycha drzwi, przez które wpada do środka chłodne, czyste powietrze. Trochę żałuję, że nie mogę wyjść razem z nią. Moi klienci siedzą ubrani w dresy i grube swetry, z nieuczesanymi włosami, ciesząc się leniwą sobotą. Powoli uchodzi z nich napięcie po całym tygodniu. Nie obraziłabym się, gdybym mogła sobie usiąść z filiżanką kawy i poczytać lub zagadać do osoby po przeciwnej stronie stolika: „To co dzisiaj robimy?”. Gdybym tak nie musiała unikać telefonów od wła-

ściciela budynku, martwić się stosem niezapłaconych rachunków za kartę kredytową zalegających na biurku i kraść pieniędzy chłopakowi - który, co gorsza, nie ma najmniejszego pojęcia o mojej sytuacji, a na pewno chętnie by mi pomógł, gdybym potrafiła się przyznać do słabości i zwyczajnie wszystko mu opowiedzieć.

Przyglądam się Kate, która opuszcza swoje miejsce parkingowe przed piekarnią. Rozumiem, że jest wyczerpana - naprawdę rozumiem - ale za chwilę powitają ją oklaski, a może nawet owacja na stojąco. Wiele bym dała, by zamienić się z nią dzisiaj miejscami - choćby po to, żeby zobaczyć jej minę na widoku arkusza kalkulacyjnego przedstawiającego moje malejące dochody.

Spoglądam na zegarek - jeszcze dziewięć godzin. Muszę dokończyć babeczki, obdzwonić dostawców w sprawie zamówień na następny tydzień, sprawdzić, czy w menu włożono oferty specjalne na przyszły tydzień, przejrzeć grafiki pracowników i - nie zapomnijmy - zająć się klientami, którzy właśnie czekają, żeby ich obsłużyć.

- Waverly! - krzyczy ktoś za moimi plecami, wyrывая mnie z zamyślenia. To Javier, jeden z pomywaczy.
- *No agua caliente!*

Nie ma ciepłej wody.

Jezuuu. Świetnie.

- Nie ma *agua*? Okej.

Cholera.

Wpycham szmatkę z powrotem do kieszeni.

- Zaraz przyjdę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy jeszcze byłam nauczycielką, niedzielne popołudnia przeznaczałam na poprawianie prac uczniów. Często osładzałam sobie to zajęcie, zabierając je do Dublinera, irlandzkiego pubu na Wzgórzu Kapitolińskim, gdzie wystawiałam oceny, słuchając zirytowanych okrzyków kibiców oglądających grę Redskinsów na ekranie telewizora stojącego w kącie.

Pewnej niedzieli w trzecim roku mojej kariery nauczycielskiej uświadomiłam sobie, że choć z łatwością usuwam ze świadomości odgłosy meczu z telewizora, to nie potrafię się uporać z rytmem wystukiwanym przez kogoś kostkami palców na dębowej ladzie. Starałam się go ignorować, koncentrując się na wypracowaniach i kanapce z peklowaną wołowiną, ale miałam wrażenie, że dźwięk jest coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. Myślałam, że zwariuję, przede wszystkim dlatego, że nie potrafiłam odgadnąć, co to jest. „*Honky Tonk Woman*”? *Nie, zaraz...* „*Copacabana*”? Tak mnie pochłonęły te rozmyślenia, że nie od razu zauważyłam, kiedy facet przestał. Spojrzałam w tamtą stronę i nasze oczy się spotkały. Odwrócił dłonie wnętrzem do góry i wzruszył z zawstydzeniem ramionami.

- „*Looking Out My Back Door*” - powiedział głośno.

Zmarszczyłam brwi.

- Piosenka. - Wystukał kilka taktów na barowej ladzie. - „Looking Out My Back Door”. CCR, Credence Clearwater Revival?

- A, racja - odparłam, zastanawiając się, skąd wie, że mnie to interesowało.

- Kiwałaś głową do rytmu - wyjaśnił, zanim zdążyłam spytać. - Znasz tę piosenkę, prawda? - Zaczął śpiewać: - Doo, doo, doo, looking out my... - zawiesił głos.

Tego popołudnia w pubie było pusto. Oprócz nas siedziała tam jeszcze tylko para w średnim wieku ubrana w tweedy, która pilnie studiowała przewodnik po naszym mieście.

Mężczyzna wstał i podszedł do mnie. Przyciągnął sobie stołek, po czym przerzucił przez niego nogę, jakby wsiadał na konia. Pochylił się do przodu, opierając na ladzie barowej, przy czym w jednej ręce trzymał swoje piwo.

- Przepraszam za tamto. - Uśmiechnął się.

Miał miły uśmiech. Kręcone włosy, którym przydałoby się strzyżenie. Lekki rudawy zarost. Wyglądał trochę niechlujnie, jakby miał za sobą ciężką noc, ale w sumie robiło to dobre wrażenie. Większość mężczyzn w Waszyngtonie jest tak nieznośnie schludna.

- Czy mogę ci postawić drinka jako rekompensatę za przeszkadzanie w pracy? - Wskazał na wypracowanie, które czytałam.

- Hmmm. - Spojrzałam na szklanekę, która była jeszcze w trzech czwartych pełna.

- To zapłacę za twój lunch. - Wskazał na mój talerz.

- Och, nie musisz. - Powinnam bardziej się postarać, żeby go spławić, do siódmej musiałam ocenić stertę prac wysoką na kilka ładnych centymetrów, ale uświadomiłam sobie, że ta rozmowa sprawia mi przyjemność.

- Wiem, ale nalegam - odparł i wypił łyk gęstego, ciemnego piwa. Kiedy odsunął szklankę od ust, na krótkim zaroście nad ustami zostały mu wąsy z piany. - Więc nad czym pracujesz? - Wskazał na moje papiery.

- Sprawdzam wypracowania. Uczę angielskiego w liceum. - Obciągnęłam znoszoną koszulkę z długimi rękawami wygrzebaną z dna szafy i pożałowałam, co często mi się zdarzało, że bardziej nie przypominam Kate lub Amy. Innymi słowy, że nie oglądałam się w lustrze przed wyjściem z domu.

W moim arsenale kosmetyków mam pomadkę ochronną Chap Stick (w czarnej oprawce) oraz tusz do rzęs, którego używam na specjalne okazje. Nigdy nie byłam w salonie fryzjerskim wymagającym zapisu na określony termin. Nie mam suszarki do włosów. Teraz schowałam stopy pod stołek, żeby ukryć zabłocone buty do biegania.

- Acha - odparł. - Czyli Stephen Barton jest miłośnikiem peklowanej wołowiny?

- Co? - Nie miałam pojęcia, skąd zna nazwisko mojego ucznia z drugiej klasy, dopóki nie spojrzałam w dół. Sos z kanapki kapał prosto na wypracowanie o *Pożegnaniu z bronią* tego biednego dzieciaka. - O cholera! - Sięgnęłam po serwetkę, którą miałam na

kolanach, żeby zetrzeć brązowe plamy, ale przy okazji trąciłam piwo, tak że fala guinnessa popłynęła po starannie zapisanej kartce. Rzuciłam się, żeby złapać prace pozostałych uczniów, i w ostatniej chwili udało mi się uratować przed zalaniem zadania domowe trzech klas.

Spojrzałam na faceta i nie mogłam się powstrzymać od śmiechu:

- Wygląda na to, że Stephen dostanie bardzo dobry.

Też się roześmiał. Miał szczery śmiech i łatwo było się domyślić, że często nim wybucha. Przygłodziłam włosy, żałując, że dziś rano ich nie umyłam.

- To jak masz na imię? - spytałam, wyciągając rękę. Nie mam zwyczaju zawierać w barach znajomości z obcymi facetami, ale ten wydawał się nieszkodliwy.

- Larry - odparł. Miał mocny uścisk dłoni, co według mojego ojca dobrze świadczy o mężczyźnie.

- A ty?

- Waverly.

- Fajne imię - stwierdził.

- Dzięki. Brytyjskie. Moja mama była anglofilką.

Rozmawialiśmy swobodnie i nie mogliśmy przestać. Na dworze było coraz ciemniej, potem zaczęło padać i ani się spostrzegłam, jak wymieniliśmy się numerami telefonów, a on płacił taksówkarzowi, żeby mnie zawiózł bezpiecznie do domu.

W ciągu następnych tygodni szybko się zaprzyjaźniliśmy. Po lekcjach jechałam metrem do muzeum, gdzie czekała mnie wycieczka pod hasłem „Bliżej historii amerykańskiej z Larrym Tackettem”. Te przeżyte wspomnienia nadal są żywe w mojej pamięci,

ale muszę przyznać, że bardziej mnie pasjonowały eksponaty związane z popkulturą - fotel Archiego Bunkera czy sztuczny biust, który Dustin Hoffman nosił w *Tootsie* - niż polityczne starocie, które Larry tak uwielbiał. W weekendy wędrowaliśmy wśród straganów farmerów na Eastern Market, gdzie ja z kolei pokazywałam mu, jak wygląda brokuł chiński *ijicama*. Słuchaliśmy też prawie nieznanymi zespołów w 9:30 Club, gdzie Larry szczegółowo zaznajomił mnie ze szwedzkim rockiem garażowym, choć nie powiem, żeby mi zależało na tej wiedzy. Spędziliśmy też jeszcze wiele wieczorów nad piwem w Dublinerze. Po trzech tygodniach, kiedy staliśmy na chodniku przy barze, w końcu mnie pocałował.

Pewnej niedzieli zabrałam go do Maple Hill, żeby przedstawić go babci. Usiadł w pokoju, gdzie teraz mamy salon, na małym, obitym chintzem krzesiełku i wyglądał jak słoń. Siedział tak i opowiadał jej o swojej rodzinie w Minnesocie. Sama wielu z tych rzeczy jeszcze nie słyszałam. Sześcioro sióstr i braci, wszyscy starsi, siedemnaścioro siostrzeńców i bratanków, rodzice prowadzący sklep z artykułami metalowymi, pozostający w ich rodzinie od trzech pokoleń. Pomiędzy pulchnymi policzkami babci pojawił się uśmiech, jak nóż przecinający chleb. Jej wzrok powędrował w moją stronę. Tego dnia się w nim zakochałam.

Umarła w następnym roku. Ciężko przeżyłam jej odejście, ale ona była gotowa. Tak mi przynajmniej powiedziała. Miała bogate i trudne życie - podczas II wojny światowej musiała wyjechać z Warszawy

z moim dziadkiem, któremu groziło śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony faszystów. Był wprawdzie katolikiem, ale wykształconym - profesorem, toteż uważali go za zagrożenie. Potem była świadkiem jego długiej, przegranej walki z rozedmą płuc. Następnie przeżyła śmierć mojej mamy, jej jedyne dziecko. Chciała, żebym się przeprowadziła do jej domu, który odtąd będzie moim. Pochwalała też pomysł, żeby Larry zamieszkał tu ze mną. Więc tak się stało. Miałam dwadzieścia sześć lat.

Kiedy babcia zmarła, zostałam prawdziwą sierotą, bez żadnych krewnych. Larry z kolei miał rodzinę, która spokojnie mogłaby wypełnić salę kinową. Teraz stał się moją rodziną. Początki naszego wspólnego zamieszkania to jedne z moich ulubionych wspomnień. Wracałam ze szkoły po południu, gotowałam coś pysznego na obiad, po czym urządzaliśmy sobie długie, dekadencjonalne randki, siedząc do późna na stołkach przy kuchennej wyspie, pomimo że następnego dnia szliśmy do pracy. Rano brałam prysznic, a Larry w tym czasie przynosił mi na górę kawę. W soboty słuchaliśmy głośno muzyki i urządzaliśmy sobie grill na podwórku. Bawiliśmy się w dom.

Żałuję, że bardziej nie doceniałam tych chwil, dopóki trwały. Teraz wychodzę zbyt wcześnie, żeby mógł mi zrobić kawę, a wieczorami oboje pracujemy do późna.

W tym roku mija nasza dziesiąta rocznica, a mówienie o nim w codziennych rozmowach jako o moim „chłopaku” stało się trochę niezręczne. Jest to jedna

z tych rzeczy, z których w moim wieku powinno się już wyrosnąć, takich jak mówienie „odlotowy” (co nadal robię) czy kupowanie w młodzieżowym Old Navy (co również robię). Opanowałam do perfekcji sztukę radzenia sobie z pytaniem „To kiedy w końcu zamierzacie się pobrać?” za pomocą wzruszenia ramion i słabego dowcipu, że szkoda na mnie marnować obrączkę, skoro i tak codziennie będzie obklejona ciastem. Niemniej jednak mam trzydzieści pięć lat i chociaż usilnie staram się tego nie robić, bezwiednie kieruję wzrok na palce serdeczne moich klientów płacących za kawę i nie mogę się powstrzymać od gapienia się na młode mamy z końskimi ogonami, borykające się z torbami pieluch, kiedy wpadają po odwiezieniu dzieci do żłobka, i chciałabym - ale tylko odrobinę - być na ich miejscu.

To dlaczego nie jestem? Dobre pytanie. Larry jest moim najlepszym przyjacielem. Jedno kończy zdanie zaczęte przez drugie, wspieramy się nawzajem w ciężkich chwilach i robimy wszystko, co należy - sądząc po komediach romantycznych - żeby związek był udany. Czasem rozmawiamy o jego sformalizowaniu, ale kończy się to zawsze zmianą tematu z mojej strony, niekiedy po podsumowaniu: „Po co mieszać, skoro dobrze jest tak, jak jest?”. Natomiast Larry, chociaż cała szóstka jego braci i sióstr zawarła małżeństwa, a jego mama chciałaby, żeby poszedł za ich przykładem, nie jest zdecydowany. Mówi, że jeśli ja tego chcę, to on też, ale nie uważa, żebyśmy potrzebowali papierka z urzędu stanu cywilnego Wirginii do budowania wspólnego

życia. I w tym rzecz - *my już* zbudowaliśmy wspólne życie, i to udane. Ale czy jest idealne? Czy to jest naprawdę *to*, przez duże „t”? I czy nie powinnam znać odpowiedzi, skoro zarówno Kate, jak i Amy wiedziały, że to jest Ten w krótkim czasie po poznaniu Brendana i Mike'a?

Nie mogę dłużej się oszukiwać, że jesteśmy po prostu świetną, nowoczesną parą, która nie potrzebuje tradycyjnych zasad, żeby się w pełni zaangażować. Najgorsze, że to ja nas hamuję. Ale gdybym powiedziała Larryemu, że chcę wziąć ślub, musiałabym się zapewne przyznać do ogromu swoich problemów finansowych, a trudno przewidzieć, jakby zareagował na to, że mam przed nim tajemnice - po raz pierwszy w naszym tak długim, tak uczciwym i tak otwartym związku.

Przypuszczam, że gdybym poszła do terapeuty, dowiedziałabym się, że boję się zaangażowania lub że z powodu utraty rodziców nie chcę Larryego zbyt mocno pokochać, bo jego też mogę stracić. I dlatego nie chodzę do terapeuty. Nie mam ochoty płacić komuś, żeby mi powiedział to, co sama już wiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W niedzielę rano spotykam się z Amy w parku Fort Hunt na joggingu. Postanowiłam nie poruszać tematu zachowania Mike'a podczas piątkowego wieczoru. Nie mam na to ochoty. Wczorajszy brak gorącej wody w piekarni to był dopiero początek lawiny. W następnej kolejności jeden z pracowników tak mocno skaleczył się w palec, krojąc pomidory, że musiał wyjść, żeby mu założyli szwy. Matka panny młodej, ta od cytrynowo-kokosowych babeczek na wieczór paniński, wściekła się, kiedy przywiozłam ciastka, i oświadczyła, że chciała same cytrynowe, bez kokosu - i to mimo że mam dowód na złożone przez nią zamówienie w postaci e-maila. Potem, kiedy już chciałam zamykać, malec ostatniej klientki zwymiotował na podłogę tuż przed kasą. Najwyraźniej stało się to już regułą w mojej działalności, że ostatni klient wymaga najwięcej zachodu. W każdym razie po przyjeździe na parking i ustawieniu samochodu obok minivana Amy jestem nadal na tyle wyczerpana poprzednim dniem, że nie mam zamiaru zajmować się kwestią Mike'a. Liczę, że Amy jak zwykle weźmie na siebie całe gadanie podczas naszego biegania. Ja muszę się wyłączyć.

Kiedy dochodzę do trasy, gdzie zazwyczaj biegamy, akurat się rozciąga i podśpiewuje pod nosem.

- Hej! - Uśmiecha się na mój widok. - Nie uwierzysz, jaką piosenkę słyszałam w radiu, kiedy tujechałam!

- Jaką?

- Mogę ci trochę podpowiedzieć: „I'm the king of the world” - zawodzi.

- O, ludzie! Lepiej mi nie przypominaj.

Kiedy jeszcze mieszkaliśmy w wynajętych mieszkaniach, sąsiedzi nad nami niezmordowanie słuchali piosenki Celine Dion „My Heart Will Go On” z *Titanica*. Miałyśmy wówczas po dwadzieścia dwa lata, więc bardzo dojrzałe im się odwdzięczałyśmy, puszczać na cały regulator najbardziej denerwujące utwory, które nam przyszły ma myśl, takie jak „Macarena” czy „Cotton-Eyed Joe”.

- Gotowa? - pyta Amy, podskakując w miejscu, żeby nie zmarnować rozgrzewki. A może dlatego, że ma charakter, który ją skłania do spontanicznych podskoków.

Kiwam głową i zaczynamy truchtać obok siebie. Kiedyś byliśmy naprawdę zapalonymi biegaczkami i w weekendy zdarzało nam się brać udział w wyścigach ulicznych, a dwa razy nawet biegłyśmy w Maratonie Piechoty Morskiej, ale teraz nasz jogging służy głównie pogawędkom.

- I co tam w pracy? - rzuca Amy.

- Och, lepiej nie pytaj - odpowiadam i czuję, jak mroźne powietrze szczypie mnie w głębi gardła. Jest o wiele zimniej, niż myślałam.

- O, nie! - Amy zatrzymuje się w połowie kroku. Zawsze bardzo przesadnie reaguje na choćby cień

problemu. Tyle że najwyraźniej nie obejmuje to jej męża.

- Nie, nie, to nic takiego - uspokajam ją. - Po prostu jeden z tych dni.

Wleczemy się dalej i stopniowo bieg zaczyna mi sprawiać przyjemność. Amy opowiada, że jej siostra w Karolinie Północnej remontuje dom. Starsze siostry Amy są supermamusiami z Południa. Ilekroć o nich słyszę, opowieści dotyczą albo ciąży (nie pamiętam, ile każda z nich ma dzieci, ale zawsze któraś jest właśnie przed rozwiązaniem), albo planowania kolejnego wydarzenia towarzyskiego dla Junior League, stowarzyszenia studenckiego czy parafii.

Nie przysłuchuję się zbyt uważnie, bo mój umysł jest zbyt wykończony, ale i tak zwracam uwagę, że opiswany remont - oszklona weranda, pokój kredensowy - to coś więcej niż zwykłe odnowienie kilku pomieszczeń.

- To czym zajmuje się mąż Celi, że stać ich na to wszystko? - pytam.

- Och - odpowiada Amy - coś związanym z finansami. Chyba jest jakimś księgowym. Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie. Ale Celia i Todd to najbardziej oszczędne osoby, jakie znam. Przypominają tych ludzi, którzy myją i ponownie wykorzystują woreczki z zamknięciem strunowym. Pewnie mają całe torby gotówki zakopane w ogródku.

- A ile mają teraz dzieci?

- Czterech chłopców! A piąte w drodze! - zachwyca się Amy. - Jestem *taaaka* podekscytowana. Siostra

tym razem w końcu uległa i zgodziła się sprawdzić płeć. Będzie dziewczynka! Nazywam ją maleńka Amy!
- Śmieje się z własnego dowcipu, ale mnie nadal bardziej interesują kwestie finansowe.

- On musi się zajmować niezwykle ważną księgowością, skoro stać ich na to, żeby ona siedziała w domu z piątką dzieci, i jeszcze na remont.

- Zapewne.

Zwiążłość tej odpowiedzi świadczy, że dalej już nie mogę się posunąć w swoim wścibstwie. A mnie po prostu dobija, kiedy słucham o ludziach prowadzących życie wymagające bez porównania większych funduszy niż moje (pięcioro dzieci z jednej pensji?), którzy zdobywają takie kwoty bez najmniejszego problemu. Poza tym poznałam Celię. Bardzo przypomina Amy - te same gęste, ufarbowane na mahoniowo włosy, ta sama upstrzona licznymi piegami cera, ale ma całkowicie inny styl. Niezwykle zadbana, zawsze z nienagannym manikiurem i modną torebką w dłoni, wygląda na kobietę, która nie ma problemu z wydawaniem pieniędzy, niezależnie od tego, co Amy mówi o jej zwyczaju mycia woreczków. Tymczasem ja troszczę się tylko o siebie i mieszkam w odziedziczonym domu, za który nie muszę spłacać hipoteki, a mimo to w tym momencie życia nie stać mnie nawet na kupno bluzki na wyprzedazy w Target. Wszystko to sprawia, że czuję się nieudacznikiem.

- Cieszysz się na naszą wycieczkę do Palm Beach?

- pyta Amy.

Oczywiście to nie jej wina, ale to pytanie jeszcze bardziej mnie dobija. Od dziewięciu lat Amy, Kate

i ja spędzamy jeden weekend lutego w Palm Beach w domu rodziców Kate. Na pierwszą taką wspólną wycieczkę pojechaliśmy tam z okazji jej dwudziestych szóstych urodzin i wówczas przegoniła nas po całym mieście. Zabrała nas do International Polo Club, gdzie gapiłyśmy się na nieprawdopodobnie przystojnych argentyńskich graczy jak kobiety jaskiniowe, które zostały przeniesione do naszych czasów i po raz pierwszy ujrzały współczesnego mężczyznę. Przeszliśmy się też po butikach na Worth Avenue, gdzie Amy i ja lądowałyśmy na fotelikach przed przymierzalniami, podczas gdy Kate mierzyła ubrania w cenach, za które większość z nas mogłaby kupić nowy samochód. Jednak w miarę jak przybywało nam lat i - szczerze mówiąc - robiłyśmy się coraz bardziej leniwe, wypracowałyśmy sobie dla naszych wycieczek luksusowo próżniaczy rytuał - spędzałyśmy cały dzień na popijaniu nieprzyzwoitych ilości margarity nad basenem lub drzemaniu na otaczających go szezlongach, a przebierałyśmy się z kostiumów kąpielowych w normalne ciuchy tylko wówczas, gdy kończyło się zaopatrzenie w domu. Wyjazd jest w następny weekend.

Doskonale wiem, że w tej chwili zostawienie wszystkiego i wypad na Florydę jest równie rozsądny, jak kupienie sobie diamentowego naszyjnika, ale ubiegłej jesieni Kate nabyła nam wszystkim bilety, nonszalancko twierdząc, że to wcześniejszy prezent bożonarodzeniowy, a poza tym i tak zapłaciła za nie z uzbieranych mil, więc nie mamy robić problemu. Już wówczas jej powiedziałam, że w tym roku powinnam

zrezygnować z wycieczki, bo dla mnie to wyjątkowo zły moment na branie wolnego. Ale wówczas spojrzała na mnie, jakbym zwariowała. „Ty nie możesz zostawić firmy? A myślisz, że *ja* naprawdę mogę wyjechać w trakcie kampanii? Ale to nasza tradycja. Musisz jechać”. Nasunęły mi się setki argumentów, żeby z nią dalej dyskutować, lecz zachowałam je dla siebie, bo w dużej mierze się z nią zgadzałam - to rzeczywiście była tradycja. Amy nie opuściła naszej wycieczki nawet w tym roku, kiedy urodziła Emmę. A poza tym kilka dni z dala od problemów może mi pomóc spojrzeć na wszystko z innej perspektywy.

Skrećamy w górę, a Amy, która nawet na najtrudniejszych odcinkach nie ma problemu z mówieniem, opowiada mi teraz, jak się martwi rozłąką z Emmą.

- Chociaż Mike jest tak dobrym tatą, że z pewnością wszystko będzie w porządku - dodaje.

Gryzę się w język.

- Wiesz, Wave, przedwczoraj, jak wróciliśmy do domu, to było takie słodkie. Emma jeszcze nie spała - opiekunka powiedziała, że nie mogła zasnąć - więc Mike poszedł do jej pokoju i czytał jej przez ponad godzinę. Zaniósł jej ciepłe mleko i wszystko. Naprawdę, on kocha to dziecko bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

- Więc doszedł do siebie po piątkowej rozmowie?
- nie wytrzymuję.

- Słucham? - Wyciąga chusteczkę zza paska spodni do biegania i wydmuchuje nos, nie przestając biec.

- No, przedwczoraj był trochę... zdenerwowany - mówię, żałując, że muszę być tak dyplomatyczna.

Po prostu to powiedz, Waverly - myślę. Zachowywał się jak palant. Obraził moich gości. Jestem na ciebie wściekła, że nie chcesz tego przyznać. Nie wierzę, że nie dostrzegasz tego, co widzą wszyscy, którzy mają z nim do czynienia.

- Och, wiesz, jaki bywa Mike, kiedy się z czymś nie zgadza - odpowiada niedbale i ponownie wydmuchuje nos.

Coś takiego! Czy ona naprawdę myśli, że ja to wezmę za dobrą monetę?

- Nie mogę się już doczekać, kiedy poczuję słońce Florydy. - Amy zmienia temat. - Ale będzie miło uciec przed tutejszą pogodą.

Zanim się spostrzegłam, już mówi o plaży, nowym kostiumie kąpielowym, który zamówiła przez Internet, i emulsji z filtrem przeciwsłonecznym, którą musi kupić. Nie mam już możliwości powrotu do tematu Mike'a. Spoglądam na zegarek. Biegniemy dopiero od dziesięciu minut, a mam wrażenie, jakby minęła cała godzina. Jestem zbyt zmęczona, by biegać, zbyt zmęczona, by słuchać paplaniny Amy, i zbyt zmęczona, by myśleć. Wlepiam wzrok w horyzont i prę naprzód. Mam wrażenie, że nie dam rady.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miałam siedemnaście lat, kiedy po raz pierwszy przyjechałam do domu w Palm Beach, żeby spędzić Wielkanoc z rodziną Kate. Nie oznacza to jednak, że naprawdę spędzałyśmy czas z jej rodzicami. W rzeczywistości przez całe święta tylko raz przebywałyśmy z nimi w tym samym pomieszczeniu, a było to podczas uroczystego niedzielnego śniadania, które matka Kate wydała dla sześćdziesięciu najznamienitszych osób ze śmietanki towarzyskiej Palm Beach. Od tamtej pory przyjeżdżam do tego domu niemal co roku, ale za każdym razem jestem oszołomiona jego luksusem. Nie przypomina rozłożystego, wzorowanego na farmie domu Kate i Brendana w Maple Hill utrzymanego w kosztownie rustykalnym stylu - a la Ralph Lauren czy domy w Kennebunkport. Jest to raczej siedziba wykończona z bizantyjskim przepychem, rozciągająca się wzdłuż brzegu jak kot przeciągający się w płomie słońca. Nazywanie jej domem na plaży jest ogromnym niedopowiedzeniem, ale Kate, jak każdy dobry potomek bogatej rodziny ze „starymi” pieniędzmi, została wychowana tak, by pomniejszać swoje atrybuty sukcesu. Zabytkowy pięciokaratowy pierścionek zaręczynowy określiła jako „taki tam starość po babci Brendana”, Gauguin w holu to „taki drobiazg, w którym matka

zakochała się na wakacjach", a dom na plaży zajmujący niemal dwa tysiące metrów kwadratowych to „nasze miejsce na wypad wakacyjny”.

Nie, to nie jest zwykły dom na plaży, myślę po raz kolejny, leżąc na brzuchu na leżance ustawionej na dziedzińcu i przyglądając się, jak okalające go hibiskusy poruszają się miękko w popołudniowej bryzie. To miejsce zasługuje na bardziej wzniosłą nazwę. „Posiadłość”. Albo „rezydencja”, oczywiście. Nie, raczej „domostwo”, myślę i powtarzam sobie to słowo: „domostwo, domostwo”. Z każdym powtórzeniem brzmi to dziwniej.

Obracam się na plecy i pociągam kolejny łyk drugiej tego dnia margarity. Kate jest zatopiona w lekturze najnowszego numeru „Vanity Fair”. Amy przegląda książkę, którą kupiła sobie na lotnisku, od niechcienia przerzucając kartki. Spogląda na mnie i upuszczają na hiszpańskie płytki.

- Nie mogę się skupić - wyjaśnia, bawiąc się paskiem swojego tankini w krateczkę. - Mam taką straszną ochotę zadzwonić do domu i sprawdzić, co z Emmą.

- Więc to zrób - radzę. Obracam się na bok i opieram na łokciu. - Ja zadzwoniłam do cukierni, zanim jeszcze odebrałyśmy bagaże. A ona... - wskazuję brodą Kate - jej telefon dzwoni tak często, jakby prowadziła agencję towarzyską.

- Słyszałam - mruczy Kate, przewracając kartkę. Amy bierze telefon i wpatruje się w ekran.

- Która godzina? - pytam.

Naciskam palcami skórę na udach, żeby sprawdzić, czy naprawdę opaliłam się tak, jak mi się wydaje. Pokazują się białe plamy.

- Wpół do piątej. - Amy opada z powrotem na leżankę i wpatruje się w bezchmurne niebo. - Mike mówił, że zabierze Emmę do miasta do zoo, jeśli nie będzie zbyt zimno. A jeśli będzie, to do muzeum dziecięcego. - Wzdycha. - Nie wiem, dlaczego w tym roku tak mi bez niej ciężko. Przecież już wyjeżdżałam. - Spogląda na mnie i przygryza nerwowo wargę. - W każdym razie jestem pewna, że nic złego się nie dzieje. Emma jest jego oczkiem w głowie. Sądzę, że bardziej na nią uważa niż ja. Mogę szczerze powiedzieć, że Mike Rutherford jest dobrym ojcem.

Słyszę za sobą fuknięcie Kate. Po raz pierwszy od tamtego obiadu pada jego imię.

- Nie będę dzwonić - oświadcza Amy. - Zaczekam do wieczora, aż położy ją do łóżka. Tak będzie lepiej, bo nie będę im przeszkadzać w tym, co robią. - Znów na mnie spogląda i uśmiecha się przeproszająco.

Widzę swoje odbicie w jej okularach przeciwsłonecznych. *Fuj, właścicielka piekarni w kostiumie kąpielowym* - myślę. Ruchem głowy odrzuca włosy z twarzy i poprawia okulary.

- Przepraszam - mówi. - Teraz już się zamknę.

Dobrze by było. Normalnie chętnie słucham jej niekończących się opowieści o Emmie, ale teraz się zachowuje tak, jakby to była jej pierwsza rozłąka z dzieckiem. Przecież mała jest z ojcem, u licha. A poza tym, to tylko trzy dni.

Odkłada telefon na niski szklany stolik stojący między nami i przesuwa go w moją stronę, jakby to miało osłabić pokusę zadzwonienia.

- Chodź ze mną popływać - proponuje.

Przewracam się z powrotem na brzuch, zahaczając palcem o brzeg mojego wysłużonego czarnego bikini, żeby obciągnąć je na pupie.

- Jestem zbyt zmęczona. - Zerkam na nią z dołu.
- Poproś Kate.

- O co ma mnie poprosić? - pyta Kate. Odkłada czasopismo i patrzy na nas ponad górną krawędzią ogromnych okularów przeciwsłonecznych.

- Wejdiesz ze mną do wody?

Kate wzrusza ramionami.

- Czemu nie? - Odrzuca na bok magazyn, zdejmując słomiany kapelusz z szerokim rondem i układa go pieczołowicie na leżaku, jakby to było jedno z jajek Faberge, które dekorator jej matki umieścił na półce w łazience.

Patrzę, jak na tle idealnie lazurowego nieba ześlizgują się po wyłożonych kafelkami stopniach i wchodzą do wody. Mogłyby brać udział w reklamie nadmorskiego kurortu - Kate, w białym bikini, promowałaby uroki bajecznej wysepki dla wybranych, a Amy, z wysoko związanym końskim ogonem, ośrodka oferującego rodzinom z dziećmi konkursy na zamki z piasku i inne tego rodzaju atrakcje. Po zanurzeniu się do pasa zaczynają się przechadzać, przeczesując palcami wodę, żeby się przyzwyczać do jej temperatury.

Zamykam oczy i usiłuję odpoczywać. Tak bym chciała móc się odprężyć i na tych kilka dni zapomnieć

o rzeczywistości, ale trudno mi się wyzbyć ponurych myśli, skoro jedyna wiadomość w poczcie głosowej czekająca na mnie po wylądowaniu pochodziła od mojego księgowego. W rezultacie, kiedy Amy i Kate szybko się pozbywały płaszczy i wystawiały twarze do słońca, ja słuchałam ponurego głosu twierdzącego, że muszę na pewien czas zrezygnować z pensji.

I kto by pomyślał, że praca nauczycielki w publicznym liceum zapewni mi luksusy w porównaniu z dochodami z mojego wymarzonego zajęcia. Byłam dobrą nauczycielką - może nie na tyle, żebym została nauczycielem roku, ale zawsze w czerwcu znajdowałam na biurku kilka liścików od uczniów, którzy koniecznie chcieli mi powiedzieć, że moje zajęcia lubili najbardziej. Teraz od czasu do czasu wyjmuję te listy i czytam, żeby zachować świadomość, że moje dorosłe życie nie było całkowitą katastrofą. Przez chwilę bawię się myślą, czy dawny szef przyjąłby mnie z powrotem. Właściciel domu byłby zachwycony, mogąc wynająć pomieszczenia po mojej piekarni takim potentatom jak Panera czy Starbucks.

Kolejny raz się przewracam, bo jakoś nie mogę znaleźć wygodnej pozycji, i usiłuję się powstrzymać przed dalszym samobiczowaniem, przysłuchując się pogawędce Amy i Kate.

- Pewnie się cieszysz, że możesz przez kilka dni odpocząć od kampanii? - pyta Amy.

Kate poprawia włosy niedbale upięte na czubku głowy, a przy tym ruchu widać, jak napinają się mięśnie jej szczupłych ramion.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo - odpowiada odrobinę zbyt ostrym tonem. Wjej głosie pobrzmiwa lekko protekcyjnalna nuta, jakby była przekonana, że Amy absolutnie nie potrafi tego zrozumieć.

Czasem, kiedy je obserwuję, czuję się jak matka, która przygląda się zabawie swoich dzieci z nadzieją, że się nie pokłóca. Kate i Amy tak bardzo się różnią, że ich początkowa bliskość miała małe szanse na przetrwanie. Teraz tym bardziej mnie nie dziwi, że oddaliły się od siebie, skoro żyją w tak różnych światach. Zachwycająca żona Kate. Cudowna mamusia Amy. No i ja... spłukana, niezamężna i bezdzietna piekarka. Staram się wyrzucić tę myśl z głowy, zanim zdążę ją bardziej rozwinąć.

- Więc trudno być z dala od Emmy? - słyszę głos Kate.

Nawet w okularach słonecznych widzę, jak twarz Amy się rozjaśnia. Pytanie z pewnością ją zaskoczyło, tak samo jak mnie, bo Kate jest w równym stopniu zainteresowana cudzymi dziećmi co wycinaniem kuponów zniżkowych z gazet.

Obserwuję, jak Amy znów się podnieca, opowiadając od początku o swoim pragnieniu zadzwonienia do domu. Larry czasem mnie pyta, o czym one dwie rozmawiają, gdy się spotykamy. „Zazwyczaj o niczym szczególnym” - odpowiadam. Najczęściej nie poruszają spraw dotyczących ich życia, tylko wymieniają się ploteczkami na temat celebrytów, najświeższymi informacjami czy opiniami o ostatnio obejrzanych filmach. Kiedy Larry je poznał, ich bliższa przyjaźń właśnie

zaczynała wygasać, więc trudno mu było uwierzyć, że w ogóle mogły się przyjaźnić. Wielokrotnie mnie pytał, dlaczego właściwie nadal utrzymują ze sobą tak częste kontakty. „Bo mają wspólną przeszłość” - odpowiadam wówczas - „i ponieważ tego pilnuję”. Ciągle mam nadzieję, że kiedyś znów się do siebie zbliżą.

Rozdźwięk między nimi zapoczątkowały zaręczyny Amy. Kate nigdy nie kryła, że nie pochwała wyboru przyjaciółki. Twierdziła, że Mike nie jest dla niej dostatecznie dobry, ale myślę, że chodziło głównie o to, iż potrafił się przeciwstawić Kate znacznie bardziej stanowczo niż inni mężczyźni, a szczerze mówiąc - także kobiety. Kiedy znaleźli się w tym samym pomieszczeniu, Kate napinała się fizycznie i sygnalizowała swoje agresywne nastawienie jak kot straszący sierść na grzbiecie. Sytuację jeszcze pogarszały opowieści Amy o tym, jaki to Mike jest cudowny i jak szczęśliwa czeka ich przyszłość.

Po wieczorze panieńskim Amy utwierdziłam się w podejrzeniu, że Kate może być po prostu zazdrosna o czekające przyjaciółkę stabilne życie rodzinne, którego ona sama nie doświadczyła. Byłyśmy w Nowym Orleanie, dochodziła piąta rano, a my właśnie wróciłyśmy z wyprawy po barach i wpakowałyśmy się do ogromnego wspólnego łóżka w hotelu. I wtedy to sobie uświadomiłam.

- Wave, czy tego właśnie pragniesz? - wymamrotała, obrócona do mnie plecami.

- Czego?

- Czy chcesz mieć takie życie, jakie Amy wkrótce będzie miała z nim?

- Chodzi ci o to, czy chcę wyjść za mąż i mieć dzieci?

Podczas naszego wieczoru w Dzielnicy Francuskiej Amy w pewnej chwili powiedziała całej grupie, w większości składającej się z jej koleżanek z bractwa studenckiego na UNC, że mają nadzieję od razu zacząć się starać o dziecko.

- No tak, ustatkować się. Być taka... taka... - Westchnęła. - Taka *zwyczajna*.

Pobyty w domu rodziców Kate zdążyły mnie nauczyć, że przymiotnik *zwyczajny* służy matce Kate głównie do wyrażania krytyki.

- Czyja wiem... - odpowiedziałam szczerze. Umawiałam się z Larrym dopiero od niedawna. Równie trudno było mi sobie wyobrazić małżeństwo, jak zostanie jedną z tancerek w Vegas.

- Bo mnie się wydaje - westchnęła Kate - że Amy umrze z nudów, zanim dociągnie do trzydziestki. Fatalnie. Jest o wiele zabawniejsza bez niego.

Przez chwilę rozważałam, żeby zapytać ją wprost, czy nie przemawia przez nią zazdrość. Wiedziałam, że takie pytanie pobudzi ją do mówienia - Kate Berkshire nikomu nie zazdrości - tym bardziej, że był to jeden z nielicznych okresów, kiedy z nikim się nie umawiała. Zanim jednak zebrałam się na odwagę, usłyszałam jej ciche pochrapywanie.

Ostłaniam dłońią oczy przed słońcem i przyglądam się przyjaciółkom. Na tle zlewających się ze sobą kolorów nieba i wody wyglądają, jakby unosiły się w powietrzu. Amy nadal mówi - jak to w dzisiejszych

czasach dostanie się do dobrego przedszkola wymaga przejścia procesu podobnego do rekrutacji na studia. Kate skubie paznokcie, wyraźnie nieobecna myślami. Kiedy napotyka mój wzrok, mówi bezgłośnie: „Możesz wziąć mój telefon?”.

Przewracam oczami i wstaję po niego.

Później tego samego wieczoru siedzimy na patio obok kuchni na szeszlonych obitych elegancką tkaniną, która w dotyku przypomina najlepsze połączenie kaszmiru ze starym, miłym podkoszulkiem bawełnianym. Amy i ja nadal jesteśmy w strojach kąpielowych. Na stojącym między nami stoliku leżą resztki obiadu - frytek, sosu i pieczonego kurczaka, po który podskoczyłam do supermarketu.

- Przypomnijcie mi, dlaczego przyjeżdżamy tu tylko raz do roku - proszę, spoglądając na ocean widoczny za ogrodzeniem z terakoty i napawając się pięknem odbicia księżyca w wodzie.

Atlantyk migocze, jakby go posypano milionami diamentów. Powietrze jest czyste i słodkie, tak że masz wrażenie, jakbyś wdychając je, przedłużała sobie życie o co najmniej dziesięć lat. W końcu zaczynam się rozluźniać, w czym z pewnością pomagają cztery margarity wypite od chwili przyjazdu i kieliszek szampana, który teraz opróżniam.

- Chętnie spędzałabym tu więcej czasu, ale stale pracuję - wyjaśnia Kate, przeciągając frytkę przez plastikowy pojemniczek z sosem cebulowym.

- Praca, praca, praca - powtarzam kpiąco i naciągam na kolana olbrzymią koszulkę Larry'ego z napisem

„Cherry Blossom 10K”, którą narzuciłam na kostium. Wszystkie jesteśmy już lekko wstawione, ale niezależnie od tego denerwuje mnie wysłuchiwanie narzekań osoby, która prowadzi tak szczęśliwe życie. Szczególnie po tym, jak wysłuchałam zaleceń księgowego na temat mojej pensji.

- Jezu, przepraszam - warczy. Pochyla się do przodu teatralnym ruchem i kryje twarz w dłoniach.

Patrzę na Amy i unoszę brwi. Wzrusza ramionami.

Kiedy krótko po ślubie Kate ogłosiła, że rzuca pracę w „Post” (trudno to nazwać inaczej niż ogłoszeniem, bo nigdy nawet nie wspomniała, że to rozważa), trudno mi było to pojąć. Zawsze uwielbiała to zajęcie, zresztą chyba niewiele jest osób, którym by nie odpowiadały wygody reportera działu turystycznego. Pisała o degustacjach win w Argentynie, długich weekendach w Nashville czy letnich wyprzedażach w Europie. Śmiałam się z niej, że zarabia na życie jeżdżeniem na wakacje, ale ona traktowała tę pracę poważnie, jak przypuszczam dlatego, że była to jedna z niewielu rzeczy, które zdobyła dzięki własnym zasługom. Oczywiście nazwisko pomogło jej dostać się do redakcji, ale potem ciężko pracowała, żeby udowodnić, że nie jest kolejną ślicznotką, która chce się czymś zająć pomiędzy obowiązkami towarzyskimi. I była dobra w tym, co robiła, skoro w ciągu dwóch lat trzykrotnie ją awansowano.

Doszła jednak do wniosku, że nie chce stale wyjeżdżać teraz, kiedy w jej życiu pojawił się Brendan. Ponieważ pracował do późna w swojej firmie prawniczej, chciała spędzać z nim czas, kiedy wracał do domu,

zamiast siedzieć sama w hotelu w innej strefie czasowej. Powiedziała, że będzie nadal pisać artykuły jako wolny strzelec, i trzeba jej przyznać, że kilka faktycznie się ukazało. Jednak stopniowo to zarzuciła i dopóki Brendan nie postanowił zająć się polityką, zapełniała sobie czas siłownią, wyjazdami do Middleburga, gdzie jeździła na koniach rodziców, i zabiegami w spa.

Matka próbowała ją wciągnąć w działalność społeczną dla którejś z organizacji, gdzie sama się udzielała, takich jak Amerykański Czerwony Krzyż, Friends of National Zoo, Smithsonian Institution czy Junior League of Washington. Wystarczyły jednak dwa czy trzy lunche z kobietami, które rozprawiwały o Inianych obrusach, jakby to była kwestia bezpieczeństwa narodowego, żeby Kate oświadczyła, że choć chętnie będzie wypisywać czeki na ważne cele, nie ma zamiaru przyjaźnić się z osobami, które starają się upodobnić do jej matki. Właśnie tego starała się zawsze unikać.

Przyznaję, że się ucieszyłam, kiedy Brendan ogłosił swoją kandydaturę. Przede wszystkim dlatego, że teraz Kate zyskała uzasadnienie, żeby się uskarżać, jaka jest zajęta i zestresowana. Wreszcie miała coś do roboty. Trudno o coś bardziej wkurzającego niż wyżalić się przyjaciółce na wyczerpujący dzień i widzieć, jak stara się wyrazić zrozumienie, opowiadając o okropnym przeżyciu, jakim było czekanie na wizytę u kosmetyczki. Zatem Kate zadzwoniła do ojca, ten wypisał czek i kampania ruszyła. Przez cały czas wspierała Brendana i pchała go w to obydwoma rękami - jak sądzę dlatego, że jej również dawało to cel w życiu.

- Posłuchajcie, wiem, że przez cały czas zrzęde na temat kampanii - mówi teraz, wpatrując się ze smutkiem w palce u stóp. - Ale nie rozumiecie tego. I nie chodzi o to, ile godzin na nią poświęcam, chociaż nie potraficie sobie tego wyobrazić. Nawet ty - kiwa w moją stronę głową - z twoimi straszными godzinami pracy.

Usiłuję sobie wyobrazić Kate obsługującą ekspres do kawy albo zmywającą posadzkę po gromadzie dzieciaków, które po szkole wpadły na przekąskę. Wystarczyłaby godzina robienia kanapek u boku niektórych z moich młodych pracowników, a uciekłaby z krzykiem z powrotem do katongi osobistych asystentów i prywatnych odrzutowców.

- I nie chodzi też o to, że przez cały czas muszę być w wersji „wyjściowej”. Jestem do tego przyzwyczajona. Robiłam to przez całe życie, przecież znacie moich rodziców - ciągnie Kate.

Kiwam potakująco głową. To niewątpliwie prawda.

- Albo radzić sobie z tymi wszystkimi idiotami z ekipy Brendana, którzy uważają się za ważniejszych ode mnie, bo ja jestem tylko „żoną”. - Robi w powietrzu mały znak cudzysłowu. - Nie do wiary. Część tych ludzi traktuje mnie, jakbym była pustogłową dziwką z wyższych sfer, której ambicje ograniczają się do urządzania domu gubernatora i noszenia pięknych sukni balowych. I to nawet młode kobiety, które powinny lepiej mnie rozumieć. Na początku kampanii próbowali mi się podlizywać. Nazywali mnie panią Berkshire zamiast Kate i stale się dopytywali, czy

nie jestem głodna, czy może przynieść mi kawę, czy mogą „coś, cokolwiek” dla mnie zrobić. Kiedy do nich dotarło, że nie przestrzegam kodeksu symbiotycznych waszyngtońskich relacji, przestali. Teraz dla odmiany są niezwykle rzeczowi i wymagający. „Pamiętaj, żebyś była punktualnie”. „Tu jest przemowa, którą musisz przeczytać”. „Chcemy, żebyś więcej się udzielała podczas różnych imprez - no wiesz, ścisłała więcej dłoni, była bardziej wśród ludzi”. Traktują mnie jak dziecko. Nawet Brendan tak się zachowuje. - Kate milknie. Stawia sobie na piersi kieliszek z winem i przechyla go w kierunku ust, żeby pociągnąć łyczek. - On jest po prostu... No, nie wiem.

Patrzę na nią i czekam, żeby powiedziała coś więcej. Przyjaźnimy się tyle lat, że byłam świadkiem wszystkich jej wcześniejszych związków - z królami balów maturalnych i gwiazdami lacrosse'a, z udręczonym artystą w czasie studiów w Brown, z kardiologiem, z którym umawiała się później, żeby udowodnić, że tamto ma za sobą, z tenisistą klasyfikowanym w rankingu krajowym, zbyt zaabsorbowanym sobą nawet jak dla niej. Kate rzucała każdego z nich z taką łatwością, jakby się pozbywała pustego kartonika po mleku. Nigdy nie opowiadała o konkretnych problemach w tych związkach - one po prostu się kończyły. Przy jej czarno-białym podejściu związek albo dobrze funkcjonował, albo nie, a małżeństwo z Brendanem *się sprawdzało*. Wprawdzie marudzi na jego temat przez cały dzień, ale jeśli chodzi o ujawnienie prawdziwych problemów, jest to równie prawdopodobne

jak to, że pójdzie do jakiegoś *talk-show* opowiadać o swoich hemoroidach.

- No, dobrze, powiem, o co chodzi - ustępuje i siada ponownie. Chwieje się, więc chwyta się mocno krawędzi swojego leżaka, jakby dryfowała na tratwie na oceanie. - Zawsze wiedziałam, że pójdziemy w tym kierunku. Nie jest to dla mnie żadne zaskoczenie. Już tego wieczoru, gdy go poznałam, powiedział, że zamierza się ubiegać o fotel gubernatora.

Pamiętam, jak Kate zadzwoniła wtedy do mnie z holu hotelu Willard. Siedzieliśmy z Larrym na kanapie, trzymałam stopy na jego kolanach. Popijaliśmy piwo i oglądaliśmy *Trzech amigos* z kablówki. Kate pojechała na rodzinny ślub, gdzie Brendan był drużbą. „Pozbywam się swojego weselnego partnera” - wyszeptwała do słuchawki. „W tym Brendanie jest *coś wyjątkowego*”. Jeśli zważyć, jak sprawy się potoczyły, było to prawdą, ale wówczas jej nie wierzyłam, bo Kate *zawsze* tak mówiła. I nic dziwnego, bo tym „czymś wyjątkowym”, co zauważała w facetach, było to, że się w niej zakochują w chwilę po tym, jak ją zobaczą.

Kate znów wypija łyk szampana, beka i ciągnie dalej:

- Powiedziałam Brendanowi, że popieram ten pomysł. Ba, nawet fantazjowałam na ten temat. *Gubernator Berkshire* z małżonką. - Kieruje palec w stronę otwartych ust, jakby chciała wywołać wymioty. - Tyle że nie zdawałam sobie sprawy... - Potrząsa głową. - Czasem mi się wydaje, że bym go nie rozpoznała, gdyby nie stał na mównicy.

- Idealna para - odzywa się Amy, do nikogo w szczególności.

Kiedy obracam się w jej kierunku, wpatruje się zamyślona w ocean. Przy jej charakterze można by się spodziewać, że kiedy się upije, będzie szaleć, a tymczasem alkohol raczej ją odpręża.

- Co? - pyta Kate.

- Och! - Amy odwraca się do niej. - Powiedziałam „idealna para”. Zawsze wydajecie się tacy perfekcyjni. Jak JFK i...

- Nie waż się dodawać Jackie - przerywa jej Kate.
- Ich małżeństwo trudno nazwać idealnym.

- Rozmawiałaś o tym z Brendanem? - Ruszam na pomoc Amy.

Kate spogląda na mnie, jakbym proponowała jej coś niesłychanego.

- I co niby miałabym powiedzieć? *Poświęćaj mi więcej uwagi?* - mówi sztucznie jęklwym tonem.

- Chciałabym po prostu, żebyśmy mogli częściej spędzać czas razem. Tak jak było kiedyś. On się zrobił taki jak mój ojciec, stale w pracy. - Krzywi się, jakby ugryzła coś zgniłego. - Jakoś... wyobrażałam to sobie inaczej... że w większym stopniu będziemy w tym wszystkim partnerami. A teraz się czuję, jakbym należała do jego płatnego personelu. Oczywiście, podczas tych różnych imprez wyborczych wychodzimy na scenę razem, trzymając się za ręce, jakbyśmy stanowili zespół. Ale tak naprawdę jestem w tym wszystkim podrzędnym graczem, a Brendan ledwo mnie zauważa. Cholera, nawet kiedy chcę z nim porozmawiać, muszę się przedrzeć

przez Stephanie. - Odchyła głowę, wzdycha i pociera bark. - Boże, ależ przydałby mi się masaż.

- A kim jest Stephanie? - pyta ostrożnie Amy.

- Jego asystentką z końską twarzą. Spędza z nią więcej czasu niż ze mną. Ostatnio porozumiewamy się ze sobą głównie przez nią albo za pomocą listów, które mi zostawia w domu w tych rzadkich chwilach, kiedy tam dociera. Nienawidzę tych pieprzonych wiadomości. Przypominają mi liściki zostawiane przez matkę, kiedy w okresie dorastania wracałam do domu ze szkoły. „Wróć do domu późno. Odrób zadania domowe. Zamów obiad”. Zupełnie jakby te suche instrukcje wypisane na jej osobistej papeterii mogły zastąpić prawdziwe wychowanie dziecka. - Wyciąga ze srebrnego wiaderka butelkę, stwierdza, że jest pusta, wzdycha i upuszczają na ziemię. Patrzę, jak toczy się po płytkach patio. - A teraz wyjeżdża z pomysłem, że chciałby mieć dzieci.

Nie wiem, czy się nie przesłyszałam.

- Co? - pytam zdumiona.

- Dzieci? - Amy aż zatyka.

Obie doskonale wiemy, że Kate zdecydowanie nie chce mieć dzieci.

- Nie mam pojęcia, jak ma do tego dojść, skoro prawie nie śpimy w jednym łóżku. Zamierza mi przysłać próbkę spermy przez swoją asystentkę?

- Zaraz, zaraz - wtrącam się. - Zaczekaj. Wyjaśnij nam to wszystko. Jakie dzieci? Wydawało mi się, że Brendan tak samo jak ty nie chciał mieć dzieci.

- Tak mówił. - Kate zakłada sobie włosy za uszy i spogląda w niebo. - Teraz już sama nie wiem. Zaczął

o tym wspominać mniej więcej rok temu. Wtedy kampania naprawdę ruszyła. - Unosi brwi. - Nie sądzę, żeby to był zbieg okoliczności.

- Rok temu? To dlaczego nic nie mówiłaś? - pytam.

- Bo ja nie mam zamiaru mieć dzieci! Nie ma o czym rozmawiać.

- Ale on chce? - odważa się powiedzieć Amy.

Kate wzrusza ramionami.

- Pewnie uważa, że są mu potrzebne.

- Co ty opowiadasz! - protestuje Amy. - Przecież ludzie nie mają dzieci dlatego, że to pomaga im zrobić karierę.

Kate prycha.

- Widać, że nie jesteś z Waszyngtonu. Ja jestem o tym przekonana. Zaczęło się od rozmaitych wzmianek, opowiadań o dzieciach pracowników, a potem obie jego szwagierki zaszły w ciążę... Długo nie trwało, jak zaczął mi wysyłać wiadomości tekstowe na ten temat. Rozumiecie? *Wiadomości tekstowe!*

- Słucham? - pytam.

- Żebyś wiedziała! Żartobliwe wiadomości o tym, żebyśmy zrobili sobie malutką Kate albo Brendana. A później, kiedy podczas kampanii zatrzymaliśmy się w jakimś miasteczku i zobaczył wśród publiczności ciężarną kobietę, nachylił się, żeby mi szepnąć, jak cudownie wyglądałabym z brzuszkiem.

- Nie do wiary - stwierdzam. - A dlaczego nigdy o tym nie wspomniałaś?

- Bo nie ma o czym. Nie mam zamiaru mieć dzieci - powtarza.

- Ale Brendan chciałby? - dopytuje się Amy, jak na mój gust nieco zbyt współczującym tonem.

Kate rzuca jej ostre spojrzenie. Potem przenosi wzrok na mnie i jej twarz łagodnieje, co wskazywałoby, że ta kwestia jednak nie jest nieodwołalnie zamknięta.

- Rozwiążemy to - stwierdza tonem sugerującym, że nie życzy sobie dalszej dyskusji na ten temat.

- Będzie łatwiej - odzywam się, doskonale wiedząc, że to marna pociecha. Jednak na nic więcej mnie nie stać po tym wstrząsie i mnóstwie alkoholu. - Mówiłaś, że to najbardziej intensywny okres w trakcie kampanii, prawda?

- *Cała* kampania jest intensywna, Waverly - warczy.

- W końcu nie startuje na przewodniczącego klasy.

- Ale zasadniczo już wygrał, prawda? - Amy stara się ją ułagodzić. - A kiedy kampania się skończy, zmniejszy się też stres. Więc może wtedy wszystko zacznie się lepiej układać.

Kate energicznie potrząsa głową, jednocześnie wciągając powietrze. Wygląda teraz dokładnie jak własna matka.

- Nie, Amy, on będzie *gubernatorem*. *Wirginii*. To jest ciężka praca.

- Cóż, pamiętam ten stresujący okres, kiedy Mike kończył rezydenturę. Miał trzydziestogodzinne zmiany, a kiedy w końcu wracał do domu, przypominał zombie. W zasadzie nic nie mogliśmy razem robić. Było bardzo ciężko, ale to przetrwaliśmy. - Kiwa ze zrozumieniem głową. - Wy też przetrwacie, Kate. To przejściowe.

Kate chichocze.

- Tak, masz rację, Amy.

Wtrącam się, zanim zdąży powiedzieć coś więcej. Denerwuje mnie jej protekcjonalny ton, a poza tym najwyraźniej znowu chce się uskarżać. Mam już dość wysłuchiwania jej narzekań. Kusi mnie, żeby jej powiedzieć o moich kłopotach, bo taka dawka bolesnej rzeczywistości powinna ją uciszyć. Ale w końcu mówię, składając dłonie razem:

- Żaden związek nie jest idealny. My z Larrym też mamy swoje problemy.

- T a k , ciekawe jakie? - pyta ironicznie Kate.

- No wiesz, typowe. Na przykład, Larry jest okropnym niechlujem.

- Aaa, to brzmi poważnie. - Kate wywraca oczami.

- Myślę, że powinnaś go wykopać.

- To wcale nie jest śmieszne - ciągnę. - Zostawia talerze z resztkami jedzenia na nocnym stoliku, tygodniami nie otwiera poczty. Mam wrażenie, że stale mu zwracam uwagę, a zawsze mi zależało, żeby nie być zrzędą. To do mnie niepodobne. Czasem czuję się, jakbyśmy byli tylko współlokatorami. Zdarza się, że przez parę tygodni nie uprawiamy seksu.

Nie wspominam, że obecnie jest to dla nas zapalna kwestia. Można by sądzić, że przeżywając w pracy tyle stresów, chętnie się odprężam w łóżku, a tymczasem zupełnie mnie to przestało interesować. Kiedy późno w nocy wracam do domu, wolę, żeby nikt już niczego ode mnie nie chciał. Larry oczywiście tego nie rozumie. Zresztą, nic dziwnego, skoro nie wie, co się naprawdę dzieje - a to sprawia, że czuję się jeszcze gorzej.

- W zeszłym tygodniu pracowałam do późna na laptopie w kuchni, kiedy wszedł i obrzucił mnie tym spojrzeniem. Podałam mu najmniej seksowną wymówkę, jaką potrafiłam wymyślić: problemy żołądkowe po chili zjedzonym na lunch - opowiadam.

- Rozumiem to - odzywa się Kate. - Chcecie usłyszeć coś zabawnego o Brendanie? Prawie nigdy nie jesteśmy w domu sami. A teraz, kiedy wymyślił sobie te dzieci? Jak tylko wraca, natychmiast stara się mnie zaciągnąć do łóżka. Ale nie ma w tym nic romantycznego. Mówię wam, że dla niego to tylko droga do celu, kolejne współzawodnictwo, które musi wygrać.

Zaczynam się śmiać. Nie mogę się już opanować.

- Naprawdę! - upiera się Kate. - Oczywiście, robię to. Też mam swoje potrzeby. Poza tym to jest zazwyczaj tylko raz na dwa tygodnie. Brendan stale mnie teraz nudzi, żebym przestała brać pigułki. Co on tam wie. Pół roku temu założyłam sobie spiralę.

- Kate, to okropne! - mówię.

Spoglądam na Amy, która tylko potrząsa bezradnie głową.

- Co takiego? - Kate wzrusza ramionami. - Nie mam zamiaru ryzykować zajścia w ciążę. Właściwie to powinnam kazać sobie zrobić histerektomię. Pewnie nawet by nie zauważył, że poszłam na operację. - Spogląda na swój brzuch. Jest znacznie bardziej pijana, niż myślałam, bo inaczej nie byłaby tak szczera. - To naprawdę żałosne. Jestem postacią żony w jego kampanii i inkubatorem dla jego potomstwa. Tak właśnie mnie postrzega.

- Och, Kate. - Przykładam rękę do serca. Wiem, że naprawdę cierpi. Normalnie nie przyznaje się do takiej słabości.

- Czasem w środku nocy, kiedy śpi, kładę mu rękę na plecach albo zahaczam swoją stopą o jego. I wiecie, mam takie dziwne uczucie, kiedy go dotykam. A on nawet przez sen odsuwa się ode mnie. - Mówi to ze spuszczonej oczami, unikając mojego wzroku. - Tak czy inaczej - stwierdza rzeczowym tonem - muszę pamiętać, że to tylko jego praca. To nie ma nic wspólnego ze mną. - Zwraca się do Amy. - A co z tobą? Jak twoje małżeństwo?

Oho. To z pewnością dobrze się nie skończy.

Amy wierci się niespokojnie.

- Och, sama nie wiem. - Śmieje się i spogląda na nogi. - No, nie wiem. Mamy typowe nieporozumienia. Chyba jesteśmy po prostu normalni.

Kate uśmiecha się do mnie złośliwie.

- A tak w ogóle, to co się z nim dzieje? - pyta, a na jej ustach pojawia się uśmiešek samozadowolenia. Jak u szkolnego dręczyciela, który za chwilę wymierzy cios.

Cholera. Kate!

Amy wzrusza ramionami.

- A co ma się dziać?

- Dzieje się, dzieje. Ostatnio wydaje się jakiś, hm, *inny*. - Wypowiada ostatnie słowo takim tonem, jakby to było zaszyfrowane inne określenie, bo oczywiście jest: „duppek, sukinsyn”. - Na przykład ten incydent u Waverly w zeszłym tygodniu. O co właściwie chodziło?

Serce mi podskakuje.

- Kate, naprawdę, daj spokój. Amy, nie słuchaj jej. Nic się nie stało - przerywam. Nadal chcę porozmawiać z Amy o Mike'u, ale nie w taki sposób.

Kate śmieje się głośno.

- To tylko pytanie, Waverly. Prawda, Amy?

Amy spogląda na mnie. Wygląda na zmęczoną, a jej oczy są szkliste od wypitego alkoholu.

- Waverly, tak mi przykro - mówi i twarz jej się wykrzywia. - Przez cały tydzień chciałam cię przeprosić. Tamtego dnia, kiedy biegałyśmy i spytałaś mnie o to, byłam tak zawstydzona, że spieprzyłam sprawę. Powinna już wtedy coś powiedzieć.

Ma tak smutny i wyczerpany wyraz twarzy, że czuję nagle wyrzuty sumienia, że w ogóle oczekiwałam przeprosin.

- W porządku, Amy. - Macham ręką. - Naprawdę, nic wielkiego się nie stało.

Teraz ma w oczach łzy. Znam ją na tyle długo, żeby wiedzieć, że najbardziej się boi kogoś rozczarować.

- Słowo, nie ma sprawy - dodaję.

- No, ale na czym polega *jego* problem? - bełkocze Kate. - Naprawdę zrobił się z niego kawał kutasa.

- Kate! - wrzeszczę. - Przestań.

- Dobrze, dobrze - wtrąca Amy. Twarz ma karmioną. - On... on po prostu jest przytłoczony pracą. - Bawi się odruchowo maleńką złotą zawieszka na szyi, kółkiem z wygrawerowanym „E”, jak Emma.

Przyglądam się Kate, która ma nos tak głęboko w kieliszku, jakby się chciała dostać do środka, żeby wysączyć ostatni łyk.

- Co tam, i tak nigdy go nie lubiłam - mamrocze.

O Boże.

- Nie ukrywasz tego - odpowiada Amy bezbarwnym tonem.

Kate wzrusza ramionami.

Nie mam pojęcia, co zrobić. Mogę siedzieć bezczynnie i niech same sobie radzą, ale wiem, że wówczas Amy nie ma szans, szczególnie że Kate jest pijana. W końcu postanawiam zmienić temat.

- Wiecie co, nie rozmawiajmy już więcej o mężczyznach. Nie ma ich tu, a to jest nasz weekend. Trzymajmy się zasady co z oczu, to z serca, dobra? Kate, *dużo* chętniej bym posłuchała o tym, co zaczęłaś mówić w samolocie - że twój najbliższy sąsiad oferuje usługi prostytutek, czy coś w tym rodzaju?

- A, tak! - Twarz Kate się rozjaśnia na myśl o ciekawych ploteczkach. - Nie uwierzycie.

Zaczyna opowiadać, ale ja mam oczy utkwione w Amy. Jest już na tyle ciemno, że trudno dostrzec wyraz jej twarzy. Jednak kiedy się porusza, przez chwilę pada na nią silne światło z lampy na patio i widzę, że jest zdenerwowana. Kate zachowywała się bezceremonialnie, ale jej niechęć do Mike'a nie jest tajemnicą, dlatego dziwi mnie aż tak silna reakcja Amy i zaczynam się zastanawiać, czy nie martwi jej coś innego.

Następnego ranka upewniam się, że dzieje się z nią coś złego. Leżę w ogromnym łóżku w jednej z kilku sypialni składających się na skrzydło dla gości, a głowa mi pulsuje od wypitego wczoraj alkoholu. Staram się zmusić do wstania i przejścia po grubym dywanie do

marmurowej łazienki, bo muszę wyszorować zęby i pozbyć się paskudnego smaku z ust. Sypialnia, w której się znajduję, wygląda jak żywcem przeniesiona z *Dynastii* - bładofioletowe i różowe jedwabie, złoczone meble, a nad łóżkiem mosiężny żyrandol wielkości karuzeli. Najwyraźniej matka Kate nie zwracała sobie głowy zmianą wystroju tych pokoi od lat osiemdziesiątych.

Leżę sobie spokojnie, bezmyślnie licząc kryształowe łożki żyrandola, kiedy zaczyna do mnie docierać jakiś dźwięk. Najpierw myślę, że to ptaki ćwierkają za oknem, ale po chwili uświadamiam sobie, że ktoś płacze - Amy. Jej sypialnia jest obok mojej, więc przyciskam ucho do ściany za łóżkiem. To nie są ciche łkania, tylko rozdzierający szloch. Wskakuję z łóżka, wciągam spodnie od dresu i wybiegam na korytarz. Pukam delikatnie w ciężkie drewniane drzwi.

- Chwileczkę - odzywa się głos Amy.

Otwiera drzwi w lawendowej koszuli nocnej. Policzki ma lekko opalone od poprzedniego dnia, a oczy opuchnięte. W żaden sposób nie może ukryć, że płakała.

- Wszystko w porządku? - pytam i wyciągam dłoń, żeby dotknąć jej ręki.

- Tak. - Zmusza się do uśmiechu, a potem błyskawicznie ucieka wzrokiem.

- Na pewno? Wydawało mi się, że rozpaczliwie płakałaś.

- Po prostu tęsknię za Emmą. - Znów wysilony uśmiech. - Nie wiem, czemu w tym roku jest mi tak ciężko. Wiem, że to głupie...

- Nie, to wcale nie jest głupie - kłamię.

W rzeczywistości uważam, że to bez sensu i ani przez chwilę jej nie wierzę. Chociaż sama nie jestem matką, to znam Amy i wiem, że nie jest typem kobiety, która aż tak się denerwuje kilkudniową rozłąką z dzieckiem.

- A może jednak ma to coś wspólnego z wczorajszym wieczorem? - pytam.

- Wczorajszym wieczorem? A... nie. - Śmieje się nieprzekonująco. - To tylko Kate zachowywała się jak...

- Kate - kończę za nią.

- T a k .

- Amy, czy na pewno wszystko jest w porządku? - pytam ponownie. To, co słyszałam, to był rozdzierający płacz, jakby przechodziła załamanie nerwowe.

- Tak, tak - odpowiada. - Nic mi nie jest. Tak naprawdę to jestem okropnie głodna. A ty? - Unosi brwi i zmusza się do kolejnego uśmiechu. - Nie masz czasem ochoty czegoś ugotować?

Reszta weekendu upływa dziwnie. Kate jest drażliwa i pobudzona. Czyta swoje magazyny, po czym jedzie na zakupy, zostawiając Amy i mnie w domu, gdzie głównie wylegujemy się przy basenie. W sobotę wieczorem dajemy jej podwójnie czekoladowy tort urodzinowy, który przemyciłam ze swojej cukierni, a Amy wręcza jej w prezencie śliczne serwetki koktajlowe z monogramem, w których załatwienie z pewnością włożyła wiele starań. Kate okazuje należną wdzięczność, ale cała uroczystość trwa może dwadzieścia minut, kiedy oświadcza, że chce wziąć długą kąpiel i iść do łóżka.

W przypadku Kate takie humory to rzecz normalna, natomiast nietypowe jest zachowanie Amy, która do końca weekendu pozostaje czarno-białą wersją normalnej siebie. Twierdzi z uporem, że nic jej nie jest - to tylko kac, albo jest zmęczona, albo za dużo przebywała na słońcu - same nieudolne wymówki, które ani przez chwilę mnie nie przekonują. Za każdym razem kiedy pytam o tęsknotę za domem albo telefon do Mike'a, na jej twarzy pojawia się cień.

- Wszystko w porządku, Waverly. Naprawdę - odpowiada niezmiennie.

W niedzielę, jeszcze przed wejściem na pokład samolotu, nie mogę już się doczekać powrotu do domu, pomimo wszystkich problemów, które tam na mnie czekają. Nie wracam odprężona, z zarumienionymi policzkami i resztkami zapachu emulsji do opalania na skórze. Czuję się raczej poirytowana i zmęczona. Kate cicho pochrupuje po drugiej stronie przejścia. Amy siedzi przy oknie na prawo ode mnie i zagina rogi kartek z interesującymi ją przepisami w „Cooking Light”. Wcześniej w drodze na lotnisko wszystkie trzy powtórzyłyśmy, jaka to szkoda, że musimy już wyjeżdżać, ale żadna nie wierzyła w to, co mówi.

- Słuchaj. - Amy klepie mnie po ramieniu i wskazuje coś w czasopiśmie. - Co to jest *crema mexicana*?

- To jak kwaśna śmietana, ale rzadsze.

Z Amy wcale nie jest w porządku, niezależnie od tego, ile razy to powtórzy. Z pewnością dzieje się coś złego i im dłużej rozważam jej reakcję na pytanie Kate o Mike'a oraz wzajemne zachowanie Amy i Mike'a,

kiedy ostatnio ich widziałam, tym uporczywiej nasuwa mi się myśl, że być może on ją zdradza. Wprawdzie trudno mi sobie wyobrazić, że jakaś kobieta mogłaby się w nim zakochać, ale być może mobilizuje cały swój dawno zapomniany urok, żeby kogoś oczarować, i dlatego nie wystarcza go już dla nas. Może to ktoś z pracy? Jego współnikiem jest starszy mężczyzna, ale może to być jakaś pielęgniarka... albo nawet pacjentka. Sporo kobiet ma bzika na punkcie białego fartucha. Im więcej o tym rozmyślam, tym bardziej wydaje się to prawdopodobne, a gdy pilot ogłasza, że podchodzimy do lądowania na lotnisku Dullesa, jestem już całkiem o tym przekonana. Kiedy stewardesa chodzi przejsięciem, zbierając śmieci, Kate wreszcie się rusza. Sprawdzam, czy Amy jest nadal pochłonięta czytaniem, po czym sięgam na drugą stronę przejścia i trącam Kate.

- Muszę z tobą pomówić - oznajmiam bezgłośnie, odwracając się na siedzeniu, żeby Amy nie zauważyła.

Kate zirytowana marszczy brwi.

- Mam teorię - szepczę i zerkam na Amy.

Kate wzdycha głośno, przewraca oczami i odwraca się do mnie tyłem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zabieramy z Amy bagaże, żegnamy się z Kate i ruszamy do samochodu, ciągnąc za sobą walizki. Zaczyna już zapadać zmierzch i wygląda, jakby zaraz miał spaść deszcz ze śniegiem. W tej chwili niczego bardziej nie pragnę, niż wrócić do domu, wciągnąć znoszony dres i spędzić ostatnie kilka godzin przed jutrzejszą pracą odcięta od rzeczywistości. Z przyjemnością stwierdzam, że stęskniłam się za Larrym. Chcę wygodnie wtulić się w niego na kanapie. I marzę o jajecznicy. Z oczywistych przyczyn w naszej kuchni rządzą ja, ale Larry jest niezaprzeczalnie królem jajecznicy. Ma do niej talent. Próbuję sobie przypomnieć, czy mamy jajka w lodówce.

W samochodzie Amy pyta, czy mam w tym tygodniu coś ważnego na głowie. Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła - jutro czeka mnie rozmowa z księgowym na temat mojej pensji.

- Nie, nic szczególnego - kłamię.

Buzia jej się nie zamyka przez całą drogę - która zajmuje nam aż czterdzieści minut, bo w tej części świata ruch drogowy nie zmniejsza się nawet w deszczowe niedzielne wieczory - a kiedy podjeżdżamy pod jej dom, pyta, czy chcę wejść i się przywitać.

- Nie, nie, zostanę w samochodzie. Na pewno nie mogą się ciebie doczekać. Nie chcę wam przeszkadzać.

Nie potrafię już myśleć o niczym innym niż powrót do domu, a na dodatek mam pewność, że dwanaście kilometrów dzielących nasze domy będzie mi się dłużyło w nieskończoność.

- No chodź. Chociaż na chwilę - prosi Amy, wyciągając swoje bagaże. - Na chwilę - mówi jeszcze raz, tym razem stanowczo.

Niechętnie przekręcam klucz w stacyjce i gaszę silnik. Biegniemy w deszczu chodnikiem prowadzącym do drzwi wejściowych. Wydaje mi się dziwne, że Amy koniecznie chce, żebym weszła, skoro cały weekend nie widziała się z rodziną, ale dochodzę do wniosku, że najwyraźniej w całym tym podnieceniu założyła, że ja również się ucieszę, mogąc się przywitać z Emmą i Mikiem.

Amy otwiera drzwi, a Emma rzuca się jej w objęcia, nie czekając aż przestąpi próg. Amy upuszcza torebkę i klucze na podłogę i mocno przyciska córkę do siebie.

- O jejku, ale cudownie pachniesz - mówi, wtulając nos w szyjkę Emmy. - Bardzo się za tobą stęskniłam!
- Lata spędzone w Wirginii sprawiły, że południowy akcent niemal zniknął z jej głosu, ale kiedy zaczyna używać matczynej mowy, wciąż daje się go wychwycić.

- Mamusiu, mam coś dla ciebie - mówi Emma, kiedy Amy odstawia ją na ziemię, po czym łapie ją za nadgarstek obiema dłońmi i ciągnie w kierunku salonu.

- Chwilkę, kochanie. Najpierw się przywitaj z ciocią Waverly. Przyszła cię odwiedzić.

Nie trzeba było gasić samochodu - myślę. Byłoby mi łatwiej uciec.

- Cześć! - Emma uśmiecha się i pospiesznie do mnie macha. - No chodź, mamó. Chodź! - Jeszcze raz szarpie Amy za rękę.

Amy rzuca mi spojrzenie.

- Wejdziesz na chwilę.

- Nie, nie, naprawdę...

- Tylko na minutkę, Waverly - prosi i pozwala Emmie, żeby ją pociągnęła przez zwieńczone łukiem wejście do salonu.

Mike siedzi na kanapie i czyta gazetę. W telewizorze włączonym na cały regulator leci mecz koszykówki. Na podłodze w równym rzędzie siedzi kilka pluszowych zwierzątek, a przed nimi starannie ustawiony plastikowy serwis do herbaty.

- Hej - odzywa się Mike znudzonym głosem i rzuca Amy szybkie spojrzenie znad gazety.

Cóż za powitanie - myślę.

- Cześć! - Amy uśmiecha się do niego.

- Hej, Waverly! - Mike wita mnie z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż żonę.

- Waverly wpadła tylko na chwilę, żeby się przywitać - mówi Amy do Mike'a.

Widzę, że jest zawiedziona jego zachowaniem, co sprawia, że jeszcze bardziej chcę się stąd wyrwać. Zaczynam się zastanawiać, czy Mike w ten weekend widział się ze swoją kochanką. Kto wie, może nawet miał czelność przyprowadzić ją tu, nie przejmując się, że Emma jest w domu.

Mała znowu próbuje ciągnąć Amy.

- Mamo, muszę ci coś pokazać! - jęczy.

- Dobrze - odpowiada Amy, przeczesując dłonią włosy córki.

Mike spogląda na nią wyczekująco z uniesionymi brwiami i miną mówiącą: „No? Na co jeszcze czekasz?”.

Witamy z powrotem, kochanie - myślę. - Bardzo się za tobą stęskniłem. Fajnie cię widzieć. Jak ci się udał wyjazd?

- Mamusiu - prosi Emma, ciągnąc Amy za rękę.

- No już, dziecinko, już.

Podążam za nimi do kuchni, dokąd prowadzi nas Emma.

- Zamknij oczy - nakazuje mała, a Amy zaciska je mocno, marszcząc twarz. - Ty też, ciociu Waverly!

Robię, co mi każą.

- Możecie patrzeć!

Emma trzyma nad głową kartkę różowego bristolu. Jest na niej narysowany czerwony dom, kilka pomarańczowych serduszek, a w prawym górnym rogu - żółte słońce.

- Namalowałam go dla ciebie, mamo - mówi, uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Dziękuję, kochanie! Jest piękny! Bardzo mi się podoba. - Amy pochyla się, żeby ją pocałować.

Przyglądam się grubym, nasmarowanym palcami liniom. Serca. Dom. Na studiach przez pół semestru chodziłam na wstęp do psychologii, gdzie między innymi były zajęcia z terapii sztuką. Naszym wykładowcą był starszy pan cierpiący na okropną egzemę,

który starał się maksymalnie wykorzystać uroki stałego etatu. W związku z tym przeważnie czytał „The Nation” przy swoim biurku, a nam wyświetlał filmy przedstawiające dzieci po przejściach, rysujące obrazki, w których ujawniały się ich uczucia. Patrząc na rysunek Emmy, pożałowałam, że nic z tych zajęć nie pamiętam. Nie mam wątpliwości, że Amy jest doskonałą mamą, ale zaczynam się zastanawiać, na ile prawdziwe są jej opowieści o ojcowskich talentach Mike'a i czego jej córeczka doświadczyła, mając takiego typa za ojca. Dzieci potrafią wyczuć bardzo wiele.

- Dobrze się bawiłaś z tatą? - Amy wyciąga ręce do Emmy, żeby ją jeszcze raz przytulić.

- Mhm... - Mała kiwa głową. Dookoła ust ma czerwone plamy. Poncz owocowy.

- Co robiliście?

Wyczuwam za plecami obecność Mike'a. Podchodzi do nas i staje nieprzyjemnie blisko mnie, oparty o blat kuchenny. Odsuwam się od niego o krok.

Będę mieć na ciebie oko - mówię do siebie w myślach.

- Poszliśmy do parku... ummm... poszliśmy do muzeum dla dzieci - opowiada Emma, wliczając miejsca na palcach, po czym milknie i przyjmuje pozycję myślącego trzylatka: wzrok skierowany ku sufitowi, głowa przekrzywiona na bok i dłonie oparte na biodrach.

- Poszliśmy na pizzę - podpowiada Mike.

- Tak! Na pizzę! - krzyczy Emma, podskakując z radości.

- Brzmi świetnie - mówi Amy. - Tak baaardzo za tobą tęskniłam! - Kuca i przyciąga Emmę do siebie.
- Ależ się cieszę, że jestem w domu!

- A tęskniłaś za tatą? - pyta Emma.

Amy spogląda na Mike'a.

- Tak, nie mogłam się doczekać, kiedy was oboje zobaczę - odpowiada, obejmując dłońmi twarzyczkę Emmy.

Zwracam uwagę, że Mike w ogóle nie patrzy na Amy. Jego wzrok skupiony jest na córce.

Dupek.

- Mamo! To teraz przytul tatę! - zarządza Emma, tak podekscytowana, że zaczyna podskakiwać.

Amy rzuca mi spojrzenie, po czym wstaje i przytula Mike'a - ojca swojego dziecka - w najbardziej skrępowany i chłodny sposób, jaki można sobie wyobrazić, zupełnie dla niej nietypowy. Wygląda to, jakby mechanicznym ruchem obejmowała dalekiego kuzyna, którego od lat nie widziała na oczy. Czyżby Amy o czymś wiedziała albo coś podejrzewała? Obserwuję ją, jak podchodzi do lodówki i przyczepia dzieło Emmy do drzwi magnesem z napisem „Martha Stewart tu nie mieszka”.

Tak, jasne.

- Jedliście coś? - pyta Mike'a.

- Tak. Jak chcesz, to w lodówce jest reszta pizzy.

- Waverly, masz ochotę na pizzę? Od rana nic nie jadłyśmy. Na pewno umierasz z głodu.

Owszem - jestem tak głodna, że z przyjemnością pożarłabym również karton - ale muszę jak najszybciej uciec z tego wariatkowa. Jest mi strasznie żal Amy

i będę musiała się długo i poważnie zastanowić, jak poruszyć z nią temat tego, co się u nich dzieje, ale teraz jedyną rzeczą, której pragnę, jest powrót do domu. Mój związek z Larrym nagle zaczyna mi się jawić jako bajecznie udany. Koniecznie muszę o tym pamiętać, kiedy go wreszcie zobaczę.

- Nie, nie. Nie jestem głodna. Naprawdę powinnam już... - zaczynam.

- Jak wam się udał weekend? - przerywa mi Mike i siada na blacie, zwieszając nogi.

- Dobrze - odpowiada Amy. Emma bawi się magnesami z literami alfabetu przyczepionymi do drzwi lodówki. - Dokładnie tak, jak przewidywałeś - przeleżałyśmy większość czasu przy basenie. Ty byś tam zwariował z nudów - śmieje się sztucznie. - Wiem, że robisz się nerwowy, kiedy nie masz nic do roboty.

- W ogóle nie wychodziłyście z domu? - Mike bębni palcami po blacie.

Zaczynam pobrzękiwać kluczami, starając się delikatnie zasugerować, że muszę już uciekać.

- W sobotę przespacerowałyśmy się po mieście, ale poza tym to nie. A ty jak sobie poradziłeś z Emmą? Żadnych kłopotów?

- Nie. Było bardzo fajnie - mówi. - Tylko wczoraj przyszła w środku nocy do naszego pokoju, bo przyśnił jej się koszmar.

- Naszego pokoju? - pyta Amy. Wygląda, jakby nie wiedziała, o co mu chodzi.

O kurde.

- No, wiesz, naszej sypialni.

- No, tak - mówi Amy ze śmiechem. - Przepraszam. Jestem bardzo zmęczona. - Spogląda na mnie i z zażenowaniem potrząsa głową. Widzę, że jest cała czerwona.

- O kurczę. Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Muszę wystawić kilka rachunków - stwierdza ni stąd, ni zowąd Mike i wychodzi z pokoju bez pożegnania.

- To ja się zbieram - mówię. Staram się udawać, że nic nie zauważyłam.

- Okej. Na pewno nie chcesz kawałka pizzy na drogę?

- Nie, dzięki. - Pobrząkuję kluczami.

- Emma, pożegnaj się z Waverly.

- Pa, pa - woła mała śpiewnym głosem.

Przytulam Amy w progu.

- Jutro do ciebie zadzwonię - mówię.

- Super. Ale było fajnie!

Kiwam głową. *Nie powiedziałabym.*

- Okej. To do zobaczenia - żegnam się i pędzę do samochodu.

Godzinę później siedzę już na własnej kanapie, trzymając na kolanach talerz z jajecznicą i tostem. Larry odsuwa leżącą na stoliku niedzielną gazetę, żeby zrobić miejsce na kubek rumianku, który mi zaparzył, po czym siada koło mnie. Spędził weekend, leniuchując - wyszedł na burrito z kolegą, skończył książkę, którą czytał od pewnego czasu - ale nie wpadł na to, żeby w międzyczasie zająć się domem. Na podłodze w salonie walają się cztery pary jego butów i podkoszulek. I choć denerwuje mnie to trochę bardziej, niż powinno,

nic nie mówię - cieszę się, że jestem w domu, i nie chcę popsuć nastroju, robiąc mu teraz wyrzuty.

- Dobra jajecznicza - mówię, nakładam widelcem kolejną porcję na tost i odgryzam. Nie wiem, jak to robi, ale zawsze udaje mu się dodać idealną ilość pieprzu i soli.

- Dzięki - odpowiada, po czym przysuwa się do mnie, wyciąga rękę i zaczyna mnie masować po plecach. - A teraz powiedz mi, co było nie tak z waszym wyjazdem.

Jak tylko weszłam do domu i postawiłam walizki przy schodach, Larry zapytał:

- I co? Jak było w słonecznej Kalifornii?

- Niezbyt słonecznie - odpowiedziałam.

- Było jakoś dziwnie - wyjaśniam mu teraz. - Głównie przez Amy.

Opowiadam mu o jej przygnębieniu i płaczu. Pomijam zachowanie Kate, bo jej napady zrzędlivości są wszystkim dobrze znane, ale nie wspominam też o zapędach rodzicielskich Brendana, bo nie chcę ryzykować, że skieruję rozmowę na temat naszej przyszłej rodziny. Oboje chcemy dzieci, ale podobnie jak w innych sprawach dotyczących naszego związku, nie robimy nic w tym kierunku i powtarzamy tylko, że „kiedyś się tym zajmiemy”, jakbym nie miała trzydziestu pięciu lat, tylko dwadzieścia i całe życie przed sobą.

- Mam już teorię. Przyszła mi do głowy w samolocie - mówię.

- Tak? Jaką? - Larry ściera okruszek tostu z kącika moich ust.

- Myślę, że Mike ją zdradza.
- Naprawdę? - Patrzy na mnie sceptycznie.
- No. Sądzisz, że to mało prawdopodobne?
- Nie wiem, ale Casanovą to on nie jest. Trudno mi sobie wyobrazić, jak mógłby znaleźć kochankę.
- Niby tak, ale z drugiej strony wygląda nie najgorzej, jest lekarzem, no i *kiedyś* zachowywał się zupełnie normalnie. To by też wyjaśniało, dlaczego tak chamsko traktuje Amy i czemu nie cierpi spędzać z nami czasu.
- No - Larry wzrusza ramionami. - Mnie się zawsze wydawało, że on po prostu jest nieszczęśliwy. Przecież już od dawna tak się zachowuje. I co, myślisz, że przez cały ten czas miał kogoś na boku?
- Kto wie? Może było ich więcej. Nie mam pojęcia, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej to wydaje się sensowne.
- No, coś w tym jest, ale wolałbym, żeby się okazało, że to nieprawda.
- Taaak - stwierdzam. - Ciekawe, czy Amy wie.
- Nie powiedziałyby ci?
- Nie wiem - odpowiadam, pożerając resztę tosta. Odkładam pusty talerz na stół i wymieniam go na kubek z rumiankiem. - Ludzie czasami dziwnie się zachowują w takich sytuacjach. Może się starają rozwiązać sprawę między sobą. Albo Amy wstydzi się przyznać. Albo nie umie się pogodzić z rzeczywistością.
- Bębnię palcami o kubek. - Mam na myśli, że Emma jest jeszcze mała. Może chcą przez to przebrnąć tak, żeby nie rozbijać rodziny. Muszę się zastanowić, jak poruszyć ten temat z Amy.

- No, to na pewno - mówi Larry. - Chciałbym móc ci coś doradzić.

- No.

Przez kilka minut siedzimy bez słowa, po czym Larry kładzie sobie moje stopy na kolanach i zaczyna je masować. Zauważyłam, że od kiedy przekroczyłam próg, nie potrafi utrzymać rąk przy sobie. Zdaję sobie sprawę, że chce seksu, i wiem, że ja też powinnam, ale... prostuję się, podkurczam nogi i siadam po turecku. Chwytam go za dłoń. Mam idealną okazję, by się przyznać do jutrzejszego spotkania z księgowym. Żeby mu powiedzieć prawdę. Zamiast tego pytam:

- A ty co robiłeś wczoraj wieczorem?

- Wiesz, właściwie stało się coś dziwnego - mówi.

- Na HBO jest taki nowy serial o Teddym Roosevelcie i chciałem go obejrzeć, ale jak włączyłem telewizor, to się okazało, że nie ma sygnału kablówki. Zadzwoniłem pod ich darmowy numer i dowiedziałem się, że odcięli nas, bo spóźniamy się z opłatą abonamentu.

O cholera.

Cholera, cholera, cholera!

Dzielimy się z Larrym rachunkami i tak się akurat składa, że abonament telewizyjny należy do moich obowiązków. Zamierzałam przenieść tę płatność na inną kartę, bo na tej, z której zawsze płaciłam, od ponad miesiąca mam wykorzystany cały kredyt. Gdyby chciało mi się zaglądać do poczty, pewnie zwróciłabym uwagę, że tego nie zrobiłam, ale ostatnio nawet nie otwieram rachunków, tylko wrzucam je ze skrzynki na listy prosto do torby. Powtarzam sobie, że jak będę

miała przerwę w pracy, to je przejrzę, ale u mnie przerwy raczej się nie zdarzają, więc... *cholera!*

- Zapłaciłem to, co zalegaliśmy - mówi. - Facet powiedział, że próbowali obciążyć twoją kartę, ale bank zablokował transakcję.

- Kurde, przepraszam. Nie wiem, co się stało. Może karta, z której płacę rachunki, jest już nieważna, czy coś. Sprawdzę to.

- Nie ma sprawy - odpowiada i wyciąga rękę, żeby mnie z powrotem przyciągnąć do siebie. - Chodź tu. Stęskniłem się za tobą.

- Ja za tobą też - mówię.

Larry mnie całuje, a ja ulegam i odwzajemniam pocałunek. Kiedy jego usta zaczynają się przesuwać w dół mojej szyi, wsuwam mu dłonie pod koszulę, obejmuję go i staram się odprężyć, ale w głowie mam mętlik. Próbuję sobie wmówić, że wszystko będzie dobrze. Spotkam się jutro z księgowym, znajdziemy jakieś rozwiązania, a w któryś z kolejnych dni tygodnia powiem wszystko Larryemu. Naprawdę. Powiem mu. Słowo harcerza.

ROZDZIAŁ ÓSMY

We wrześniu minie pięć lat działalności mojej piekarni. Ilekroć wypływa ten temat, Larry stwierdza, że powinnam zorganizować imprezę - uczcić *jakoś* tę okazję - ale za każdym razem go zbywam. Nie czuję, żebym miała prawo świętować. Nie potrafię sobie wyobrazić, że dziękuję za wspólną pracę i stukam się kieliszkami szampana z załogą, której ledwo mogę wypłacić pensję.

Czyż to nie ironia losu? Wielokrotnie dochodziłam do wniosku, że istotą mojej działalności jest pomaganie ludziom w świętowaniu. Tyle przełomowych momentów naszego życia obraca się wokół jedzenia, a w szczególności tortów. Czym byłby rodzinny album bez zdjęcia młodej pary rozkrawającej tort weselny albo rocznego dziecka siedzącego w wysokim krzeselku i zdmuchującego swoją pierwszą świeczkę? W mojej własnej rzeczywistości nie ma obecnie miejsca na te słodkie, radosne chwile, które stanowią moje źródło utrzymania, ale Bóg mi świadkiem, że strasznie bym chciała mieć co świętować.

Lokal, w którym znajduje się Maggie's, był kiedyś barem. Jako dziecko mijałam go w każdy sobotni poranek, kiedy jechałyśmy z mamą do sklepu spożywczego. Fasadę pokrywały kiepskiej jakości deski, które wyglą-

dały na pozostałości po zarzuconym projekcie budowlanym. Na ulicę wyglądało jedno okno umieszczone tak wysoko, że nie dało się przez nie zajrzeć do środka, a nad nim widniał neon reklamujący piwo Miller Lite, którego nieregularne pomrukiwanie przypominało tik nerwowy. Przyglądając się temu obrazowi z siedzenia pasażera w garbusie mamy, zachodziłam w głowę, co się dzieje w takich miejscach. Nigdy bym się nie spodziewała, że kiedyś stanie się ono moim drugim domem.

Właściwie to Larry znalazł mi to miejsce. Na ostatniej stronie gazety „Maple Hill News & Record” zakreślił ogłoszenie - „Lokal z przeznaczeniem na restaurację do wynajęcia, pełne profesjonalne wyposażenie kuchni, 64 Ford Street” - i położył mi ją na wytartym plecaku, w którym codziennie taszczyłam swoje rzeczy do pracy i z powrotem. Wówczas już od pewnego czasu bawiłam się myślą o otwarciu piekarni-cukierni i nieraz o tym wspominałam. Stale coś piekłam, a ilekroć częstowałam Larry’ego, Kate czy Amy muffinami z pestkami dyni, kostką cytrynową, piegu-skami z morską solą czy co tam mi akurat przyszło do głowy, namawiali mnie, żebym poważnie zastanowiła się nad tym pomysłem. Z czasem delikatne obłoczki moich marzeń zaczęły przybierać wyraźniejszy kształt, który trudno było dalej ignorować.

Musiałabym zrezygnować z pracy, ale to nie problem, bo choć lubiłam uczyć, w głębi ducha wiedziałam, że nie pasjonuje mnie to aż tak, jak powinno. Wybrałam anglistykę, bo zawsze chętnie czytałam

i bez trudu pisałam wypracowania, ale na ostatnim roku studiów nadal nie wiedziałam, co chciałabym robić w życiu. Ciągłe jeszcze nie uporałam się z żałobą po rodzicach i brakowało mi energii, żeby myśleć o przyszłości, a tym bardziej w trakcie studiów podjąć pracę, jak zrobiło wielu moich kolegów. Wtedy babcia doradziła, żebym wybrała „coś, za co przyzwicie płaca, i dzięki czemu można sprawić, żeby świat był odrobinę lepszy”. Jednocześnie dodała, że niezależnie od tego, co wybiorę, nie muszę przecież robić tego przez całe życie. Inne osoby z mojego kierunku szły na studia magisterskie (nie, dziękuję), na prawo (będąc z Waszyngtonu, poznałam dość prawników, żeby mnie to zniechęciło) lub zostawały nauczycielami. Wybrałam to ostatnie.

We wtorkowe popołudnie tuż po ostatniej lekcji poszliśmy z Larrym spotkać się z właścicielem lokalu do wynajęcia. Bar wyglądał paskudnie - lepka podłoga wyłożona linoleum, na suficie wokół wentylatorów brązowe plamy osadu z dymu palonych tu od lat papierosów, a powietrze aż gęste od słodkawego zapachu rozlanego piwa. Jednak kuchnia, zapewne mało używana, była w przyzwoitym stanie, na ile moje niedoświadczone oko mogło to ocenić, a powierzchnia około siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych z frontu była wystarczająca na kilka stolików, ladę wystawową i kasę. Tydzień później, po długich dyskusjach z Larrym i dziewczętami, wręczyłam właścicielowi czek na depozyt i czynsz za pierwszy miesiąc oraz wzięłam pożyczkę hipoteczną pod zastaw domu, żeby z niej sfinansować uruchomienie firmy. Następnego

dnia powiedziałam dyrektorowi, że po wakacjach nie wrócę do pracy.

Nigdy w życiu nie udałooby mi się otworzyć Maggie's bez Larry'ego i dziewczyn. Larry, który pracował w sklepie żelaznym rodziców, stał się niemal ekspertem w sprawach budowlanych, toteż znalazł mi wykonawców, którzy usunęli ladę barową, a z przodu wstawili ogromne okna sięgające od podłogi do sufitu. Kate pomogła mi w obliczeniach i czasem dosłownie musiała trzymać mnie za rękę, gdy z niedowierzaniem patrzyłam, ile mnie będzie kosztować wyposażenie piekarni, zakup zaopatrzenia i zatrudnienie pracowników. Amy oglądała próbki barw w sklepie z materiałami budowlanymi, z entuzjazmem zatwierdzała wybrane przeze mnie meble i przyklaskiwała moim pomysłom na menu.

W tygodniach poprzedzających otwarcie pracowałam na okrągło, robiąc przerwy tylko na drzemki, podczas których śniły mi się koszmary (zatrulałam całe miasto swoimi wyrobami, klientka znalazła włos łonowy w torcie morelowym). W rezultacie budziłam się przerażona, ale gotowa do dalszej pracy. Larry, tak oddany jak pies, od którego imienia cukiernia wzięła swoją nazwę, zanim poszedł rano do pracy, pomagał mi skrobać podłogi, a pod koniec dnia wracał z ubraniem roboczym pod pachą, żeby dalej mi pomagać. Pewnego wieczoru sami zabraliśmy się za instalowanie opraw oświetleniowych, żeby zaoszczędzić trochę pieniędzy. Około drugiej nad ranem stałam pod drabiną, na której pracował Larry, i wykrzykiwałam w górę pytania:

„Myślisz, że liczenie za dolewki kawy będzie wyglądało na skąpstwo i wkurzy ludzi?”, „Jesteś pewien, że nie powinnam dawać więcej niż szklanę sałatki owocowej do kanapek?”, „A co z ludźmi do sprzątanania stolików - myślisz, że jak będziemy gotować, kasować i zmywać, to zdołamy dopilnować, żeby front był zawsze czysty? Nie chcę mieć cukierni z klejącymi się stolikami i okruchami na podłodze”.

Larry przyjrzał mi się uważnie, mrużąc oczy, po czym zszedł z drabiny i wycierając sobie pot z czoła, rzucił: „Poczekaj chwilę”. Był ubrany w wyblakły T-shirt założony na koszulkę termoaktywną. Dżinsy miał poplamione niebieskoszara farbą, którą tydzień wcześniej malowaliśmy ściany. Podeszedł do radia stojącego w narożniku, gdzie planowaliśmy zainstalować stereo, na które się wykosztowałam, i kręcił gałką, aż znalazł stację nadającą bluesa z Waszyngtonu. Wtedy wrócił do mnie, odczepił moją dłoń od szczebla drabiny i pociągnął mnie do tańca. Złożyłam skołataną głowę na jego piersi, zamknęłam oczy i pozwoliłam się prowadzić. Na podłodze wciąż były trociny i działały tylko dwie lampy. W pustej przestrzeni Muddy Waters śpiewał: „Nie możesz stracić tego, czego nigdy nie miałeś”.

Nadal słyszę w głowie tę piosenkę, kiedy siedzę u mojego księgowego, Gary'ego, po drugiej stronie jego biurka, i czekam, aż zakończy rozmowę telefoniczną. Może jestem przewrażliwiona, ale irytuje mnie, że trzyma w ręku kawę z Dunkin' Donuts, zamiast pomyśleć, żeby kupić ją dziś u mnie. Jego rozmowa się prze-

dłużą, więc co chwilę wzrusza ramionami, przewraca oczami i bezgłośnie szeptem „bardzo przepraszam” pomiędzy kolejnymi łykami kawy. Na jego biurku panuje niesamowity porządek, a schludne stosiki dokumentów wyglądają jak ułożone z pomocą linijki.

Przyciskam dłonie do siedzenia swojego fotela. Są lepkie i zostawiają wilgotny ślad na skórze w kolorze burgunda. Powtarzam sobie, że wcale się nie denerwuję.

Wracam myślami do imprezy otwierającej działalność mojej piekarni-cukierni. Było to na dwa lata przed przyjściem na świat Emmy i Amy wtedy jeszcze pracowała zawodowo, ale tego dnia wzięła dzień urlopu, żeby mi pomagać. Wraz z nią i Kate oraz trójką studentów, którzy odpowiedzieli na moje ogłoszenie w witrynie Craigslist, przez cały dzień myłyśmy podłogi, aranżowałyśmy na ścianach oprawione fotografie (w większości zrobione przez mojego tatę) i układałyśmy na półmiskach jedzenie z precyzją, jakiej być może wymagało przygotowanie martwej natury dla Paula Cezanne'a. Przed szóstą przebrałam się w szmaragdową suknię, którą Kate pomogła mi wybrać w małym butik w Georgetown, i poszłam otworzyć drzwi oraz powitać swoich pierwszych gości: sąsiadów, właścicieli pobliskich sklepów, znajomych z dzieciństwa, starych przyjaciół moich rodziców, byłych współpracowników. Za każdym razem, kiedy ktoś z nich chwalił jedzenie albo zmiany, które wprowadziłam w tym lokalu, rosło mi serce i utwierdzałam się w przekonaniu, że dobrze zrobiłam, podejmując to ryzyko.

Nie miałam zezwolenia na sprzedaż alkoholu, ale i tak kupiliśmy szampana, tłumacząc sobie, że *oficjalnie* otwarcie jest dopiero następnego dnia, więc teraz wydajemy prywatne przyjęcie. I warto było. Larry, wiedząc, jak bardzo się denerwowałam, czy wszystko dobrze pójdzie, nie odstępował mnie i uzupełniał mój kieliszek, ilekroć opróżniłam go do połowy. Kate krążyła wśród gości i szeptała moim nowym pracownikom dosadne uwagi, kiedy dostrzegła brudną szklankę pozostawioną na stoliku lub niemal opróżniony półmisek. Amy puszczała głośno muzykę i ciągnęła Mike'a, żeby z nią tańczył, chociaż nie zakładałam, że będzie to impreza z tańcami. Nadal pamiętam, jak ich śmiech wybijał się ponad hałas tłumu, a on nieustannie obracał ją w kółko, tak że miało się wrażenie, że uleciałyby do sufitu, gdyby puściła jego rękę.

Pod koniec wieczoru pozostaliśmy w piątkę - Larry i ja, Kate oraz Amy i Mike. Otworzyliśmy z hukiem ostatnią butelkę szampana i puściliśmy ją dookoła. Teraz, kiedy to wspominam, ta scena wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobna. Mam wrażenie, że jest mgliście znajoma, jak wówczas, gdy oglądam stary serial i *wydaje mi się*, że widziałam ten odcinek, ale nie jestem pewna. Mike raz po raz podchodził do bufetu po nowe przekąski, za każdym razem mówiąc mi, jak bardzo mu smakują crostini z karczochami i fetą. Kate i Amy tańczyły w narożniku, na tyle pijane, że puściły w niepamięć rozpad swojej przyjaźni. Co chwilę wołały mnie do siebie, ale mnie było dobrze na kolanach Larryego, który mocno obejmował mnie w pasie. Cały

czas się do mnie uśmiechał, wyrażając bez słów, że dobrze się spisałam, co zresztą potem mi powiedział, i że jest ze mnie dumny. I proszę, jacy wszyscy byliśmy szczęśliwi w miejscu, które stworzyłam, z fotografiami ojca na ścianach i książką kucharską mamy w kuchni.

Uderza mnie teraz, że od tamtej pory nasza piątka już nigdy nie spędziła razem takich chwil.

Tyle się zmieniło.

Gary wreszcie kończy rozmowę.

- A zatem - zaczyna, obracając się z fotelem i składając dłonie razem na biurku. Ma pokątną łysinę otoczoną wianuszkami rudych włosów i wąsy w tym samym kolorze. Przypomina mi Rona Howarda, dzięki czemu wydaje się mniej przerażający. - Mamy sporo do omówienia.

Kiwam milcząco głową. Boję się, że jeśli otworzę usta, wyrwie się z nich rozpaczliwa prośba, coś w rodzaju „Pomóż mi”.

Gary odchrząkuje i kontynuuje swoje wywody:

- W minionym tygodniu spędziłem wiele godzin na przyglądaniu się twoim finansom. Jak wspomniałem przez telefon, wpływy są zbyt małe, żebyś mogła funkcjonować dalej bez poważnych cięć. Ustaliliśmy ostatnio, że zostało nam już niewiele możliwości wprowadzenia ograniczeń.

Podczas jednej z naszych niedawnych rozmów telefonicznych jasno udowodniłem, jak niewiele wie na temat jedzenia, proponując, żebym się przestawiła na „tańszy ser” we wszystkich produktach, gdzie go używam, tak jakbym mogła wrzucić najtańszy żółty ser do tarty z ko-

zim serem. Już wiele miesięcy temu zaczęłam wprowadzać do menu pozycje mniej obciążające budżet - więcej sałatek z ryżu i makaronu w porze lunchu, mniej deserów czekoladowych, bo kakao, które wybieram, jest dość drogie - ale nie jestem skłonna do dalszych ustępstw, które odbijają się na jakości mojej pracy.

- Waverly, wielokrotnie to analizowałam i po prostu nie mam dla ciebie innego rozwiązania niż to, że musisz przestać pobierać pensję.

Znów potakuję ruchem głowy. Nie chcę, żeby patrzył na mnie z taką litością. Tak samo przyglądają mi się ludzie, którym opowiadam, jak umarli moi rodzice.

- Zatem następne pytanie, na które musisz sobie odpowiedzieć, to czy i jak długo poradzisz sobie bez tych pieniędzy. Myślę, że jeśli obetniemy twoją pensję, zostanie dość na opłacenie wszystkich innych wydatków firmy - czynszu, zaopatrzenia i pensji pracowników, choć może być konieczne rozważenie ograniczenia personelu.

- Wiesz, co o tym myślę - stwierdzam.

Omawialiśmy to kilka miesięcy temu. Zdarzało mi się już zwalniać ludzi. Młodzież bywa nieodpowiedzialna, ale miałam też kilka poważniejszych przypadków, jak narkoman, który był dosłownie geniuszem w kuchni (pewnie dzięki całej tej amfetaminie), a w końcu ukradł pieniądze z kasy. Jednak to zupełnie coś innego, jeśli musisz się pozbyć pracownika tylko dlatego, że nie stać cię na jego pensję. Poza tym i tak mam teraz tylko podstawową obsadę, więc wszyscy są mi niezbędni.

- Waverly, niestety, znaleźliśmy się w sytuacji, gdzie stawką jest istnienie twojej firmy. Będziesz musiała podejmować nieprzyjemne decyzje.

Odchylam głowę do tyłu i zaczynam się śmiać. Gary jest jedyną osobą, która dokładnie wie, jak wyglądają moje finanse - wyczerpane karty kredytowe, kurczące się oszczędności na czarną godzinę, bo na to konto od ponad roku nic nie wpłacam, za to co chwilę trochę wyciągam. No i najgorsze ze wszystkiego to fakt, że po pokryciu wszystkich wydatków związanych z działalnością, niemal nie starcza mi na spłatę rat pożyczki hipotecznej i domowe rachunki, których nie pokrywa Larry. Mój księgowy doskonale wie, że moja sytuacja już jest *dość* nieprzyjemna - mniej więcej tak, jakby na pełnym morzu zaczęły mnie otaczać rekiny.

- Gary, ja naprawdę nie potrzebuję teraz trudnej miłości.

Kiwa głową.

- J a k sądzisz? - pytam. - Ile czasu, twoim zdaniem, będę musiała się obywać bez pensji? - Te pieniądze wykorzystuję do spłacania zaległych rachunków. Nie mogę wstrzymać tych płatności.

- Tego nie potrafię ci powiedzieć. Tyle czasu, ile będzie trzeba. Nie masz już zdolności kredytowej i gdybyś chciała wziąć następny kredyt, to go nie dostaniesz. - Wzrusza ramionami i wpatruje się we mnie wzrokiem bez wyrazu. Naprawdę powinien popracować nad swoim podejściem do klienta. Księgowi powinni mieć gabinety takie jak terapeuci - wygodna kanapa, pudełko chusteczek pod ręką i relaksująca

muzyka w tle. Tymczasem Gary ma na ścianie za biurkiem kalendarz z Dilbertem, a na suficie świetlówki, które szumiąjak rój rozwścieczonych pszczół. - Zatem przestańmy wypłacać twoją pensję. Wykorzystaj te pieniądze na koszty firmowe, postaraj się spłacić część długu na kartach kredytowych i pokryć inne osobiste wydatki, no i pilnuj terminów płatności rat pożyczki hipotecznej.

- Myślisz, że to takie łatwe? Mam sześćdziesiąt tysięcy dolarów przychodu rocznie. Wiem, że to nie jest mało, ale nie starcza na zapłacenie wydatków firmowych i osobistych. Nie przy tych wszystkich długach.

- Wiem. Ale w takiej właśnie sytuacji się teraz znajdujemy.

Mówi w liczbie mnogiej, zapewne, żeby było mi lżej, ale to absolutnie się nie sprawdza, bo przecież nie jest pasażerem mojego tonącego statku.

- Gary, zachowujesz się jak wszystkowiedzący starszy brat, którego nigdy nie miałam.

Ramiona mu opadają.

- Waverly, ja wiem, że jest ci ciężko.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

- Po prostu będziemy robić to, co najlepsze w tej sytuacji.

- *Tak, ja* będę - podkreślam.

- Przekonajmy się, jak ci pójdzie w ciągu najbliższych kilku tygodni. Bądźmy w kontakcie.

- Tak - zgadzam się i wstaję. Zwlekam jeszcze przez chwilę, czekając na... Właściwie, na co? Chciałabym po prostu, żeby znalazło się coś jeszcze, co

Gary mógłby zrobić. Tymczasem on spogląda na mnie wyczekująco.

- Poradzimy sobie z tym - stwierdza, a wówczas dzwoni jego telefon, tak że nie pozostaje mi nic innego, niż wyjść i jakoś radzić sobie z własnym życiem.

Po wyjściu od niego pędzę do piekarni, żeby zdążyć wszystko przygotować na falę klientów w porze lunchu. Dzisiaj moją główną pomocnicą w kuchni jest Jeannette, co trudno nazwać szczęściem. Pызata Jeannette z tatuażem Billie Holiday na przedramieniu jest piosenkarką i autorką piosenek, wykonującą nastrojowe ballady o miłości w okolicznych klubach. Pracuje u mnie od niemal czterech lat. Trzeba przyznać jest zdecydowanie najbardziej sumienną osobą wśród mojego personelu, a klienci szalenie ją lubią, ale przy tym jest niesamowicie powolna. Udekorowany przez nią tort mógłby śmiało się znaleźć na okładce luksusowego magazynu, ale czynność ta zajmuje jej trzy razy tyle czasu co Randyemu, który jest moim drugim głównym kucharzem, kiedy nie zajmuje się swoimi obowiązkami kierownika. Dlatego szybko myję ręce i obrzucam wzrokiem kuchnię, żeby sprawdzić, co jeszcze trzeba zrobić. Jeannette przygotowuje właśnie zawiąnce z sałatką z kurczaka, a ja w duchu przeklinam jej powolność.

Przechodzę do frontowej części i zaglądam, czy w ladzie wystawowej znajdują się już gotowe do wydawania sałatki i quiche. Cały czas czuję moralnego kaca po spotkaniu z księgowym i nie mogę się skoncentrować. Miotam się od jednej rzeczy do drugiej

- ustawiam i przestawiam patery z ciasteczkami i ciastami, sprawdzam, czy w chłodziarkach znajduje się wystarczająca liczba butelek wody gazowanej i niegazowanej, oraz obserwuję, czy Donovan i Bryant, moi kolejni dwaj pracownicy, zajmują się należycie kilkoma klientami, którzy przyszli na późną poranną kawę lub wczesny lunch.

Żałuję, że z usposobienia nie jestem bardziej podobna do Jeannette, zawsze zrównoważonej, łagodnej i zadowolonej, niemal z pewnością dzięki codziennej porcji marihuany, ale co tam. Ja bardziej przypominam moją matkę, która w okresach zdenerwowania potrafiła po kilka dni funkcjonować na alka-seltzerze i dietetycznej coli.

Pamiętam, jak rodzice kłócili się na temat pieniędzy. Nie cierpieliśmy biedy - byliśmy zwykłą rodziną z klasy średniej, której czasem nie starczało do pierwszego, jeśli konieczne były jakieś nietypowe wydatki. Jednak, jak już bardzo wcześnie zauważyłam, moi rodzice należeli do osób żyjących dniem i uważali, że dodatkowy przypływ gotówki, taki jak premia czy zwrot podatku, najlepiej uczcić, wydając te pieniądze. Mnie również nie nauczyli zarządzania finansami. Nie dostawałam kieszonkowego ani nie doradzali mi, co mam robić ze swoimi zarobkami z wakacyjnego kelnerowania. Właściwie ich nie obwiniam, że musiałam sama sobie radzić. Nie, nieprawda - troszkę ich winię. Z pewnością wyszłoby mi na dobre, gdyby siadali ze mną w niedzielne popołudnie i uczyli, jak bilansować przychody i wydatki lub czym się różnią akcje od obligacji.

Na szczęście nie należę do osób traktujących zakupy jako formę rozrywki. Absolutnie nie jestem zainteresowana posiadaniem designerskich przedmiotów, którymi tak podnieca się Kate. Wiem, że bagno, w którym się znalazłam, nie jest spowodowane przepuszczaniem pieniędzy. Za to coraz wyraźniej sobie uświadamiam, że moim problemem jest niebywała zdolność ignorowania spraw niewygodnych, takich jak niezapłacone rachunki, przyjednoczesnej nieumiejętności zarządzania pieniędzmi, co stanowi niezwykle niebezpieczne połączenie.

Kiedy rodzice zmarli, nie potrafiłam pozałatwiać wszystkich dotyczących ich spraw finansowych. Po prostu byłam psychicznie niezdolna, by siedzieć w kancelarii prawniczej i rozprawiać o ich majątku, tak jakby to, co mi pozostawili, było wygraną z totolotka, z której powinnam się cieszyć. Wówczas wkroczyła babcia, która zajęła się ich polisą ubezpieczeniową i testamentem. Kiedy skończyłam studia, sprzedałyśmy dom, a uzyskane pieniądze przeznaczyłyśmy na spłatę pożyczki studenckiej oraz założenie niewielkiej lokaty oszczędnościowej.

Wbrew temu, co niektórzy myśleli, rodzice nie pozostawili mi zbyt wiele. Właśnie ta kwestia stała się przyczyną jednej z moich nielicznych ostrych kłótni z Kate - kłótni, która wykroczyła daleko poza nasze normalne sprzeczki. Było to krótko po tym, jak zdecydowałam się otworzyć piekarnię. Siedziałyśmy na podłodze w moim salonie i analizowałyśmy jeden z licznych arkuszy kalkulacyjnych, które mi pomagała

opracowywać, żebym mogła ocenić swoje początkowe koszty. Nagle poczułam się przytłoczona wysokością tych wszystkich liczb i zaczęłam jęczeć, że ten pomysł przerasta moje możliwości.

- Ale chwileczkę - przerwała mi Kate z błyskiem podniecenia w oku. - A co z pieniędzmi od rodziców?

- Jakimi pieniędzmi? - spytałam.

- No, z majątku, który po nich został... Po wypadku...

Dotychczas wcale nie rozmawialiśmy o ich śmierci. Kate nietypowo dla siebie starannie dobierała słowa.

- W zasadzie to nic nie ma. Tylko trochę oszczędności, których nie chciałabym całkowicie unicestwić przez to przedsięwzięcie.

- Jak to nic nie ma?

- Rodzice niewiele mi zostawili - wyjaśniłam. Zaczęłam przesuwając arkusze na podłodze. Nie miałam najmniejszej ochoty o tym rozmawiać.

- Co masz na myśli, mówiąc, że niewiele ci zostawili? - Nagle jej głos zaczął wyrażać niedowierzanie. Rzadko poruszałyśmy między sobą temat naszych tak różnych pozycji życiowych. W przypadku kogoś tak bogatego jak Kate nie było potrzeby mówić o tym głośno, a tu nagle ona właśnie zaczęła to robić.

- Nie wszyscy są dziećmi potentatów finansowych - warknęłam.

- Och, Waverly, daj spokój - ciągnęła, wyraźnie wkurzona moją uwagą. - Z pewnością coś jest.

- Prawdę mówiąc, nie - odparłam.

- To nie ma najmniejszego sensu.

- Ale to prawda.

- Ale to bez sensu - naciskała. - Czy byli całkiem nieodpowiedzialni w kwestiach finansowych? Wiem, że dużo nie zarabiali, ale...

Wtedy już nie wytrzymałam i wybuchłam:

- Kate, co mogę powiedzieć? Jedni z nas mają rodziców, którzy trafiają na listę najbogatszych magazynu „Forbes”, a inni takich, którzy ich kochają.

Nie odpowiedziała mi ani słowem. Podniosła się, złapała kluczyki i wyszła. Trzy dni później ona pierwsza się złamała i zadzwoniła. Udawała, że nic się nie stało, a ja z ulgą poszłam za jej przykładem. Parę lat później po swoim suto zakrapianym alkoholem przyjęciu urodzinowym powtórzyła ze śmiechem moje słowa. Kiedy się skrzywiłam, jeszcze raz się roześmiała i powiedziała, że mam już przestać się tym przejmować - ona też zachowała się okropnie.

* * *

Cieszę się, że dorastałam w rodzinie, dla której pieniądze nie były celem samym w sobie. Do moich najszczęśliwszych wspomnień należą nasze piesze wycieczki i tanie wakacje w przybrzeżnych motelach. Nigdy nie pragnęłam, żebyśmy mieli więcej, zwłaszcza kiedy się dostałam do ekskluzywnego liceum i przekonałam na własne oczy, jak pieniądze wpływają na ludzi. Nie zaprzeczę, że przyjemnie byłoby w szesnaste urodziny znaleźć na podjeździe nowy kabriolet marki BMW, co zdarzyło się kilku moim koleżankom z klasy, albo móc się włączyć do rozmowy, kiedy po przerwie

bożonarodzeniowej wszyscy porównywali swoje wrażenia z Karaibów. Ale przez dziewięćdziesiąt procent czasu jestem zadowolona, że rodzice nie nauczyli mnie przywiązywania zbyt wielkiej wagi do pieniędzy. Oczywiście, poza takimi sytuacjami, jak teraz, kiedy całe moje życie zaczęło się obracać wokół ich braku.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy następnego wieczoru przychodzę do Kate na kolację, nie zawracam sobie głowy pukaniem.

- Halo?? - wołam, otwierając ciężkie dębowe drzwi, a mój głos odbija się echem w ogromnym holu.

Na przeciwległej ścianie wisi portret prapradziadka Brendana w stroju do polowania na lisy. Mam wrażenie, że mężczyzna odwzajemnia moje spojrzenie, a na jego ustach maluje się kpiący półuśmiech. Natychmiast kojarzy mi się to z Brendanem przybierającym pozę, która dobrze wygląda na zdjęciu, na co kilka miesięcy temu zwróciła mi uwagę Kate, gdy analizowałyśmy zdjęcie z wiecu wyborczego zamieszczone w gazecie. Zawsze mnie dziwiło, że Kate właśnie ten obraz powiesiła na wprost wejścia, skoro, jak wiedziałam, sama woli bardziej nowoczesną sztukę. W naszym dawnym wspólnym mieszkaniu miała nad łóżkiem Rothko. Zawsze cholernie mnie przerażało, że mamy tak bezcenną rzecz w naszym nędznym, pozbawionym jakichkolwiek zabezpieczeń mieszkanku.

- Waverly! - woła Brendan, wychodząc zza narożnika. Nie spodziewałam się go w domu. Nie widzieliśmy się chyba od miesiąca. Nie jest w moim typie, bo nie przepadam za tak ślicznymi mężczyznami, ale obiektywnie muszę przyznać, że jest naprawdę przy-

stojny - gęste czarne włosy, zielone oczy i hollywoodzki uśmiech. Obejmuje mnie i parę razy delikatnie poklepuje po plecach. Pachnie tweedem i drewnem do kominka, co okazuje się całkiem udanym połączeniem.

Idę za nim przez hol do kuchni. Kuchnia Kate to marzenie - a jednocześnie takie marnotrawstwo! Ma profesjonalną kuchenkę La Cornue, nieskazitelne blaty z marmuru karraryjskiego i ogromną lodówkę, w której, jak wiem, trzyma przeważnie słono przepłacone snobistyczne przyprawy, wino, wodę San Pellegrino oraz dietetyczną colę, którą obydwójce pijają w domu. Kate nie gotuje, poza zrobieniem sobie czasem grzanek z serem. Kolejny dowód na to mam właśnie przed oczami, bo kiedy wchodzę do kuchni, wypakuje pojemniki z tajskim jedzeniem na wynos.

- To co sobie zaplanowałyście na dziewczynski wieczór? - pyta Brendan z przesadnym entuzjazmem w głosie. Ani na chwilę nie przestaje być politykiem. Kate sprawia wrażenie, jakby ją od tego mdliło.

- Nie wiem - odpowiadam. - Pewnie będziemy sobie pieprzyć o tym i o owym, co, Kate?

- Jestem tak cholernie zmęczona po tym dniu, że jest mi to kompletnie obojętne. Chcę po prostu odpocząć.

- Kate była dziś w Roanoke - wyjaśnia z uśmiechem Brendan. - Wygłosiła tam *wspaniałe* przemówienie w miejscowym liceum.

Wiem już o tym. Po wszystkim Kate zadzwoniła do mnie z samolotu i użalała się, że jej nastoletni słuchacze zwisali na swoich miejscach i wysyłali SMS-y,

kiedy mówiła. Nauczyciele podpierali ściany z pustym wyrazem twarzy, jak ofermi na szkolnych zabawach. Opowiedziała mi, że przemawiała na temat sukcesów publicznego szkolnictwa w Wirginii dokładnie przez osiem minut, zerkając w międzyczasie na zegarek położony na mównicy, i czekała na koniec swojego wystąpienia z taką samą niecierpliwością jak siedząca przed nią młodzież.

- Tak? A ciekawe, skąd wiesz, że wspaniałe? - warczy Kate.

Brendan nie mówi, że go wysłuchał. Nawet nie spogląda w jej kierunku.

- Waverly, czy wiesz, że hrabstwo Roanoke zostało uznane przez magazyn „Money” za jedno spośród dziesięciu najlepszych miejsc w USA, jeśli chodzi o pracę?

- O, Boże! Już się zaczyna - przerywa mu Kate.
- Brendan, Waverly nie przyszła tu wysłuchiwać twoich faktoidów na temat Wirginii. Jezu, czy ty w ogóle potrafisz jeszcze rozmawiać bez używania wyborczej sieczki?

- Ooo, ktoś tu jest dzisiaj w dobrym humorze - wykrztuszam.

Brendan się śmieje, ale jego śmiech jest wyraźnie sztuczny. Nie ma w nim ani krzty wesołości.

- Kate, jesteś pewna, że chcesz, żebym została? - pytam.

Przewraca oczami.

- Nic mi nie jest - stwierdza. - Tyle że miałam na prawdę, *naprawdę* długi dzień.

- A jeśli już o tym mowa - wtrąca Brendan, klaszcząc w dłonie i błyskając fotogenicznym uśmiechem
- muszę się zbierać. Bawcie się dobrze, dziewczyny.
- Kolejny raz obdarza mnie uściskiem, a zanim zdąży obejść ogromną wyspę, żeby dotrzeć do Kate, ona wyciąga ręce i mówi mu, żeby jej nie budził, kiedy późno wróci.

- Wiesz co, to mogę po prostu zostać w mieszkaniu
- proponuje Brendan. Czasem po późnych spotkaniach korzysta z mieszkania, które rodzice Kate utrzymują w Waszyngtonie.

- W porządku, jak sobie chcesz.

Odzywam się dopiero po usłyszeniu, że zatrząskują się za nim drzwi:

- O co tu chodziło?

- To znaczy? - Toczy po blacie w moją stronę plastikowy pojemniczek z bazylią.

- Nie byłeś dla niego zbyt miła. - Mówię to żartobliwym tonem, żeby jej nie wkurzyć. Jeszcze bardziej.

- J a j a sobie robisz?

- Mówię tylko...

- Nie masz pojęcia, o czym gadasz. Opowiem ci, co miałam dziś za dzień.

Zaczyna szczegółową opowieść, w której w dużej mierze powtarza te same narzekania, co podczas naszej rozmowy telefonicznej: jak to prywatny samolot, którym lecieli do Roanoke, z niewiadomej przyczyny wystartował z opóźnieniem, jak młodzi pracownicy, którzy jej towarzyszyli, przez większość czasu zachowywali się lekceważąco, głośno chrupiąc nachosy i plotkując o eki-

pach innych polityków, jak jedyną osobą zainteresowaną jej straszliwie nudną przemową, którą napisał dla niej zespół Brendana, był dziwaczny rybiokki nauczyciel historii, który poprosił ją o autograf...

Do kuchni wchodzi chesapeake bay retriever Kate i Brendana.

- Reagan! - mówię do niego pieszczotliwie i schylam się, żeby podrapać go za uszami. Brendan miał tego psa - i nadał mu imię - zanim poznał Kate. - Cześć, głupolku!

- Czy ty mnie słuchasz? - odzywa się Kate.

- Oczywiście.

Unosi brwi z niedowierzaniem.

Najchętniej bym jej powiedziała, że mam już dość jej ciągłych utyskiwań, a przyszłam tu dziś w nadziei, że na chwilę zapomnę o własnych problemach, które są *rzeczywiste* i o wiele bardziej *irytujące* - to słowo, którego Kate stanowczo nadużywa - niż męka, jaką jest przelot prywatnym samolotem z gromadką dwudziestokilkulatków, którzy nie mają ochoty całować ci tyłka.

Zamiast tego stwierdzam:

- Wygląda, że w tej chwili u ciebie niewesoło. A czy to wszystko w ogóle sprawia ci jakąś przyjemność?

- Nie wiem. Zresztą najwyraźniej to i tak nie ma teraz znaczenia. Chodź, pójdziemy do salonu.

Biorę swój pojemnik z curry i idę za nią przez hol.

Dom Kate jest piękny jak z katalogu, ale jednocześnie przytulny. Ona, podobnie jak ja, lubi drobne wygody i przyjemności - miękkie narzuty, świece

zapachowe, muzykę w tle. Oczywiście, w przypadku Kate nie jest to mieszanina sentymentalnych pamiątek, skarbów znalezionych na pchlim targu i drobiazgów z IKEA. Ona zauważa coś unikalnego w sklepie z antykami i każe to sobie wysłać do domu.

W salonie opadam na ogromny fotel i zrzucam buty, żeby móc położyć nogi na pufie. Pies wpycha mi łeb pod rękę, domagając się dalszego drapania. Ogień trzeszczy pod dębowym obramowaniem kominka.

- Potrzebne mi wakacje - stwierdza Kate, zabierając się za swoje *pad thai*.

- Przecież dopiero kilka dni temu wróciliśmy z Flo-rydy! - śmieję się.

- Chyba nie powiesz, że to były wakacje? - Unosi brwi.

- Było dziwnie, prawda? - Nie mogę się już doczekać, żeby jej powiedzieć o Amy i Mike'u.

- Było naprawdę dziwacznie. Przez cały czas czułam się spięta.

- Wydaje mi się, że bardzo zdenerwowałaś Amy.

- Przykro mi, Waverly, ale *ktoś* musiał coś powiedzieć.

- Wiem, ale mogłaś być bardziej taktowna.

- Cóż... - Wzrusza ramionami i wbija widelec w zawartość pojemnika. - Czy twoje jest dość ciepłe? Bo mogę podgrzać w mikrofalach.

- Nie, w porządku - mówię, przełykając, zanim przystąpię do wykładania jej mojej teorii. - Wiesz co? Myślę, że Mike ma romans. - Wyłuszczam jej swoje argumenty, a kiedy kończę, zaskakuje mnie jej zamyślenie.

- Wiesz, że możesz mieć rację - mówi w końcu.
- Naprawdę, sądząc po tym, co ostatnio dzieje się między mną a Brendanem, potrafię zrozumieć, dlaczego ludzie błędzą. Małżeństwo to ciężka sprawa. Mądrze z twojej strony, że tego unikasz.

Kate nigdy nie dogryzała mi, że nie wychodzę za mąż, tak jak to czasem robi Amy. Raz mnie spytała w charakterystyczny dla siebie, bezpośredni sposób, czy się tego boję, a ja jej odparłam, że tak. Mimo wszystko nie sędzę, żeby w pełni rozumiała, jak ogromnie mi zależy na zyskaniu pewności niezbędnej, bym mogła ruszyć dalej. Nie pojmuję, że bardzo bym chciała poślubić Larry'ego, tylko najpierw musiałabym samą siebie przekonać, że nasz związek będzie trwać wiecznie, że nic go nie zniszczy.

- Ostatnio sporo fantazjowałam o życiu, jakie prowadziłam przed Brendanem - ciągnie Kate. - Rano w samolocie zamknęłam oczy i udawałam, że lecę właśnie wykonać jedno z moich dawnych zadań reporterskich. Belize. Reykjavik. A pamiętasz tego profesora historii sztuki, którego poznałam podczas wyjazdu do Napa? Miał wspaniały apartament w Presidio...

- Oczywiście - kłamię. Kiedy Kate była singielką, kolekcjonowała mężczyzn jak karty baseballowe, więc jak miałabym ich wszystkich spamiętać. - Słuchaj, Kate, wiem, że nie masz czasu, ale może wzięłabyś jakieś zlecenie jako wolny strzelec? Wiesz, żeby trochę złagodzić tę tęsknotę.

- Nie. Nie, póki trwa kampania - mówi żałośnie, po czym pakuje sobie ogromną porcję makaronu do

ust. Przez chwilę gryzie, po czym ciągnie dalej. - Co za ironia losu. Dziś rano przypomniałam sobie, jak bardzo mi było spieszno do zmiany nazwiska po wyjściu za mąż. Tak się cieszyłam, że skończą się te pytania „Z tych Townsendów?”, kiedy się komuś przedstawię, a kelnerzy przestaną patrzeć na mnie z błyskiem oczekiwania w oczach, oddając mi kartę kredytową.

Krzywię się. *Pewnie, my biedni, prości ludzie z branży gastronomicznej... zawsze zebrajemy o napiwki* - myślę.

- Nie mogłam się doczekać anonimowości, a teraz, proszę, wygłaszam przemowy z mównicy, na której widnieje moje nazwisko. A na dodatek te spotkania wyborcze to taka cholerna nuda - ciągnie. - Dziś podczas tego wystąpienia nawet nie myślałam, co mówię. Tyle razy już powtarzałam to samo przed tak różnymi grupami, że mi nawet nie przyjdzie na myśl, żeby przerwać i się zastanowić, co znaczą słowa, które wypowiadam. To jak odgrywanie roli. To jest... jest takie... - Nie może znaleźć słowa. - Takie *bezduszne*. Przywołuję sztuczny uśmiech i podkreślam słowa, które mi kazali, jakbym akcentowała właściwe nuty w piosence: „Edukacja, na jaką ZASŁUGUJECIE! To WY jesteście największą inwestycją!”.

- Czy Brendan wie, co czujesz?

Kate wybucha śmiechem.

- Dziś byliśmy razem w domu po raz pierwszy od tygodnia, przy czym on zdążył pobyć chyba z dziesięć minut, zanim przyszłaś. Potem, jak sama widziałas, zwinął się i znów wyszedł. Całe szczęście, że zjawiłaś się akurat w tym momencie, bo wyglądało, że jest w na-

stroju do robienia dzieci. Dzięki tobie miałam dobrą wymówkę.

Teraz ja się śmieję.

- W i ę c jesteś pewna? Żadnych dzieci?

Zamiast odpowiedzi tylko na mnie patrzy. To było głupie pytanie.

- Poza tym - odzywa się po chwili - właśnie się dowiedział, że ma wystąpić w programie „Meet the Press” w najbliższą niedzielę, więc pewnie przez kilka dni go nie zobaczę.

- Naprawdę? To super! Prawda?

- Tak, oczywiście. To wspaniale, że pozna go tyle osób w całym kraju. Ale to jest jedna z tych rzeczy, jak większość w tej kampanii, które moim zdaniem powinniśmy świętować razem, a tak nie jest. Czuję, jakby stawał się dla mnie kimś obcym. Zastanawiam się nawet, na ile jeszcze pasuję do jego planów. A właściwie, czy w ogóle zależy mi na jego planach. Moje życie składa się teraz w większości z tego, przed czym tak uciekałam w młodości - protokołów, publicznego wizerunku i poczucia, że reszta świata może sobie normalnie żyć. Czy pamiętasz, jaka *kiedyś* byłam?

Kiwam energicznie głową.

- O, tak!

- Szalona - stwierdza.

- Coś w tym rodzaju - mówię. To znaczy, nie do tego stopnia, żeby się nadawała do wideoklipu Madonny „Girls Gone Wild”, ale była bez porównania bardziej niezależna i wyluzowana, no i miała w sobie tyle radości życia. Gdy była u szczytu swojej krótkiej,

ale błyskawicznie rozwijającej się kariery reporterki, często nawet nie wiedziałam, w jakim jest kraju, a co dopiero, w jakiej strefie czasowej. Kiedy wracała, miała mnóstwo ciekawych rzeczy do opowiedzenia. W tamtym okresie miałam okazję poznać prawdziwą głębię jej natury, wyraźnie widoczną w tym, jak mówiła o ludziach i tradycjach kulturowych, które poznawała, oraz radości odkrywania spraw i miejsc, których nie rozumiała lub nie znała. Brakuje mi tego aspektu jej osobowości, a jak widać, ona też za nim tęskni. Było wiadomo, że kampania ją wyczerpuje, ale nie sądziłam, że doprowadzi ją do punktu, w którym będzie tak poważnie kwestionować swoje decyzje. Wiem, że to samolubne, ale czuję pewną ulgę na myśl, że nie tylko ja się zastanawiam, czy dokonałam dobrych wyborów.

- Rzecz w tym, że mogę winić wyłącznie siebie
- ciągnie Kate. - Kiedy Brendan oświadczył, że jest gotów na ten krok, było to dla mnie jak... nie wiem... jak napięcie się wody po bardzo długiej wędrówce przez pustynię. Od pewnego czasu nie pracowałam zawodowo, więc wspaniale było znowu mieć coś ważnego do robienia. A teraz, gdy natknę się na jego zdjęcie w gazecie, szybko przewracam stronę albo wpycham ją do torebki... żeby nie patrzeć na jego cholerną uśmiechniętą twarz.

- To niedobrze.

- No, nie.

- I co zamierzasz zrobić?

- To znaczy?

- Przecież wyraźnie widać, że jesteś nieszczęśliwa i chciałabyś mieć coś swojego, coś, co da ci osobistą satysfakcję. Więc pytam, co zamierzasz w tej sprawie zrobić?

Kate śmieje się niewesoło.

- I to jest właśnie różnica między nami, Waverly. Nic nie mogę zrobić. Nie mam takich możliwości wyboru jak ty, będąc sama. Nie musisz o nikogo się martwić poza sobą. Twoje życie jest o wiele prostsze. Nawet nie wiesz, jaką jesteś szczęściarą.

Nie wiem, czy się śmiać, czy cisnąć jej w głowę moim jedzeniem.

- Tak, oczywiście. Być właścicielką małej firmy, która ledwo sobie radzi, to sama przyjemność. To *proste*, rzeczywiście. Właśnie tego słowa bym użyła, żeby opisać swoją sytuację.

Kate wzdycha.

- Chodzi mi o to, że stawki są zupełnie inne. Twoja piekarnia jest świetna. Widzę to, bo przecież niemal codziennie tam jestem. Wiem, że ciężko pracujesz, żeby tak było, ale to przecież nie to samo, co startowanie na gubernatora.

- Nie do wiary, że coś takiego mówisz.

- A co? Czy to nieprawda?

- Przecież to dwie zupełnie różne rzeczy! - wrzeszczy. - To jakbyś porównywała pracę policjanta i chirurga. Z każdą z nich wiążą się inne problemy i napięcia, a wierz mi, że w mojej pracy jest ich mnóstwo.

- Tak, ale... - Potrząsa głową.

- Ale co?

- To po prostu coś innego. A, zapomnij, że cokolwiek powiedziałam. - Zaczyna się wycofywać. Wie, że jestem wkurzona.

- Chcesz wiedzieć, co to jest ciągła presja, Kate? - pytam.

- Waverly, daj spokój. Nie chciałam cię rozzłościć.

- *Tyle* mi brakuje, żebym straciła firmę. Czy to jest presja?

- Oj, przestań. Nie stracisz. - Potrząsa głową. - Zawsze, kiedy przychodzę, jest tam pełno.

- Nie masz pojęcia, o czym gadasz - stwierdzam, wściekła na siebie, że głos mi się załamuje i łzy napływają do oczu.

- Już w porządku, w porządku! - Widzę, że Kate jest zaskoczona moją reakcją. - Więc mi opowiedz. Co się dzieje?

Biorę głęboki oddech. Mogłabym jej powiedzieć o przeterminowanych płatnościach, zamrożeniu pensji, groźbie zwolnień... Ale patrząc na nią, ubraną w kaszmirowy strój domowy - bo Kate należy do osób mających piżamy wymagające czyszczenia chemicznego - uświadamiam sobie, że to bez sensu. Nigdy w życiu nie zrozumie, przez co teraz przechodzę, a nie potrzebuję jej litości.

- Właściwie to nic. - Przyciskam palcami skronie i przerywam, żeby wziąć głęboki oddech. - Poradzę sobie z tym.

- Jesteś pewna?

- Tak, na pewno. Po prostu miałam strasznie ciężki dzień. Wszystko się spiętrza, kiedy się wyjedzie na cały weekend.

- Rozumiem, jak to jest - mówi.

Zamykam oczy i staram się skupić. Chciałabym mieć dość energii, żeby jej powiedzieć, że za każdym razem, kiedy usiłuje mi wyrazić swoje współczucie, udowadniając, że przeżywa równie ciężkie chwile, mam ochotę dać jej w twarz.

Zamiast tego odchrząkuję.

- A wracając do Amy i Mike'a - zmieniam temat, wiedząc doskonale, że ma mi to pomóc przestać myśleć o własnych problemach - co twoim zdaniem powinnyśmy zrobić w tej sprawie?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Stoję przy stole roboczym za ladą, przyozdabiając tacę walentynkowych babeczek cukierkami w kształcie serc, kiedy do piekarni wchodzi Amy z Emmą.

- O, cześć! - mówię i odkładam łoPATKĘ.

Przez tydzień, który minął od naszego powrotu z Florydy, nie widziałam się z Amy i nawet nie próbowałam do niej zadzwonić. Niby mam wytłumaczenie - nawet zajęć - ale tak naprawdę, to jej unikałam, bo wciąż nie podjęłam decyzji, czy i jak porozmawiać z nią na temat Mike'a.

Ostatnio Kate stwierdziła, że zdecydowanie powinnam podzielić się z Amy swoimi podejrzeniami. Normalnie zaskoczyłoby mnie, że okazuje zainteresowanie tą sytuacją, ale dobrze zdaję sobie sprawę, że nie chodzi jej o szczęście Amy, tylko przekonanie się, czy moja hipoteza okaże się trafna. Nie wydaje mi się, by Kate *chciała*, żeby Amy zerwała z Mikiem - nawet ona nie jest tak bezduszna, by *życzyć* komukolwiek rozwodu, a już na pewno nie parze z małym dzieckiem - ale czuję, że z przyjemnością powitałaby okazję, by raz na zawsze wyrzucić Mike'a z życia naszej trójki.

Emma się ociąga, wlokąc za sobą plecak z nadrukiem „Dora poznaje świat”.

- No chodź, Emmo - mówi Amy. - Chodź, przywitasz się z ciocią Waverly.

- Czyżby prosto ze szkoły? - pytam.

- T a k . I z miasta. Musiałam zawieźć ciuchy do pralni chemicznej, kupić jedzenie, wskoczyć na pocztę... Ach, to moje wspaniałe życie - śmieje się. - Od godziny marzę o jednym z tych herbatników z cheddarem - mówi i wskazuje na nie palcem. - Zostaniemy tylko na chwilkę, bo zostawiłam jedzenie w samochodzie. Emmo, przywitaj się z ciocią Waverly.

Emma spogląda na mnie z dołu, nieśmiało uśmiechając się i kołysząc z boku na bok.

- Mogę jej dać ciastko? - pytam bezgłośnie.

Amy kiwa głową.

- Zobacz co dla ciebie mam, Emmo - mówię, sięgając do szklanego słoja stojącego na ladzie. Zawijam ciasteczko w serwetkę, schylam się i podaję małej. Emma uśmiecha się do mnie radośnie. Odziedziczyła po ojcu wielkie, brązowe oczy.

- Podziękuj - poucza Amy, figlarnie czochrając córkę po włosach. - I co, jak ci minął tydzień od powrotu? Żałujesz, że nie mogliśmy dłużej zostać na Florydzie? - pyta.

- No, wiesz... - Podchodzę do radia, żeby ściszyć „Purple Rain”. Amy i Emma wpadły akurat podczas spokojnej godziny poprzedzającej nalot osób wpadających w przerwę na kawę i uczniów wracających ze szkoły. Oprócz dwóch siwych mężczyzn czytających różne strony tej samej gazety przy jednym ze stolików koło okna i studentki zawzięcie piszącej coś na

laptopie, nie mam innych klientów. - Zawsze jestem szczęśliwa, gdy widzę, że moja piekarnia doskonale sobie radzi beze mnie, nawet jeśli lubię sobie wmawiać, że jestem niezastąpiona.

Postanawiam nie wspominać o tym, jak po powrocie odkryłam, że w kasie brakuje stu dolarów, po czym spędziliśmy z Randym większą część tygodnia, usiłując dociec, kto zabrał pieniądze. Złodziejką okazała się dziewczyna z ostatniej klasy liceum, której ojciec - jeden z moich stałych klientów - załatwił u mnie bezpłatną praktykę, tłumacząc, że córka zastanawia się nad pójściem do szkoły kulinarnej i chciałaby zdobyć trochę doświadczenia.

- Mam dla ciebie prezencik! - rzuca Amy i uśmiecha się szeroko. Otwiera wielką torbę i próbuje coś wygrzebać spomiędzy książeczki z kuponami, kubka niekapka i opakowania chusteczek do dezynfekcji dłoni, którego zawartość lada moment wysypie się na podłogę. - O! Proszę - mówi, wyciągając buteleczkę perfum. - Kwiat pomarańczy. Rzuciły mi się w oko w sklepiku, który kilka dni temu otworzyli koło naszego domu. - Amy puszcza do mnie oko. Podczas naszej wizyty na Florydzie zwróciłam uwagę na artykuł o perfumach w „Vogue'u” Kate i wspomniałam, że uwielbiam ten zapach.

- Amy, ty to zawsze o mnie myślisz! - mówię. *Cała Amy*. Przechyliłam się przez ladę, żeby ją przytulić. - Dziękuję.

- Drobiazg. Mam nadzieję, że ci się spodoba. Poza tym przyznaję się, że już kilka razy się nimi skropiłam.

- Dziękuję ci bardzo - mówię i odstawiam flakonik, żebyś mógł wyjąć dla niej herbatnik. - Podgrzać ci go? - Podnoszę go, żeby mogła się przyjrzeć.

- Nie, nie, taki może być - odpowiada, ściągając Emmie rękawiczki, które utrudniają jej jedzenie ciastka. - Nie chcę ci przeszkadzać. - Wskazuje na tacę częściowo polukrowanych babeczek. - Usiądziemy sobie przy stoliku i zjemy nasze smakołyki, a ty dalej pracuj.

- Możesz śmiało do mnie mówić - uspokajam ją. - Lukrowanie babeczek to nie rachunek różniczkowy.

- Wiem, ale za trzy dni walentynki. Na pewno masz mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Nie obraziłabym się, jakbym miała więcej - stwierdzam.

- Co masz na myśli?

- A, nic takiego.

Dzisiaj wczesnym rankiem, kiedy najwyraźniej byłam jeszcze zbyt śpiąca, by wiedzieć, co robię, podjęłam masochistyczną decyzję, że spędzę pierwszą godzinę pracy, porównując wyniki sprzedaży z tego tygodnia z wynikami z poprzednich pięciu lat. Okazało się, że choć klienci wciąż zamawiają torty czekoladowe i ciasteczka w kształcie serduszek, to w sumie idzie nam znacznie gorzej niż w lutym ubiegłego roku. Nie otrzymałam ani jednego zamówienia cateringowego na imprezę walentynkową (albo antywalentynkową - jak wtedy, kiedy klient poprosił mnie o ozdobienie tortu wizerunkiem Kupidyna strzelającego sobie w głowę), a balony, bombonierki i pikantne kartki pocztowe, które pozamawiałam, nie sprzedają się tak, jak ocze-

kiwałam. Zostało mi się modlić, żeby w same walentynki pojawiły się tłumy zapominalskich chłopaków i mężów, na których dotychczas zawsze mogłam liczyć i których chyba nie doceniałam.

Przyglądam się Amy prowadzącej Emmę do jednego z ustawionych na środku lokalu kawiarnianych stolików z mozaikowymi blatami i przypominam sobie, jak wspólnie z Kate i Amy układałyśmy i glazurowałyśmy te mozaiki w ostatnią sobotę przed otwarciem cukierni. Wtedy wydawało mi się, że to głupi pomysł. Ostatnie tygodnie przed rozpoczęciem działalności byłam tak zabiegana, że naprawdę trudno było uzasadnić dodawanie sobie niepotrzebnych zajęć, czego zresztą Kate - dogłębnie przekonana, że nie warto robić samodzielnie czegoś, co można kupić - nie omieszkła wyrzucać mi do końca dnia. Nie żałuję jednak tej decyzji. Za każdym razem, kiedy przypomnę sobie o istnieniu jednego z tych stolików, wracam myślami do chwil, które spędziłyśmy w tym niegdyś pustym pomieszczeniu, śmiejąc się i marząc. Była to jedna z rzadkich okazji do uspokojenia się w tym burzliwym okresie.

Co ciekawe, w obecnej sytuacji czuję się usprawiedliwiona, że moje tchórzliwe alter ego cały czas krytycznie analizuje słuszność decyzji o otwarciu piekarni. *Czy to głupota, zrezygnować z regularnej pensji?* - rozmyślam. Teraz, kiedy nie mam pensji, tamta decyzja nie wydaje się najmądrzejsza. *Czy dla Maple Hill ma jakiegokolwiek znaczenie, czy umiem upiec pyszne bułeczki?* Może i nie. *Czy podjęłam zbyt duże ryzyko, wykorzystu-*

jąc dom jako zabezpieczenie pożyczki na otwarcie firmy?

O tym wolę nawet nie myśleć. *Nie mogę* się posunąć w spekulacjach aż tak daleko. I nie mogę też uwierzyć, że mój los zależy od pieprzonych babeczek i kanapek z sałatką z kurczaka.

Przyglądam się, jak Amy zdejmuje Emmie płaszczyk. Nawet jeśli moje przyjaciółki mają problemy w swoich związkach, to i tak im zazdroszczę ich dorosłego życia. Czasem mam wrażenie, że postępują ściśle według wskazówek sekretnego niebiańskiego podręcznika, który nigdy nie trafił w moje ręce. Wygląda na to, że zawsze wiedzą, co mają zrobić w następnej kolejności, tak jakby podjęcie decyzji o małżeństwie, rzuceniu pracy czy macierzyństwie było równie proste, jak poruszanie się po tych dawnych plakatach do nauki tańca - z wydrukowanymi pozycjami stóp. Nie dalej jak wczoraj wieczorem Kate oświadczyła, że zamierza porozmawiać z Brendanem o wzięciu kilku tygodni wolnego od kampanii, żeby odpocząć i wrócić do pełni sił przed prawyborami w czerwcu. Zupełnie, jakby to było takie proste, zrobić sobie przerwę w kampanii. Ale potem sobie uświadomiłam: dla niej jest. Ona potrafi po prostu zmienić kurs. Żadnych reperkusji. A przynajmniej takich, jakie miałyby miejsce w moim wypadku.

Amy odwraca się i zauważa, że na nią patrzę.

- Paskudnie jest wrócić w tę zimną pogodę, co? - odzywam się.

- No, zdecydowanie. - Przewraca oczami i znów zaczyna się zajmować Emmą.

Zazwyczaj, kiedy wpada do piekarni, nawet nie siada, tylko stoimy przy ladzie i rozmawiamy, tak że do tej pory omówiłybyśmy już z pięć czy sześć ploteczek. Zastanawiam się teraz, po co przyszła, jeśli nie chce ze mną rozmawiać.

- I jak Mike sobie poradził z rolą samotnego ojca, gdy cię nie było? - zagaduję, licząc, że zachęcę ją do rozmowy. Amy nade wszystko uwielbia mówić o Emmie.

- Hmmm? - Spogląda na mnie, jakby nie dosłyszała.

Ale dobrze mnie słyszała.

W tym momencie odzywa się dzwonek zawieszony nad drzwiami i wchodzi gromada nastoletnich dziewcząt, chichotami i krzykami budząc cukiernię z popołudniowej drzemki. Wszystkie są ubrane w takie same jasnoniebieskie dresy z napisem „Licelna drużyna koszykówki Maple Hill” na plecach bluz. Zerkam na Emmę, która wygramoliła się z krzesełka i stoi jak zahipnotyzowana, gapiąc się na dziewczęta i bezwiednie kręcąc prawą stopą wokół lewej nogi, jak pijana baletnica. Zlizuje okruchy ciasta z dłoni.

- Ojej, ale ona słodka - odzywa się jedna z nastolatek i szturcha łokciem ciemnowłosą koleżankę.

- Ojejku! Cześć! - mówi druga i macha do Emmy, która natychmiast biegnie do Amy i chowa twarz w zagięcie jej łokcia.

Przyjmuję zamówienia od koszykarek. Herbatniki i ciasteczka, kawałki ciasta i bajgle z serkiem śmietankowym. Jedna z dziewczynek prosi nieśmiało o ba-

beczkę, którą akurat skończyłam dekorować. Ich głosy górują nad rozmowami pozostałych gości.

- Ale co z ich rozgrywającą?

- A wiesz, że on odmówił, kiedy zaprosiła go na imprezę, a zgodził się pójść z tą pierwszoklasistką?

- Mam nadzieję, że trenerka Brewer nie ma dziś swoich cholernych humorów. Nie mam ochoty na te mordercze biegi.

- Chybabym umarła, gdyby to mnie spotkało. Naprawdę, umarłabym!

- Macie dziś mecz? - pytam tyczkową dziewczynę z rudymi włosami, podając jej dietetyczną colę. Już teraz widać, że zanim skończy dwudziestkę, będzie wyglądać olśniewająco.

- Tak, gramy z najlepszą drużyną w naszej lidze - odpowiada, wpychając resztę do portmonetki Hello Kitty.

- Powodzenia! - uśmiecham się do niej. Dziewczęta wypadają na dwór równie szybko, jak weszły, po drodze machając do Emmy.

- Emmo, powiedz „Pa, pa” - instruuje ją Amy i unosi jej rączkę, żeby pomóc machać.

- Pa, pa! - woła za nimi Emma, która nabrała odwagi, widząc, że wychodzą.

Drzwi się zamykają za ostatnią z dziewcząt. Przez okno widzę, jak podążają w stronę ulicy, a kiedy patrzą w prawo i w lewo, żeby przejść na drugą stronę, usta wszystkich poruszają się jednocześnie. Po chwili przebiegają przez jezdnię, część ramię w ramię, jedna ciągnie koleżankę za bluzę, a jeszcze inna wysuwa się do przodu.

- Ach, być znowu młodym - wzdycham.

- Tak - odpowiada Amy.

Spoglądałam na nią i widzę wyraźnie, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Nie wiem, dokąd wróciła wspomnieniami, ale to chyba niezbyt miłe miejsce. Kąciki ust ma opuszczone i kuli się, jakby chciała zatrzymać w sobie ciepło. Emma spaceruje po cukierni, mówiąc do siebie śpiewnym głosem.

Dosyc tego - myślę. Wycieram ręce w ściereczkę, którą noszę w fartuchu - mój odpowiednik przytulania - i wychodzę zza lady.

- Hej - mówię, siadając naprzeciw Amy. Nie zauważa mnie i dopiero szuranie krzesła, które przysuwam bliżej do stolika, zwraca jej uwagę.

- Aaa, hej - odpowiada. - Boże, na chwilę odpłynęłam. - Rozgląda się, żeby sprawdzić, co robi Emma, która akurat wspina się na ławkę w jednym z boksów pod przeciwległą ścianą. - Kotku, uważaj! - woła do niej. Teraz, kiedy jestem tak blisko, widzę, że ma szkliste oczy.

- To co, macie z Mikiem jakieś superplany na walentynki? - Amy uwielbia walentynki, cały ten róż, kwiaty i wszechobecną słodycz. Zanim pojawił się Mike, co roku dawała Kate i mnie czekoladki w wielkich pudełkach w kształcie serca.

- Walentynki. Hmm... - odpowiada, jakby właśnie pierwszy raz o tym pomyślała. Wiem, że to niemożliwe. - No, na pewno coś tam zrobimy. Szczerze mówiąc, to w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Byłyśmy na tym wyjeździe, a teraz mam tyle roboty, że wyleciało mi to z głowy. - Obraca się na krześle, żeby rzucić okiem na Emmę. Znowu.

Widzę, że kłamię. Amy nic nie „wylatuje z głowy”. W jej kalendarzu wszystkie ważniejsze okazje są pozaznaczane kolorowymi mazakami.

- Ame, co się z tobą dzieje?

- He? - Odwraca się twarzą do mnie, ponownie udając, że nie dosłyszała.

- Nic ci nie jest?

- Nie - odpowiada i uśmiecha się szeroko. Na policzki wypływają jej różowe rumieńce. Potrząsa głową.
- Jestem po prostu zmęczona. Nie mogłam wczoraj zasnąć. Całą noc się przewracałam. - Odgarnia włosy za uszy i pociera nos.

Przyglądam się jej przez chwilę i przypominam sobie słowa Kate, która z charakterystyczną dla siebie subtelnością doradziła mi, bym „przestała być taką pipą i ją wreszcie zapytała”. Odchrząkuję.

- Słuchaj - zaczynam. Prawa ręka ucieka mi do fartucha i zaczyna skubać obrzeże mojej ściereczki. - Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, ale ostatnio wyraźnie coś ci doskwiera.

Amy nie odpowiada. Wpatruje się w blat, na którym spoczywa moja druga ręka. Na środkowym palcu lewej dłoni mam pierścionek z opalem po mamie, a na nadgarstku pomarańczowy sportowy zegarek, który został mi jeszcze z czasów studenckich. Zwracam uwagę, że przez cały ten czas Amy ledwie skubnęła narożnik swojego herbatnika.

- Dać ci coś innego? - Wskazuję na niego palcem.

- Nie, nie - odpowiada. - Chyba wcale nie byłam tak głodna, jak mi się zdawało. Schowam go na póź-

niej. - Znów spogląda na mozaikowy blat i prowadzi palec wzdłuż krawędzi czerwonego trójkąta pochodzącego ze zbitego porcelanowego naczynia. - Ostatnio dużo się kłócimy z Mikiem - mówi cichym głosem, nie odrywając wzroku od stołu.

- Chcesz o tym porozmawiać? - Wyciągam rękę w poprzek blatu i ściskam jej dłoń. - Wyglądasz, jakby cały świat zwalił ci się na głowę.

- Nie no... po prostu... - przygryza wargę. Spogląda na Emmę, a ja podążam za jej wzrokiem. Emma leży na plecach na ławce i układa wyciągnięte w górę dłonie w różne kształty. - Wczoraj mieliśmy okropną awanturę i w ogóle nie spałam.

- Chcesz mi opowiedzieć, o co poszło? - Posuwam się ostrożnie do przodu.

- Uch... - Potrząsa głową.

- Ame, proszę. Przecież wiesz, że możesz ze mną porozmawiać o wszystkim.

- No wiem - odpowiada Amy. - Wiem. - Mówi to w taki sposób, że trudno ocenić, którą z nas próbuje przekonać. - Ta kłótnia była zupełnie bez sensu. Nie wiem, czemu takie drobiazgi tak bardzo mnie denerwują. Powiedziałam Mike'owi, że podczas wyjazdu się za nim stęskniłam i z tego jakoś zeszło na temat, że chciałabym, żebyśmy spędzali razem więcej czasu. Od kiedy urodziła się Emma, właściwie nie robimy nic romantycznego. - Amy znowu spogląda na córkę, a ja zaczynam się zastanawiać, czy robi to tylko po to, żeby nie musieć patrzeć na mnie.

- A Mike podziela twoje zdanie?

- Na jaki temat? - wygląda, jakby nie rozumiała, o co mi chodzi.

- Czy również uważa, że nie spędzacie ze sobą dość czasu?

- Ymm... - Amy bierze głęboki wdech. - On, no... nie chce o tym rozmawiać. Jak to typowy facet. - Rzuca mi wymuszony uśmiech, ale kiedy go nie odwzajemniam, poważnieje i mówi dalej. - Na co dzień jest przytłoczony nadmiarem pracy, przez cały weekend sam opiekował się Emmą, co go na pewno wykończyło, a potem jeszcze musiał słuchać mojego narzekania. Więc się zdenerwował. - Amy skacze wzrokiem po całym pomieszczeniu, starannie omijając moją twarz.

- No dobrze, ale masz prawo czuć się przygnębiona. Przestań usprawiedliwiać jego zachowanie.

- Wiem. Masz rację - odpowiada, trochę przesadnie kiwając głową, jakby próbowała przekonać samą siebie.

Przez chwilę milczymy. Niejestem przekonana, czy Amy jest tego samego zdania co ja.

- Posłuchaj, nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy - zaczynam. - I mam nadzieję, że się nie obrazisz... - Przerywam i przełykam ślinę. - Ale Mike ostatnio naprawdę wydaje się jakiś inny.

Amy znów kiwa potakująco głową.

- Rozumiem, co masz na myśli. Jest trochę zestresowany. .. praca, no, wiesz. Przy tym wszystkim, co się teraz dzieje w służbie zdrowia, praca lekarza rodzinnego daleka jest od sielanki.

Nie chodzi o to, że jej nie wierzę, ale jeśli kłopoty w pracy dają prawo do takich zachowań, jakie prezentuje Mike, to ja powinnam już dawno dostawać napadów wściekłości i demolować hotelowe pokoje jak zdemoralizowane gwiazdy.

- Ale czy ty radzisz sobie z tym wszystkim? - pytam.

- Oczywiście. Wszystko u nas w porządku.

Natychmiast zwracam uwagę, że choć pytałam o nią, odpowiedziała mi w liczbie mnogiej. Takie przeżyczenie zdarza się wielu osobom mającym stałych partnerów, a poza tym rozmawiamy przecież o jej związku, ale mimo to jej słowa na nowo podsycają we mnie podejrzenie, że nie jest ze mną szczerą.

- To po prostu trudny okres. Tyle spraw się na siebie nakłada... Praca, dziecko i wszystko... - Spogląda na Emmę. - Kotku, choć tutaj, proszę - woła.

- Skoro chciałybyś spędzać więcej czasu razem, to jak myślisz, co właściwie w tym przeszkadza? To znaczy... czy Mike'a często nie ma? Czy pracuje do późna? - pytam. Niestety, okazuje się, że nie ma delikatnego sposobu, by spytać: „Czy nie przyszło ci do głowy, że mąż cię zdradza?”.

- O co ci chodzi? - Amy spogląda na mnie pytająco.

- Nie wiem... - Daremnie szukam odpowiednich słów. - Naprawdę... nie wiem. - Przede wszystkim to chyba nie jest odpowiednia pora, żeby poruszać ten temat. W każdej chwili może przyjść klient, którego będę musiała obsłużyć, albo zacznie dzwonić telefon. Emma kręci się w pobliżu... - Po prostu, to okropnie widzieć cię taką nieszczęśliwą.

Amy aż zachłystuje się ze zdumienia.

- Czy naprawdę wyglądałam na aż tak nieszczęśliwą?

- Cóż... - Wzruszam ramionami. - Przykro mi, ale tak. Trochę się martwię.

- Naprawdę, Waverly? - Droczy się ze mną i przechyla głowę na bok, jakbym z niej kpiła. - Daj spokój. Nic mi nie jest.

Zaciskam wargi i unoszę brwi.

Amy potrząsa głową, po czym przykłada do brzegu stolika dłoń i zaczyna zgarniać na nią okruchy. Pakuje je w serwetkę i zawija.

- Wszystko jest w porządku - mówi. - To po prostu trudny okres - powtarza. - Nie masz czym się martwić. Podnosi się. - Emmo, chodź, kotku, musimy iść.

Obraca się do mnie.

- Przepraszam, ale mam jedzenie w samochodzie. Zupełnie zapomniałam.

- Oczywiście. Zadzwoń do mnie później. - Natychmiast ogarnia mnie poczucie winy, jakbym przekroczyła linię, której przekraczać nie wolno.

- Pewnie - odpowiada, ale jest to obietnica rzucona od niechcenia, a nawet wręcz pasywno-agresywna.

Patrzę, jak wychodzą. Amy pomaga Emmie założyć płaszczyk, bo tak się spieszy, że nawet się nie zatrzymała, żeby to zrobić. Z Kate często się kłócimy - jak stare, dobre małżeństwo, mawia Larry - ale z Amy nigdy dotąd nie doszło do żadnej konfrontacji. W rezultacie ta drobna, łagodna sprzeczka wydaje mi się okropna i budzi we mnie złe przeczucia, jakby zmieniło się to, co nas łączy.

Tata zawsze mnie ostrzegał, żeby nie udzielać nieproszonych rad, i boję się, że posunęłam się za daleko, chociaż niemal nie krytykowałam Mike'a. Bardzo mnie niepokoi napięcie, które wyczuwam w Amy. Oczywiście, nieraz widywałam ją zdenerwowaną, ale jej uczucia zawsze były widoczne jak na dłoni. Czy była wesoła czy smutna, można było to od razu rozpoznać, jak u dziecka. Również kiedy opowiadała o swoich problemach, robiła to w buńczuczny sposób, jakby już знаła rozwiązanie, a z tobą tylko dzieliła się informacjami, nie szukając pomocy. Dlatego teraz tak się martwię, bo wyraźnie się wzbrania przed przyznaniem, że dzieje się coś złego.

Dziwne, myślę, wstając i idąc z powrotem do moich babeczek, że właściwie nie można otwarcie porozmawiać z przyjaciółką o jej związku po tym, jak weźmie ślub. Pamiętam, że kiedy Amy i Mike zaczęli się spotykać, byłam na bieżąco z najdrobniejszymi szczegółami. Mogę dokładnie opowiedzieć, jak się poznali. Razem z Kate i Amy byliśmy na imprezie z okazji Dnia Niepodległości odbywającej się na dachu budynku kancelarii prawniczej na K Street. Stałyśmy z Amy przy bufecie, pakując sobie do ust parówki zapiekane w cieście, kiedy ona gwałtownie się odwróciła i zderzyła z Mikiem, wylewając zawartość plastikowej szklanki z winem na przód jego koszulki polo. Strasznie się zawstydzila i zaczęła osuszać wino pogniecioną serwetką, którą trzymała w ręku. On się roześmiał, przyniósł jej następnego drinka, potem jeszcze następnego, a kilka godzin później, kiedy już omówili wszystko,

od swoich zwierzątek domowych z dzieciństwa po ulubione przedmioty na studiach, oglądali fajerwerki wybuchające nad Pomnikiem Waszyngtona, trzymając się za ręce.

Kiedy w następnych miesiącach zacieśniali znajomość, rozmawialiśmy o wszystkich dotyczących go sprawach, od jego skąpego udzielania informacji o rodzinie po jego niechęć do robienia jej minety. Wiem, że kiedy mieli pierwszy raz uprawiać seks, przygotował całą scenografię, ze świecami i płatkami róż. I wiem też, że Amy zostawiła sobie połówki biletów po ich pierwszej randce w kinie.

Ale zaraz po ich ślubie te rozmowy się skończyły. Tak samo było z Kate. Kiedy poznałam Brendana, pomyślałam, że to wprawdzie dość miły facet, ale jest takim samym aroganckim i zarozumiałym upierdliwcem, jak mężczyźni, którzy nas otaczali, gdy dorastaliśmy. Kate mówi mniej więcej to samo, ale nigdy, *przenigdy* nie przyznałabym jej głośno racji. Takich rzeczy po prostu się nie robi. Ja też byłabym wkurzona, gdyby one krytykowały Larry ego.

Jednak rzecz w tym, że kiedy skończyły się te nasze dziewczęce pogaduszki, urwały się też wszelkie wartościowe informacje o mężach moich przyjaciółek. Amy i ja poznałyśmy się przez lata tak dobrze, że można by ją porównać do ulubionej starej fotografii, oglądanej tak często, że mogę odtworzyć w pamięci wszystkie jej szczegóły. Mike natomiast jest bladym rysunkiem wykonanym ołówkiem, dwuwymiarowym i ledwie mi znanym. Nie mogę się pogodzić z tym, że tak duża

część jej życia pozostaje dla mnie tajemnicą. I w pewien sposób to narastające między nami milczenie odbieram jak najgłośniejszy alarm.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jeszcze nie wysiadłam z samochodu, a już słyszę muzykę dobiegającą z naszego domu. *Cholera*. Po dziesięciu latach wspólnego życia wiem, że Larry niemal zawsze puszcza tak głośno muzykę w nocy, kiedy jest w nastroju do świętowania. Ja z pewnością nie jestem. Mam dziś nastrój na spodnie od dresu, wielką miskę makaronu z sosem *chipotle* i serem, który przyniosłam z pracy, oraz sporą szklankę czegoś o dużej zawartości alkoholu. Nie chcę, żeby Larry mi opowiadał, jaki miał wspaniały dzień, nie chcę, żeby mnie złapał i wirował ze mną po kuchni, jak to zazwyczaj robi, kiedy przepełnia go radość. Nie chcę nawet rozmawiać. Ze złością wchodzę po schodach, po chwili walki z torebką, makaronem i serem wkładam klucz w zamek, potem przekręcam gałkę i kopniakiem otwieram drzwi.

Upuszczam torebkę na podłogę. W całym domu rozlega się „Hoochie Coochie Man”. *Dobry Boże*. Muddy Waters. Tylko nie to. Nie dzisiaj.

Wiem, że nie powinnam tak reagować. Nie dziś wieczorem. Nie w walentynki. Wprawdzie Larry nie jest wielkim miłośnikiem walentynek (a który facet jest?), ale zawsze wykazywał ogromne zrozumienie, że w mojej pracy jest to jeden z najbardziej zwariowanych dni w roku. Wie, że 14 lutego zawsze pracuję do późna

i prawdopodobnie w duchu odczuwa ulgę, że ostatnią rzeczą, którą chciałam ujrzeć po powrocie do domu w ten szczególny dzień, jest cokolwiek nawiązującego do miłości. Najlepsze, co może zrobić - i co robi od kilku lat - to zachowywać się, jakby to był zupełnie normalny dzień. W ubiegłym roku, kiedy wróciłam z pracy, wypiliśmy po parę piw i oglądaliśmy powtórki starych odcinków *Bill Cosby Show*. To był wspaniały wieczór.

Ale dziś nawet na to nie mam nastroju. Mimo że przez cały dzień mieliśmy w piekarni tłum osób kupujących na ostatnią chwilę walentynkowe słodycze i przypuszczam, że utarg był w tym roku jeszcze lepszy niż w zeszłym, to i tak nieustannie ciąży mi myśl, że to zaledwie kropla w morzu. Potrzebowałabym codziennie takiego utargu, żeby spłacić długi.

- Larry! - wrzeszczę, wchodząc do salonu. Głos Muddy'ego odbija się od ścian. - *Larry!*

Wykrzykuję jego imię, kiedy pospiesznym krokiem wchodzę po schodach, ściągając po drodze kurtkę i rzucając ją za siebie.

Kiedy wreszcie otwieram drzwi do sypialni, widzę, że leży na łóżku z twarzą schowaną w dłoniach.

- Larry?

- Hej. - Odsuwa ręce od twarzy i podpira się na łokciach. Nie wygląda na osobę, która ma ochotę świętować. Ani trochę.

- Muzyka jest za głośna - mówię. - Co robisz?

Zaciska przez chwilę wargi i dopiero potem podnosi na mnie wzrok. Czuję, że dławi mnie w gardle.

Czyżby dowiedział się o przeterminowanych rachunkach?

Odchrząkuje.

- W pracy stało się coś złego.

Z początku nie dociera do mnie, co mówi.

- Co przez to rozumiesz? - Siadam obok niego.

Przecież w pracy Larryego nie dzieją się złe rzeczy.

- Cóż... Zwalniają ludzi z naszego działu.

- Co? - *No, nie!* - Zwalniają? - Przykładam dłoń do piersi.

Patrzy mi przez chwilę w oczy, a potem odwraca wzrok.

- Nie jest dobrze.

Larry Tackett jest nade wszystko patriotą. Należy do osób, które słysząc pierwsze takty amerykańskiego hymnu, nie potrafią powstrzymać łez. Kiedy oglądamy doroczny raport o stanie państwa i facet zapowiada prezydenta zwyczajowym „Panie i panowie, prezydent Stanów Zjednoczonych”, Larry wstaje na równe nogi w naszym salonie, trzymając piwo w dłoni, i ryczy wraz z nim, niezależnie od tego, czy głosował na tego akurat prezydenta. W ubiegłym roku, kiedy wybraliśmy się latem na rozgrywkę Ligi Narodowej baseballu, myślałam, że udusi trzech siedzących przed nami kibiców, którzy nie tylko dyskutowali głośno o przewidywanym wyniku, ale na dodatek odmówili zdjęcia czapek, gdy dziesięcioletnie cudowne dziecko śpiewało hymn narodowy.

Larry przeprowadził się do Waszyngtonu, żeby pracować w National Muscum of American History.

Kiedy miał jedenaście lat, jego rodzina wybrała się na jedno z nielicznych wakacji właśnie do Waszyngtonu, gdzie zwiedzali również to muzeum. Larry mówi, że nigdy nie zapomni nabożnego podziwu, jaki odczuł na widok cylindra, który Abraham Lincoln nosił do Ford's Theatre, czy mikrofonu używanego przez Franklina D. Roosevelta do wygłaszania słynnych radiowych przemówień do rodaków w czasach kryzysu i II wojny światowej. Po studiach magisterskich udała mu się załatwić sobie staż w tym muzeum, a potem dostać w nim pracę kustosa. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent zbiorów podlegających jego pieczy nie należy do ekspozycji. Larry zajmuje się wyszukiwaniem nowych obiektów do zbiorów swojego działu, współpracuje z innymi kustoszami przy organizacji wystaw i generalnie głupieje na widok rzeczy, które, jak wie, innych kompletnie nie obchodzą. Kiedy się poznaliśmy, opowiedział mi, że jako dziecko kolekcjonował różne dziwne drobiazgi i trzymał je w pudełku pod łóżkiem. Wśród swoich skarbów miał na przykład znalezione w lesie kamienny odłamek, co do którego był przekonany, że to grot starej strzały, rozmaite plastikowe zabawki, które miały specjalne znaczenie, i śrubę o dziwnym kształcie, znaną na zapleczu sklepu żelaznego rodziców. Pamiętam, jak mi wówczas powiedział: „Moja praca jest dorosłą wersją tej dziecięcej pasji. To najwspanialsze zajęcie na świecie”.

Patrząc teraz na niego. Ma zamknięte oczy i usta zaciśnięte w wyrazie lęku, jakiego nigdy u niego nie widziałam.

- Co się stało? - pytam tak łagodnie, jak to możliwe, przy ryczącej muzyce i sercu walącym coraz mocniej z każdą mijającą sekundą.

- Główny kurator zwołał dziś zebranie i poinformował nas, że według jednego z jego przełożonych w najbliższej przyszłości szykują się tymczasowe urlopy.

Kustosze w Smithsonian są pracownikami państwowymi, a tego typu urlopy - przymusowe i bezpłatne - pozwalają przejściowo odciążyć budżet federalny znajdujący się w opłakanym stanie.

- Cholera.

Cholera.

- Co gorsza, ze względu na cięcia budżetowe może dojść do redukcji w naszym dziale, czyli mogę stracić pracę.

- Ale przecież ty pracujesz tam od zawsze! - krzyczę piskliwym głosem. - Ciebie na pewno nie zwolnią. Są chyba inni, młodszy stażem, których powinni zredukować w pierwszej kolejności? - Nie chcę panikować, ale jeśli Larry nie będzie mógł płacić swojej części rachunków...

Cholera.

- Chciałbym, żeby tak było. Ale przy tego typu redukcjach zazwyczaj zwalniają ludzi mających wyższe pensje, bo można ich zastąpić tańszymi pracownikami. Sam nie wiem... - Drapie się po podbródku i zaczyna obgryzać skórki przy paznokciach. Larry nigdy się nie denerwuje. Coraz bardziej się niepokoję, widząc go w takim stanie. - Od pewnego czasu niczego nie publikowałem. - Wypowiada te słowa tak cicho, jakby

mówił sam do siebie. - Ale z drugiej strony niedawno zdobyłem te karty do głosowania z elekcji Grovera Clevelanda.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to ciebie zwolnili. - W głowie mi się kręci.

Kiedy zamieszkaliśmy razem, uzgodniliśmy, że skoro Larry nie musi płacić czynszu, to będzie pokrywał większość kosztów ubezpieczenia i mediów. Po rozpoczęciu działalności Maggie's zaczął w jeszcze większym stopniu dokładać się do życia. Pomaga mi nawet płacić absurdalnie wysokie dla samozatrudnionych ubezpieczenie społeczne. Wspólnie kupujemy żywność, benzynę... a jeszcze są rachunki za telefony komórkowe, ubezpieczenie samochodu... Coraz bardziej się denerwuję, uświadamiając sobie, jak bardzo jest nam potrzebna jego pensja.

- Nie mogą cię zredukować, Larry. Po prostu nie mogą. - Głos mi się załamuje. - A gdyby cię wysłali na urlop, jak długo będziesz bez wynagrodzenia?

- Na razie mówią o dwóch tygodniach. To niewiele, wiem, ale martwię się ogólną sytuacją. Zaczyna się od dwutygodniowego tymczasowego urlopu, a potem co? To znaczy, jeśli trzeba zredukować państwowe etaty, to przypuszczam, że kustosz w Smithsonian jest znacznie mniej potrzebny niż osoby pracujące w agencji bezpieczeństwa, służbie zdrowia, opiece społecznej... właściwie wszędzie.

- A może jakaś inna praca? Może powinieneś się rozejrzeć, tak na wszelki wypadek? - Teraz ja obgryzam paznokcie.

- Mam kolegę na Wydziale Historii w Maryland... W sumie mógłbym do niego zadzwonić, ale z samą magisterką mam niewielkie szanse. A nie chciałbym wracać do szkoły, żeby zrobić doktorat. - Widzę, jak ten pomysł go przygnębia. Przecież mają już swoją wymarzoną pracę.

- Kiedy się dowiesz, czy będą zwolnienia w waszym dziale?

- Myślę, że w ciągu najbliższych tygodni.

Wpatruje się w sufit. Podciągam kolana do piersi i obejmuję nogi ramionami.

- Dzięki Bogu za piekarnię - odzywa się po chwili.

- Jeśli coś się stanie, to przynajmniej dzięki niej jakoś przeżyjemy. Wiem, że to nie jest idealne rozwiązanie, ale chociaż przejściowo, póki czegoś nie znajdę.

Zaciskam szczęki i opuszczam głowę na kolana. Mocniej zaciskam ręce wokół nóg. Szkoda, że nie mogę zniknąć.

- Wszystko będzie dobrze - mówię do moich kolan, choć absolutnie w to nie wierzę.

Larry nie odpowiada i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy w czasie naszego wspólnego życia to ja pocieszam jego, a nie na odwrót. On jest naprawdę zdenerwowany, a trudno o bardziej przerażający widok.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jesteś, dzięki Bogu - wita mnie Kate i obdarza szybkim uściskiem. Ma na sobie dopasowany czarny garnitur ze srebrną kokardką przypiętą do kłapy.

- Co oznacza ta wstążeczka? - Pokazuję palcem.

- Co? A, to. - Kate spogląda na kokardkę. - Wiesz co, nie mam pojęcia. Ktoś z ekipy przypiął mi to dziś rano. Posłuchaj, naprawdę doceniam, że przysłaś.

- Oczywiście, że przysłałam. Nigdy nie byłam na kampanijnym lunchu, więc to ekscytujące dla mnie.

Kate wybucha śmiechem.

- No, z pewnością będzie to równie niezapomniane przeżycie, jak występ tego piosenkarza, którego uwielbiasz. - Strzeliła palcami, usiłując sobie przypomnieć jego nazwisko. - No wiesz, tego, który sam pisze sobie piosenki i wygląda jak farmer od upraw ekologicznych.

- A, Ray LaMontagne. - W zeszłym roku z okazji moich urodzin Larry załatwił bilety i zabrał mnie na jego koncert.

- Właśnie. Ta impreza będzie dokładnie tak samo atrakcyjna - żartuje. - Ale poważnie, bardzo ci dziękuję za przyjęście.

- Dobrze, dobrze, przestań już dziękować. - Rozglądam się po zatłoczonej sali, szukając w tłumie składa-

jącym się głównie z białych mężczyzn pewnej kobiecej twarzy. - Czy Amy tu jest?

- Nie widziałam jej - odpowiada Kate, uważnie wpatrując się w ekran swojego smartfona.

- Hmm, to dziwne, nigdy się nie spóźnia. - Nie rozmawiałam z nią od czasu jej wizyty w piekarni. A właściwie jest jeszcze gorzej, bo nie oddzwoniła, pomimo że zostawiłam jej wiadomości na telefonie domowym i komórce. Minał już prawie tydzień.

- Co? - Kciuki Kate poruszają się z niewiarygodną szybkością, kiedy pisze wiadomość tekstową.

- Nic - odpowiadam.

Sala balowa miejscowego hotelu Hilton wygląda jak wszystkie inne hotelowe sale balowe, w których dotychczas miałam okazję być - na przyjęciach weselnych, rozdaniach dyplomów czy spotkaniach stowarzyszenia miejscowych restauratorów, na które wlokę się co roku, zastanawiając się po drodze, dlaczego stowarzyszenie restauratorów nie organizuje dorocznych zjazdów w restauracji. Wszystko w tym pomieszczeniu - od dywanu po tapetę we wzór damasceński - jest w monotonnym kolorze brzoskwiniowego beżu, który kojarzy mi się z tą gumowatą modeliną, Silly Putty.

Mogłaby to być jedna z nieciekawych konferencji nauczycielskich, na które jeździłam, gdyby nie pewna zasadnicza różnica - tłum zwolenników Berkshire'a, którzy obchodzą się nawzajem, żeby dotrzeć do swoich miejsc. Poruszają się szybko i celowo, jak myszy w labiryncie, a ich ekscytacja jest wprost namacalna, tak że można by pomyśleć, że niewielkie drewniane podium

z flagami kampanii znajdujące się na końcu sali jest jakaś dziwną dekoracją na koncert U2. Na ścianie za mównicą widnieje transparent: „BERKSHIRE: To, co najlepsze dla Wirginii”.

- Muszę już iść... - zaczyna Kate, już właściwie odchodząc, ze wzrokiem wlepionym w smartfon.

- Idź, idź, rób, co musisz. - Sprawdzam numer na swoim bilecie, przeciskam się pomiędzy kilkoma garniturami do swojego stolika i siadam. Przebiegam wzrokiem tłum w poszukiwaniu Amy i przy okazji zauważam, że większość kobiet jest w rajstopach. *Kobiety nadal noszą rajstopy?* Bawię się rękawem czarnej bluzki z kołnierzykiem przypiętym guziczkami, którą kupiłam w sklepie Gap, i trzymam w szafie na nieliczne okazje, kiedy potrzebuję czegoś bardziej eleganckiego niż moje zwykłe dżinsy i T-shirt. W duchu błogosławię długi obrus zakrywający moje chodaki, które nadal mam na nogach, bo kiedy o czwartej trzydzieści wychodziłam dziś do pracy, zapomniałam zapakować eleganckie buty.

Nie rozpoznaję nikogo ze zgromadzonych, co jest naprawdę dziwne, jeśli zważyć, że całe życie mieszkam w Maple Hill, a spora liczba jego mieszkańców prze-wija się co tydzień przez moją piekarnię. Wyciągam szyję, żeby się przyjrzeć stolikom z przodu. Evelyn z pewnością tu jest. Kate śmieje się, że jej matka przyszłaby nawet na otwarcie koperty. A jednak jej nie widzę przy dużym okrągłym stole ustawionym przed podium. Siedzi tam tylko kilku starszych mężczyzn, po których z daleka widać, że mają pieniądze, oraz kobieta

ze sztywnym od lakieru bobem w tym szczególnym kolorze ni to blond, ni to popiel, który wybiera wiele starszych pań.

Na prawo od sceny rozstawiają kamery ekipy wiadomości wszystkich trzech wielkich sieci telewizyjnych oraz kablówek. Przyglądam się, jak kamerzyści dowcipkują z fotografami, których łatwo rozpoznać po dżinsach i pogniecionych koszulach z kołnierzykami o rogach przypiętych guziczkami. Od razu przychodzi mi na myśl mój ulubiony fotograf, czyli tata, który nosił taki sam uniform. Był jedynym ojcem w okolicy, który nie chodził do pracy w krawacie i miał torbę większą niż którakolwiek z mam - bo *wszędzie* zabierał swój sprzęt. Przez całe życie pasjonował się polityką, toteż najbardziej lubił obsługiwać zdarzenia w Waszyngtonie, a ponieważ pracował dla UPI, jego zdjęcia regularnie publikowało wiele dużych gazet codziennych i magazynów weekendowych. Powinien teraz tu być. Miałby taką frajdę z fotografowania Kate w tym otoczeniu. *Gdzie jest Amy?*

Nadal nie do końca rozumiem, dlaczego Kate nas zaprosiła. Zgodnie z zaproszeniem organizatorem imprezy jest Virginia Medical Society, a większość obecnych to członkowie tego stowarzyszenia, którzy przekazali pieniądze na kampanię. Ciekawe, dlaczego Kate nie zaprosiła także Mike'a, przecież jako lekarz z pewnością jest członkiem stanowego stowarzyszenia. Może Amy nie przyszła, bo poczuła się urażona pominięciem męża? Niezależnie od wszystkiego, jest to pierwsza poważna impreza wyborcza Brendana

w Maple Hill i jestem naprawdę podekscytowana perspektywą zobaczenia go w akcji.

Po przeciwnej stronie stołu pojawia się trzech brzuchatych facetów w średnim wieku w niemal identycznych szarych garniturach. Tuż za nimi podchodzi kobieta, która natychmiast kojarzy mi się z moją nauczycielką gry na fortepianie z dzieciństwa, pewnie przez okulary, które wyglądają, jakby miały wprawione szkła powiększające. Kiedy siadają, przedstawiają się jako członkowie lokalnego klubu rotariańskiego.

- Słyszała już pani, jak przemawia? - pyta mnie kobieta, a jej oczy błyszczą takim podnieceniem jak u nastolatki mówiącej o Justinie Bieberze.

- Nie, to znaczy nie oficjalnie - odpowiadam, przypominając sobie, ile to razy u mnie w kuchni Brendan wchodził na przysłowiową skrzynkę po mydle po wypiciu kilku burbonów. Zazwyczaj kończyło się tym, że Kate wyciągała go za ucho do domu. - Jestem przyjaciółką Berkshire'ów - wyjaśniam i sięgam po kielich wody z lodem stojący przy moim nakryciu. - Kate i ja razem dorastałyśmy.

Jakby to było hasło, jeden z mężczyzn trąca drugiego łokciem. Pochyla się w moją stronę, zasłania usta dłonią jak nieudolny komik i odzywa się scenicznym szepem:

- Właśnie mówiłem tym dwóm, że jestem zwoleńnikiem Berkshire'a od chwili, gdy ogłosił swoją kandydaturę, a prawdziwym powodem, dla którego wypisałem czek za ten lunch, jest chęć dokładniejszego przyjrzenia się jego żonie!

Wszyscy trzej wybuchają radosnym śmiechem, a kobieta z rezygnacją wzrusza ramionami, jakby mówiła „Chłopcy nigdy nie dorastają”.

Zmuszam się do uprzejmego skinienia głową i znów zerkam na zegarek. Pięć po dwunastej, więc Brendan się spóźnia.

Kate mnie ostrzegła, czego mogę się spodziewać, jeśli Brendan wejdzie na podium i oświadczy, że niczego nie przygotował, więc będzie mówił z głowy.

- To równie dobrze może być ciągnące się w nieskończoność wywnętrzanie na temat „jaki to jestem cholernie fantastyczny” - stwierdziła wczoraj przez telefon. Odsuwam krzesło i częściowo się podnoszę, żeby lepiej widzieć wejście. Amy nigdy i nigdzie się nie spóźnia. Z pewnością coś się stało.

Nagle światła przygasają, a do mikrofonu podchodzi tyczkowata kobieta i prosi wszystkich o zajęcie miejsc. Mówi powolnym głosem, jakby cierpiała na przewlekłe zaparcie. To musi być Stephanie, asystentka Brendana, na którą Kate stale się wścieka.

Zaczyna buczeć mój telefon, więc błyskawicznie po niego sięgam i sprawdzam, kto dzwoni. Niestety to nie Amy, tylko jakiś numer zastrzeżony, co oznacza jedno - mój bank. Telefon brzęczy w mojej dłoni jak owad, a ja się zastanawiam, czy odebrać. Dojrzałe byłoby porozmawiać, uznać problem i zająć się nim. Zamiast tego kieruję rozmowę do poczty głosowej.

Włącza się nagłośnienie i salę wypełnia irytujący pisk mikrofonu, na co tłum reaguje jękiem. Po chwili rozlega się piosenka kampanii Brendana - „Brand New

Day" Stinga. Pamiętam, jak Kate narzekała na ten wybór, twierdząc, że trudno o bardziej „białą” piosenkę.

Na dwuskrzydłowe drzwi po lewej stronie sceny pada światło reflektora punktowego, po czym wchodzi przez nie Brendan, niezwykle elegancki w swoim sztywnym na miarę garniturze. Gdyby nie rekwizyty wyborcze, można by z łatwością uznać jego wejście za część pokazu mody miejscowego sklepu albo jedną z tych tandetnych „aukcji kawalerów” na cele charytatywne. „A oto nowoczesny przedstawiciel bogatej klasy średniej” - wyobrażam sobie głos konferansjera. „Absolwent jednego z najlepszych uniwersytetów w kraju, z drzewem genealogicznym sięgającym korzeniami do Jamestown i światopoglądem niewykraczającym poza ramy jego lustra!”.

Tłum zrywa się na równe nogi i owacyjnie wita swojego kandydata, który macha do niego obydwoma rękoma uniesionymi nad głową, z szerokim, niemal komiksowym uśmiechem. Wstaję i klaszczę wraz z innymi, ale jednocześnie z zainteresowaniem obserwuję rozgrywające się obok mnie pandemonium. Brendan bynajmniej się nie spieszy i po drodze ściska dłonie swoich sympatyków przy stolikach ustawionych z przodu. *On naprawdę jest do tego stworzony* - myślę, patrząc, z jaką swobodą radzi sobie z tłumem, zamienia zdanie czy dwa z każdą mijaną osobą i śmieje się serdecznie ze wszystkiego, co mówią.

Kiedy dociera do podium, pozwala, żeby wiwaty jeszcze przez chwilę trwały. Potem podnosi dłonie, żeby je uciszyć z zażenowanym uśmieszkiem mówiącym, „O, kurczę, naprawdę nie trzeba”. Wszyscy

posłusznie siadają na swoich miejscach. Zerkam po raz kolejny na zegarek, a potem na drzwi. Skoro Amy do tej pory nie ma, to już nie przyjdzie. Może Emma zachorowała? Patrzę w narożnik sali, gdzie zebrała się ekipa Brendana. Kate stoi obok domniemanej Stephanie z rękami skrzyżowanymi wysoko na piersi. Na jej ustach maluje się łagodny uśmiech, co w jej wypadku oznacza, „Wiem, że mnie obserwujecie, ale udaję, że tego nie zauważam”.

Brendan zaczyna przemawiać. Zazwyczaj jest raczej arogancki niż pewny siebie, a nawet sztywny, tymczasem tu zachowuje się tak swobodnie, jak koncertowy pianista grający na domowym fortepianie. Patrzy spokojnie, nie mrużąc oczu przy błysku fleszy, co doskonalił przez minione pół roku - wiem, bo Kate opowiadała mi, że jego ekipa delikatnie zwróciła się do niego w związku z tą „kwestią” (nie „problemem”) i „zajęła się” nią (nie „naprawiła”) przy pomocy wysoko opłacanego specjalisty w trakcie serii treningów. Kiedy Brendan mówi, urozmaicam sobie czas obserwowaniem jego dłoni: wskazuje palcem na tłum („To wy macie siłę, by zmienić Wirginię!”), unosi je, obrócone wnętrzem ku niebu („Wspólnie *dźwigniemy* nasz kraj!”) i zaciska w pięści („*Wierzę* w obywateli Wirginii!”). Po dwudziestu minutach - akurat tyle czasu trzeba, żeby zjeść pierś kurczaka z gotowanymi warzywami - powoli kończy, dziękując zebranych za wsparcie. Potem wyciąga rękę w kierunku kąta sali, gdzie stoi Kate:

- Dziękuję również mojej wspaniałej, kochającej i nieustannie mnie wspierającej żonie, Kate - dodaje.

Słysząc kilka wzruszonych „Ooo” z ust obecnych kobiet.

- Dziękuję ci, że wraz ze mną wyruszyłeś w tę podróż.

Kate składa dłonie jak do modlitwy, przyciskając je do piersi i na koniec się uśmiecha, przechylając kokieteryjnie głowę. Muszę zagryźć usta, żeby nie roześmiać się na głos. Zapewne ktoś z ekipy kazał jej doprowadzić tę choreografię do perfekcji.

Po zejściu Brendana z podium tłum zaczyna się rozpraszać, przy czym wiele osób zabiera naklejki na zderzak „Berkshire na gubernatora” ułożone obok koszyka z chlebem na środku każdego stołu. Ja przyciskam się na koniec sali, żeby zamienić parę słów z Kate i przywitać się z Brendanem, zanim wyjdę, ale okazuje się, że ekipy wiadomości już ich szczerze obstarpiły.

Po wyjściu na zewnątrz sprawdzam telefon. Amy nie dzwoniła, więc ja wybieram jej numer, ale od razu słyszę pocztę głosową: „Cześć! Tu Amy! Zostaw wiadomość i życzę miłego dnia!”.

- Cześć, mówi Waverly - nagrywam się po sygnale.
- Właśnie wyszłam z lunchu wyborczego. Zapomniałaś o nim? Mam nadzieję, że u was wszystko w porządku. Zadzwoń do mnie.

Wybieram numer domowy. Znów poczta głosowa.

- Amy, mówi Waverly. Zastanawiam się tylko, gdzie się dziś podziewałaś. Mam nadzieję, że Emma nie zachorowała czy coś w tym rodzaju. W każdym razie zadzwoń do mnie.

Jadąc z powrotem do pracy, wciskam po kolei guziki stacji radiowych - jakiś żarliwy poeta na NPR opowiada o swojej muzie, stacja uniwersytecka nadaje grupę

Fugazi, Jim Croce śpiewa piosenkę „Operator” w stacji z soft rockiem, której słucham częściej, niż chciałabym to przyznać, bo zawsze wciągnie mnie jakiś stary utwór Hall & Oates albo Lionela Richie.

Jednak w żaden sposób nie potrafię oderwać myśli od Amy. Ona jest przede wszystkim dobrze wychowaną mieszkanką Południa. Jej sztandarowy dowcip, który nieraz powtarzała, brzmiał: „Dlaczego dziewczęta z Południa nie uczestniczą w orgiach? Za dużo liścików z podziękowaniami do wysyłania”.

Staję na czerwonym świetle i zerkam na samochód obok, stojący na pasie do skrętu. Kierująca nim kobieta ziewa szeroko i pociera oczy. Z tyłu widzę ubrania odebrane z pralni. Kobieta spogląda na siebie w tylnym lusterku i coś mruczy pod nosem.

Z radia słyszę teraz denerwująco hałaśliwą reklamę dilerów samochodowych, więc w końcu je wyłączam. Drapię paznokciami gąbczastą osłonę kierownicy. Za nim zdążę sobie to wyperswadować, włączam prawy migacz i macham do kobiety obok, gestami pytając, czy mogę się wślizgnąć przed nią na jej pas. Kiedy światła się zmieniają, zjeżdżam na prawo, bezgłośnie mówiąc „Dziękuję”, po czym skręcam w ulicę prowadzącą do domu Amy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Moja trasa prowadzi wzdłuż terenów należących do dużych deweloperów. Mijam osiedla Trotters Ridge i Woodward Stables z wypielęgowanymi krzewami i ceglаныmi płotami przy prowadzących do nich wjazdach i przypominam sobie, jak tu wyglądało, kiedy w tej części miasta znajdowały się tylko farmy hodowców koni. Oak Hill, gdzie mieszka Amy, jest osiedlem ciasno stłoczonych domów, wyglądających, jakby wyszły spod jednej sztancy. Jej dom na Green Leaf Court byłby identyczny z dwoma naprzeciwko, gdyby nie to, że został pomalowany na słoneczny żółty kolor, a chodnik prowadzący do drzwi frontowych obsadzono fioletowymi i różowymi bratkami. Naciskam dzwonek i przypomina mi się wieniec walentynkowy, który tu wisiał w ubiegłym roku. Kiedyś uważałam, że zamiłowanie Amy do wieńców okolicznościowych jest śmieszne - Kate nazywała je wręcz *geriatrycznym* - ale od kiedy jako właścicielka piekarni odkryłam, że mogę znacznie zwiększyć sprzedaż, barwiąc potrawy na zielono w dniu świętego Patryka albo wbijając malutkie amerykańskie flagi we wszystko, co upiekę, w tygodniu poprzedzającym czwartego lipca, zaczęłam doceniać symbole. Przeszuję z nogi na nogę na betonowym podeście pod drzwiami i po chwili decyduję się zajrzeć przez jedno z obramowujących je dłu-

gich okien. Osłaniam oczy dłońmi, żeby lepiej widzieć, co się dzieje w środku.

W końcu dostrzegam Amy wychodzącą zza narożnika. Jest ubrana w spodnie do jogi i bluzę uniwersytecką, a włosy ma niedbale upięte na czubku głowy ogromną klamrą. Czy ona *kuleje*? Macha do mnie i blade się uśmiecha, kiedy sięga do zamka, żeby otworzyć drzwi.

- Cześć. - Przesuwa dłońią po czole, zgarniając do tyłu niesforne kosmyki. Wygląda, jakby właśnie wstała po drzemce. Z dalszej części domu dochodzą piskliwe dźwięki kreskówki oglądanej przez Emmę.

- Cześć, obudziłam cię? Przepraszam, że tak wpa-
dłam bez zapowiedzi. Jesteś... chora?

- Nie, nie, wszystko w porządku - mówi, szerzej otwierając drzwi. Znow się uśmiecha, ale jest to tego rodzaju obowiązkowy uśmiech, jakim obdarzasz współpracowników w poniedziałkowy poranek. Natychmiast robi mi się głupio, że przyjechałam tak znienacka. Amy drapie się w tył głowy. - Wchodź, wchodź do środka. - Macha ręką. - Przepraszam, ale mam straszny bałagan.

- Na pewno mam wejść? Wyglądasz trochę...

- Wiem, wyglądam jak ruina. Wszystko ci wyjaśnię. No dalej, dalej - popędza mnie. - Zostawiłam Emmę w kuchni, a mam makaron na gazie.

Wchodzę do środka.

- Ale ładnie pachnie. Co gotujesz? Sos marinara?

- Prego - odpowiada Amy. Wybucho wymuszonym śmiechem, który kończy się równie szybko, jak

zaczął. - Wybaczysz mi? I dasz mi swój przepis na marinara? Robię zapiekany makaron ziti na obiad.
- Prowadzi mnie do salonu. Idąc za nią, wyraźnie widzę, że stawia nogi tak ostrożnie, jakby kroczyła po gorącym asfalcie.

Dom wygląda jak pobożowisko. Na podłodze w salonie poniewierają się porozrzucane elementy gry planszowej, klocki lego i kredki. Na kanapie leży częściowo poskładana sterta prania. Wszystko to jest bardzo dziwne, bo dom Amy wygląda zazwyczaj nie-skazitelnie, powiedziałabym nawet, że przesadnie czysto - człowiek ma wrażenie, że stale unosi się w nim zapach środka czyszczącego.

- Ame, co się stało - pytam. - Kulejesz?

- Ach, taka ze mnie niezdara. - Amy znów się śmieje, ale nie ogląda się na mnie, tylko zmierza prosto do kuchni. - Nie uwierzyłyabyś. Rano znosiłam naręczę prania po schodach i się potknęłam. Spadłam z połowy schodów na biodro.

- O mój Boże! Nic ci się nie stało?

- Nie, nic mi nie jest - stwierdza, podchodząc do kuchenki. - Pewnie mam paskudnego siniaka, ale to nic wielkiego.

- To dlatego nie przyszedłaś na lunch kampanijny? - Rozglądam się po kuchni. Wszędzie bajzel.

- Lunch! - Amy uderza się dłonią w czoło. - Boże! Kompletnie zapomniałam! - Potrząsa głową. - Ale ze mnie idiotka! Nie do wiary, że mi to wyleciało z głowy.

Przyglądam się bacznie jej twarzy, a ona nie przestaje mówić.

- Po prostu byłam tak pochłonięta tym wszystkim tutaj, a potem spadłam... Do licha, muszę zadzwonić do Kate.

Zza narożnika wychodzi Emma, niosąc garść drewnianych puzzli.

- Emmo, przywitaj się z ciocią Waverly.

- Heeej, Emmo - droczę się z nią.

Nieśmiało zgina paluszki i nieznacznie mi macha, po czym z chichotem ucieka do salonu.

- Siadaj. Napijesz się czegoś? - Amy wskazuje na stół. - A może byś coś zjadła? Podali coś jadalnego na tym lunchu?

- Dziękuję, jadłam.

- I co było?

- Nic szczególnego. Kurczak.

- To może lemoniady? Albo wody? Mam nawet wodę gazowaną, może wolisz taką?

Paple i paple, więcej niż zazwyczaj.

- Dobrze, wypiję szklanek wody - zgadzam się i przystawiam jeden ze stołków do kuchennego blatu. Muszę zgarnąć z niego okruchy, żeby usiąść - poranna grzanka albo kanapka z masłem orzechowym i galaretką, którą Emma jadła na lunch. - Amy, może usiądziesz ze mną. Naprawdę dość mocno kulejesz.

- Nic mi nie jest, Waverly, naprawdę. - Potrząsa głową, napełniając szklanek wodą z kurka wystającego z lodówki, po czym mi ją podaje. Potem podchodzi do kuchenki, wyławia widelcem makaron i po chwili dmuchania na niego próbuje, czy jest dobry. - Nie mogę wprost uwierzyć, że zapomniałam o lunchu.

- T a k , to do ciebie niepodobne - mówię, starając się sprowokować jakąś reakcję.

- I jak wypadła mowa Brendana? - pyta, wyraźnie ignorując moje wysiłki. - Czy Kate też przemawiała?

Relacjonuję jej najważniejsze szczegóły - jak Brendan wyglądał na scenie, że przyszło tyle osób i ekip wiadomości, jak Kate wykonała na końcu gest wspierającej żony - ale wolałabym zamiast tego rozmawiać o niej i o Mike'u, i niesamowicie mnie to męczy. Bardzo niepokojący jest widok tak zaniedbanej Amy o drugiej po południu. Poza tym naprawdę mocno kuleje, wbrew temu, co mi wmawia. Chodzi po kuchni z ręką na biodrze, powłócząc nogami, a ilekroć jest do mnie odwrócona plecami, bierze głęboki oddech, co poznaję po unoszeniu się i opadaniu ramion.

- Przykro mi, że to straciłam - mówi. - Czy Kate była zdenerwowana? Mam nadzieję, że nie jest na mnie wściekła. - Próbuje podnieść garnek z makaronem z kuchni, krzywi się i go odstawia.

Zeskakuję ze stołka.

- Amy, pozwól, że ja to zrobię.

- Nie, Waverly, dziękuję. Dam radę. - Podnosi go ponownie.

Kładę swoje dłonie na jej.

- Przestań, odstaw go. Ja to wezmę.

- Nic mi nie jest! - mówi ostro.

Puszczam i odsuwam się do tyłu. Amy się śmieje, usiłując zatuszować swoje zachowanie.

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Głos jej łagodnieje.

- Jesteś gorsza niż moja matka. No, siadaj, proszę.

Robię jeszcze krok do tyłu, obserwując, jak Amy podnosi garnek i wylewa makaron na cedzak ustawiony w zlewie.

Co tu się, do diabła, dzieje?

- Czy mówiłaś Mike'owi, że spadłaś?

Amy robi dziwną minę, wykrzywiając usta.

- Nie, a powinnam? Waverly, dlaczego tak się tym denerwujesz? Przecież nic wielkiego sobie nie zrobiłam. Zachowujesz się dziwnie. - Obraca się z powrotem do kuchenki.

Toja zachowuję się dziwnie?

Nagle słyszymy głośny rumor dobiegający z salonu.

- Mamusiu! - woła Emma zawodzącym głosem.

- Idę! - Amy rzuca ścierkę do naczyń i sunie najszybciej jak może do salonu.

Idę za nią.

- Co się stało, kotku? - Amy klęka przy Emmie, która stoi na środku pokoju wśród porzucanych klocków i płacze.

- Budowałam zamek i wszystko spadło! - zawodzi.

- Och, kochanie, nic się nie stało - pocieszają Amy.

- Możesz zrobić jeszcze jeden.

Pochyla się, żeby przytulić Emmę i ją pocieszyć, i wtedy to dostrzegam: pomiędzy paskiem spodni a dołem bluzy, która podsunęła się w górę, widnieje długi, fioletowoczarny ślad ciągnący się wzdłuż wybrzuszeń kręgosłupa. Wygląda na jej skórze jak plama, jak sok winogronowy rozlany na gazetę. Na jego krawędzi widać zaschnięte plamki krwi.

- Mój Boże, Amy, co to jest?

- Co? - odwraca się, żeby spojrzeć.

- Na twoich plecach! - Podchodzę do niej i próbuję podciągnąć jej bluzę.

Podnosi się szybko i obciąga ją w dół.

- To od tego upadku - mówi szorstko. - Wiem, że to wygląda okropnie. Sama nie mogłam uwierzyć, kiedy to rano zobaczyłam. - Odwraca się do Emmy. - I co, kotku, w porządku?

- Amy, czy *u ciebie* wszystko w porządku? - Kładę jej dłoń na ramieniu. - Naprawdę zrobiłaś sobie coś takiego, znosząc pranie po schodach?

- Wiem, wiem! Wygląda paskudnie, prawda? - Zaczyna zbierać zabawki i wrzucać do czerwonego plastikowego kosza.

Dlaczego tak się zachowuje? Unika mnie w swoim własnym domu?

- Ame? - próbuję jeszcze raz. Zerkam na Emmę, która już się uspokoiła i teraz z zapałem układa klocki z alfabetem na ławie.

- Co? - odpowiada Amy, nie przerywając zbierania zabawek.

- Czy *na pewno* nic ci nie jest? - Sama nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć, ale ten ślad na plecach... Jej sposób zachowania...

- Waverly, co się *z tobą* dzieje? - pyta, ale na mnie nie patrzy. - Nic mi nie jest. Po prostu spadłam ze schodów. Gdybym coś sobie złamała, nie mogłabym chodzić. - Wrzuca garść kredek do koszyka. - Kiedy Mike wróci, poproszę, żeby to obejrzał.

Przyglądam się jej badawczo. Coś tu się nie zgadza. Niemożliwe, żeby przy upadku ze schodów zrobiła sobie coś takiego na plecach. Jestem o tym przekonana.

- Ale jak przecięłaś sobie skórę?

Amy wzdycha, cały czas odwrócona do mnie plecami, i potrząsa głową.

- Nie wiem, może to przez ten tani chodnik, który tam położyliśmy. - Stawia plastikowy kosz w narożniku pokoju i zaczyna teraz zbierać rozsypane chrupki.

Kiwam głową i przyglądam się, jak sprząta. To wszystko jest takie do niej niepodobne - gorzki ton głosu, opuszczenie lunchu, no i sposób, w jaki mnie traktuje. Normalnie goście w jej domu cieszą się jej niepodzielną uwagą. Nawet jeśli się wpadnie tylko na chwilkę, zmusza cię, żebyś usiadła, częstuje przekąskami i *nigdy* nie daje do zrozumienia, że jej przeszkadzasz - jak to robi teraz.

Sprząta dalej, kuśtykając po pokoju. Zaproponowałabym jej pomoc, ale wyraźnie widać, że jej nie chce. Nie chce, żebym cokolwiek tu robiła.

- No to leć - mówię po kilku niezręcznych minutach. Czekam jeszcze chwilę, żeby zaczęła mnie przekonywać, że mam jeszcze zostać, jak to zawsze robi.

- W porządku. - Odwraca się w moją stronę. - Dzięki, że wpadłaś.

Kiwam głową. Kiedy nasze oczy się spotykają, Amy odwraca wzrok. Ruszam w kierunku holu, a ona idzie za mną.

- Gdybyś rozmawiała z Kate, przeproś ją ode mnie za lunch - mówi i otwiera drzwi. - A ja później wyślę jej maila.

- Dobrze. - Jeszcze przez chwilę stoję, bawiąc się kluczyczkami, i zerkam na Amy. Ostatnie spojrzenie.

- Jezuu, Waverly! - wzdycha. - Ile razy mam ci to powtarzać? *Nic... mi... nie... jest.* Słowo. Zadzwoń do ciebie później, jak Mike wróci, i powiem ci, co powiedział. - Pochyla się, żeby mnie ucisnąć.

- No, dobrze. - Obejmuję ją ostrożnie, jakby była staruszką o kruchych kościach. - Obiecujesz?

Wydaje z siebie jęk.

- Tak, obiecuję. - Obdarza mnie wymuszonym uśmiechem, a ja się odwracam. Nie chcę na niego patrzeć.

Godzinę później jestem z powrotem w piekarni i siedzę przy starym drewnianym biurku w swoim małym biurze za kuchnią. Staram się skupić na liczbach widniejących na ekranie komputera. Przygotowuję wypłaty. Tę część swojej pracy lubię najmniej, szczególnie ostatnio, gdy nie bardzo jest co wypłacać.

Odgryzam kawałek ciasteczka toffi, które złapałam po drodze w kuchni, i wpatruję się w ekran, bębniąc palcami o podkładkę myszy. To bez sensu.

W głowie mam tylko jedną myśl, tak wyraźną, jak transparent za plecami Brendana podczas lunchu. Przyszła mi do głowy, kiedy wyjeżdżałam z osiedla Amy, i tak mną wstrząsnęła, że natychmiast nacisnęłam hamulec. Przeraziłam tym kobietę, która szła chodnikiem z psem i chyba uznała, że hamuję, żeby jej nie potrącić. Usiłuję ignorować tę myśl, ale to równie łatwe, jak ignorowanie lufy pistoletu przyłożonej do pleców.

Prostuję się na krześle, słysząc, jak trzeszczy mi kręgosłup, i biorę głęboki oddech. Po strzepnięciu okrucichów z palców włączam Google i wpisuję: „Jak poznać, czy ktoś jest maltretowany”. Klikam na pierwszy wynik.

To niemożliwe, prawda? To nie może być to.

Otwiera się strona z dużym nagłówkiem „Sygnały ostrzegawcze świadczące o przemoc domowej”. Przebiegam wzrokiem wypunktowane informacje i z każdą liniijką czuję, jak coraz bardziej dławi mnie w gardle, zupełnie jakby ktoś zaciskał mi ręce na szyi.

Ofiara może być nietypowo lękliwa, zdenerwowana lub przygnębiona. Mogą być u niej widoczne oznaki niskiego poczucia własnej wartości oraz może się wycofywać ze swojej normalnej aktywności towarzyskiej. Nieraz wyraźny jest lęk wobec partnera. Partner z kolei może być nadmiernie zazdrosny, krytyczny, a nawet kontrolujący.

I dalej:

U ofiary mogą często występować urazy, których pochodzenie tłumaczy ona w sposób dziwny lub nawet nieprawdopodobny.

Przyciskam dłonie do ust i zaciskam oczy. *Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie*. Przecież nie może być aż tak źle, prawda?

Zrywam się, zamykam drzwi biura, po czym łapię telefon i wybieram numer Kate.

- Cześć! No i jak ci się podobało? - odzywa się Kate. Chyba jest na dworze, bo jej słowa zagłusza szum wiatru.

- Hej. - Przełykam ślinę. - Kate, muszę z tobą porozmawiać.

- No, dooobra, to o przemowie pogadamy później - odpowiada obojętnie. - Ale... możesz chwilę poczekać?

Zawsze to robi, co doprowadza mnie do szału.

- To po co odbierasz telefon, skoro nie możesz rozmawiać? - krzyczę do słuchawki, ale nie słyszę odpowiedzi tylko szelest świadczący, że zakrywa dłonią mikrofon.

O, Boże, Kate, pospiesz się - myślę, żałując, że nie zadzwoniłam do Larry'ego. Uświadamiam sobie, że rozmawia z Brendanem.

- Tak, zobaczymy się w domu później - mówi.
- Och, nie przyjedziesz? No, nic, to zobaczymy się później. Nie, nic nie szkodzi. W porządku. Po prostu spotkamy się później.

Słyszę, jak Kate wzdycha, po czym zwraca się do mnie:

- Przepraszam, jestem na parkingu. Właśnie wyszłam z biura kampanii. W końcu mogę jechać do domu i zdjąć te pieprzone buty. Nie uwierzysz, ilu musieliśmy udzielić wywiadów po tym wszystkim. Nie miałam pojęcia, że w Wirginii jest tyle gazet. Do tego błogi, lokalne stacje nadające serwisy informacyjne, radio... niesamowite, że ludzi aż tak bardzo obchodzą te bzdury. W każdym razie muszę teraz napić się wina. Przyłączysz się do mnie? Wyjdź wcześniej. Nigdy tego nie robisz.

- Kate, muszę z tobą porozmawiać. - Słyszę dźwięk sygnalizujący otwarcie drzwiczek, a potem trzask, kiedy je zamyka.

- W porządku, o co chodzi? Czy coś się stało? - Włącza silnik. - Przepraszam, że nie dałam rady porozmawiać

z tobą podczas lunchu. To było paskudne z mojej strony, żeby kazać ci tam siedzieć i nie spędzić z tobą ani chwili.

- Kate, to nie ma nic wspólnego z tobą. - Przez chwilę się zastanawiam, czy nie przerwać tej rozmowy i nie zadzwonić do Larry'ego.

- No, dobrze. W takim razie, co się dzieje?

- Chodzi o Amy.

- Co z nią? Czy w końcu przyszła? Z miejsca, gdzie stałam, nie widziałam dobrze waszego stołu. A przy okazji, przepraszam za to. Powinnam była posadzić was z przodu, ale były VIP-y i...

- Kate, czy możesz mnie przez chwilę posłuchać?

Kiedy milknie, nie wiem, czy dla odmiany raz dostosowała się do mojej prośby, czy też jest zajęta smartfonem, skórką odstającą przy paznokciu albo niepotrzebnym włoskiem pod łukiem brwi, który dostrzegła we wstecznym lusterku. W przypadku Kate wszystko jest możliwe.

- Nie pokazała się - mówię.

- Co? - piszczy. - Dlaczego miałyby nie przyjść?

- Po wszystkim wpadłam do niej.

- Zaraz, zaraz, pojechałaś do niej tylko dlatego, że dziś nie przyszła? - Wybucha śmiechem.

- Wiem, że to głupie. Ale ona ostatnio dziwnie się zachowuje, no i nie zadzwoniła. Po prostu miałam przeczucie, że dzieje się coś złego.

- To już lekka paranoja.

Odsuwam słuchawkę od ucha i biorę głęboki wdech. Dopiero wówczas mówię dalej:

- Po prostu słuchaj, dobrze? Więc pojechałam tam, a ona była w rozsypce. Ubrana, jakby właśnie wstała

z łóżka, w domu bałagan jak po wybuchu bomby, zachowywała się dziwnie i kulała.

- Upadła czy coś?

- Powiedziała, że spadła ze schodów, ale widziałam ślady na jej plecach i nie wyglądały jak po takim upadku.

- Ale nic jej się nie stało? - pyta zniecierpliwiona.

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Kate, to wszystko wydaje się dziwne! - krzyczę. - Znasz Amy, zawsze jest zrównoważona i radosna. Dzieś było dokładnie odwrotnie.

- No i co z tego? Ludzie mają gorsze dni.

- Nie, nie, to nie o to chodzi. Po prostu w ciągu piętnastu lat naszej znajomości Amy nigdy nie była niemiła ani zamknięta w sobie. A teraz ni stąd, ni zowąd ma humory i stłuczenie, które z pewnością nie pojawiło się po niewielkim upadku ze schodów. Jej mąż stał się nie do zniesienia. - Odhaczam każde z tych stwierdzeń na palcach. - Nie wiem. Dzieje się coś złego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Słyszę, jak zmienia stację radiową.

Okazuje się, że trudniej to powiedzieć na głos niż pomyśleć. Zamykam oczy i szepczę do telefonu:

- Czy sądzisz, że to możliwe, żeby Mike ją bił?

- Mike? - Kate wciąga powietrze. - Bije Amy? - Zaczyna się śmiać. - Nie, nie sądzę.

- Kate, mówię poważnie.

- Waverly, naprawdę nie sądzę, żeby tak było. - Przybiera teraz protekcyjny ton osoby, która wszystko

wie najlepiej. - Pewnie faktycznie spadła ze schodów, a zapewniam cię, że to może być bardzo bolesne. Wiem, co mówię, bo kilka razy mi się to zdarzyło podczas studiów. Mike jest dupkiem, ale żeby ją bił? Nie ma mowy. Absolutnie nie ma mowy.

- Naprawdę tak myślisz? - Odchyłam się do tyłu na krześle i przyglądam się odsłoniętym rurom na suficie.

- Może zbyt pochopnie wyciągam wnioski.

- Waverly, za bardzo puszczasz wodze fantazji. Daj spokój. Wiedziałybyśmy, gdyby naprawdę coś się działo.

- Skąd? - Naprawdę chciałabym się dowiedzieć.

- Po prostu byśmy wiedziały. Do diabła, przecież wiedziałaś, że jest w ciąży, zanim nam powiedziała.

To prawda. Przyśniło mi się to na trzy tygodnie przed tym, jak Amy w końcu przyznała się, że powodem, dla którego przestała pić alkohol, nie jest jednak jej nowy lek na alergię.

- No dobrze, ale można też na to spojrzeć z drugiej strony. To znaczy, jeśli wtedy miałam dobre przeczucie, może mam i teraz...

- Nie, nie ma mowy. Zastanów się, o kim mówisz. Oni są zbyt normalni na takie rzeczy. Przecież Amy niemal codziennie rozesłała e-maile od „szczęśliwej rodzinki” ze zdjęciami Emmy.

To prawda. Już tylko pobieżnie przeglądam jej pokazy slajdów - Emma w zoo, Emma w ogrodzie botanicznym, Emma na huśtawce na placu zabaw - bo te przesłodzone fotografie zaczęły mnie przygnębiać, kiedy uświadomiłam sobie, że zdjęcie podsumowujące moje życie przedstawiałoby mnie spoconą i opró-

szoną mąką, zgarbioną nad stertą niezapłaconych rachunków.

- Co wieczór wspólnie spędzają czas w domu - ciągnie Kate. - No, i to jest przecież Amy. Naprawdę myślisz, że gdyby coś się działo, nie powiedziałyby nam? Przecież ze wszystkiego się zwierza. I jest tak zżyta ze swoją rodziną. W razie kłopotów byłaby już w Karolinie Północnej.

- Pewnie tak. - Może jednak przesadzam.

- Wygląda na to, że bardziej potrzebujesz drinka ode mnie.

Nie odzywam się.

- No, przestań. Może jednak przyjedziesz. Poszłyśmy na spacer czy coś. To by ci oczyściło umysł.

- Raczej nic z tego. - Muszę skończyć obliczać wypłaty, a oprócz tego mam jeszcze milion innych rzeczy do zrobienia. Jeśli będę miała szczęście, to może uda mi się nawet pogotować.

- Dobra, rób, co chcesz. Ale poważnie, uważam, że nie mamy czym się denerwować. Więc przestań się martwić.

- Dobrze.

- Po prostu nie sędzę...

Jej głos zaczyna mnie męczyć.

- Wiem, Kate. - Czuję się gorzej, niż zanim zadzwoniłam. Pusta i wyczerpana, jakbym właśnie zrezygnowała z walki.

Później tego wieczoru kładę się do łóżka obok Larry'ego, który czyta jeden z kryminałów Harlana Cobena.

- Lare? - zaczynam, obracając się do niego. Pachnie płynem do płukania ust i makaronem z pesto, który podałam na obiad.

- Uhm? - Opuszcza książkę na pierś.

- Czy naprawdę uważasz, że zwariowałam, skoro tak myślę?

- Zwariowałaś? Zawsze sądziłem, że jesteś troszkę zwariowana. - Podnosi głowę z poduszki, żeby mnie pocałować w czoło.

Odsuwam się gwałtownie.

- Larry, przestań. - Kiedy wróciłam z pracy i opowiedziałam mu wszystko, zareagował tak samo jak Kate. - Wiesz co? Zaczynam się czuć jak małe dziecko, któremu nikt nie chce uwierzyć, że pod jego łóżkiem czai się potwór. Dlaczego nikt nie wierzy, że to możliwe? Czy naprawdę to sobie wmawiam?

- Wiesz co, kotku - mówi ze śmiechem - po prostu nie wierzę, żeby Mike był typem faceta bijącego żonę. - Przyciąga mnie do siebie, usiłując znów mnie pocałować.

Siadam, nie zwracając uwagi na to, jak udaje pokonanego i kładzie się z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków. Leży z głową podpartą na dwóch poduszkach, a ja przyglądam mu się i zastanawiam, jak może być stale taki beztroski. *Zupełnie, jakby mu się wydawało, że żyje w jednym ze swoich ukochanych gazetowych komiksów* - myślę i przez chwilę go nienawidzę.

Nagle łapie mnie za rękę i ponownie przyciąga do siebie. Tym razem się poddaję i opadam obok niego, bo jeśli tego nie zrobię, stanie się to sprawą, o której będziemy musieli porozmawiać.

- Przepraszam, masz rację - mówi, przeczesując mi palcami włosy. - To nie jest zabawne. Ale nie żartowałbym na ten temat, gdybym nie był przekonany, że nie ma o co się martwić. Tak dobrze ich znamy, że coś byśmy zauważyli.

- A skąd wiesz? To znaczy... tak naprawdę nigdy nie wiadomo, co się dzieje u innych. Widziałeś to nie-raz w telewizji. Powszechnie szanowany pastor zabija całą swoją rodzinę, uwielbiany nauczyciel okazuje się pedofilem, a mamuśka z przedmieścia nagle znika, po czym znajdują ją zakopaną przez męża pod psią budą na podwórku. To zawsze jest ktoś, po kim nigdy byś się tego nie spodziewał.

- No tak, to prawda. Ale mimo wszystko...

- Ale co?

- Kotku, daj już spokój - mówi, przyciskając mnie tak mocno, że czuję wilgoć pod pachajego podkoszulka. Wywijam się z jego uścisku. - Uczepiłaś się tego z jakiegoś powodu. Zupełnie jak wtedy, gdy sądziłaś, że masz guza mózgu, bo cierpiałaś na te okropne bóle głowy. Dopiero później sobie przypomniałaś, że kilka dni wcześniej odstawiłaś kofeinę.

Nie odpowiadam. Skoro nie chce mnie potraktować poważnie, to bez łąski. Wiem, że to nie jest dobry nawyk, i nie mam się czym chwalić, ale przekonałam się przez lata bycia w związku, a szczególnie przez ostatni rok, że doskonale mi wychodzi obrażone milczenie.

- Mówię serio, dziecinko. - Larry odzywa się znowu, tym razem ostrożniej, bo już się zorientował, że jestem zła. - Uważam, że nakręcasz się bez powodu.

Sięgam ponad nim i biorę książkę, którą odłożył wcześniej na materac.

- Proszę, czytaj sobie dalej.

Bierze książkę.

- Jesteś wkurzona?

- Nie, w porządku - kłamię. - Skoro ty i Kate uważacie, że to niedorzeczne, to musi tak być.

A może jednak tak jest?

Wzdycha, spoglądając na mnie spod oka.

- I po co ten sarkazm?

- Larry, zostawmy ten temat. Jestem zmęczona.

Odwracam się i zamykam oczy, zdając sobie sprawę, że Larry czeka, żebym coś jeszcze powiedziała. W końcu słyszę, jak bierze książkę i przewraca strony, szukając, gdzie skończył.

Już po trzydziestu sekundach leżenia z zaciśniętymi powiekami wiem, że nie zasnę. Sięgam po czerwony notes leżący na moim stoliku nocnym. Znajdują się w nim głównie notatki związane z piekarnią - pomysły nowych potraw do menu, połączenia smaków, które wymyśliłam, myjąc włosy lub jadąc do pracy, przepisy ze starych książek kucharskich mojej mamy oraz - z czasów, gdy nie byliśmy zbyt biedni, by jadać poza domem - informacje o wyjątkowo dobrych i wyjątkowo złych daniach restauracyjnych. Przerzucam teraz te strony, szukając inspiracji do wiosennego menu. „Krucze ciasto z brzoskwiniami i imbirem?“, nabazgrałam kiedyś w poprzekjednej ze stron. „Sałatka z makaronu orzo: oliwki kalamata, karczochy, tymianek“, czytam na innej. Po paru minutach uświadamiam sobie, że nie

z tego. Nie potrafię się skupić i wszystko wydaje mi się nijakie, jak suchy tost.

Larry obraca się w moją stronę.

- Co się z tobą dzieje?

- Żartujesz sobie? - pytam.

- Nie.

- Jak już ci powiedziałam parę minut temu, myślę, że mąż maltretuje jedną z moich najbliższych przyjaciółek. To na początek.

- Nie - odpowiada Larry, siadając - nie pytam o Amy. Chodzi mi o *ciebie*. Ostatnio jest między nami duży dystans, Wave. Oboje o tym wiemy. Za każdym razem, kiedy próbuję cię dotknąć, ty się odsuwasz.

- To nieprawda - stwierdzam, przesuając kciukiem po krawędzi notesu.

- Wiesz, że to prawda - mówi i wrywa mi notes.

- Spójrz na mnie, Waverly!

- Nie mów do mnie jak do dziecka! - Odwracam się.

- Waverly, przestań, spójrz na mnie - powtarza prosząco. Myślałam, że nie mogę już gorzej się czuć z powodu tego, jak go traktuję, a jednak... - Co się z tobą dzieje? - pyta niemal błagalnie.

- Po prostu mam mnóstwo na głowie.

- Porozmawiaj ze mną o tym.

- Rozmawiam - kłamię. - W pracy szaleństwo, ale to nic nadzwyczajnego. No i ta sprawa z Amy... to mnie naprawdę martwi. Zresztą, ty masz teraz swoje problemy, z pracą i tak dalej.

Przypatruje mi się uważnie przez chwilę, a ja wiem, że się zastanawia, czy dalej naciskać.

- Przepraszam, że ostatnio nie byłam sobą - mówię pojednawczo. - Wiem, że nie poświęcałam ci tyle uwagi, ile powinnam. - Naprawdę tak uważam, ale teraz mówię to tylko po to, żeby go ugłaskać. Z pewnością nie mam ochoty rozmawiać o naszym związku.

Potakuje ruchem głowy.

- Dzięki - mówi, po czym wyciąga do mnie rękę.

Kładę się obok niego, ale niechętnie. Wiem, że niczym sobie na to nie zasłużył, lecz nie mogę się zmusić, żeby dziś dać mu z siebie więcej, nie kiedy przez cały czas myślę o Amy. Ciągle mam przed oczami ten ślad na jej plecach i nieustannie gnębi mnie myśl, że być może, *być może*, wiem, skąd się wziął. Zamykam oczy, bo wiem, że Larry zostawi mnie w spokoju, jeśli uzna, że zasypiam.

Rzeczywiście odwraca się i sięga do lampy, żeby ją wyłączyć. Po kilku minutach siadam w ciemności, biorę notes i po omacku w bałaganie na moim nocnym stoliku znajduję długopis.

- Dokąd idziesz? - pyta Larry, kiedy wstaję z łóżka.

- Mniejsza o to. Śpij - odpowiadam.

W salonie zapalam lampę od Tiffany'ego, którą odziedziczyłam po babci, i siadam po turecku na kanapie. Nie prowadziłam „prawdziwego” dziennika, to znaczy takiego z głębokimi przemyśleniami, nadziejami i marzeniami, od... No, chyba nigdy. Ale umieszczam datę w narożniku nowej strony i zaczynam pisać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Później w tym samym tygodniu jestem w pracy i posypuję sałatkę z pieczonych warzyw kostkami sera feta, a Jeannette opowiada mi o zabawnej przygodzie z facetem, którego poznała przez Internet. Bardzo się cieszę, że mam okazję do śmiechu, bo ostatnie kilka dni odchodziłam od zmysłów ze względu na Amy. Wczoraj zadzwoniłam, żeby sprawdzić, czy lepiej się czuje. Zapewniła mnie, że już nic jej nie jest, ale nie udało mi się dowiedzieć niczego więcej. Kiedy zapytałam, czy Mike przejął się jej zranieniem tak jak ja, stwierdziła, że jego zdaniem nie było to nic groźnego, a następnie szybko - podejrzenie szybko - zmieniła temat i zaczęła opowiadać o irytującej sąsiadce, którą spotkała dzisiaj rano na przyjęciu urodzinowym jakiegoś trzylatka.

- Bo ja byłam przekonana, że on jest malarzem... no wiesz, że chodził do szkoły artystycznej, wystawiał swoje prace w galeriach, a jego idolem jest Leonardo da Vinci... - opowiada Jeannette. - Ale kiedy dotarłam do baru, okazało się, że owszem, jest malarzem, ale *po-kojowym*. - Robi trzymaną w rękę łopatką gest, jakby malowała ścianę, a Randy, który kroi cebulę po drugiej stronie kuchni, zaczyna się skręcać ze śmiechu.

- Pamiętacie *Karate Kid* - mówi. - W górę i w dół! W górę i w dół!

- Czekaj, czekaj, to jeszcze nie koniec - mówi Jeannette. - Był też ubrany jak malarz pokojowy.

- To znaczy co, ochlapany farbą? - pytam.

- Delikatnie mówiąc - odpowiada Jeannette. - Nieestety plamy na jego spodniach nie były nawiązaniem do mody lat osiemdziesiątych. Przyszedł w pełnym rynsztunku: białe spodnie robocze, biały T-shirt, farba pod paznokciami.

- No nieee! - wyje Randy.

- Skończył malować biuro jakiegoś dentysty z drugiego końca miasta i prosto z pracy przyjechał na randkę. Wydaje mi się, że nawet się nie umył. Na policzkach i czole miał zaschnięte kropelki farby.

- A na głowie jeden z tych papierowych kapeluszy, które dodają do zakupów w sklepach z farbami?

Jeannette chichocze.

- Bogu dzięki, nie. Poza tym nie mam nic przeciwko temu, że ktoś zarabia na życie, malując ściany. Właściwie to fajnie byłoby znaleźć faceta, który umie wyremontować coś w domu. Po prostu, jak usłyszałam, że jest malarzem, to założyłam...

- Że jest artystą - kończę jej myśl.

- Wiesz, mogło być gorzej - żartuje Randy. - Mógł być ubrany jak ten holenderski chłopczyk na puszkach z farbą.

Akurat podnoszę wzrok, kiedy zza narożnika oddzielającego kuchnię od frontowej części lokalu wyłania się Larry. Jestem zaskoczona, bo przez ostatnich kilka tygodni nie wpadł do mnie ani razu, a na dodatek mamy dzień powszedni i powinien być

w pracy w Waszyngtonie, trzydzieści minut drogi stąd. Sprawdzam godzinę na wiszącym na ścianie starym metalowym zegarze z wahadłem, który kupiłam na eBayu - dwadzieścia pięć po jedenastej. Zdaję sobie sprawę, że powinnam się cieszyć z wizyty, ale od rana mieliśmy dużo klientów, a za chwilę zacznie się największy ruch. Nie mam teraz ochoty na pogawędkę.

- Cześć, Larry - wołają jednocześnie Jeannette i Randy.

Larry staje obok i pochyla się w moją stronę, żeby pocałować mnie w policzek.

- A ty skąd się tu wzięłaś? - pytam, mieszając sałatkę dłońmi. Podnoszę wzrok znad stołu i zauważam jak Donovan, dwudziestokilkulatek żyjący marzeniami o tym, że kiedyś zostanie zawodowym deskorolkowcem, obraca jedną dłonią ciężką tacę zastawioną miniaturowymi quiche. - Donovan! Ej! - krzyczę. - Uważaj trochę, co? Spędziliśmy nad nimi całe rano!

Potrząsam głową. Nie lubię karcić pracowników - nie uważam, żebym była powołana do ich wychowywania - ale od tygodnia chodzę niewyspana, więc moja cierpliwość się kończy.

- Całkiem smacznie to wygląda. - Stojący nade mną Larry komentuje sałatkę, pochylając się i delikatnie opierając głowę o mój bark.

Wykręcam się i odsuwam.

- Larry, przestań - mówię i spoglądam jeszcze raz na zegar. - Przecież wiesz, że zaraz zwali się tu horda ludzi.

Larry robi krok do tyłu i przygląda mi się pytająco z przechyloną głową.

Kończę mieszać sałatkę, wzdycham i wycieram dłonie o moją szmatkę.

- Co byś chciał? - pytam zmęczonym głosem.

- No... pomyślałem, że się ucieszysz, jak na chwilę wpadnę - odpowiada, wyraźnie niezadowolony ze sposobu, w jaki go przywitałam. Trudno mu się dziwić.

Ostatnie kilka dni nie należało do szczególnie udanych. Wpadłam w lekką obsesję na punkcie obrażeń Amy i za każdym razem, kiedy poruszam ten temat, odnoszę wrażenie, że Larry stara się mnie zbyć. Ciągle tylko powtarza - jak *zawsze* - że za bardzo się przejmuję, przez co zaczynam się czuć, jakby lekceważył moje zmartwienia. Szczerze mówiąc, to odbieram jego zachowanie jako trochę poniżające. Rzecz jasna, zamiast zachować się dojrzałe i powiedzieć mu o tym, duszę w sobie narastającą irytację, przez którą teraz wmówiłam sobie, że Larry mnie nie wspiera. Wiem dobrze, że z logicznego punktu widzenia to bzdura - Larry jest dla mnie niesamowitym oparciem - ale jego reakcja (czy raczej *brak* reakcji) na moje opowieści o Amy doprowadza mnie do szału. Przez większą część ostatnich czterdziestu ośmiu godzin starałam się go unikać. Wczoraj wieczorem zajęłam się prasowaniem stosu ciuchów, który od Święta Dziękczynienia cierpliwie czekał w koszu na dnie szafy. Przedwczoraj spędziłam dwie godziny, nadrabiając zaległości w czytaniu magazynów kulinarnych. Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie jest nieracjonalne. Skoro nie umiem

mu przekazać, o co mi chodzi, nie powinnam go winić za powstałą sytuację. Poza tym, *zważywszy* na jego obecne kłopoty w pracy oraz to, że *nie ma pojęcia*, jak dramatyczne jest moje położenie, trudno mu się dziwić, że nie rzuca wszystkiego, żeby mi pomóc. Mimo to chciałabym, żeby tak po prostu... właściwie to nie wiem, co miałyby zrobić. W każdym razie na pewno wolałabym, żeby go tu teraz nie było.

- Waverly? Halo? - Larry macha mi ręką przed twarzą. - Gdzie cię wzięło?

- O, przepraszam - mówię. Skrapiam sałatkę sosem winegret i przesuwam ją na blat z gotowym jedzeniem, z którego Donovan zabiera je do lady wystawowej w części frontowej.

Kątem oka widzę, jak Larry przebiera nogami w oczekiwaniu, że przerwę pracę i poświęcę mu chwilę uwagi. Ledwo odczuwalne ukłucie wyrzutów sumienia podpowiada mi, że nie powinnam się zachowywać jak trzynastolatka. Muszę z nim szczerze porozmawiać, ale nie potrafię. *Zwyczajnie nie potrafię*. Wiem, że to wobec niego bardzo niesprawiedliwe, ale w tej chwili czuję się fizycznie niezdolna do odgrywania roli Kochającej dziewczyny. Ruszam do jednej z lodówek po drugiej stronie kuchni, żeby wyciągnąć tackę boczków, który muszę obsmażyć do kanapek.

- Rozumiem, że jesteś zajęta - stwierdza uszczypliwym tonem i wpycha dłoń do kieszeni spodni.

- Tak - odpowiadam. - Skąd się tu wzięłaś? Nie powinieneś być w pracy?

Larry się śmieje.

- Ładnie to tak, Waverly? - pyta ironicznie.

- No co? - mówię, udając, że nie wiem, o co chodzi.

Mógłby mnie zapytać, co u Amy. Albo zaproponować, żebyśmy wspólnie znaleźli sposób, jak jej pomóc. Mógłby zapytać, jak mi leci w pracy. Czemu on tam stoi, jakby mu rozum odebrało?

- W pracy wszystko w porządku, skoro pytasz - stwierdza sucho. - Byłem dzisiaj rano u dentysty. Pomyślałem, że miło będzie potem wpaść do ciebie na lunch.

- Szukasz darmowego jedzenia?

- Waverly, o co ci do cho... ? - przerywa, zauważając Jeannette, która w milczeniu przyozdabia babeczki marchewkowe siekanymi orzechami pekan i z pewnością uważnie przysłuchuje się naszej rozmowie. Większość moich pracowników zna Larry'ego niemal tak dobrze jak mnie, ale i tak nie mam ochoty na kłótnię przy wszystkich.

Nie udaje mi się nawet podejść do płyty do smażenia, kiedy okazuje się, że to jeszcze nie koniec moich problemów. W wejściu do kuchni pojawia się głowa Randy'ego.

- Umm, Wave? Masz gościa. - Z jego tonu głosu i wyrazu twarzy jednoznacznie wynika, że chodzi o Aleca, właściciela lokalu. Cholera. Od trzech tygodni zalegam z czynszem i ignoruję jego bezustanne telefony, o czym - oczywiście - nie wiedzą ani moi pracownicy, ani tym bardziej Larry, który wałęsa się po kuchni i najwyraźniej nie spieszy mu się do wyjścia.

Zanim udaje mi się wymyślić powód, by wypędzić wszystkich z kuchni, Alec wtacza się do niej le-

niwym krokiem, po drodze zanurzając palec w misce lukru stojącej przy babeczkach Jeannette. Nie znoszę tego człowieka. Użeram się z nim od roku, a dokładnie od miesiąca po tym, jak skończył studia na Virginia Tech i jego dziadek, przemiły Irlandczyk, podjął niefortunną decyzję, by sprezentować mu budynek, w którym znajduje się mój lokal. Alec charakteryzuje się zarozumiałstwem i arogancją na poziomie, który jest możliwy wyłącznie, kiedy się ma dwadzieścia dwa lata. Z tego, co wiem, spędza większość czasu na siłowni i słuchając Howarda Sterna. Na tylnym zderzaku swojego podrasowanego, jaskrawoniebieskiego pick-upa ma jedną z tych idiotycznych naklejek przedstawiających Calvina sikającego na aktualny obiekt pogardy właściciela samochodu. Na dodatek w ogóle nie *potrzebuje* moich pieniędzy - wiem na pewno, że jego dziadek spłacił hipotekę lata temu. Założę się, że wydaje mój czynsz na piwo i dziewczyny w klubie go-go.

- Waverly Brown! - ogłasza wszem i wobec, kiedy mnie dostrzega. *O Boże, nienawidzę tego fiuta*. Ma na sobie dres klubu sportowego Virginia Tech, przy czym jedną nogawkę podciągnął do wysokości kolana - jest to styl ubierania się, na którego zrozumienie jestem najwyraźniej za stara. - I co tam? - rzuca do Larryego, który widzi Aleca pierwszy raz w życiu, ale opisywałam mu go już tyle razy, że na pewno wie, z kim ma do czynienia.

- Nie muszę chyba tłumaczyć, po co tu przyszedłem? - mówi Alec, głośniej niż to konieczne.

- Nie, nie - odpowiadam. - Pozwól na chwilę do mojego biura... - Wskazuję ruchem głowy, żeby podążył za mną. Naprawdę mi zależy, żeby nie wypisywać mu czeku przy pracownikach i Larrym, a na dodatek boję się, że palnie coś wyjątkowo głupiego.

- Ależ oczywiście, Waverly... - odpowiada kpiąco Alec. - Z przyjemnością jeszcze dłużej poczekam na moje pieniądze. Nie dostałaś moich wiadomości?

Ignoruję zaczepki i kieruję się do pokoiku, który niegdyś był schowkiem, a obecnie służy za moje biuro. Dostałam jego wiadomości, owszem, ale przyznaję się bez bicia, że mam skłonność wciskać przycisk „kasuj” podczas ich odsłuchiwania. Czy można mi się dziwić, skoro ten palant nagrywa mi się na pocztę głosową o wszystkich porach dnia i nocy, przekrzykując wrzaski zidiociałych kolegów albo ogłuszające dudnienie klubowej muzyki?

- Hej, Wa-ver-ly! - dobiega z kuchni złośliwe wołanie Aleca. - Tylko nie zapomnij o karze za spóźnioną płatność. Za ten miesiąc i za poprzedni. Bo ostatnio zapomniałaś.

Ściskam mocniej długopis. Niedobrze mi się robi na myśl, że muszę wpisać jego imię i nazwisko w rubryce „Dla”.

- Proszę - mówię i wręczam mu czek.

Jeannette zawzięcie pracuje albo dobrze udaje. Larry niestety wciąż stoi w tym samym miejscu i uważnie rejestruje przebieg zdarzeń.

- Nie możesz ciągle tak się spóźniać - informuje mnie Alec stanowczym głosem, podkreślając każde słowo gestem dłoni.

- Wiem, Alec.

- Naprawdę, musisz z tym skończyć. Tak nie można.

- Wiem.

- Na pewno? - Przyciska mocno ręce do boków, a dłonie obraca wnętrzem do góry. Trudno mi ocenić, czy próbuje mnie zastraszyć czy też popisać się muskulaturą klatki piersiowej. Za to dobrze wiem, że dorastał w budynku Watergate, a za sąsiadów miał Boba i Liddy Dole'ów, więc jego pozowanie na twardziela wydaje mi się trochę żenujące.

Jego uwagę przyciąga talerz sałatki z pomidorów i sera mozzarella.

- Co to? - pyta, wskazując na niego palcem.

- Sałatka caprese.

- Daj mi trochę.

- A zamierzasz za nią zapłacić? - pytam.

Alec wybucha śmiechem, ociera usta i podnosi czek na wysokość oczu.

- Serio?

Wzdycham. Donovan akurat przechodzi obok mnie, niosąc miotłę.

- Odłóż to, proszę, i nałóż Alecowi pół kilo caprese.

- Dziękuję. - Alec uśmiecha się i puszcza do mnie oko.

Wracam do Larry'ego, ignorując Aleca, który na odchodnym postanawia jeszcze wrzasnąć:

- W następnym miesiącu chcę to dostać na czas!

- Spóźniłeś się z czynszem? - pyta cicho Larry. Do-ceniam, że stara się oszczędzić mi dalszego wstydu, ale

nie potrafię się zmusić, by spojrzeć na jego zmartwioną twarz. Wracam do przygotowywania jedzenia.

- Spokojnie. Panuję nad tym - burczę pod nosem, zdając sobie dobrze sprawę, jak bardzo moja odpowiedź odbiega od rzeczywistości. Gryzę się od wewnątrz w policzek, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Wczoraj wieczorem przed wyjściem do domu spędziłam dwie godziny nad finansami. Mimo całkiem udanych walentynek koszty funkcjonowania piekarni w połączeniu z czynszem i spłatą pożyczki hipotecznej przerastają moje możliwości. Po tym jak Alec wymusił ode mnie czek, nie pozostaje mi nic innego, jak nie wywiązać się ze zobowiązań wobec banku. Nic na to nie poradzę.

- Waverly na pewno nic ci nie jest? - pyta jeszcze raz Larry, dotykając dłonią mojego ramienia.

- Larry! - puszczają mi nerwy. - Nie powinieneś być w Waszyngtonie i martwić się o *swój* pracę, zamiast stać mi tu nad głową? Jak jeszcze trochę poczekaasz, to mogą zauważyć, że wcale cię aż tak bardzo nie potrzebują.

Larry odstepuje o krok.

- No, nieźle.

Odprawdam spojrzeniem Jeannette i Donovana, którzy postanowili pędem wynieść się z kuchni.

- Co się z tobą dzieje, Wave?

Pewnie mogłabym mu teraz wszystko powiedzieć - o pracy i braku pieniędzy, o tym, jak bardzo mi zależy, żeby przestał lekceważyć moje obawy o bezpieczeństwo Amy, i jak strasznie mnie wkurza, że nie

jest jasnowidzem i jeśli chcę, żeby mi pomógł, to będę musiała o to poprosić. I jeszcze, że chcę, żeby był moim partnerem i to moja wina, że chwilowo nie może.

Głośno przełykam ślinę.

- Nic takiego - mówię. - Po prostu w którymś momencie przegapiłam, że nie zapłaciłam tego czynszu. Najpierw wyjazd na Florydę, potem te wszystkie problemy z Amy... No, zapomniałam. Nie mogę czasami o czymś zapomnieć?

Larry tylko potrząsa głową. Widzę, że ma mnie dość.

- Będiesz wieczorem w domu? - pyta, ruszając do drzwi.

- Nie, idę na obiad z dziewczynami.

- Aha - odpowiada, kręcąc kluczami. - No dobra.

Odpowiednia chwila minęła i kiedy tylko znika za progiem, dopadają mnie wyrzuty sumienia. Chciałabym to jakoś rozwiązać, ale musiałabym się przyznać do tylu rzeczy i boję się, że wiele z nich trudno mu będzie zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że niczemu nie zawiniłam, a ja wyzywam się na nim za bałagan, który sama zrobiłam. Zaglądam ostrożnie do części frontowej i obserwuję, jak Larry wymienia z Donovanem zdawkowe pożegnania.

- Do zobaczenia! - mówię pod nosem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Nie uwierzcie, jaki miałam popierdolony dzień - mówi Kate. RzUCA torebkę na wyściełaną winylem ławę i wsuwa się koło mnie.

- Wezmę to od ciebie - odzywa się Amy, kiedy Kate kończy wyplątywać się z blezera.

Przyglądam się, jak sięga po niego nad stołem, a potem starannie go składa i umieszcza na swoich rzeczach. Nie czekamy dłużej niż dziesięć minut, ale na widok Kate odczuwam taką ulgę, jakby Amy była jakimś śmierdzącym cebulą nudziarzem poznanym na przyjęciu.

Słuchałam, jak opowiada mi o swoim dniu, chociaż zapewne trudno to nazwać słuchaniem, skoro nie potrafiłabym powtórzyć, co powiedziała, nawet gdyby mi za to zapłacili. Stale wracam myślami do wizyty w jej domu. Dziś spotkałyśmy się po raz pierwszy od tamtej pory i żadna z nas o tym nie wspomniała. Prawdę mówiąc, Amy najwyraźniej stara się zrekompensować mi tamto niegrzeczne zachowanie. Kiedy spotkałyśmy się na parkingu, obdarzyła mnie tak serdecznym uściskiem, jakbyśmy były rozdzielonym w dzieciństwie rodzeństwem, które się połączyło na nowo w jednym z programów telewizyjnych. Potem w restauracji tak się zachwycała stolikiem, który wybrała nam hostessa,

jakby był z niego widok na dachy Manhattanu. Zawsze uważałam jej entuzjazm za szczery, ale teraz już sama nie wiem. Coraz częściej się zastanawiam nad chłodną, nadaną kobietą, którą odkryłam w jej domu.

- Więc miałaś paskudny dzień? - zwraca się teraz współczująco do Kate, wydymając dolną wargę.

Przesuwam menu po stole. Kate sięga po nie i głośno wydycha powietrze, nadymając policzki, jakby zdmuchiwała świece na torcie.

- Och, właściwie to nie było nic szczególnego - odpowiada w końcu, potrząsając głową, jakby strzepywała z siebie ten dzień. - Jadąc tutaj, obiecałam sobie, że nie będę narzekać.

Nie wytrzymałam i roześmiałam się, chociaż w ustach miałam pełno chleba.

- Waverly, przestań. - Krzywi się ze znużeniem. - Podnosi dłoń, żeby przyciągnąć uwagę kelnera. - Obsługa tu zawsze była do dupy - stwierdza, kiwając palcem w powietrzu. - Nie wiem, dlaczego wy dwie stale chcecie tu przychodzić.

Siedzimy we włoskiej restauracji Finelli's zajmującej stary budynek z pustaków żużlobetonowych, znajdującej się kilka kilometrów od mojej piekarni. Jest ona nieodłącznym elementem Maple Hill już od lat pięćdziesiątych, choć obecnie ledwo ją widać pomiędzy gigantem elektronicznym Best Buy a supermarketem Target, które wyrosły po obu jej stronach. Ściany restauracji są wyłożone drewnem, stoliki przykrywają tradycyjne obrusy w biało-czerwoną kratkę, a podstarzali kelnerzy wyglądają, jakby pracowali tu od pierw-

szego dnia. Nasz kelner w końcu podchodzi, szurając nogami, i rzuca nam gniewne spojrzenia w czasie, gdy wyjmuje notes zza paska i czeka na zamówienie Kate.

- Chyba wezmę stołowe czerwone - stwierdza Kate po przejrzeniu menu, potrząsając głową, jakby było napisane sanskrytem. - W życiu nie zetknęłam się z żadnym z tych win - dodaje pod nosem.

Wcale mnie to nie dziwi. Kelner unosi brwi i zapisuje zamówienie w swoim bloczku tak powoli, jakby dopiero uczył się pisać. Moi rodzice zaczęli tu ze mną przychodzić na niedzielne rodzinne obiady, kiedy byłam w szkole średniej, a kiedy zbliżyłyśmy się z Kate, ona też do nas dołączyła. Udaje, że nie znosi tego miejsca, ale zawsze zjada wszystko do ostatniego kęsa.

- To nie widziałyśmy się od powrotu z Florydy - zwraca się do Amy

- No właśnie! - Amy dotyka jej przedramienia.

- Mam nadzieję, że dostałaś mój e-mail w związku z lunchem Brendana. Bardzo mi przykro, że nie przyszłam.

- Wysłałaś mi jakiś e-mail? - marszczy brwi Kate.

- Nie pamiętam.

- Waverly mówiła, że przyszło mnóstwo ludzi - ciągnie Amy.

Kate wzrusza ramionami.

- Chyba tak.

Sięgam po buteleczkę z oliwą i nalewam sobie trochę na talerz do chleba.

- No, więc zgadnijcie, co się dziś zdarzyło - mówi Kate, zbierając włosy w koński ogon, a po chwili je

puszczając. - Jak już mówiłam, miałam dziś istne szaleństwo, ale nie bez przyczyny. Brendan zebrał bardzo dużo pozytywnych opinii po występie w „Meet the Press” w tamtą niedzielę.

- Ojej! - piszczy Amy, uderzając się dłonią w czoło. - Kate, tak mi przykro! Zupełnie zapomniałam to obejrzeć. I jak poszło?

Kate spogląda na nią przez stół takim wzrokiem, jakby była dzieckiem wtrącającym się do rozmowy dorosłych. Najchętniej kopnęłabym ją pod stołem, żeby dała Amy spokój, ale nie chcę trafić w niewłaściwą nogę. Nie przeszkadza mi, kiedy mnie tak traktuje, ale Amy to co innego. Cholernie dobrze wie, że Amy po prostu stara się być miła. Szczególnie teraz zależy mi, żeby Kate nie zachowywała się wobec niej wrednie, bo podejrzewam, że Amy tą wesołością maskuje coś okropnego.

- Cóż, jak wspomniałam - odchrząkuje - poszło mu bardzo dobrze.

To prawda. Oglądaliśmy ten program z Larrym i wręcz zapomniałam, że facet na ekranie to ten sam Brendan, którego znam. Już podczas lunchu przekonałam się, że umie dobrze przemawiać, a ten wywiad udowodnił, że naprawdę zna się na tym, co robi. Nawet sprawiał wrażenie, jakby się tym wszystkim przejmował.

- Rzecz w tym - mówi Kate i przerywa na chwilę, żeby kelner mógł jej postawić kieliszek - że to naprawdę wielka sprawa, zyskać takie ogólnokrajowe zainteresowanie już podczas pierwszej kampanii, tym bardziej że prawdopodobnie ją wygra.

- Poprosimy jeszcze o chwilę. - Uśmiecham się do kelnera, który wznosi oczy do góry i odchodzi człapiącym krokiem.

- A co to za historia z tym facetem, który ma być jego konkurentem? - pyta Amy.

Kate wzdycha.

- Najpierw są prawybory - wyjaśnia, najwyraźniej zirytowana, że musi to robić. - Brendan ma już nominację republikanów, czyli z nikim nie musi walczyć w prawyborach. Natomiast demokraci mają nadal dwóch kandydatów, ale niemal na pewno już wiadomo, który z nich będzie rywalem Brendana.

- Rozumiem - stwierdza Amy. - Więc kim jest ten facet? Widziałam jego zdjęcie w gazecie - niski, chudy i łyсы. To ten, tak?

- J o h n Tookin - wypowiadam jego imię i nazwisko jak puentę. - To wariat. Jak mówi Larry, przy nim Ross Perot wygląda na tak zrównoważonego jak ten pilot, który posadził samolot na rzece Hudson.

- Faj! - Kate krzywi się, jakby właśnie ugryzła cytrynę. - Tookin to debil. Jest zbyt liberalny na Wirginie.

- Zatem, co to wszystko oznacza? Czy Brendan szaleje z radości? - pytam.

- No więc, szczerze mówiąc... - Kate przesuwając palcem wskazującym po krawędzi kieliszka. Pochyla się i ścisza głos. - To prawdopodobnie oznacza, że Brendan zacznie myśleć o czymś większym po zakończeniu kadencji gubernatorskiej.

- Większym? - Amy niemal kładzie się na stole. - A co może być większego?

Teraz ja też się pochylam.

- Rozmawiają o prezydenturze - oznajmia Kate. Rzuciła to, jakby nigdy nic, jakby Brendan sprzedawał dywany, a ona nas informowała, że zamierza się przenieść do biura w Omaha. Sięga po koszyk z chlebem.

- Zaraz, zaraz... *prezydent?* - Amy podaje jej koszyk. - To znaczy, jak... *O mój Boże!*

Mam wrażenie, że oczy zaraz mi wyskoczą jak u postaci z kreskówek. Jestem zbyt wstrząśnięta, żeby udawać, że mnie to ekscytuje. Jedno, co z całą pewnością wiem o Kate, to że chce być pierwszą damą Stanów Zjednoczonych w takim samym stopniu, jak zbierać śmieci na poboczu autostrady. Czym innym jest pozycja pierwszej damy Wirginii, wprawdzie prestiżowa, ale nie tak widoczna, a zupełnie czym innym udawanie, że dobrobyt naszego kraju interesuje ją na tyle, żeby poświęcić dla niego całe życie.

Kate wzrusza ramionami.

- To po prostu następny krok.

- Rozmawialiście o tym wcześniej? To znaczy, to ogromna sprawa - mówię. - Najpoważniejsza praca na całym świecie.

Jej spojrzenie mówi, że dokładnie wie, o czym myślę.

- A o czym tu rozmawiać? - pyta poirytowana. Wgryza się w bułkę jak drapieżnik odgryzający głowę upolowanej zwierzyny. - On i tak to zrobi, niezależnie od tego, co uważam - mówi z pełnymi ustami.

Amy spogląda na mnie z ustami otwartymi w idealne „O”. Jest to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy

sobie uświadamiam, że nadal bywa zauroczona Kate. Ja natomiast znam ją zbyt dobrze, żeby odczuwać nabożny podziw. Prawdę mówiąc, kiedy widzę w mieście elementy kampanii Berkshire'a, takie jak znaczki w witrynach sklepowych czy naklejki na zderzakach na parkingu marketu, nie od razu sobie uświadamiam, że odnoszą się one do *moich* Brendana i Kate, tych samych, którzy oddają mi pod opiekę psa, kiedy wyjeżdżają na wakacje.

Ale pierwsza dama? Kate? Przypominam sobie ostatnią inaugurację i Obamę kroczącego Pennsylvania Avenue. Jakoś nie widzę tam mojej najlepszej przyjaciółki. Wyobrażam ją sobie później wieczorem, jak w prywatnych apartamentach jęczy do Brendana: „Cholera jasna! Te pieprzone stopy mnie wykończą! Jak, u diabła, mogłeś mnie tak urządzić?”. Albo na okładce magazynu „Parade”, gdzie w poprzek jej zdjęcia biegnie nagłówek o... Właśnie, o czym? Jaką sprawą się zajmie? Zawsze miała mnóstwo pomysłów, ale jakoś nie słyszałam, żeby pasjonowała się jakąkolwiek kwestią społeczną.

Przynoszą nasze jedzenie, więc zabieram się za swoje manicotti, a jednocześnie próbuję sobie wyobrazić nasze życie za pięć lat: Kate będzie urzędować we Wschodnim Skrzydle, a ja... co? Znowu uczyć? Pracować w cudzej restauracji?

Z drugiej strony, jeśli piekarnia padnie, może Kate będzie mogła mi załatwić pracę prezydenckiego cukiernika.

Tyle że ja znam Kate. Znam ją lepiej niż Brendan. *Nie ma mowy, żeby się zdecydowała na kampanię prezy-*

dencką - myślę, przesuwając w jej stronę pojemniczek z płatkami czerwonej papryki, bo wiem, że go chce.

Bierze go ode mnie i stwierdza:

- Właściwie to nic dotąd nie powiedziałaś.

- Co? - Prostuję się i przywołuję sztuczny uśmiech.

- Wyglądasz, jakbyś była troszkę - przygląda mi się zwężonymi oczyma - wkurzona.

- Sama nie wiem. - Wzruszam ramionami. - Chyba chodzi o to, że się zastanawiam, czy ty i Brendan naprawdę poważnie to omówiliście. A jak się do tego mającego pragnienie posiadania dzieci?

- Żartujesz sobie? - Z siorbnięciem pochłania porcję linguine z sosem z małży. - Oczywiście, że to przedyskutowaliśmy. To zawsze należało do planu. Waverly, to zupełnie naturalny rozwój jego kariery. Spójrz na to jak na awans, i tyle.

- Czy ty na łeb upadłaś? - wybucham. - Twój mąż będzie przywódcą całego wolnego świata. Ty będziesz pieprzoną pierwszą damą Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tylko pomyśl: Nancy Reagan, Barbara Bush, Hillary Clin...

- Lepiej nie kończ - przerywa mi, wyciągając rękę, i przy tym ruchu niemal przewraca kieliszek Amy. Amy łapie go obydwoma rękoma, zanim zdąży upaść.

- Dlaczego tak się zachowujesz? - jęczy. - Myślałam, że będziesz się cieszyć razem ze mną.

Oddycham głęboko i staram się odezwać łagodniejszym głosem.

- Kate, oczywiście, że chciałabym się tym cieszyć, ale tylko się zastanów. Straciłabyś resztki prywatności,

a przecież wiem, jak cię denerwuje uwaga, którą już teraz ci poświęcają. - Jednak wbrew temu, co twierdzi, uważam, że aż tak jej to nie przeszkadza. Zresztą, dlaczego miałyby przeszkadzać, skoro dotychczas wszędzie mówi się o niej pozytywnie. - Czy w ogóle sobie wyobrażasz, jak to będzie? Artykuły w czasopiśmie, omawianie twoich spraw w programach informacyjnych, krytyka.

- Poradzę sobie z tym, Waverly. Całe życie sobie radzę.

Racja.

- Ale to będzie coś zupełnie innego - nie ustępuję.
- Wiesz, jaka bezwzględna potrafi być prasa. Przekopią wszystko - twoją przeszłość, przeszłość Brendana, wasze małżeństwo...

- Nie znajdują u nas żadnych trupów w szafie. - Kate odkłada widelec. - A w moim małżeństwie dobrze się układa.

Unoszę brwi.

- Co znowu? - mówi przez zaciśnięte zęby.

- Z naszej ostatniej rozmowy nie wynikało, żeby wszystko było u was w porządku.

- O Boże! Naprawdę? Chodzi ci o to, co wygadywałam ostatnio u mnie w domu? Albo na Florydzie po niezliczonych margaritach? Kwestii dzieci nie ma. Chociaż to i tak nie twoja sprawa, to wiedz, że ich nie będzie. Jesteśmy z Brendanem parą prowadzącą dużą kampanię wyborczą i uważam, że i tak lepiej sobie radzimy niż większość - stwierdza. - A szczerze mówiąc, to są sprawy, o których nie masz zielonego pojęcia.

Potrząsam głową. Nie chcę się z nią kłócić, szczególnie teraz, kiedy martwię się o Amy i prawie nie rozmawiam z Larrym.

- Posłuchaj - wyjaśniam - mnie zależy tylko na tym, żebyś była szczęśliwa. Pamiętam, co mówiłaś, kiedy dorastałyśmy - że nie chcesz spotkań w gronie pań od dobroczynności, zdjęć z przyjęć w „Washingtonian” i wzmianek z „pewnego źródła” w plotkarskiej prasie. Chciałaś uciec do Hiszpanii i poślubić matadora.

- Ale kiedy to było! Chciałam życia jak z powieści Ernesta Hemingwaya, a mam corridę w telewizji. - Śmieje się.

- No, to będzie niezwykle ekscytujące, to pewne - włącza się Amy, wyraźnie starając się przerwać naszą sprzeczkę. - Tylko pomyślcie, Boże Narodzenie w Białym Domu, wielkanocne toczenie jajek po trawniku. Emmie by się podobało.

- Tak, to byłoby coś. - Kate spogląda na mnie przez moment, ale nie potrafię odgadnąć, co wyraża jej spojrzenie. Cholera, w jej wypadku też spieprzyłam sprawę.

- Czy ten facet ma zamiar kiedyś tu podejść? - irytuje się Kate. - Muszę się jeszcze napić.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Po obiedzie Kate szybko się zwija, tłumacząc, że musi rano wcześniej wstać, bo jedzie do Charlottesville na grilla połączonego ze zbieraniem funduszy, natomiast Amy pyta, czy chce zostać na jeszcze jednego drinka.

Sprawdzam godzinę. Po sprzeczce w piekarni Laryemu zapewne nie zależy na moim towarzystwie.

- Pewnie, czemu nie.

Przesiadamy się do narożnika na końcu restauracji. Stawiamy metalowe pojemniki z pozostałościami naszych posiłków na mahoniowej, grubo polakierowanej ladzie baru. Kilka miejsc dalej siedzi facet z rzadkim rudym wąsem, który popija amstela i rozmawia z barmanem o nadawanym właśnie menu koszykówki.

Zamawiamy wino dla Amy i wodę dla mnie. Chętnie bym wypijała jeszcze kieliszek pinota, ale mnie na to nie stać, pomimo że zamówiłam obiad dnia za 9,99 dolara. Popijam wodę, a Amy poprawia włosy, przegladając się w lustrze za barem.

- Niezłe wieści miała dla nas Kate, co? - zaczynam.

Szczerze mówiąc, nie bardzo wiem, o czym z nią rozmawiać i czy wspominać jeszcze raz o jej wypadku w domu. W Internecie radzili, żeby zachowywać się

bezpośrednio i zapewniać wsparcie. Ostatnio mam wrażenie, że zawodzę na obu frontach.

- Nie do wiary - podchwytuje Amy. - Wiem, że Brendan ma duże aspiracje, ale to wszystko wydaje się zupełnie nierzeczywiste.

- Wiem. - Sięgam po serwetkę i wycieram mokrą płamę na barze. Siła przyzwyczajenia. - Martwię się o nich.

- Te opowieści o dziecku wytrąciły mnie z równowagi - przyznaje Amy - ale wygląda na to, że Kate nad wszystkim panuje.

- Pewnie. To w końcu Kate. Zawsze ma wszystko pod kontrolą - stwierdzam.

- Najwyraźniej potrafi ze wszystkim sobie poradzić.

Wyczuwam w jej głosie cień znużonej ironii, więc próbuję ustalić, skąd się bierze.

- A jak ci się układa z Mikiem? - pytam. - Kiedy ostatnio rozmawialiśmy w piekarni, mówiłaś, że pojawił się między wami dystans.

- Och, Waverly, jest bez porównania lepiej. - Dla podkreślenia słów dotyka mojej ręki. - Wczoraj poszliśmy całą trójką na obiad... po raz pierwszy od Bóg wie kiedy. Aż trudno mi w to uwierzyć. Mam wrażenie, jakbyśmy znów chodzili na randki.

Wygląda na to, że mówi szczerze, toteż natychmiast dopada mnie poczucie winy z powodu przerażających wizji, jakie snułam na ich temat w ostatnich tygodniach. Co się ze mną dzieje? Najpierw wymyśliłam, że Mike zdradza Amy. Potem, że ją bije. A dziś nie potrafiłam się cieszyć razem z Kate. Najwyraźniej

problem tkwi we mnie, a moje krytyczne nastawienie starszej siostry wynika z faktu, że to moje życie jest w rozsypce. Dlatego podejmuję stanowczą decyzję - wszystko, co Amy i Kate mi powiedzą, będę przyjmować za dobrą monetę. Kończę z zamartwianiem się o nie i tworzeniem katastroficznych scenariuszy. Obie są świadomymi, dorosłymi kobietami, które bez porównania lepiej radzą sobie z życiem niż ja.

Zamiast zajmować się urojonymi problemami przyjaciółek, muszę się skupić na rozwiązywaniu *własnych*. Jezu, gdybym powiedziała Amy, co mi chodziło po głowie przez miniony tydzień, pewnie od razu odesłałaby mnie do wariatkowa.

- T a k się cieszę, że jesteś szczęśliwa - mówię do niej. Uśmiecha się niepewnie.

- T a k . . . - zaczyna coś mówić i przerywa.

- O co chodzi? - pytam.

- Mniejsza o to.

- Powiedz mi, proszę.

- Chodzi o twoją wizytę u mnie w domu. Okropnie się zachowałam. Bardzo cię przepraszam.

- Och, nie przejmuj się tym - mówię, czując ogromną ulgę, że jednak stara się oczyścić atmosferę. - Nic się nie stało.

Zachowujemy się jak para godząca się po pierwszej kłótni, obie zakłopotane i przesadnie skruszone. Jednak cieszę się, że wszystko wraca do normy. Amy zerka na mecz koszykówki na ekranie telewizora. *Może powinnam jej powiedzieć* - rozmyślam, obserwując, jak mamrocze pod nosem zachęty dla zawodników na

boisku. *Jeśli się przyznam, co wymyśliłam, będę mogła naprawdę ruszyć dalej i więcej do tego nie wracać.*

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczynam, uśmiechając się z zażenowaniem. Sama jestem zaskoczona swoją odwagą. Głos w głębi mojej głowy, ta rozsądna strona mnie, która nie uległa wpływowi wina, każe mi się zamknąć.

- Co?

- O Boże! Mniejsza o to. - *Ty idiotko! Co ty sobie myślisz?*

- Po prostu mi powiedz - śmieje się Amy. - Teraz już muszę wiedzieć. - Nadal wpatruje się w telewizor.

- No, dalej - szepce do zawodników na ekranie.

- Nie uwierzysz, co sobie myślałam. - Robię grymas.

Amy patrzy na mnie i przekrzywia głowę jak szczeniak.

- Krępuję się nawet to powiedzieć - stwierdzam i przykładam ręce do twarzy. - To takie głupie.

- Waverly! Po prostu mi powiedz!

- Obiecuj mi, że się nie wściekniesz.

Amy uśmiecha się przebiegle.

- No, dalej! Kawa na ławę.

Zaciskam usta i przyglądam się jej. Teraz już nie mam wyjścia.

- Szczerze mówiąc, to nawet zabawne - zaczynam, ani przez moment w to nie wierząc, ale licząc, że złagodzę w ten sposób dalsze słowa. - Po tamtej wizycie u ciebie, kiedy widziałam, jak kulejesz, pomyślałam, że być może...

Amy wypija łyk wina. Sięgam po wodę i idę za jej przykładem.

- Nie, nie mogę ci powiedzieć! To idiotyczne! - wycofuję się. - Proszę, zmieńmy temat.

- Do cholery, Waverly, mów! - Nadal się uśmiecha.

Pochyliam się ku niej ze wzrokiem wlepionym w jej kolana, bo nie potrafię patrzeć jej w oczy, kiedy będzie to mówić.

- Pomyślałam, że Mike mógł ci to zrobić, to na plecach - wyrzucam z siebie jak najszybciej. - I co, strasznie głupie, prawda?

Amy prostuje się.

- To raczej niedorzeczne - prychna, a potem znów podnosi kieliszek do ust.

- O, nie - mówię. Widzę, że zacisnęła usta w cienką linię i uniosła brwi. - Obraziłam cię. Wiem, że to było idiotyczne. Nie powinnam była nic mówić. Tak mi teraz wstyd.

Najchętniej zanurkowałabym pod bar i wtopiła się w zakurzoną, pokrytą okruchami podłogę.

- Nic się nie stało - odzywa się Amy.

Widzę jednak, że to nieprawda.

- O Boże, Amy. Tak bardzo cię przepraszam. Wiem, że Mike by nigdy...

- Nie, tylko... - Zagryza dolną wargę.

Oddzielam pasemko włosów i zaczynam je żuć.

- Waverly, naprawdę nie mam żalu - ciągnie Amy.

- Prawdę mówiąc...

Kiedy jej wzrok napotyka mój, nie musi już nic więcej dodawać. Puszczam kosmyk. Oczy mi się rozszerzają. Amy kiwa potakująco głową.

- Zaraz, zaraz - mówię. - Amy?

- Miałaś rację - mówi bezgłośnie.

- Amy? - Pochyliłam się w jej kierunku. - Co ty mówisz?

- Mówię, że było tak, jak sądziłaś. - Sięga przez bar po serwetkę i dotyka nią oczu. - To się zaczęło tuż po narodzinach Emmy, ale teraz jest już dobrze.

Spogląda przez ramię na barmana i stwierdza, że jest nadal zatopiony w rozmowie o sporcie z klientem. Wówczas kładzie łokieć na barze, opiera głowę na dłoni i zaczyna opowiadać.

* * *

Pierwsze pięć lat ich małżeństwa było dobre, a chwilami nawet idylliczne, jak wówczas gdy zadzwonił w piątek po południu, żeby była gotowa na siódmą, po czym porwał ją na piknik w parku National Mall. Bywały też gorsze okresy, szczególnie gdy był rezydentem w Georgetown i wracał do domu tak wyczerpany, że tylko ją całował na przywitanie i padał na łóżko. Te sytuacje zdarzały się jednak na tyle rzadko, że specjalnie jej nie martwiły. Dorastając, była świadkiem kłótni swoich rodziców i wiedziała, że w każdym małżeństwie zdarzają się problemy. To nie znaczyło, że jej nie kocha.

Mike zawsze był niesamowicie troskliwy i należał do tych mężów, którzy nie tylko pamiętają, że żona woli tulipany od róż, ale również je kupują. Co prawda, czasami jego opiekuńczość stawała się kłopotliwa i męcząca. Na przykład, kiedy jeszcze pracowała, musiała nieraz wyłączać telefon, bo jeśli natychmiast nie

odebrała, wydzwaniał wielokrotnie. W tym nieustającym hałasie trudno jej było pomagać uczniom w rozwiązywaniu problemów związanych ze staraniami o przyjęcie na studia czy zawodami miłosnymi. Mike nadmiernie interesował się również jej strojem i kiedy po raz pierwszy zostali zaproszeni na legendarne bożonarodzeniowe przyjęcie rodziców Kate, kazał jej zwrócić do sklepu granatową sukienkę, którą sobie na tę okazję kupiła. Jego zdaniem zbyt wiele odstaniała, a tymczasem pochodziła ze sklepu Talbots, w którym z pewnością nie ubierałaby się żadna skandalistka. Takie zdarzenia powodowały jej frustrację, ale powiedziała, nie patrząc mi w oczy, że były na tyle sporadyczne, iż nie przywiązywała do nich wagi. Potem zaszła w ciążę i wszystko się zmieniło.

- Jego opiekuńczość przechodziła wszelkie granice - wspomina Amy i rozgląda się, czy ktoś nas nie podsłuchuje. - Przerodziła się w coś więcej.

Początkowo cieszyła się, że tak ją rozpieszcza. Podkładał jej poduszki pod kolana, kiedy po pracy leżała na kanapie i czytała czasopismo dla przyszłych matek. Jeśli po przebudzeniu miała mdłości, przynosił jej krakersy i piwo imbirowe. Kiedy o tym opowiada, przypominam sobie, że faktycznie tak było. Pamiętam też, jak wtedy mówiła, że Mike będzie świetnym ojcem, jeśli ich maleństwo będzie traktował choćby w połowie tak dobrze jak ją.

Pod koniec pierwszego trymestru zaczęła się czuć przytłoczona jego nieustanną opieką. Miała wrażenie, że jej nie ufa. Zachowywał się, jakby nie była zdolna

donosić ich dziecka bez jego nadzoru nad każdym jej ruchem. Podczas wizyt u lekarza stał za plecami pielęgniarki, która ją ważyła i mierzyła jej ciśnienie, i zapisywał wszystko w notesiku, który nosił w tylnej kieszeni spodni. Na początku piątego miesiąca przekonał Amy, żeby prowadziła dziennik i notowała w nim wszystko, co zjadła, co miało im dać pewność, że dostarcza dziecku wszystkich niezbędnych składników pokarmowych. Codziennie posłusznie zapisywała wszystko, cokolwiek zjadła, wraz z ilościami i porami posiłków. Było to pracochłonne, ale nie kwestionowała tej prośby.

- W końcu - mówi teraz - to on był lekarzem. Chciałam zrobić wszystko, żeby urodzić zdrowe dziecko. Wieczorem, kiedy śleczął nad tym dziennikiem i zwracał mi uwagę, że zjadłam tylko jedną porcję owoców albo że mogłam do śniadania wypić mleko, kiwałam tylko milcząco głową, bo starałam się być członkiem zespołu. Poza tym uważałam, że we wszystkim, co robi, ma na uwadze wyłącznie moje dobro.

Pewnej soboty w ósmym miesiącu Amy zaszalała i zjadła Big Maca, a wtedy Mike dosłownie wpadł w szal. Bywała już wcześniej świadkiem jego wściekłości. Podobnie jak wszystkie małżeństwa mniej więcej raz do roku mieli okropne starcie, ale nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Wytłumaczyłam sobie wtedy, że obydwójce odczuwamy lęk przed tą ogromną zmianą w naszym życiu - ciągnie Amy. - Na dodatek Mike miał powody, żeby się obawiać ojcostwa. Jego tata ulotnił się krótko

po jego narodzinach, a matka dzwoni do niego tylko wtedy, gdy potrzebuje pieniędzy. Przy tym Mike jest niesamowitym perfekcjonistą. Jeśli popełni nawet niewielki błąd w pracy, martwi się tym całymi dniami, jakby to mogło zniszczyć całą jego karierę. - Kiedy to mówi, w jej oczach zaczynają się zbierać łzy. - Ale po przyjściu Emmy na świat sytuacja tak się pogorszyła, że zaczęłam się czuć, jakbym żyła z zupełnie obcym człowiekiem. Zdecydowanie do głosu doszła mroczniejsza strona natury Mike'a i z każdym dniem coraz bardziej się w niej pogłężył, a jednocześnie oddalał ode mnie.

Przez kilka pierwszych miesięcy życia Emma przespiała na raz najwyżej półtorej godziny. Amy całymi nocami kołysała ją i uciszała, a jej mąż i tak wołał do niej z łóżka: „Czy nie potrafisz jej uspić? Jesteś taka głupia, że nie wiesz, jak uspokoić własne dziecko?”. W rezultacie Amy chodziła półprzytomna z niewyspania i stale popłakiwała.

Wówczas jedyną pociechą było dla niej to, że Mike wyładowywał się tylko na niej. Córka była dla niego - podobnie jak dla niej - ideałem. Kiedy wracał wieczorem do domu, biegł prosto do Emmy, ledwo zauważając Amy, i brał ją w ramiona.

- Oczywiście, kiedy byłam w ciąży, wyobrażałam to sobie inaczej. Myślałam, że pod koniec dnia wejdzie do domu i obejmie nas obie serdecznym uściskiem, tak jak w serialach rodzinnych - wspomina. - Nigdy po przyjściu nie wołał: „Kochanie, wróciłem”, ani nie pytał: „Jak ci minął dzień?”. Słysząc było tylko gniew-

ny dźwięk zatraskiwanych drzwi i stuk torby lądującej na podłodze. Stałam w drzwiach pomiędzy kuchnią a pralnią i czułam się niewidzialna, kiedy ostentacyjnie zwracał się tylko do Emmy i przemawiał do niej pieszczotliwym tonem: „Czy matka dobrze cię dziś nakarmiła? Jesteś pewna? Czy spędziłaś dość czasu na brzuszku? Mam nadzieję, że co najmniej godzinę. Czy jesteś szczęśliwym dzidziusiem?”. Czułam się przy nim, jakbym była niewykwalifikowaną opiekunką, a nie matką jego dziecka.

Amy mówi dalej, jak jego postępowanie z każdym dniem bardziej podkopywało jej poczucie własnej wartości, tak że czuła się coraz gorsza i mniej kompetentna, stając się w końcu cieniem dawnej siebie. Nigdy nie wierzyła w stereotyp udęczonej, załamującej się matki, a teraz się obawiała, że jest tego bliska.

- W końcu w ogóle przestał się do mnie odzywać, chyba że znalazł coś do skrytykowania. Na przykład, kiedy się ubierałam, stwierdzał: „Nie mogę na ciebie patrzeć. Gdybym wiedział, że będziesz jedną z tych kobiet, które tyją po ciąży.

Jego zachowanie było tak zaskakujące, że wreszcie postanowiła zająć się tym problemem, z jego pomocą lub bez. Pewnego dnia, gdy Emma spała, Amy poszła do gościnnego pokoju, wyjęła z pudełka w szafie swoje książki psychologiczne z czasów studiów i zaczęła je przeglądać.

Godzinę później w rozdziale na temat depresji poporodowej znalazła przydatne informacje. Dowiedziała się mianowicie, że choć zdarza się to rzadko, ojcowie również

mogą cierpieć na to zaburzenie, przy czym zamiast typowych objawów depresyjnych mogą u nich występować irytacja, zniecierpliwienie, a nawet agresja. Czytając to, aż drżała z podniecenia. To jest to. To musi być to.

- Pomyślałam, że będzie można wyleczyć depresję poporodową Mike'a tak samo jak u kobiet, które na nią cierpią. Wytłumaczyłam sobie, że to przejściowe, jak ciężka grypa. Wieczorem po położeniu Emmy do łóżeczka usiadłam obok Mike'a na kanapie i wyjaśniłam mu to wszystko. Przez długi czas się nie odzywał - opowiada, nadal unikając mojego spojrzenia. - Ścisnęłam go za rękę i zapewniałam, że pomogę mu przez to przejść. Waverly...

- O co chodzi? - pytam. Jestem tak zszokowana tym, co usłyszałam, że z trudem wydobywam z siebie słowa.

- Wtedy po raz pierwszy mnie uderzył.

Zamykam oczy i biorę głęboki wdech.

- Amy, to trwa od czasu, gdy Emma była *niemowlęciem*?

- Trzy lata - wyjaśnia. - I co najdziwniejsze, kiedy to się stało, wcale nie pomyślałam, dlaczego to zrobił ani jak mógł. Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, to czy po tym na policzkach zostaną ślady.

Zostały, podobnie jak siniaki po późniejszych ciosach, wymierzanych co jakiś czas bez ostrzeżenia. Siniak na biodrze był pozostałością po tym, jak ją kopnął, kiedy zapomniała zadzwonić do jego matki z życzeniami urodzinowymi. Ślady na ramieniu pojawiły się po tym, jak ścisnął ją z całej siły w pewną sobotę, kiedy

myła lodówkę w garażu i nie usłyszała płaczu Emmy, która obudziła się z drzemki.

Czuję, że po policzkach spływają mi łzy, ale jestem tak wstrząśnięta, że nawet nie przychodzi mi na myśl, by je wytrzeć.

- Nie mogę w to uwierzyć - mówię.

Nigdy wcześniej nie czułam oburzenia tak silnego, że uniemożliwiało mi sformułowanie spójnej myśli. Mam wrażenie, że mój umysł wypełniają kłęby szarej mgły.

- Waverly.

Teraz Amy patrzy mi prosto w oczy. Jej oczy są normalnie brązowe i zazwyczaj pełne głębi, stanowią jej największy atut, ale teraz przypominają raczej mechaniczne i bezduszne oczy dawnych, przyprawiających o gęsią skórkę lalek, które moja babcia ustawiała na toaletce w pokoju gościnnym. Brałam je i poruszałam nimi w dół i w górę, obserwując, jak ich powieki zamykają się i otwierają.

- Nic mi nie jest. Naprawdę - mówi. - Tamto już się skończyło.

- Co przez to rozumiesz?

- Przede wszystkim, to trwało jakiś czas. Kiedy się zaczęło... wiadomo, byłam w szoku. Nigdy w życiu nie spodziewałabym się czegoś takiego. Równie dobrze mogłabym się spodziewać jednoroźca pasącego się w moim ogródku. Niemniej jednak doszło do tego, a potem miałam wrażenie, że stałam się zupełnie inną osobą. Nie wiedziałam już, kim jestem, w co wierzę i co powinnam zrobić. Czułam się jak obłąkana, chociaż po

studiach psychologicznych wyrzuciłam to określenie ze swojego słownictwa. Z jednej strony wiedziałam, że powinnam odejść... to znaczy rozum mówił mi, że muszę to zrobić. W kółko rozmyślałam o uczniach, którzy do mnie przychodzili z tym samym problemem. Miałam przed oczami Jocelyn, jedną z pierwszych nastolatek, z którymi pracowałam, a której matka przyszła raz do mojego gabinetu z podbitym okiem i przeciętą wargą. I Brada, którego ojciec lał za każdym razem, gdy licealna drużyna futbolowa przegrywała. Ież to razy siedziałam za biurkiem zasłanym broszurkami informacyjnymi grup wsparcia i tłumaczyłam tym dzieciakom, że jest wyjście z tej sytuacji, że zasługują na coś lepszego niż to, co je spotyka ze strony osób, które powinny je kochać. Ale...

- Co ale? - pytam.

- To jest inaczej... Kiedy w tym tkwisz, jest inaczej.

- Ale, Amy... - zaczynam.

- Nie, nie - przerywa mi. - Posłuchaj. Mike zgodził się na wizyty u terapeuty. Odbiliśmy bardzo długą rozmowę na ten temat w tamtym tygodniu po powrocie z Florydy. Znalazłam kogoś, kto wydaje się naprawdę świetny. - Kiwa głową. - Naprawdę.

- Ale on cię uderzył, Amy. - I sama się poprawiam:

- On cię *bije*.

- Nie masz pojęcia, przez co przeszedł. To jest choroba.

- Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałaś?

- No tak. To jest pytanie za milion dolarów. - Potrząsa głową. - Po prostu czułam, że to byłoby nie

w porządku. Nie potrafię tego wyjaśnić. Chyba chodzi o to, że zawsze wierzyłam, że w końcu się z tego otrząsnie. Nie traciłam nadziei, że wspólnie możemy to rozwiązać, a gdybym komuś powiedziała, pewnie przekonywałby mnie, że nic z tego nie wyjdzie.

Zaraz, czy ona powiedziała przed chwilą, że on w końcu się z tego otrząsnie? Dobrze usłyszałam? Uderzam dłońią w ladę barową.

- Ale, Amy...

Nie dopuszcza mnie do słowa.

- Wave, wiem, wiem. Uwierz mi, że wiem. Ale Mike korzysta w tej chwili ze specjalistycznej pomocy i obydwójce wspólnie nad tym pracujemy. Wspominałam ci, że nie miał zbyt miłego dzieciństwa, ale uwierz mi, że nikt z nas nawet nie potrafi sobie wyobrazić, przez co przeszedł. Kiedy dorastał, jego matka zmieniała facetów jak rękawiczki. Niektórzy z nich ją bili, i jego też. Co kilka miesięcy, kiedy matka traciła pracę albo chłopaka, przeprowadzali się do innego miasta. Naprawdę, nie mamy najmniejszego pojęcia, jak okropne było jego życie.

- Amy, to można uznać za przyczynę, ale nie usprawiedliwienie. A co z *tobą*?

- Ze mną w porządku - zapewnia. - Naprawdę. Nie musisz się o mnie martwić. Posłuchaj, Mike i ja cały czas o tym rozmawiamy. Od początku wiedziałam, że jesteśmy sobie przeznaczeni, bo obydwójce zawsze najbardziej na świecie pragnęliśmy mieć rodzinę. Kiedy inni chłopcy marzyli o zostaniu zawodowymi sportowcami, Mike snuł wizje założenia rodziny. To nadal jest

nasze marzenie. Tyle że akurat przechodzimy przez trudny okres.

Kiedy jej słucham, mam wrażenie, że przeszła pranie mózgu. W niczym nie przypomina pewnej siebie, życzliwej psycholog i pedagog szkolnej, z którą od ponad dziesięciu lat niemal codziennie rozmawiałam. Nie mogę uwierzyć w te niedorzeczności, które opowiada. Jak może pomagać facetowi, który chce ją zniszczyć - i najwyraźniej jest na dobrej drodze do tego. Odchrząkuję.

- Amy, rozumiem, że ty najlepiej ze wszystkich znasz Mike'a - zaczynam. Mówię to takim tonem, jakbym chciała jej wyperswadować skok z parapetu wieżowca, ale pieprzyć to. W sumie tak jest.

Amy kiwa potakująco głową.

- I wiem, że go kochasz - ciągnę.

- Kocham.

- Ale czy naprawdę słyszysz, co mówisz? - Wyciągam dłoń, żeby dotknąć jej ręki. - Przemoc fizyczna jest...

- On jest moim *mężem* - wybucha, nie dając mi do końca, jakby przerzucała z powrotem piłkę tenisową wysokim odbiciem nad siatką.

- Amy, uważam, że powinnaś to przemyśleć. Może ci grozić niebezpieczeństwo.

- Czyli uważasz, że powinnam od niego odejść? - pyta.

Kiwam głową tak energicznie, że trzęsie mi się cały tułów.

- Po prostu uciec, jak w *Thelmie i Louise*? - śmieje się.

Ona się *śmieje!* Fakt, że nie traktuje tego poważnie, jeszcze bardziej mnie przeraża.

- Cóż, no tak, Amy.

Potrząsa przecząco głową.

- Trudno ci to zrozumieć. Nigdy przez coś takiego nie przechodziłaś, a poza tym, przykro mi, ale niejesteś mężatką i nie masz dzieci. To wiąże ludzi w sposób, jakiego nie potrafisz sobie wyobrazić. Nie mogę go tak po prostu zostawić. Jesteśmy rodziną.

Potrzebuję chwili do namysłu, zanim zdecyduję, co jej odpowiedzieć. Nie do wiary, że usprawiedliwia swoje straszne przeżycia, wytykając mi, że tego nie rozumiem, bo nie mam rodziny. Owszem, jest mi przykro, ale przede wszystkim traktuję to jako ostrzeżenie, że muszę niezwykle ostrożnie dobierać słowa. Najwyraźniej tkwi w tym tak głęboko, że już nawet nie dostrzeżę, co ją spotyka.

- Amy, rzeczywiście nie mam męża ani dzieci - mówię w końcu. - Ale niezależnie od tego wiem, że nikt nie ma prawa cię bić, czy to będzie obcy człowiek czy członek rodziny.

- Waverly, posłuchaj. - Potrząsa głową. - Jako psycholog nieraz zajmowałam się takimi sprawami i teraz też wiem, jak sobie poradzić. Mike otrzymuje fachową pomoc. Naprawdę nie masz czym się denerwować. - Mówi ostrożnie i mechanicznie, jak robot.

- Amy, wszyscy mówią, że jeśli ktoś zaczął się znęcać, to będzie to stale robił.

Przewraca oczami.

- Takie gadki są dobre w umoralniających filmach dla młodzieży czy fabularyzowanych serialach prawnych, ale w prawdziwym świecie to wygląda inaczej. Nie zapominaj, że się na tym znam. To mój zawód. Mike bardzo poważnie traktuje terapię.

- Amy, nie rozmawiamy o pomaganiu podczas rekonwalescencji po złamaniu nogi! - W głowie nie mieści mi się to, co słyszę.

- Ale on jest chory, Waverly. Naprawdę. To jest choroba, tak jak nowotwór czy, czy... - Spogląda w sufit, jakby tam szukała kolejnego porównania. - Albo jak alkoholizm. Czy kazałabyś mi go zostawić, gdyby przechodził chemioterapię lub właśnie wrócił z odwyku?

- Amy, to nie jest to samo - przekonuję ją błagalnym tonem.

- Posłuchaj mnie: u mnie wszystko w porządku. Naprawdę.

Wpatruję się w nią przez chwilę, bo po prostu mnie zamurowało.

- Opowiedziałas o tym swojej rodzinie? - Zaczynam z innej beczki.

I tu ją mam. Normalnie opowiada im o wszystkim. Jeśli nie wspomniała o tym problemie choćby swoim siostrom, to znaczy, że sobie z nim nie radzi.

- Nie - odpowiada zrezygnowana. Dokładnie wie, do czego zmierzam. - Waverly, tobie powiedziałam, bo wiem, że potrafisz mi zaufać. Moja rodzina nigdy by tego nie zrozumiała. Mówię ci, bo wiem, że we mnie wierzysz.

Mam wrażenie, że mną manipuluje. Chciałabym sobie przypomnieć jakąkolwiek przydatną informację

z tych stron internetowych. Było tam powiedziane, czego nie robić - nie udzielać nieproszonych rad i nie wieszać psów na dręczycielu... Ale co należy zrobić?

- Amy, wiesz, że zawsze będę cię wspierać, ale to zupełnie co innego. Czy przemyślałaś, co może się stać, jeśli on na przykład znów się zapomni? Co będzie, jeśli sytuacja wróci do poprzedniego stanu albo jeszcze się pogorszy?

Amy z uporem potrząsa głową.

- Waverly, nie gniewaj się, ale nie mieszkasz w moim domu. Po prostu nie rozumiesz.

Mam ochotę krzyczeć. Najchętniej zawołałabym do barmana, żeby zadzwonił na numer alarmowy, żeby cokolwiek zrobić! Ale nie mogę.

- Znam swojego męża i wiem, jak jesteśmy zaangażowani - ciągnie Amy. - Może nie powinnam była nic mówić.

- Nie, nie, Amy, dobrze, że powiedziałaś. Chcę tylko mieć pewność, że nic ci się nie stanie - uspokajam ją. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby pożałowała swojej szczerości. Wtedy już nigdy nic nie powie. - Bardzo się cieszę, że mi się zwierzyłaś. Spróbuj zrozumieć, jak to wygląda z mojej perspektywy. Gdybyś ty usłyszała to ode mnie, też natychmiast chciałabyś mnie chronić. Jednak ja ci ufam. Wiem, że potrafisz sama sobie poradzić. - Oczywiście kłamię, ale co mam zrobić? Nie mam innego wyjścia, dopóki się nie dowiem, jak powinnam postępować.

- Naprawdę nic mi nie jest. Nie masz się o co martwić. - Sięga za siebie po torebkę i wyjmuje portfel.

Nie chcę, żeby teraz wychodziła. Obawiam się, że w przyszłości może unikać rozmów na ten temat, ale przede wszystkim chodzi mi o to, co ją czeka w domu.

- Czy obiecasz mi, że będziesz o tym ze mną rozmawiać? - Kładę dłoń na jej nadgarstku. - Czy mogę liczyć, że będziesz szczerze mówić, co się dzieje?

- Oczywiście.

Amy z uśmiechem podaje barmanowi kartę, potem grzebie w torebce, wyjmując błyszczący do ust i zaczyna go odkręcać.

- Amy! - powtarzam.

Czuję, że obiad podchodzi mi do gardła. Pali mnie zgaga.

Moja przyjaciółka obraca się na stołku w moją stronę, tak że nasze kolana niemal się stykają.

- Waverly - mówi dobitnie, wypowiadając moje imię jak deklarację. - Po raz ostatni powtarzam ci, że ze mną wszystko w porządku. Nigdy niczego nie byłam tak pewna jak tego.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Siedzę w samochodzie na parkingu przy restauracji i przyglądam się znikającym w oddali tylnym światłom samochodu Amy. Ogarnia mnie przerażająca pewność, że przydarzy się jej coś strasznego - jakby przed chwilą wsiadła na moich oczach do samolotu, o którym wiem, że się rozbija. Nerwowo skubię rozpadający się breloczek do kluczy w kształcie króliczej łapki, który noszę, od kiedy miałam siedemnaście lat, i zastanawiam się, czy powinnam za nią pojechać. Wydaje mi się to trochę absurdałne. Mam nasłuchiwać z chodnika przed domem, czy nic się nie dzieje, i wypatrywać cieni w oknach? *Właśnie! Tak!* - krzyczy moja lepsza strona. - *To chyba oczywiste, prawda? I przy okazji zadzwonisz na policję!* Jednak podświadomie doskonale wiem, że nie jestem w stanie pomóc Amy, więc w końcu przekręcę kluczyk i ruszam w drogę powrotną.

Amy.

Amy, która nigdy nie zapomina o urodzinach, rozmowy telefoniczne kończy słowami „Kocham cię”, a pod e-mailami podpisuje się szlaczkiem „xoxoxoxo...”. Kochana Amy, która ciągle myśli o swoich znajomych i regularnie sprawia im drobne prezenty - torebkę cukierków, tubkę kremu do rąk, stokrotki ze swojego ogródka. Amy, która już na długo przed tym,

jak się poznałyśmy, bez cienia wątpliwości związała wszystkie swoje nadzieje i marzenia z wizją rodziny i domu otoczonego płotkiem z białych sztachet. Jak on mógł to zrobić akurat *jej*?

Kiedy docieram do domu, zatrzymuję za sobą drzwi i rzucam torbę na blat obok lodówki. Z piętra dobiega głos Larry'ego, który wtóruje zespołowi The Band, podśpiewując piosenkę „Ophelia” dobiegającą z radia prysznicowego przyczepionego do kafelków za pomocą przyssawki. Stojąc w kuchni i przysłuchując się dudniącemu, znajomemu dźwiękowi jego głosu, zastanawiam się, czy pójść prosto na górę i o wszystkim mu opowiedzieć. Zamiast tego nalewam sobie szklankę wody i udaję się do salonu.

Kładę się na kanapie, wygodnie wtulając głowę w haftowaną poduszkę, którą mama zrobiła, będąc ze mną w ciąży. Boże, ileż bym dała, żeby móc teraz do niej zadzwonić. Ona by doskonale wiedziała, co zrobić. W głowie rozbrzmiewa mi głos Amy: „Właściwie zaczęło się zaraz po tym, jak Emma przyszła na świat”. Trzy lata. Jak mogłam tego nie zauważyć?

Obracam się twarzą do oparcia kanapy i zamykam oczy. Przeszukuję wspomnienia z chwil spędzonych wspólnie z Amy i Mikiem, jakbym przeglądała stary katalog biblioteczny z papierowymi fiszkami. Kolacje, bociankowe, urodziny, święta, wyprzedaże. Wieczory w pierwszych dniach życia Emmy, kiedy zносиłam im kolację, a potem staliśmy nad kołyską małej i przysłuchiwalismy się, jak rozkosznie gaworzy przez sen. Sobotnie spotkania w ich ogródku, podczas których

Mike pilnował grilla i przewracał hamburgery, a Amy organizowała zabawę w berka albo szukanego dla dzieci z okolicy. Miałam dziesiątki okazji, by coś zauważyć.

Ale nie zauważyłam.

Może gdybyśmy spędzali więcej czasu we czwórkę, miałabym większe szanse. Kiedy zaczęłam się spotykać z Larrym, umówiliśmy się kilka razy na podwójną randkę z Amy i Mikiem, ale szybko stało się oczywiste, że nic z tego nie będzie. Mike i Larry nie mieli wspólnych tematów, więc nasze wieczory z zabawnych zrobiły się sztywne. Mężczyźni w milczeniu przesuwali po talerzach jedzenie, a Amy i ja rozmawiałyśmy za czworo, by wypełnić ciszę.

Teraz kiedy Amy pojawia się w moim domu w towarzystwie Mike'a, staram się jak najszybciej wepchnąć mu piwo do ręki, żeby przestał nam przeszkadzać. W ciągu ostatnich kilku lat dzielnie próbowałam zagaić rozmowę, ale tyle razy zbył moje „Jak ci idzie w pracy?” i „Co tam u ciebie?” zdawkowym burknięciem, że mi się odechciało. Może powinnam była zwracać większą uwagę na jego zachowanie. Próbuję przypomnieć sobie, kiedy ostatnio widziałam, żeby dotykał Amy i czy mogłam - powinnam była - coś z tego wynioskować.

Musiałam przegapić coś ważnego.

Pewnie popełniłam błąd, zakładając, że jeśli coś podobnego przytrafi się którejś z bliskich mi osób, to będą temu towarzyszyły bardziej oczywiste sygnały: koszulki z długimi rękawami latem czy chowanie podbitego oka za okularami przeciwsłonecznymi.

Owszem, zwróciłam uwagę, że przez ostatnich kilka miesięcy Amy była nieswoja, ale *trzy lata*? Nie umiem sobie wyobrazić, co musiała przeżyć przez ten czas.

Chyba zawsze sądziłam, że jeśli moja przyjaciółka padłaby ofiarą przemocy domowej - *przemoc domowa* brzmi tak szorstko, formalnie i jednoznacznie - nie musiałabym wypatrywać oznak problemu, ponieważ ma dość oleju w głowie, żeby bez zastanowienia zostawić takiego faceta. Niestety, teraz zdaję sobie sprawę, że zapewne założyłam też, iż moi przyjaciele nie wpadają w tego rodzaju pułapki. Takie rzeczy przytrafiają się tylko obcym ludziom.

Do teraz.

Czy Amy nie rozumie, że powinna po prostu odejść? Wbijam wzrok w sufit. Od niewyspania i powstrzymywania łez strasznie pieką mnie oczy.

Czy to nie jest jedna z tych podstawowych zasad, których się uczy każda kobieta? Kiedyjakiś facet gapi się na ciebie na światłach, wbijasz wzrok w samochód przed tobą albo udajesz, że regulujesz radio. Jeśli mieszkasz sama, nagrywasz na pocztę głosową wiadomość, że nie ma „was” w domu. A kiedy mężczyzna cię bije, odchodzisz od niego. *Bez zastanowienia*. Wymykasz się w środku nocy, opróżniasz konta bankowe, uciekasz przez las - robisz wszystko, co konieczne, by się uwolnić.

Zastanawiam się, czy coś nie szwankowało między nami, skoro Amy milczała. To jednak mało prawdopodobne, bo jedną z niepisanych zasad naszych relacji zawsze było to, że kiedy stało się coś ważnego, Amy

najpierw dzwoniła do mnie. Jako pierwsza dowiedziałam się, że Mike się jej oświadczył, a potem że jest w ciąży. Z drugiej strony, właściwie nigdy nie zwierzała mi się z niczego naprawdę poważnego. Nie jest taka jak Kate, która dzięki praktyce i zorganizowaniu sprawnie tuszuje każdy problem, ale nie okazuje również, żeby cokolwiek ją martwiło.

Przez całe lata spokojna i pogodna Amy sprawiała wrażenie, że nic jej nie doskwiera. Zazdrościłam jej tego łatwego życia. Być może to właśnie była ta czerwona flaga, którą powinnam była dostrzec.

Larry schodzi po schodach i pojawia się w salonie. Ma na sobie T-shirt z logo Maggie's.

- Hej - mówi tonem, po którym poznaję, że wciąż gniewa się z powodu naszej wcześniejszej kłótni w piekarni.

Siada obok mnie. Pachnie mydłem Irish Spring.

- Jak wam się udał obiad? - pyta i sięga po pilota.

Nasze spojrzenia się spotykają i natychmiast wybucham płaczem. Opieram schyloną głowę na piersi Larry'ego i ściskam obiema dłońmi jego ramiona tak mocno, jakby w podłodze otwarła się czarna dziura i groziło mi, że do niej wpadnę. Widzę, jak moje łzy rozpryskują się na jego udach.

- Amy - udaje mi się w końcu wykrztusić mimo ściśniętego gardła.

- Amy? - pyta Larry, głaszcząc mnie po plecach. - Co z nią?

- Miałam rację - mówię.

Ręka Larry'ego nieruchomieje. Zamykam oczy.

- O Boże - mówi. Delikatnie ujmuje mój podbródek i unosi, tak żebym na niego spojrzała. - Jesteś pewna?

- Wszystko mi opowiedziała. - Opadam na kanapę i przyciskam palce do oczu, bezskutecznie próbując odsunąć od siebie te myśli.

- Zaraz, zaraz... czyli co? Mike ją bił? Stąd te siniaki? Gdzie ona teraz mieszka? I gdzie jest Emma? Może trzeba ją przenocować? Czego się od niej dowiedziałas?

- Amy zamierza z nim zostać - mówię, nie odrywając dłoni od twarzy.

- Co? Jak to zamierza z nim zostać?

- Twierdzi, że Mike zgodził się pójść na terapię. A bije ją od trzech lat.

- *Ja pierdolę, od trzech lat?!*

Jego złość dodaje mi otuchy - nie jestem sama. Kiwam głową, wycierając przy okazji nos.

- Powinniśmy tam zaraz pojechać. Albo zadzwonić na policję. Cokolwiek - gorączkuje się Larry.

- Nie możemy tego zrobić, Larry. - Prostuję się. Pokój wiruje mi przed oczami.

- Dlaczego? - Wstaje z kanapy i przez chwilę przechadza się po pokoju, a potem przeczesuje ręką włosy. - Trzy lata? - powtarza. - Czy ktoś poza nami wie?

Kręcę przecząco głową.

- Nie uwierzyłbyś, jak spokojnie mi o tym opowiadała. Zupełnie jakby była mowa o kłótni o to, powiedzmy, czyja kolej, by umyć naczynia. Istne szaleństwo.

- Jezu! - Larry siada obok mnie na kanapie. - Jest bardzo źle?

Bardzo źle?

Przyglądam się z bliska jego twarzy, którą tak dobrze znam. Na policzku plama rudego zarostu, którą zawsze omija przy goleniu, oczy koloru morskiej wody *Jest bardzo źle? To teraz przemoc w rodzinie dzielimy na lepszą i gorszą?*

- Bardzo źle? Czy z tobą jest coś nie w porządku?

Mike ją pobił - mówię dobitnie. - Jest aż tak źle.

- Waverly, nie miałem... - Przysuwa się bliżej i kładzie mi dłoń na kolanie.

- Wiem - mówię. Odpycham jego dłoń.

- Przykro mi.

- Wiem - powtarzam.

O drugiej trzydzieści rano, wpatrzona w spiczaste cienie rzucane na sufit sypialni przez drzewa za oknem, godzę się wreszcie z tym, że nie zasnę. Wygrzebuję się z łóżka, biorę pamiętnik i lawiruję pomiędzy ubraniami porozrzucanymi po podłodze, przeklinając bałaganiarstwo Larry'ego.

Schodzę do kuchni, zapalam światło nad zlewem, wyjmuję z lodówki resztki obiadu i widelec z szuflady. Zjadam trochę zimnego makaronu, po czym przysuwam taboret do wyspy, siadam i zaczynam przelewać na papier to, co zapamiętałam z rozmowy z Amy. Wychodzi mi z tego chaotyczny strumień świadomości, ale łudzę się nadzieją, że może dzięki temu przestanę obsesyjnie analizować najdrobniejsze szczegóły i w końcu będę mogła zasnąć. Nic z tego. Każda myśl daje początek dziesięciu kolejnym: „Czy Mike ją bił na oczach Emmy? Czy sąsiedzi coś słyszeli? Czy to możliwe - oby nie! - że bił również Emmę?”.

Dziesięć minut później otwieram laptopa i wchodzę na tę samą co ostatnio stronę dotyczącą zapobiegania przemocy w rodzinie. Na pewno istnieje jakiś sposób, by przekonać Amy, że sama terapia nie wystarczy. Rzucają mi się w oczy niektóre słowa: *zastraszanie, napaść, pobicie. Amy, myślę sobie, ileż musiałaś wycierpieć?*

Otwieram maila, żeby oderwać się od tych myśli, ale znajduję tam tylko dowcip przesłany dalej przez matkę Larryego i automatyczne upomnienie z banku, że od dwóch dni zalegam ze spłatą raty pożyczki hipotecznej - jakbym mogła o tym zapomnieć. Załatwię to jutro z samego rana. Zamykam program pocztowy, wracam do przeglądarki i odruchowo wchodzę na stronę „Washington Post”. A tam...

Nie od razu dociera do mnie, co znaczą słowa, które właśnie przeczytałam. Jeszcze raz przebiegam wzrokiem nagłówek: **DOMNIEMANY ROMANS MOŻE ZRUJNOWAĆ SZANSE BERKSHIRE'A..**

Co?

Z wahaniem klikam na link, zdając sobie sprawę, że nie znajdę tam nic dobrego. Sekundę później na ekranie pojawia się rząd jaskrawoczerwonych liter: **Z OSTATNIEJ CHWILI: LIDER WYŚCIGU O FOTEL GUBERNATORA WIRGINII UWIKŁANY W AFERĘ SEKSUALNĄ.**

O nie! Brendan, coś ty narobił?

Czytam dalej:

Według informacji z anonimowego źródła, Brendan Berkshire, republikański kandydat na gubernatora Wirginii, jest zamieszany w romans z osobą ze swojego sztabu

wyborczego. Jego żona, Kate Berkshire, jest córką potentata Williama Townsenda i wnuczką nieżyjącego już sędziego Sądu Najwyższego Rogera Todda.

Berkshire'a sfotografowano, kiedy opuszczał mieszkanie w dzielnicy Dupont Circle, należące do dwudziestosemioletniej Stephanie Hanson, koordynatorki jego kampanii i byłej uniwersyteckiej gwiazdy koszykówki. Jak podaje nasze źródło, związek ten trwa już co najmniej sześć miesięcy, a „wieczorne schadzki to żadna nowość”. Zdaniem informatora żona Berkshire'a „albo o niczym nie wie, albo nie umie się pogodzić z rzeczywistością”.

Berkshire, powszechnie uważany za faworyta w nadchodzących wyborach, pracował wcześniej jako adwokat dla waszyngtońskiej kancelarii Fitzgerald Sanders. Nie ma doświadczenia politycznego. Stołeczni komentatorzy polityczni są zdania, że sukces obecnej kampanii w dużej mierze zawdzięcza wsparciu finansowemu ze strony rodziców żony oraz ich kontaktom w środowisku stołecznej elity. Sztab Berkshire'a nie wydał jeszcze oświadczenia w kwestii zarzutów ani nie ustosunkował się do zdjęć, których postanowiono na razie nie ujawniać.

Zatrząskuję laptopa z taką gwałtownością, jakbym odwracała głowę od wypadku na autostradzie. Ciszę panującą w kuchni przerywa jedynie miarowe tykanie zegara nad zlewem, które kojarzy mi się odliczaniem czasu do wybuchu bomby.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego dnia około południa zaczynam rozważać, czy nie zadzwonić do matki Kate. Bezwiednie bawię się telefonem komórkowym, który trzymam w kieszeni fartucha. Sprawdzam go co kilka minut, o ile akurat nie zostawiam Kate kolejnej wiadomości. To okropne, że nie mogę z nią być, ale muszę pracować. Dostałam bardzo pilne zlecenie cateringowe od Sary, właścicielki pobliskiego sklepu jubilerskiego. Moja wieloletnia przyjaciółka przeżywa najgorszą tragedię w swoim życiu, a ja robię pikantne jajka faszerowane na konferencję pośredników w handlu nieruchomościami. Nadal nie mogę uwierzyć w to, czego w ciągu ostatniej doby dowiedziałam się o swoich najbliższych przyjaciółkach. Moich *idealnych* przyjaciółkach.

Rano poprosiłam Larry'ego, żeby w drodze do metra przejechał koło domu Kate i sprawdził, jak tam wygląda. Zadzwonił z samochodu, że tak jak się spodziewaliśmy, panuje straszny zamęt. Samochody programów informacyjnych parkują po obu stronach ulicy, a między nimi wałęsają się reporterzy.

- Można by pomyśleć, że przebywa tu Lindsay Lohan - stwierdził. W tle słyszałam przytłumiony hałas - odgłosy tłumu. Miałam wrażenie, jakby dzwonił z trybun podczas meczu futbolowego.

Brzęczy mój telefon. Kolejny SMS od Amy:

Nie do wiary. Myślisz, że to prawda? Czy z Kate wszystko w porządku?

Patrzę na słowa na ekranie i myślę, że gdybym opowiedziała Kate o zwierzeniach Amy, to mogłabym otrzymać od niej identyczną wiadomość.

Chowam się w biurze, chociaż powinnam szykować jedzenie. Oprócz nieszczęsnych jajek mam jeszcze do zrobienia dwieście kanapek z indykiem i kilkadziesiąt porcji ciasta *brownie*. Mój wzrok pada na tapetę na ekranie komputera. Widnieje na niej Larry, sfotografowany w ubiegłym roku na plaży w wystrzępionej czapeczce drużyny baseballowej Minnesota Twins. Stale grożę, że ją wyrzucę, ale tak naprawdę uwielbiam patrzeć na Larry'ego w tej czapce. Byliśmy wtedy w Rehoboth z jego rodzicami i rodziną brata. Na zdjęciu Larry opiera się rękami na ugiętym kolanie, a stopę trzyma na kopcu piasku, którym zasypaliśmy jednego z jego bratanków, Nathana. Chłopiec śmieje się tak szaleńczo, że można zobaczyć jego migdałki. Tego samego dnia wieczorem nad ciastkami krabowymi mama Larry'ego spytała, czy „zmieniliśmy zdanie na temat ślubu”, tak jakby nie poruszała tego tematu za każdym razem, kiedy się ze mną kontaktowała. Mówiąc to, patrzyła prosto na mnie, więc celowo wpakowałam sobie do ust ogromną porcję kukurydzy z kolby, którą trzymałam w ręku. Zamierzałam pozostawić odpowiedź Larry'emu, który zazwyczaj unika tego tematu w rozmowach ze swoją rodziną, uważając, że ślub należy brać na dłu-

go przed trzydziestką. „Nie spieszy się nam, mamó”
- odpowiedział wtedy.

Patrząc na jego uśmiechniętą twarz na ekranie. Między przednimi zębami ma leciutką szparę, która sprawia, że wygląda jak psotny chłopak, który właśnie zamierza coś zmalować. Boże, jak ja go kocham. Mam nadzieję, że o tym wie. Przypominam sobie rozmowę z dziewczynami na Florydzie, kiedy uskarżałam się na niechlujstwo Larry'ego. Jak bezdennie głupio musiało to dla nich brzmieć, zupełnie jak uskarżanie się na zadartą skórę przy paznokciu przed osobą po amputacji ręki. W porównaniu z Kate i Amy... nam się dobrze układa. Naprawdę. Muszę o tym pamiętać.

Idę z powrotem do kuchni. Wyciągam garść estragonu ze stosu na blacie i zaczynam siekać.

- Cholera! - Rzucam nóż i wkładam palec do ust.
- Nic ci nie jest? - woła Randy zza lady w cukierni.
- Nic, tylko się ucięłam w palec.

Znów idę do biura. Wyjmuję z biurka plaster i przy okazji jeszcze raz dzwonię do Kate.

„Witam, dodzwoniłeś się do poczty głosowej Kate Berkshire"... Znam już to nagranie na pamięć, włącznie z intonacją i każdą pauzą. Jest to „oficjalny" głos Kate, z którego nieraz sobie żartowałam od czasu, gdy po raz pierwszy usłyszałam go na studiach na jej automatycznej sekretarce. Brzmi w nim cień zmysłowej nuty, jak w głosie towarzyszącym powitalnemu ekranowi hotelowej telewizji („W celu zarezerwowania sobie jednej z naszych luksusowych usług spa proszę zadzwonić do recepcji"...).

Przytrzymuję słuchawkę ramieniem, jednocześnie oklejając palec plastrem, i czekam na sygnał.

- Cześć, Kate, to ja. Posłuchaj, wiem... Właściwie to wcale nie wiem, przez co przechodzisz, ale proszę, oddzwon. Albo wyślij mi SMS-a... cokolwiek, żebym wiedziała, że z tobą wszystko w porządku. Nie martwię się o ciebie - wiem, że sobie z tym poradzisz - ale chcę z tobą porozmawiać. Dobrze? Zadzwon. - Kłamię oczywiście, ale Kate nie znosi, kiedy ktoś próbuje się nad nią rozczulać. Współczucie traktuje jak litość.

Wracam myślami do obiadu sprzed kilku tygodni. Wtedy wszystko było dobrze.

Zaraz... Wcale nie, tylko tak się wydawało. W rzeczywistości wszyscy zachowywaliśmy się jak aktorzy grający swoje role na scenie. Stałyśmy w kuchni, popijając wino i rozmawiając o... No właśnie, o czym? O zwykłych sprawach. O niczym wartym zapamiętania. Gdzie naprawdę był Brendan tamtej nocy? Co spotkało Amy, kiedy wróciła do domu? Mike był wówczas taki rozgniewany...

Dzwoni mój telefon.

- Kate! - krzyczę, nie sprawdzając, kto dzwoni.

- Nie, Waverly. Tu Gary.

Czuję skurcz żołądka. Wczoraj po południu zawiadomiłam go e-mailem, że w tym miesiącu nie dam rady spłacić raty pożyczki hipotecznej.

- Cześć, Gary - odpowiadam.

- Dostałem twój e-mail - oznajmia.

Nic nie mówię. Co tu jeszcze wyjaśniać?

- Sytuacja wygląda następująco - ciągnie - zgodnie z warunkami umowy pożyczki masz 150 dni na uzupełnienie pominiętej raty, zanim bank będzie mógł rozpocząć postępowanie egzekucyjne.

Opadam na krzesło. *Egzekucja*. Dom babci. Mój dom.

- Posłuchaj, nie chcę cię pouczać, ale moja praca polega na tym, żeby ci uzmysłowić, że to poważna sprawa - mówi. - Koniecznie musisz zapłacić następną ratę, Waverly. Choćby się waliło i paliło.

- Wiem - odpowiadam. - Ale dlaczego od razu *postępowanie egzekucyjne*? - Ledwo mogę to wykrztusić. - Po ominięciu *jednej* raty? - Prawdę mówiąc, nie przeczytałam uważnie umowy pożyczki, więc nie mam pojęcia, jakie mogą być konsekwencje tego zaniedbania. Ale zakładałam, że to będzie ostrzeżenie lub kara pieniężna, a nie przejęcie domu. Po jednym nieuregulowaniu raty?

- Moglibyśmy się odwoływać, gdybyś miała nie-
tknięty kredyt i nie zalegała w przeszłości innym wierzycielom - wyjaśnia, taktownie nie wspominając, że mnie to nie dotyczy. - Ale może po prostu załóżmy, że nie dojdziemy do tego etapu, bo wcześniej wpłacisz zaległą ratę.

- Słusznie - odpowiadam. - Tak zrobimy.

- Bądź ze mną w kontakcie - kończy. - Jestem po to, żeby pomagać.

Rozłączam się i kładę głowę na biurku. Dom babci to znacznie więcej niż cegły i zaprawa. Jej dom - a właściwie mój - pozostał jedyną materialną rzeczą łączącą mnie z rodziną. Świadomość, że doprowadziłam do ry-

zyka jego utraty, napełnia mnie wstydem, jakiego nigdy jeszcze nie czułam. Moja babcia i dziadek włożyli w ten dom wszystko, co mieli. Każdy jego fragment jest przeniknięty ich obecnością - kolory farby, które wybrali, a które pozostały nadal w większości pokoi, wgniecenie w balustradzie, którą dziadek uszkodził przy wnoszeniu wielkiego łóżka, kiedy babcia w końcu go przekonała do tego zakupu, krzewy derenia, które zasadzili w ogrodzie i które nadal wytrwale kwitną. *Jak mogłam?*

- Hej, Wave? - woła Randy, pukając do drzwi.

- Chwileczkę, Randy! - odkrzykuję, wycierając oczy.

- Myślę, że powinnaś przyjść to zobaczyć. - Mówi to ostrożnym tonem, podobnym do tego, którym mnie kiedyś poinformował, że przypadkowo zostawił na noc niedomkniętą lodówkę i wszystko się zepsuło.

Wstaję i otwieram drzwi.

- Co jest? Stało się coś złego?

- Zaczyna się konferencja prasowa - oznajmia.

- O, nie! - Jeszcze tego brakowało. - Dobra, wyłącz stereo.

W ubiegłym roku w końcu uległam i umieściłam w kącie sali niewielki telewizor. Klienci stale o niego pytali, więc zgodziłam się na kompromis - wyłączamy głos i włączamy napisy. Policijnym pościgom za kierowcami łamiącymi prawo albo informacjom o celebrytach opuszczających kliniki odwykowe towarzyszy moja muzyka. Teraz wychodzę do sali dla klientów i opieram się o ladę. Od stolika podnosi się emerytka Mona, jedna z moich ulubionych stałych klientek, i staje obok mnie. Ściska mój nadgarstek. Zna Kate z moich opowieści

i zawsze o nią pyta. Mona należy do tych kobiet w pewnym wieku, które chodzą na zajęcia jogi i wieczorki poetyckie oraz zawsze chętnie dzielą się wrażeniami z warsztatów reiki lub nowymi przepisami na sałatkę z bulguru.

- Randy, zrób trochę głośniej. - Zerkam na niego.

W sali jest jeszcze czworo innych klientów - dwie pary, których nigdy wcześniej nie widziałam. Na szczęście nie ma innych stałych bywalców, którzy byliby co najmniej w równym stopniu zainteresowani moją reakcją co samą konferencją. Podnoszę wzrok na ekran i zastanawiam się, czy Kate też tam będzie.

- A teraz wystąpi Brendan Berkshire - szepce prezenter, podczas gdy na ekranie widać Brendana podchodzącego do mównicy przed siedzibą jego sztabu wyborczego, znajdującego się na parterze budynku o kilka przecznic od mojej piekarni.

Jest pogodny, wietrzny dzień i Brendan, oślepiiony słońcem, musi mocno mrużyć oczy, kiedy przygląda się zgromadzonemu tłumowi i poprawia mikrofon. Ale... co to jest? Pochylam się lekko, żeby lepiej widzieć. Wygląda jakoś inaczej. Chwileczkę...

- Czy on ma podbite oko? - odzywa się kobieta przy jednym ze stolików.

- Najwyraźniej - odpowiada jej ze śmiechem mężczyzna siedzący przy drugim stoliku.

- Proszę - wtrąca się cicho Mona. - Chcemy słyszeć, co mówi.

Przyglądam się dokładniej. Pod okiem Brendana widoczna jest warstwa fluidu nałożonego tak grubo,

jakby zrobiła to trzynastolatka, ale i tak przebija przez nią lekko nabrzmiały siniak.

- Chciałbym zacząć od przeproszenia moich współobywateli z Wirginii - mówi Brendan.

Kamera pokazuje teraz grupę osób w garniturach, które przy takich okazjach zawsze za nim stoją. Rzuca się w oczy nieobecność dwóch kobiet.

- Zawiodłem mój sztab wyborczy, ludzi tak ciężko pracujących dla sprawy, którą uważają za ważną dla przyszłości naszego stanu. Zawiodłem też was, obywateli tego stanu. Ale nade wszystko zawiodłem swoją rodzinę. Kate, kocham cię i mam nadzieję, że potrafisz mi wybaczyć. Moja żona jest dla mnie najważniejszą osobą na świecie i jest mi niezwykle przykro, że tak bardzo ją rozczarowałem.

- Dupek - mruczy Mona pod nosem.

W pełni się z nią zgadzam. Z całych sił ściskam znajdującą się za mną ladę, bo boję się, że jeśli ją puszczę, mogę zerwać telewizor ze ściany i wyrzucić go przez okno.

- Bardzo przepraszam również resztę mojej rodziny, moich rodziców i teściów. Jest mi naprawdę przykro.

Dlatego, że zdradzałeś, czy dlatego, że straciłeś źródło utrzymania?

Myślę teraz o matce Kate, która z pewnością już jej doradziła, żeby dla zachowania pozorów przeszła nad tym do porządku dziennego, oraz o ojcu, który niemal na pewno skontaktował się już ze swoimi prawnikami i bankierami na wypadek, gdyby się nie zgodziła.

- Niestety, to prawda, że nie dochowałem wierności żonie. Z pewnością już wszyscy widzieliście te zdjęcia. - Zaciska usta i lekko skłania głowę, co nadaje mu wyraz skruchy, nieco przypominający ten u Clintona. Zresztą, znając Brendana, mogę być pewna, że przed konferencją prasową uważnie obejrzał na YouTube zeznania Clintona podczas procesu w sprawie usunięcia z urzędu i przestudiował jego wyraz twarzy. - Pragnę was zapewnić, że mam świadomość, iż źle postąpiłem, podobnie jak wie to druga osoba zamieszana w tę sprawę. Ale jednocześnie chcę powiedzieć, że to nie był, hmm, długotrwały związek, a jedynie kilka odosobnionych incydentów. Stres spowodowany przez kampanię... jest wprost nie do opisania. W rezultacie ludzie zaczynają zapominać, kim są. Łatwo dać się porwać tej szczególnej atmosferze, poczuć się uprawnionym do pewnych rzeczy, zapomnieć, o co w istocie w życiu chodzi. Zapomnieć, jakie zasady są dla ciebie naprawdę ważne. - Przerzywa i przez chwilę przebiega wzrokiem po słuchaczach, po czym spogląda prosto w kamerę. - Ale teraz wiem, i to lepiej niż kiedykolwiek, co jest naprawdę ważne. Rodzina. Wartości. *Robienie tego, co słuszne*. Myślę, że to doświadczenie - za które biorę całkowitą odpowiedzialność - choć straszne, pomoże mi zawsze pamiętać, jakie są moje priorytety. A jeśli mi wybaczycie, chciałbym udowodnić, że są właściwe. Rodzina, wartości, *robienie tego, co słuszne*. Dla mojej rodziny i dla was, obywateli Wirginii.

- Och, spadaj! - odzywa się ktoś z sali.

Nie odrywam oczu od telewizora. Gdzie Kate to ogląda? I czy w ogóle ogląda?

- Nie wiem jeszcze, co przyszłość przyniesie mnie i mojej rodzinie - kontynuuje Brendan. - Mogę tylko powiedzieć, że jest mi niezmiernie przykro i zrobię wszystko, żeby odzyskać wasze zaufanie. Wierzę w siłę Wirginii. Zawsze wierzyłem i zawsze będę wierzył. Jeśli potraficie jeszcze raz mi zaufać, nie zawiodę was. Dziękuję bardzo. - Wykonuje szybkie skinienie głową, po czym odwraca się od mikrofonu i odchodzi, a wśród reporterów zebranych przed podium podnosi się zgiełk jak wśród zwierząt w zoo, które widzą, że ich opiekun odchodzi z pożywieniem.

- No, no. To było niezłe przedstawienie - stwierdza Mona, poklepując mnie po ramieniu.

- Miał podbite oko! - gorączkuje się Randy. - Walnęła go! Nie sądzicie, że go walnęła?

Odwracam się i spoglądam na niego groźnie, bo jednak mówi o najbliższej przyjaciółce swojej szefowej, ale zapewne ma rację. Kate czasem wpada we wściekłość, kiedy musi zbyt długo czekać na stolik w restauracji, i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak ją musiała wkurzyć ta sprawa.

- Przepraszam. - Dotykam ramienia Mony i ruszam do biura.

W chwili, kiedy siadam za biurkiem, dzwoni telefon. Wreszcie.

- I co, odezwała się? - To Amy.

- Nie.

- Oglądałaś to przed chwilą?

- No.

- Biedna Kate.
- Niestety.
- A swoją drogą, co za ironia, nie?
- To znaczy... - Nie rozumiem, co ma na myśli.
- Jego oko.

Och, rzeczywiście. Nie uświadomiłam sobie tego wcześniej. Kate uderzyła Brendana, sytuacja Amy.

- Też sądzisz, że Kate go uderzyła? Mówią już o tym w wiadomościach.

- Nie mam pojęcia. - Pocieram oczy. Mam już tego wszystkiego dość. Chcę udawać, że nic się nie dzieje. Amy i Kate tak bardzo mnie potrzebują, a ja najchętniej wróciłabym do domu, zamknęła drzwi na klucz, zaciągnęła zasłony i nie wychodziła stamtąd, bo wszystko jest tam... może nie idealne, ale przynajmniej przewidywalne. Biorę głęboki wdech. - A jak ty sobie radzisz?

- Ja? - dziwi się Amy. - W porządku. A dlaczego?

Dlaczego? Bo wczoraj mi powiedziałaś, że mąż od trzech lat cię bije. Właśnie dlatego.

- Amy, nie będę cię okłamywać. Niepokoi mnie twoja sytuacja.

- Och, wiem, że twoim zdaniem powinnam odejść. Dlatego nic wcześniej nie mówiłam. Nie bierz tego do siebie, Waverly. Przepraszam. Ale ja... ja po prostu wiem, co robię. Mój Boże, pewnie teraz czujesz, że twoja kolej, co? Najpierw ja, potem Kate...

- Cóż... - Znów robię głęboki wdech, ale w tej chwili słyszę sygnał, że mam telefon na drugiej linii. - Przepraszam, ale chciałabym odebrać. To może być Kate.

- W porządku. Zadzwoń później.

- Nie do wiary, co? - odzywa się Kate, darując sobie powitanie.

Na dźwięk jej głosu kurczy mi się żołądek. *Wreszcie!*

- Dobrze się czujesz? Gdzie byłaś?

- T u , w domu, starając się uniknąć spotkania z matką i mediami. No i oczywiście z mężem.

- Dostałaś moje wiadomości? Tak bardzo chciałam bym być przy tobie. Co właściwie się stało, Kate?

Wybucha śmiechem.

- Co? Mój mąż pieprzył swoją asystentkę. To się stało.

- Och, Kate.

- Eh. Co za facet. To typowa waszyngtońska historia. Dowiedziałam się od reportera, który zadzwonił do mnie w środku nocy. Nadal słyszę jego głos w telefonie, którym cisnęłam o podłogę.

- O nie. Och, Kate.

- Cóż za wspaniałe miasto. Chodzi mi o to - ciągnie - że właściwie nie powinnam być zaskoczona. Widziałaś, co mu zrobiłam? Jego oko? Nie wiem, co we mnie wstąpiło, Waverly. Nigdy w życiu tak się nie zachowałam.

- Więc rzeczywiście go uderzyłaś?

- Ściśle rzecz biorąc, nie *uderzyłam*. Rzuciłam w niego butem. - Śmieje się. - A potem go przewróciłam i kopnęłam z całej siły, gdzie należy.

- Kate!!! - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyraża komuś fizyczną krzywdę. To jakby łabędź brał udział w walce psów.

- Po prostu się przewrócił. Jak pozbawiony kręgosłupa kawałek gówna, którym jest. A potem wyszedł. Do pracy, jak zwykle - mówi zgryźliwie.

- I co zamierzasz zrobić?
- Co? Rzucam go. A mówiąc dokładniej, wykopuję go z domu.

- Jesteś pewna? Tak szybko?

- Tak, jestem pewna - odpowiada. - Z nim już koniec. Jeśli o mnie chodzi, nie ma mowy o drugiej czy trzeciej szansie.

Zaskakuje mnie, jak może być tak pewna, czego chce, i to tak szybko.

- Tak bardzo chciałabym tam przyjechać, Kate.

- Pewnie nawet nie uda ci się przedostać do mojego domu, Waverly. A nie chcę, żebyś skończyła w wiadomościach telewizyjnych.

- Czy mogę cokolwiek zrobić?

- Nie. Radzę sobie. Czy ktoś już próbował do ciebie dzwonić? Jacyś reporterzy?

- Nie, na razie cisza - odpowiadam.

Wiem, że w którymś momencie się pojawiają. Wkrótce po tym, jak Brendan ogłosił swoją kandydaturę, przyszła do piekarni reporterka z gazety, żeby zrobić ze mną wywiad o Kate. Próbowała się dowiedzieć o niej wszystkiego, od nazwisk jej chłopaków z czasów studiów po imię fryzjera.

- Zjawia się, więc bądź przygotowana - ostrzega Kate.

- Co mam im powiedzieć?

- Po prostu „Bez komentarza”. Sama odpowiem na ich pytania. Zamierzam wydać oświadczenie, prawdopodobnie jutro rano.

- Zamierzasz powiedzieć coś o bucie?

- A dlaczego?

- Amy mówi, że w kółko gadają o tym w wiadomościach.

- A tam, pieprzyć ich! Zostałam sprowokowana. To ja jestem tu ofiarą - mówi z przekonaniem.

- Racja.

Racja, prawda? To niewątpliwie zupełnie inna sytuacja niż w przypadku Amy i Mike'a. Trudno nawet je porównywać. Ale mimo wszystko...

- Zadzwoń do ciebie później. Nic mi nie jest, więc się nie martw.

- Dobrze. - Przez chwilę się zastanawiam. - Kate?

- Co?

- Kocham cię.

Wydaje żartobliwy jęk.

- Nic mi nie jest, Waverly - mówi. - Ja ciebie też kocham.

Około dziesiątej wieczorem zostawiam przygotowywanie zamówienia cateringowego, a z samochodu dzwonię do Kate, że jadę do niej. Próbuje mnie przekonać, że to nie jest konieczne, a kiedy wjeżdżam w jej ulicę, widzę, co miała na myśli, kiedy mówiła, że mogę nie dotrzeć do jej domu. Nadal wszędzie roi się od reporterów i pismaków. Parkuję kawałek dalej i ruszam przez trawnik. Cieszę się ze swego sprytu, ale niedługo, bo zanim docieram do podjazdu Kate, zatrzymuje mnie dwójka reporterów, szczęśliwych, że wypatrzyli zdobycz. Potrząsam przecząco głową i pospiesznie ich mijam, kierując się ku bocznym drzwiom. Otwieram je kluczem, którym się posługuję, gdy pilnuję psa Kate, po czym wślizguję się do środka.

- Kate? - wołam.

Przez telefon powiedziała, że jest sama, bo odesłała wszystkich. „Moja gospodyni czytuje *mnóstwo* tabloidów. To mogłaby być dla niej zbyt wielka pokusa” - wyjaśniła.

- Jestem na górze - woła teraz.

Kiedy wchodzę do sypialni, siedzi na podłodze w środku pokoju w jasnobrzoskwiniowej koszuli nocnej. Obok niej stoi karafka z whiskey. Na jej twarzy widzę plamy po długim płaczu.

- Chcesz trochę? - pyta. - Popijam przez cały dzień, ale przysięgam, że nawet jej nie czuję.

Rzeczywiście, wygląda całkiem trzeźwo, za to pokój sprawia wrażenie, jakby przeszedł przez niego huragan.

- Przepraszam za bałagan - mówi Kate ze śmiechem. - Ja tylko... no, wiesz... - Wzrusza ramionami i znów wybucha śmiechem. Rzeczy Brendana - koszule, krawaty, bokserki, pozwijane skarpetki - leżą wszędzie. - Popatrz tylko na te mokasyny - chichocze, wyciągając parę białych zamszowych butów i ciskając nią przez pokój. - Ma tu tyle butów, że starczyłoby dla całego Klubu Jachtowego Nantucket. Nienawidzę tych głupich butów. *Nigdy* ich nie zносиłam.

Siadam obok niej na perskim dywaniku i stawiam przed nią torbę z jedzeniem, które przyniosłam. Przypuszczam, że nic dziś nie jadła. Dlatego wzięłam ze sobą grillowany ser, kanapkę z indykiem, kilka ciastek i czekoladki - wybrałam jej ulubione smakołyki.

- Opowiedz mi, co zaszło - mówię, odwijając grillowany ser i podając jej kawałek.

Przygląda mu się przez chwilę i oddaje mi z powrotem.

- Dzięki, ale nie mogę.

- Nic nie szkodzi. - Kładę ser na serwetce, na wypadek gdyby zmieniła zdanie. Mnie jedzenie pomaga w dochodzeniu do siebie po tragedii.

- Przed chwilą dzwoniła Evelyn - oznajmia ponurym tonem, którego zazwyczaj używa, mówiąc o matce. - Jest taka przewidywalna. „Udawaj, że nic się nie stało” - przedrzeźnia ją. - „Osoby takie jak my nie piorą publicznie swoich brudów. Z pewnością można to rozwiązać”.

Trzeba przyznać, że tak jak niektórzy są doskonałymi rozmówcami, a innych cechuje niebywała wnikliwość, tak u Evelyn na pierwszy plan wysuwa się żelazna konsekwencja, z jaką potrafi nadstawiać drugi policzek. Matka Kate jest równie wylewna w okazywaniu uczuć jak lodowe rzeźby, które zamówiła na swój doroczny bal bożonarodzeniowy.

- Jak on mógł mi to zrobić - złości się Kate. - Już nawet nie biorąc pod uwagę najbardziej oczywistej sprawy - że jest moim mężem - to pomyśl tylko o tych wszystkich pieniądzach, które moja rodzina w niego zainwestowała, o karierze, z której dla niego zrezygnowałam. Moje życie - zawodzi. - Wszystko to - mówi, obejmując ruchem dłoni pokój - nic dla niego nie znaczyło. Siedzę tu cały dzień i rozmyślam, jak pieczołowicie urządzałam tę sypialnię, kiedy się tu wprowadzaliśmy. Czy to nie dziwaczne? Myślałam na przykład o tym, że wybrałam te prześcieradła, bo na

takich samych spaliśmy podczas podróży poślubnej. Albo przypomniało mi się, że znalazłam ten dywanik w sklepiku w Savannah, kiedy wyjechaliśmy tam na długi weekend. - Pociera dłonią wzór. - Teraz to wszystko wydaje się takie sztuczne, jakby nasza sypialnia była częścią scenografii do jakiejś opery mydlanej ustawioną w hali zdjęciowej. Dla niego to wszystko było jedną pierdoloną grą.

- Nie, Kate. Nie. On cię kochał. Nadal cię kocha. - Wcale nie jestem tego pewna, bo sama już nie wiem, co myśleć, ale wydaje mi się, że lepiej zaoszczędzić jej dalszych cierpień.

- I on chciał w tej sytuacji mieć dzieci - mówi z niedowierzaniem. - Wyobrażasz to sobie? Gdybym się zgodziła? - Z trudem łapie powietrze.

- Nie potrafię... - zaczynam. Nie do wiary. *Jak mógł?*

- Czy wiesz, że kiedy wrócił dziś rano po nocy rzekomo przepracowanej w tamtym mieszkaniu, *nie miał pojęcia*, że wszystko się wydało? To ja mu powiedziałam. Jego sztab kontaktuje się z nim co dziesięć sekund, informują go nawet, kiedy ktoś z nich kichnie, a nie powiedzieli mu o czymś takim? To naprawdę podejrzane. Myślę, że mógł wyłączyć telefon, bo był z nią. W każdym razie, kiedy wszedł i dostrzegł, że zdemolowałam pokój... musiałabyś widzieć jego minę, Waverly. Błagał mnie, żebym postarała się zrozumieć. Możesz w to uwierzyć?

Potrząsam przecząco głową.

- Nie mam zielonego pojęcia, jak się dałam w to wmanewrować - mówi dalej, prostując ramiona. -

Przecież dorastałyśmy w tym mieście. I tak jak Francuzki umieją się ubierać, a Włoszki gotować, tak my, dziewczyny z Waszyngtonu, wiemy, jak sobie radzić z tymi sępami, które zrobią wszystko, żeby nawiązać odpowiednie kontakty. Ledwie zdążyłam wyjść z wieku dojrzewania, gdy mężczyźni zaczęli zabierać mnie na obiady, starając się zbliżyć do „imperium”. Wszyscy uważali się za niezwykle oryginalnych, bo czekali aż do deseru, zanim zapytali mnie o ojca. Wydawało mi się, że Brendan jest inny - stwierdza z żalem. - Teraz czuję się jak kompletna naiwniaczka. - Wstaje i wygląda przez okno na ekipy wiadomości. - Ciekawe, jak długo będą tu sterczeć. Zlecieli się w niecałą godzinę po tym, jak ten reporter zadzwonił i mi powiedział. O czwartej rano. Nie mam pojęcia, jak oni to wyczuwają... zupełnie jak mrówki na pikniku - zastanawia się.

Postanowiłam nie mówić jej o trójce reporterów, którzy wpadli dziś do piekarni, jeden bardziej napaśliwy od drugiego.

Kate siada przy biurku pod oknem.

- Stephanie. Trudno mi uwierzyć, że mógł jej zapragnąć, z jej włosami w strąkach i wymiętymi garniturami. Zapewne nie jest pierwsza. Powinna była wiedzieć. Przecież mężczyźni z Waszyngtonu są z tego znani. Mój własny ojciec też od czasu do czasu dyskretnie to robił.

Pierwszy raz o tym słyszę, ale nie komentuję. Nie chcę jej przerywać. Musi to wszystko z siebie wyrzucić.

- Stephanie zawsze była przy Brendanie, ale niczego nie podejrzewałam, bo to przecież jej praca -

ciągnie Kate. - Muszę zadzwonić do Jamesa. Nie do wiary, że nic mi nie powiedział. Z pewnością o tym wiedział.

- Jamesa?

- Ochroniarza Brendana - wyjaśnia. - Do jego zadań należy dbanie przez cały dzień o podstawowe potrzeby Brendana, na przykład trzyma jego telefon komórkowy czy zamawia lunch. Obowiązki Stephanie natomiast polegają na dopilnowaniu, żeby dotarł wszędzie, gdzie musi być... choć najwyraźniej nie tylko na tym. Ale James praktycznie przez cały czas jest przy Brendanie, niemal podciera mu tyłek, więc niemożliwe, żeby o wszystkim nie wiedział. - Kate spogląda na zegarek. - O, akurat możemy obejrzeć wiadomości o jedenastej. Przekonajmy się, co mówią. Przechodzi przez pokój, bierze pilota z nocnego stolika i włącza telewizor ukryty w szafce w narożniku.

- Kate, nie, nie rób tego - proszę. - Nie wyjdzie ci na dobre oglądanie tego gówna.

- Waverly, potrafię to znieść - odpowiada i siada obok mnie na podłodze. - Mój mąż, który w ostatnim roku spędził sporo czasu na przekonywaniu mnie, żebym urodziła mu dzieci, sypia z kimś innym. Czego gorszego mogę się jeszcze dowiedzieć?

Chciałabym wziąć ją za rękę, poklepać ją uspokajająco po plecach, zrobić cokolwiek, ale wiem, że to by ją tylko wkurzyło.

- Brendan musiał myśleć, że przymknę oko, jeśli zostanie przyłapany - stwierdza ze wzrokiem utkwionym w telewizorze w oczekiwaniu na rozpoczęcie wia-

domości. - Inaczej nigdy by nie podjął takiego ryzyka. A wiesz, co jeszcze dziś sobie uświadomiłam? Być może dlatego tak mnie namawiał na dzieci... Gdyby jego grzeszki kiedykolwiek wyszły na jaw, wówczas trudniej byłoby mi go zostawić.

- Och, Kate, nie sądzę... - zaczynam.

- Daj spokój! Jestem jego rachunkiem bankowym - przerywa mi. - Potrzebuje mnie. Nie mam tylko pojęcia, dlaczego przypuszczał, że będę słodką, milczącą żonką, która stoi przy swoim mężczyźnie, choćby nie wiem co. Zaczęli już mnie porównywać do innych? Do Hillary Clinton i Jenny Sanford? Sildy Spitzer? Powinam zadzwonić do Jenny Sanford. Ona idealnie rozwiązała sytuację po tym, co Mark jej zrobił.

- Nie oglądałam wiadomości - wyjaśniam. - Tylko konferencję prasową.

- Wiadomość z ostatniej chwili. - Głos prezentera rozchodzi się po pokoju niczym chmura dymu. - Brendan Berkshire, kandydat na gubernatora Wirginii, przyznał się do romansu. Na zdjęciach zdobytych w nocy przez wiadomości WUSA widać, jak Berkshire całuje swoją asystentkę w wejściu do jej mieszkania w Dupont Circle.

- Widziałas je? - pyta Kate. - Są świetne.

Miałam okazję je obejrzeć dzisiaj rano w Internecie. Brendan w ziarnistej czerni i bieli całuje swoją asystentkę w przedsionku budynku. Obejmuje jej twarz dłońmi. Dobrze widać jego obrączkę.

Z ekranu znikają zdjęcia, a zamiast nich pojawia się nagranie Kate przemawiającej do grupy kobiet.

- O Boże - jęczy Kate. - To jest sprzed kilku tygodni. Zjazd kobiet przedsiębiorców czy coś takiego. - Wskazuje palcem na ekran. - Widzisz ten szal? Ferragamo? Brendan kupił mi go podczas wyjazdu do Włoch, jeszcze zanim się pobraliśmy. - Nagle zmienia temat. - Jezu, w wejściu do budynku? - mówi płacząc głosem, nie odrywając wzroku od telewizora.

- No, wiem.

- Czy on naprawdę myślał, że to się nie wyda? - Kate patrzy na mnie tak, jakby rzeczywiście oczekiwała odpowiedzi.

Nic nie mówię, tylko kręcę głową.

- Dzisiaj rano powiedział, że mnie kocha - mówi Kate. - Słyszałaś, co gadał na konferencji? Dokładnie to samo powtarzał, kiedy wrócił do domu i powiedziałam mu, że wiem: „Kocham cię, Kate”. Wcale nie. Kocha wyobrażenie o mnie, jak wszyscy. - Spogląda na mnie i zaczyna się śmiać. - Zrujnował nasze małżeństwo - stwierdza. - Wydawało mu się, że to niemożliwe, a jednak. Zrujnował nasze małżeństwo. - W jej oczach pojawiają się łzy. - Ty to masz szczęście. Wiesz o tym, prawda? Jak ja bym chciała mieć takie życie jak ty.

Przysuwam się bliżej, przyciągam ją do siebie i przytulam. Może i mam swoje problemy, ale chwilo-wo się z nią zgadzam.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy w końcu docieram do domu, jest dobrze po północy. Ku mojemu zaskoczeniu w drzwiach wita mnie Larry.

- Ciężki dzień? - pyta, obejmując mnie mocno.

- Tak. - Opieram głowę na jego piersi i zamykam oczy. - Dlaczego nie śpisz?

- Czekam na ciebie. - Całuje mnie w czubek głowy.

- Chcesz wziąć kąpiel? Mogę ci ją przygotować. Jesteś głodna?

- Powinna iść spać, już późno - mówię głosem zduszonym przez jego koszulę. - Ale może jednak się wykąpię. - Chociaż jestem wykończona, wiem, że nie zasnę, jeśli od razu się położę. Za dużo myśli kotłuje mi się w głowie.

- Puszczę ci wodę - mówi, przeciągając dłońią po czubku mojej głowy - a ty zrób sobie drinka.

Obejmuję go mocniej, tak że łączę dłonie za jego plecami.

- Dobrze.

Wyciągam nogę z wody, żeby stopą zakręcić kurek. Raz za razem głęboko wdycham przesycone parą powietrze i dokładnie je wydycham, licząc, że oczyści mi umysł z wszelkich myśli. Z czoła spływa mi pot, bo woda przygotowana przez Larryego jest bardzo

gorąca, tak jak lubię. Przewieszam jedną nogę przez krawędź starej wanny na nóżkach, tej samej, w której babcia robiła mi kąpiel z bąbelkami, kiedy nocowałam u niej jako dziecko. Ściany łazienki pokrywają płytki w kolorze lodów miętowych, jak określał to mój tata. Myśli uciekają mi do dzisiejszej rozmowy z Garym. Odchylam głowę do tyłu i potrząsam szklaneczką Baileysa, tak jakby grzechot kostek lodu mógł zagłuszyć jego przerażające słowa. *Postępowanie egzekucyjne*. Teraz już wszystko w moim życiu jest zagrożone.

Rozmyślałam o Kate. Latem będzie trzecia rocznica jej ślubu z Brendanem. Ich wesele zgromadziło pięćset osób i odbyło się na trawniku prywatnego domu nad zatoką Chesapeake. Kelnerzy w smokingach częstowali szampanem w kryształowych kieliszkach, sześciodaniowy obiad przygotowała firma, która od lat obsługiwała przyjęcia Evelyn, a pierwszy taniec Kate i Brendan odtańczyli do utworu „Someone To Watch Over Me” w wersji smyczkowej, zagranej przez członków Narodowej Orkiestry Symfonicznej. Jednym słowem, przy organizacji tej uroczystości pierwsze skrzypce grała Evelyn, a efekt w niczym nie przypominał wymarzonej przez Kate skromnej ceremonii na dachu hoteliku odkrytego przez nią podczas służbowej podróży do Buenos Aires. Kate chciała mieć kalie, Evelyn piwonie. Kate pragnęła wesela w mieście, Evelyn na wsi. Jeśli chodzi o mój pogląd na tę sprawę, to uznałam, że skoro Kate jest szczęśliwa, poślubiając mężczyznę reprezentującego styl życia, od którego, jak twierdziła, zawsze chciała uciec, to nie ma powodu,

żeby dzień ślubu od niego odbiegał. Już samo umawianie się z Brendanem w dużej mierze zmieniło jej bez troski, awanturniczy charakter, który wcześniej kierował jej postępowaniem. W owym czasie szczególnie się nad tym nie zastanawiałam, zapewne dlatego, że rezygnacja Kate ze stylu życia, w jakim została wychowana, wydawałaby mi się wbrew naturze.

W dniu ślubu wiała leciutka bryza, niebo było nie-samowicie niebieskie, a ja stałam wraz z resztą gości przy pergoli i podziwiałam, jak promiennie wygląda Kate, która zbliżała się do nas wsparta na ramieniu ojca. Była ubrana w suknię ślubną swojej babki, prze-robioną przez rozchwytywaną projektantkę, o której nigdy nie słyszałam. Amy i ja miałyśmy szyte na miarę suknie drухen z surowego jedwabiu w kolorze morskiej piany, które raczej nie dodawały nam uroku.

Podczas ceremonii stałam za Kate i mogłam podziwiać jej szczupłe, nagie plecy. Kiedy ona i Brendan wypowiadali słowa przysięgi, obracałam na kciuku złote kółko, które miała za chwilę włożyć na palec mężowi. Evelyn z pewnością wolałaby widzieć jako pierwszą drухnę kogoś innego, pewnie jedną z arystokratycznych kuzynek Kate. Tymczasem to ja stałam za nią w słońcu, ciasno przyciskając ręce do boków, żeby ukryć powiększające się półksiężycy potu, i miałam okazję zauważyć, z jaką czcią Brendan wpatruje się w swoją niemal żonę. Sprawiał wrażenie, że nie może wprost uwierzyć w swoje szczęście, co mnie nieco uspokoiło. Nie zdążyłam go wcześniej zbyt dobrze poznać, bo spotykali się zaledwie od roku.

Podczas przyjęcia weselnego Amy, Mike, Larry i ja siedzieliśmy z dwoma braćmi Brendana i ich żonami. Bracia wyglądali na dobrze urodzonych, a przy tym niezwykle zdrowych, co być może zawdzięczali latom spędzonym na świeżym powietrzu, obaj bowiem byli hodowcami koni. Mieli silnie zarysowane żuchwy, a w podbródkach dołki, w które spokojnie zmieściłaby się spora moneta. Wygląd żon nasuwał skojarzenie, że zostały wyszorowane dziecięcym mydłem - obie prawie bez makijażu, z identycznymi blond bobami sięgającymi linii podbródka i dyskretnymi kolczykami z perłami. Zarzuciły mnie setkami pytań na temat Kate. Jaka była w okresie dorastania? „Jeszcze bardziej wygadana”. Jest taka chuda - czy ona w ogóle je? „Musiałybyście widzieć, jak wcina kanapkę z mielonym”. Czy sądzę, że Brendan kiedykolwiek ją przekona do przeprowadzki do Charlottesville? „Wszystko jest możliwe, skoro posunęła się już tak daleko”.

Podano obiad - pieczoną kaczkę z pretensjonalnym bukietem wiosennych warzyw, a wówczas rozmowa zeszała na... A o czym ludzie rozmawiają podczas ślubów? Oczywiście, o małżeństwie. Larry i ja w milczeniu jedliśmy i piliśmy, podczas gdy jedna ze szwagierek Brendana opowiadała o tym, jak poznała swojego męża przez koleżankę ze szkoły z internatem, a druga rozpływała się z zachwytem nad ich miodowym miesiącem na Mustique.

- A co z wami? - nie wytrzymał w końcu niższy z braci, machając w naszym kierunku kieliszkiem.

Spojrzeliliśmy z Larrym na siebie i roześmialiśmy się nerwowym śmiechem, który oznaczał: *Kto się tym zajmie? Ty czy ja?*

- No właśnie, co z wami? - wtrąciła się z uśmiechem Amy, unosząc brwi. Było to jej pierwsze wyjście od narodzin Emmy.

- Cóż - odchrząknęłam, zanim sytuacja zrobiła się naprawdę kłopotliwa. - Żyjemy razem od siedmiu lat i jest nam bardzo dobrze. Jesteśmy stosunkowo młodzi, więc nie ma pośpiechu.

- Mamy na to jeszcze resztę życia - dodał z przekonaniem Larry. Otoczył mnie ramieniem i założył nogę na nogę, kładąc stopę w podniszczonym mokasynie na kolanie po mojej stronie.

- Szkoda, że mnie się nie udało przekonać o tym tej damy - zażartował jeden z braci, trącając łokciem żonę.

Ta wzniosła oczy do góry.

- Ale przecież małżeństwo jest takie cudowne - oświadczyła z zachwytem Amy. Spojrzała rozmarzonym wzrokiem na Mike'a. Był to pierwszy ślub, na którym z nią byłam, poza jej własnym, i była nastrojona tak przeraźliwie sentymentalnie, jak się spodziewałam.

- To naprawdę jest inaczej, niż kiedy tylko się umawiacie - wtrącił Mike, spoglądając na nią. - Nie wiem dlaczego, ale ta obrączka włożona na palec w jakiś sposób wszystko zmienia - powiedział do reszty osób przy stoliku.

Jak się okazało, była to jedna z ostatnich okazji posłuchania dawnego Mike'a, zanim stał się człowiekiem, który nie potrafi rozmawiać z innymi bez ich

obrażania. Ale zaraz, zaraz, uświadamiam sobie. Przecież Emma była już wtedy na świecie, czyli po prostu udawał, zwodząc nas wszystkich, włącznie z Amy.

Później tamtego wieczoru, kiedy młoda para pokroiła już tort, tańczyliśmy z Larrym na platformie zbudowanej przy krawędzi wody.

- Jak sądzisz, dlaczego małżeństwa zawsze przekonują innych, żeby się też pobrali? - spytałam.

- Nieszczęśnicy chcą mieć towarzystwo. To tak samo jak z wegetarianami czy mieszkańcami Nowego Jorku. Ludzie chcą, żebyś cierpiał tak jak oni, a jeśli nie wykazujesz najmniejszej ochoty, odczuwają potrzebę, żeby cię przekonać - a pewnie i siebie - że ich sposób postępowania jest lepszy.

Roześmiałam się z twarzą ukrytą w jego ramieniu. Czułam zapach chemikaliów użytych do czyszczenia jego garnituru.

- Ale ty jesteś szczęśliwy, tak? - spytałam, zerkając na niego.

Przycisnął mnie mocniej.

- Oczywiście - szepnął mi do ucha. - A ty nie?

- Ja też - odparłam. I to była prawda.

Nadal bardzo wyraźnie pamiętam, jak tamtej nocy obserwowałam Amy i Kate, które objęte oglądały nową, błyszczącą obrączkę Kate z takim zachwytem, jakby wprawiono w nią kawałki diamentu Hope. Przypominam też sobie lekkie ukłucie zazdrości, kiedy Kate po powrocie z podróży poślubnej do Francji porównywała z Amy szczegóły - pościel usłana płatkami róż, szampan na śniadanie.

Wcale nie chodzi o płątki, bo wręcz nie lubię tych przesłodzonych rekwizytów - zresztą mogłabym to wszystko mieć również bez dzwonów weselnych - ale o to, że męczy mnie już ten stan zawieszenia. Musimy w końcu zdecydować, czy zamierzamy się pobrać, czy zawsze żyć tak jak teraz. I sądzę, że raczej powinniśmy wziąć ślub. Jednak małżeństwo mnie przeraża, a dziś jeszcze bardziej niż zazwyczaj, skoro już wiem, jak wyglądają z pozoru idealne związki moich dwóch najbliższych przyjaciółek. Wydawało się, że Kate ma łatwe życie, a Amy dokładnie to, czego zawsze pragnęła.

Czuję w głowie taki mętlik, jakby ktoś wyjął mi mózg i roztrzepał go w shakerze do koktajli. Muszę to wszystko jakoś uporządkować, choć odrobinę się odprężyć. Dopijam drinka.

- Hej, Larry! - krzyczę przez kłęby pary. - Larry!
- wołam głośniej.

Słyszę, jak biegnie po dwa stopnie na górę.

- Tak? Czy coś się stało?

- Chodź tu na chwilę. - Podciągam kolana do piersi.

- O co chodzi, kotku? - Odsuwa stertę moich ubrań i siada na wyliniętym dywaniku łazienkowym obok wanny.

- Małżeństwo - oznajmiam poważnie.

Unosi brwi.

- Zaangażowanie - mówię.

Larry rozgląda się po łazience.

- Czy to jakaś gra? - żartuje. - Podajesz mi wskazówki, a ja mam odgadnąć, o czym myślisz?

Biorę głęboki oddech.

- Jak sądzisz, dlaczego nie wzięliśmy ślubu?

Krzywi usta i kiwa głową.

- Dzisiejszy dzień skłonił cię do myślenia o tym?
- pyta.

Potakuję ruchem głowy.

- Jutro pójde do urzędu stanu cywilnego - odpowiada jak zawsze - jeśli tego właśnie pragniesz.

- Ha, ha - mówię ironicznie. - Ale czy *ty* chcesz mnie poślubić?

- Z mojej strony nic się nie zmieniło. - Wkłada palce do wanny i rysuje ósemki w pianie. - Jestem szczęśliwy, tak jak teraz żyjemy.

- Stale to powtarzamy. Ale czy naprawdę? Czy *naprawdę* jesteśmy szczęśliwi? A jeśli tak, to dlaczego nie planujemy następnego kroku, jakim są dzieci?

- A dlaczego nie? - Wzrusza ramionami. - Ja jestem szczęśliwy. I bardzo chciałbym mieć z tobą dzieci, ze ślubem czy bez. - Wiem, że mówi to szczerze. Jego wyrozumiałość jest tak głęboko zakorzeniona, że nabiera niemal religijnego charakteru. - Pytanie natomiast brzmi, czy ty czujesz się szczęśliwa. - Przebiega palcami po moim mokrym ramieniu. - Bo skoro tak często to kwestionujesz, to pewnie nie.

Potrząsam głową.

- Nie, nie. - Biorę go za rękę.

- Ale wracasz do tego tematu mniej więcej co pół roku.

Przechylam głowę, przyznając mu rację.

- To nie ma nic wspólnego z moją miłością do ciebie - mówię. - Nie wiem, być może to ten dzień tak

na mnie podziałał. Nie mogę przestać myśleć, że nasze problemy są niczym wobec tego, przez co przechodzą inni, więc właściwie na co czekamy. - Zakłopotana, wpatruję się w wodę, jakbym liczyła, że piana magicznie się rozstąpi i ukaże się odpowiedź. - Myślę o Amy, która tak była pewna Mike'a, i o Kate, równie pewnej Brendana. I proszę, co się stało. Wydawało mi się, że obie prowadzą idealne życie, a tymczasem to była pomyłka.

- Racja - odpowiada. - Ale z drugiej strony popatrz na naszych rodziców z kilkudziesięcioletnim stażem małżeńskim. A wszyscy moi bracia i siostry też mają szczęśliwe małżeństwa.

- Ale jak to zrobili, że ich małżeństwa są udane? Skąd mają pewność, że to właśnie to? Czy nie lepszy jest nasz sposób, kiedy przynajmniej pozostawiamy sobie furtkę?

- Potrzebna ci furtka?

- Nie, tylko... tylko nie wiem, jak to zrobić, żeby mieć pewność. Stuprocentową pewność. - Spoglądam na niego. - Po dziesięciu latach chyba powinnam być pewna?

- Uważam, że kiedy zaczynasz odczuwać potrzebę pewności, łądujesz się w kłopoty.

- J a k t o ?

- Wszystko jest aktem wiary, Wave. Wszystko. Nawet najbardziej precyzyjny plan nie uchroni cię przed tym, że różne rzeczy po prostu się zdarzają. Ty najlepiej powinnaś wiedzieć, że przypadek może w jednej chwili wyrzucić całe życie do góry nogami.

Przypominam sobie jeden z ulubionych cytatów mojej babci, który miała przyklejony od wewnątrz na drzwiczkach jednej z szafek kuchennych: „Oczekuj najlepszego, planuj na wypadek najgorszego i przygotuj się na niespodzianki”.

W dzień po pogrzebie moich rodziców zmusiła mnie do wstania z łóżka i zabrała na długi spacer. Ledwo szłam, bo miałam wrażenie, jakby do nóg przywiązano mi ciężary, nie mogłam wykrztusić słowa przez ściśnięte gardło. Tymczasem babcia, która właśnie straciła swoje jedyne dziecko, pokazywała mi ciekawe kolory liści na drzewach, błękitnika na gałęzi i wściekle pomarańczowe chryzantemy w ogródku sąsiada. Bez względu na sytuację potrafiła przeć naprzód, podczas gdy ja spędzam trzy godziny na zastanawianiu się nad menu na lunch. Albo dziesięć lat na podejmowaniu decyzji, czy poślubić wspaniałego człowieka. Nawiasem mówiąc, człowieka, który może mnie zostawić, kiedy się dowie, że mam przed nim tajemnice.

- Nigdzie się nie wybieram - odzywa się Larry.

A nawet jeśli... Powinam mu natychmiast powiedzieć o tych pieniądzach. Ma prawo wiedzieć. To jest nasz dom. *Powiedz to* - mobilizuję się. *Po prostu powiedz*. Uśmiecham się blade.

- Przepraszam za to wszystko. Ja tylko...

- Wiem - przerywa mi.

- Nie chcę, żebyś sobie pomyślał, że moje wątpliwości mają cokolwiek wspólnego z tym, co do ciebie czuję. Naprawdę cię kocham - mówię. - Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Powiedz mi.

- Wiem - powtarza.

- Naprawdę? - pytam.

Powiedz mi teraz i miej to za sobą. Ten dzień i tak nie może już być gorszy.

- Naprawdę - zapewnia. - I jestem przekonany, że podejdziesz do tego wszystkiego bardziej pozytywnie, kiedy dobrze się wyśpisz. - Wstaje i bierze z półki ręcznik. - No, chodź. Jesteś już cała pomarszczona.

Wychodzę z wanny, przytrzymując się jego ręki dla zachowania równowagi, po czym stoję naga na dywaniku, a Larry mnie wyciera. Zamykam oczy.

Jutro. Powiem mu jutro.

- Wiesz co? - mówi, odsuwając mi włosy z czoła. - Kocham cię. - Owija mnie ręcznikiem, zatykając jego koniec na mojej piersi.

- Też cię kocham - odpowiadam. Przyciskam dłoń do jego serca. - Tylko teraz chcę wyszorować zęby i resztę.

- Dobra. Idę się pozamykać na cztery spusty.

Zawsze uważałam swoje życie za beznadziejnie zabałaganione w porównaniu z idealnie poukładanym życiem innych osób z mojego otoczenia. Jestem sierotą. Trudno o słowo bardziej wzbudzające litość niż *sierota*. Przez większość czasu jestem zabiegana. W brudnej koszulce i z mąką we włosach usiłuję utrzymać swoją upadającą firmę. Jeżdżę przerdzewiałym starym subaru. Mieszkam w domu, który otrzymałam w prezencie, bez żadnego wkładu z mojej strony. Stale miałam wrażenie, że całe moje życie jest pośledniejszego gatunku,

nie do końca dorosłe, ale teraz, po tym wszystkim, czego się dowiedziałam o Kate i Amy, prawie mam ochotę być za nie wdzięczna. Boże, przecież one zawsze *dokładnie* wiedziały, co robią. Ja robiłam wszystko, żeby też zyskać taką pewność i moc poskładać swoje sprawy tak jak one.

Larry lekko puka do drzwi.

- Chodź do łóżka - mówię, kiedy otwieram.

Przeciskam się za nim do naszej sypialni. Na stoliku nocnym widzę przygotowaną szklankę wody. Kiedy się kładę, Larry klęka przy mnie, jakby zamierzał się modlić.

- To dla ciebie trudne - stwierdza.

Kiwam głową.

- Zrobię wszystko, żeby ci pomóc, tylko powiedz.

- Ociera łzę, która spływa mi po policzku. - Nigdy cię nie opuszczę - mówi.

Znów potakuję głową. *Ale on nie wie.*

- Dobra. Teraz się prześpij. - Całuje mnie w czoło, obraca się na swoją stronę łóżka i gasi światło.

Wtulam się w jego bok, jak zawsze. Można powiedzieć, że jest dla mnie czymś najbardziej znajomym, co powinno uspokajać mnie w ciemności.

Leżę przy nim, wsłuchując się w jego ciche pochrapywanie, które stało się dla mnie tak normalne, że przeważnie go nie zauważam. Jesteśmy ze sobą tak długo, że przez ten czas można by zostać lekarzem ze specjalizacją. Albo urodzić kilkoro dzieci. Nie sądzę, żeby można było kogokolwiek poznać *do końca*. Wiem, jak to może brzmieć w moich ustach - ustach nieuczciwej,

gorszej połowy mojego związku, ale myślę, że dziesięć lat wystarczy, żeby dogłębnie zrozumieć drugą osobę. I kilku rzeczy co do Larr'ego jestem pewna. Jest niewątpliwie dobrym człowiekiem, solidnym i uczciwym. Kocha mnie, pomimo że jestem, jaka jestem. I chociaż tak mnie przeraża myśl o przyznaniu się, że jestem spłukana, że nasz dom jest zagrożony i że tak długo go okłamywałam, to w głębi duszy wiem, że będzie mnie nadal kochał, wbrew wszystkiemu. Być może ode mnie odejdzie, ale zawsze będzie mnie kochał.

Mamy za sobą trudniejsze lata. Choć tak cudownie było zamieszkać razem, to nie obyło się bez normalnych trudności z dotarciem się. Pewnych cech Larr'ego wręcz nie znoszę. Na przykład, nigdy nie pamięta o urodzinach. Nie przeciwstawia się swojej matce, która choć na ogół nie wtrąca się do naszego życia, to czasem wręcz nachalnie próbuje wpłynąć na nasze decyzje. Nigdy nie zabiera mnie na randki. Zresztą Larry też ma powody, żeby mieć do mnie pretensje. W pierwszym roku po otwarciu piekarni niemal wcale nie było mnie w domu. A kiedy już spędzaliśmy razem czas, byłam zbyt zmęczona i zaafierowana sprawami zawodowymi, żeby okazywać radość i mieć ochotę na robienie rozmaitych rzeczy, jak kiedyś.

Rzadko dotykam go z własnej inicjatywy. To on mnie prosi - naprawdę prosi - żebym częściej go obejmowała. A ja tego nie robię. Zapominam.

A wiecie, jak wiele bym dała, żeby móc uściskać jedno z moich rodziców? Z czego chętnie bym zrezygnowała, żeby móc ich objąć choć na dziesięć sekund?

Wiem, że po tylu wspólnych latach na ogół przyjmuje się obecność przy nas tej drugiej osoby jako coś naturalnego. Ale czy tak powinno być? Czy nie powinniśmy być bardziej wylewni, skoro już tyle razem przeżyliśmy, a nasze wspólne życie jest nie tylko długie, lecz także głębokie - pełne zrealizowanych marzeń i rozczarowań, śmierci i narodzin, monotonii i niespodziewanych radości? Czy nie powinniśmy wspólnie się tym zachwycać? Mówić do siebie nawzajem: tylko zobacz, ile osiągnęliśmy! Tylko zobacz, jak się trzymamy, na przekór wszystkiemu!

Bardzo cię przepraszam.

Dlaczego tak trudno to powiedzieć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Jest dziesiąta rano i zaczynamy z Randym zajmować się daniami obiadowymi. Prawie trzy czwarte stolików jest zajęte, większość klientów pracowicie stuka w klawiatury swoich laptopów. W powietrzu unosi się jednostajny gwar gorączkowej pracy, jakbyśmy wszyscy mieli okazję przespać dziesięć godzin i wlać w siebie od rana dwa kubki kawy. Spędziłam poranek, odhaczając kolejno pozycje z listy zadań, dzięki czemu czuję się teraz uosobieniem wydajności i kompetencji. Jest to na pewno miła odmiana. Minał tydzień, od kiedy moim przyjaciółkom niebo spadło na głowę. Przez cały ten czas zamartwiałam się zarówno ich sytuacją, jak i tym, skąd wziąć pieniądze na spłatę zaległej raty pożyczki, więc z przyjemnością skupiam się w końcu na swoim życiu.

Od kilku godzin, a dokładnie od chwili, kiedy dostarczono nam ogromną partię wczesnych truskawek, wymyślamy sposoby ich wykorzystania - kruche ciasteczka, koktajle, tarty, sałatki. Przygotowuję cappuccino dla spoconego klienta w spandekсовym kostiumie, który wpadł do nas zaraz po wyjściu z siłowni, i przy okazji opowiadam Randyemu o truskawkowym winegrecie z makiem i czerwoną cebulą, który kiedyś robiłam. Akurat kończę nakładać piankę,

kiedy rozlega się dźwięk dzwoneczka sygnalizującego otwarcie drzwi. Unoszę wzrok i nagle ściska mi się żołądek. Brendan.

Uśmiecha się i żartobliwie saltuje, co uznaję za dziwne - ale przypuszczalnie wszystko, cokolwiek by teraz zrobił, wydawałoby się nie na miejscu. Bo jak właściwie należy przywitać najlepszą przyjaciółkę żony w jej miejscu pracy, kiedy o twojej zdradzie mówi cały kraj? Masz się uśmiechnąć i pomachać, jakby ten wtorek niczym się nie różnił od poprzednich, a wpadłeś, bo zatęskniłeś za kruchym ciasteczkiem? Brendan najwyraźniej też tego nie wie, bo po raz pierwszy, od kiedy go znam, sprawia wrażenie niezdecydowanego. Zbliża się do lady ostrożnym, nierównym krokiem, jakby ciało i mózg wysyłały mu sprzeczne sygnały, w którą stronę ma iść. Zauważam, że siniak pod okiem zmienił kolor na żółty. Nie bardzo wiem, jak się zachować. Mam ochotę wylać na niego to cappuccino, ale zamiast tego wręczam je klientowi i czekam, aż Brendan do mnie podejdzie.

- Mogę ci w czymś pomóc? - pytam oficjalnym tonem, jakbym go widziała po raz pierwszy. Nie zamierzam ułatwiać mu sprawy.

Ludzie siedzący w piekarni gapią się na niego. Kobieta przy jednym ze stolików przy ladzie zakrywa dłońią usta, pochyla się i szeptem coś do koleżanki, po czym obie zaczynają chichotać, nie odrywając wzroku od Brendana. Ten albo jest tego tak doskonale świadomy, że potrafi to zignorować, albo przyzwyczał się już na tyle, że nawet nie zauważa.

- Cześć, Waverly - mówi, uśmiechając się nieśmiało. - Mogę z tobą chwilę pogadać? - Jego głos ocieka empatią, jakby to mnie skrzywdził.

- No dobra, słucham - odpowiadam. Otwieram kasę, dzięki czemu mogę udawać, że liczę drobne.

- Yyy... - Brendan opiera się o ladę. - To trochę krępujące, ale...

Zamykam kasę i krzyżuję ręce na piersi.

- Słuchaj, zaraz zaczyna się pora lunchu i nie będę miała dla ciebie czasu, więc jeśli czegoś chcesz, to powiedz teraz.

- Rozumiem, rozumiem - odpowiada nieszczęrze. - Słuchaj, chciałbym żebyś porozmawiała z Kate w moim imieniu.

- Mam porozmawiać z Kate?

Chyba upadłeś na głowę!

- Strasznie za nią tęsknię, Waverly. - Mówi to w taki sposób, załamującym się głosem, z twarzą wykrzywioną w grymasie, jakby właśnie dostał okropnego skurczu żołądka, że niemal robi mi się go żal. Znam go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że dokładnie zaplanował to przedstawienie. Pozostaje mi odkryć, czego naprawdę ode mnie chce.

- Kate nie odbiera moich telefonów, Waverly. Jak mogę coś naprawić, kiedy ona nie chce ze mną rozmawiać? - Brendan mówi szeptem, oglądając się za siebie, chociaż jest oczywiste, że absolutnie *każdy* w promieniu dwóch metrów nas podsłuchuje.

- Czy naprawdę cię dziwi, że nie chce mieć z tobą do czynienia?

- Kate jest moją żoną, Waverly. - Kładzie rękę na sercu. - Miłością mojego życia.

Przewracam oczami.

- Nikt by się nie domyślił, patrząc na to, jak ją potraktowałeś, Brendanie. - Sprawdzam godzinę. Naprawdę muszę się wziąć do pracy, bo pora lunchu nieubłaganie się zbliża, a poza tym zależy mi, żeby zrozumiał, że kompletnie nie obchodzi mnie jego problem.

- Proszę cię, Waverly - mówi, opierając obie dłonie o ladę i pochylając się w moją stronę. - Odsuwam się od niego. - Bez niej moje życie nie ma sensu.

- Nie rozśmieszaj mnie - pryham. - Naprawdę oczekujesz, że ci uwierzę? Ze przyszedłeś prosić mnie o pomoc, bo ci zależy na ratowaniu małżeństwa? Ze masz szczerą intencję? Myślisz, że nie znam prawdziwego powodu, dla którego potrzebujesz Kate?

- Prawdziwego powodu? - Kręci głową, jakby nie wiedział, co mam na myśli.

Kurczę, jest w tym naprawdę dobry.

- Przecież wiem, że chodzi o pieniądze. Na odległość widać chciwość w twoich oczach. - Odwracam się od niego i zaczynam ścierać resztki mielonej kawy rozsypane dookoła ekspresu.

- Waverly! - Mówi to ostro i szybko, jakby uderzał nożem.

Obracam się gwałtownie w jego stronę.

- *Nie rozumiesz, jakie to dla mnie ważne!* - krzyczy.

W piekarni robi się cicho, jak makiem zasiał. Brendan wymachuje pięściami niczym dwulatek, który za chwilę rzuci się ze złości na ziemię.

- Ona musi do mnie wrócić, Waverly! Nie chce ze mną rozmawiać! Co mam zrobić, skoro nawet nie raczy do mnie oddzwonić? Ja do niej wydzwaniam, *a ona nic!* Zupełnie mnie ignoruje!

Wszystkie oczy zwracają się w jego stronę.

- Nie mogę nawet dostać się do domu! Wiesz, że Kate wymieniła zamki? Nie mogę wejść do własnego domu, Waverly! Wraz z Kate straciłem wszystko! Nic mi nie zostało! *Nic! Nic! Nic!* - Wymachuje pięściami w powietrzu, akcentując każde powtórzenie. - *Nic! Nic! Nic!* - Powtarza w kółko.

- Brendan! Brendan! Ej! - mówię surowym głosem i pochylam się nad ladą. - Brendan, uspokój się.

Opadają mu ręce i spogląda na mnie, kołysząc się niepewnie, jakby miał zaraz upaść na podłogę. Głośno wydycha powietrze.

- Przepraszam - burczy po chwili.

Chłodno kiwam głową.

- *O cholera!* - szepce jeden z klientów.

Brendan potrząsa głową, po czym zaczyna wydawać dźwięk, który na początku wydaje mi się śmiechem, ale zdaję sobie sprawę, że to chyba... płacz? Jakiś taki paskudny, histeryczny szloch. Właśnie zamierzam poprosić Randy'ego o pomoc, kiedy Brendanowi udaje się opanować.

- Bardzo cię przepraszam za to zamieszanie - duka. Składa dłonie, a wówczas widzę, że mu się trzęsą. Nie potrafi spojrzeć mi w oczy. - Jest mi naprawdę bardzo przykro, Waverly. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo...

Kiedy jego wzrok spotyka się z moim, dostrzegam, że oczy ma okolone ciemnymi plamami, a skórę chorobliwie bladą. Wydaje mi się, że tym razem mówi szczerze.

Chwilę później odwraca się i wychodzi bez słowa.

Kiedy tylko zamykają się za nim drzwi, w lokalu wybucha wrzawa. Klienci się śmieją, przekrzykują podnieconymi głosami i dzwonią do znajomych, a ja pędzę do biura, żeby zadzwonić do Kate. To chyba najdziwniejsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

Moje zdziwienie staje się jeszcze większe, kiedy pod koniec pory lunchu wszystkie kanały informacyjne telewizji kablowej zaczynają wyświetlać niemal bez przerwy ujęcia przedstawiające rozhisteryzowanego Brendana. W całym tym zamieszaniu nie zwróciłam uwagi, że jeden z klientów filmuje wszystko komórką. Tak się pechowo złożyło - szczególnie dla Brendana - że tym klientem był bloger piszący dla „Politico”, jednego z największych krajowych serwisów internetowych poświęconych polityce. Jego sprawozdanie z załamania nerwowego Brendana? wybuchu? - nawet nie wiem, jak to nazwać... - natychmiast rozeszło się po Internecie.

Stoję przy kasie, kiedy za moimi plecami pojawia się Randy.

- Ale dziwne wrażenie, oglądać nasz sklepik w telewizji - mówi, po raz kolejny przyglądając się, jak Brendan wymachuje pięściami na ekranie.

Całe szczęście, że mnie nie widać. Nasz bloger był na tyle łaskawy, by nie filmować mojej twarzy, na której musiał

się rysować wyraz absolutnego osłupienia. Kate najwyraźniej też ogląda wiadomości, ponieważ w regularnych odstępach czasu przysyła mi SMS-y wyrażające za pomocą jednego słowa jej opinię na temat Brendana (*Dupek! Idiota! Sukinsyn!*). Kiedy dzwoniłam do niej wcześniej, również zareagowała żywiołowym potokiem inwektyw.

- Czytałaś już wpis na blogu tego koleśia? - pyta Randy, majstrując przy swoim telefonie.

- E - odpowiadam, nadal wpatrzona w telewizor. - A napisał coś, czego jeszcze nie wiem?

- Hmm... wspomina o naszych muffinach pączkowych. - Randy przesuwając kciukiem po ekranie komórki.

- O muffinach? Co? - Odwracam się w jego stronę.

- No! Nie wierzę, że jeszcze nie czytałaś. Przecież on to wstawił trzy godziny temu. Czekaj, zaraz ci znajdę.

Spoglądam mu przez ramię. Randy wyświetla artykuł i podaje mi telefon. Czytam:

Witajcie, przyjaciele! Zgadnijcie, kto się znalazł w odpowiednim miejscu i czasie, kiedy Brendan Berkshire, zdradzający żonę republikański kandydat na gubernatora przyłapano wcześniej w tym tygodniu z językiem wepchniętym do gardła swojej asystentki, odstawił numer rodem z Lotu nad kukułczym gniazdem w miejscowej cukierni?! Obejrzyjcie filmik. Gwarantuję, że nie pożałujecie. Najlepsza rzecz, jaką widziałem od czasu tego koleśia, który rzucił butem w George'a Busha. Niezła konkurencja dla krzyku Howarda Deana.

Berkshire najwyraźniej przyszedł błagać o wybaczenie... czy coś w tym rodzaju... właścicielkę cukierni, która,

jak się okazuje, jest przyjaciółką jego żony. Tak na marginesie, to mają tu nie-sa-mo-wi-te muffiny pączkowe - zdecydowanie warte wyprawy do Maple Hill, nawet jeśli nie trafi się wam okazja, by poobserwować polityka uginającego się pod ciężarem własnej głupoty. (Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach zdradzałby żonę wyglądającą jak Kate Berkshire?)

Oddaję Randy'emu telefon.

- Hmm... - Wzruszam ramionami. - Nie wiem, co...

- Tak, tak - mówi ze śmiechem. Jak na mój gust, trochę za bardzo go to bawi.

- Dość się już na to napatrzyłam - stwierdzam i sięgam za ladę po pilota do telewizora.

- Oj, nie denerwuj się.

- Randy, Kate jest moją przyjaciółką.

- Okej, masz rację - mówi takim tonem, jakbym go właśnie skarciła.

- Włącz jakąś muzykę - mówię, wyłączając telewizor. - Zmarnowaliśmy już dostatecznie dużo czasu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy kilka dni później przyjeżdżam do Amy, żeby zabrać ją na spacer, ogląda akurat talk-show *The View*. Postanowiłam wziąć sobie wolne przedpołudnie, ale i tak już dwa razy dzwoniłam do piekarni. Uważam takie wagary za kompletnie nieodpowiedzialne, ale Jeannette i Randy praktycznie zagrozili, że się zwolnią, jeśli nie odpocznę choć przez kilka godzin. W ostatnich dniach mieliśmy w pracy prawdziwe szaleństwo. Okazuje się, że niektóre zdarzenia mogą przynieść zupełnie nieoczekiwane i dziwaczne skutki. Od kiedy wybuch Brendana stał się wiadomością dnia, moje pączkowe muffiny również zyskały na popularności. Sporo klientów przychodziło spytać o „tę rzecz, o której tamten facet pisał na <<Politico>>”. Kiedy godzinę temu rozmawiałam z Randym, tuż po tym, jak skończyła się fala dojeżdżających do pracy, powiedział, że choć dziś rano upiekli ich trzykrotnie więcej, to już się prawie kończą. Wczoraj wieczorem miałam w pocztce głosowej dwie wiadomości: od osoby z działu *public relations* krajowego stowarzyszenia strażaków, która chce zamówić osiem tuzinów tych muffinów na ich doroczny zjazd w przyszłym tygodniu, oraz z miejscowej szkoły podstawowej z zamówieniem na zebranie rodziców.

Krażę po salonie, czekając, aż Amy znajdzie na górze swoje tenisówki. Jestem tu po raz pierwszy od czasu, gdy się dowiedziałam o zachowaniu Mike'a, i uświadamiam sobie, że od momentu wejścia zachowuję się jak policyjny detektyw - szukam wskazówek, które mogłam przeoczyć, gdy jeszcze o niczym nie wiedziałam. Cały czas mi się wydaje, że nagle coś się znajdzie, że zdobędę jakiś dowód, który pomoże mi przekonać Amy, by jak najszybciej wyniosła się z tego domu. Tymczasem wszystko wygląda zupełnie normalnie - na ławie katalog dziecięcych zabawek, w koszyku obok kanapy porządnie poskładane pranie, należący do Emmy plastikowy serwis do kawy ustawiony na szczycie pudła z zabawkami w kącie. Wstyd się przyznać, ale niemal chciałabym, żeby Mike robił więcej z tych rzeczy opisanych na stronach internetowych dotyczących przemocy domowej. Oczywiście, nie fizycznie - chodzi mi raczej o to, żeby zachowywał się bardziej paranoidalnie albo obsesyjnie kontrolował, gdzie chodzi i z kim się spotyka, to może łatwiej byłoby ją stąd wyrwać.

Kobiety w *The View* rozmawiają - a o czym by innym - o Kate. Wczoraj wydała oświadczenie, że składa pozew o separację. Stwierdziła, że to jedyne rozwiązanie. Przesłuchała ochroniarza Brendana - mogę sobie wyobrazić, co przeżył ten biedny dzieciak - który twierdzi, że Stephanie była jedyną kochanką. Nie było żadnych luksusowych prostytutek ani nieszczęśliwych stażystek. Mimo wszystko Kate twierdzi, że nigdy więcej nie zaufa Brendanowi. Gapię się ze znużeniem w telewizor.

- Moim zdaniem ta Berkshire jest inspiracją! - oświadcza Joy Behar. - Więcej żon polityków powinno iść za jej przykładem! Wiecie, myślę, że to ona powinna się ubiegać o to stanowisko!

Publiczność w studio reaguje gromkimi oklaskami. Uśmiecham się krzywo.

Od wielu dni unikam dziennikarzy proszących o wywiad na temat załamania Brendana. Ze stacji MSNBC dzwonią codziennie, a nawet nakręcili materiał przed piekarnią, bo do środka ich nie wpuściłam - pomimo że kupili dwa tuziny... (tak, zgadliście) muffinów pączkowych. Nieustępliwy jest też „New York Post”, i to do tego stopnia, że zabroniłam pracownikom podnosić słuchawkę, jeśli wyświetlający się numer będzie miał kod strefowy Manhattanu. Młoda reporterka z waszyngtońskiego tabloidu przychodzi codziennie, zamawia mokkę i czai się przy stoliku w kafejce, licząc, że coś się zdarzy, zupełnie jakby była z KGB. Kate ustawicznie mnie przeprasza za te kłopoty, jakby to była jej wina. Brendan nadal do niej wydzwania, ale poza tym nigdzie go nie widać ani nie słyhać. Jego sztab wyborczy opublikował oświadczenie, że „Chwilowo wycofał się z życia publicznego w celu rozwiązania problemów osobistych”. Jestem pewna, że to nie potrwa długo, bo dla Brendana zniknięcie z widoku publicznego to jak nurkowanie bez aparatu tlenowego. Wytrzyma tylko przez pewien czas, a potem wyskoczy jak korek na powierzchnię, walcząc o uwagę, która jest mu niezbędna do życia jak powietrze.

We wszystkich programach informacyjnych toczy się ta sama dyskusja: Czy Kate miała prawo podbić Brendanowi oko? Matt Lauer zadał to pytanie kilkoru psychologom w programie *Today*, Robin Roberts zajął się nim w *Good Morning America*, a Diane Sawyer poświęciła tej kwestii uwagę w wieczornym bloku wiadomości.

- Czy należy to traktować inaczej, kiedy osobą bijącą jest *kobieta*? - spytała, unosząc jedną brew, a nad jej lewym ramieniem pokazano zdjęcie przeciętnie wyglądającej, wzburzonej pary.

Każda wzmianka na ten temat powoduje, że czuję ucisk w *żołądku*. *Amy*. Nawet trudno mi sobie wyobrazić, co czuje, oglądając to wszystko.

- Przepraszam! - woła do mnie, pędząc po schodach. Wchodzi do salonu i sprawdza godzinę. - Ile masz czasu? Muszę odebrać Emmę z przedszkola za mniej więcej godzinę. Dzisiaj była jej kolej, żeby opowiedzieć wszystkim o czymś, co ją interesuje, i postanowiła zabrać stary stetoskop Mike'a. Czy to nie słodkie?

- Urocze - udaje mi się wykrztusić. Jestem zdumiona i przerażona, że potrafi tak od niechcienia wspomnieć jego imię po swoich zwierzeniach. - Godzina to będzie idealnie - dodaję.

W ten sposób wróć do pracy, zanim zaczniesz się szaleństwo w porze lunchu. Dziś rano, kiedy udawałam, że rozwiązuję krzyżówkę, a w rzeczywistości zamartwiałam się ratą pożyczki hipotecznej, Larry usiłował mnie bez powodzenia przekonać, żebym spotkała

się z nim w mieście na lunchu. Chcąc mnie dodatkowo zachęcić, obiecywał, że pozwoli mi się wślizgnąć do repliki kuchni Julii Child.

- Będiesz mogła popieścić garnki i patelnie - żartował.

Śmiałam się razem z nim, ale w duchu myślałam, że zachowuję się paskudnie. Lepsza partnerka wzięłaby pod uwagę jego trudną sytuację w pracy i przyjęłaby to zaproszenie, żeby go pocieszyć i umilić mu dzień. Lepsza partnerka przede wszystkim powiedziałaby mu o swoich problemach finansowych... Jestem okropna.

Amy zerka na telewizor i zauważam lekki grymas na jej twarzy, kiedy gospodarze programu komentują małżeństwo naszej przyjaciółki.

- Jak ona sobie radzi? - pyta.

- Znasz Kate. Na pozór wszystko jest w porządku.

- Zostawiłam jej parę wiadomości i posłałam kwiaty. Nie wiesz, czy je dostała?

- Dostała. - Pomijam milczeniem, że kiedy Kate przeczytała karteczkę dołączoną do długich, żółtych róż, rzuciła ją na blat kuchenny, mówiąc: „Nasze Słoneczko zawsze znajdzie sposób, żeby mnie zemdleć”.

Podniosłam kartkę i przeczytałam: „Kate, myślę o tobie w każdej chwili każdego dnia! Zawsze możesz na mnie liczyć! XOXOXO, Amy z rodziną”. Kusiło mnie, żeby powiedzieć Kate o sytuacji Amy, ale uznałam, że lepiej nie denerwować jej jeszcze bardziej.

- Widzieliśmy ją z Mikiem w wieczornych wiadomościach parę dni temu.

- T a k , ja też.

Jedynie publiczne wystąpienie Kate ograniczyło się do krótkiego ujęcia, zrobionego, kiedy kamerzysta zablokował jej samochód. Wyjeżdżała właśnie z domu, wyglądała jak gwiazda filmowa wyruszająca na spotkanie z agentem. „Czuję się doskonale” - odpowiedziała dziennikarzowi, uśmiechając się zza ogromnych okularów słonecznych. Zachowywała się tak swobodnie - z łokciem opartym niedbale o otwarte okno samochodu - jakby reporter był jej sąsiadem i zatrzymał ją, żeby pochwalić ogród. Ciekawe, co Mike powiedział, kiedy to zobaczył. Z pewnością napawa się nieszczęściem Kate, ciesząc się tak, jakby jego ukochana drużyna wygrała World Series.

- Świetnie wyglądała - mówi Amy. - Czy naprawdę radzi sobie tak dobrze, jak się wydaje? Stale myślę o tym, jak obrzydliwie Brendan ją zwodził, rozmawiając o dzieciach i tym wszystkim. Nie potrafię sobie wyobrazić gorszej sytuacji.

Ty nie potrafisz sobie wyobrazić gorszej sytuacji? - myślę. Ty, którą bije mąż?

- Kate ugrzęzła teraz w uzgadnianiu tych wszystkich szczegółów organizacyjnych związanych z separacją. Ciągłe ma spotkania z prawnikami - wyjaśniam. - Ale szczerze mówiąc, radzi sobie dobrze. Jak wiesz, nie znosiła obowiązków związanych z kampanią, więc myślę, że uwolnienie się od nich przyniosło jej sporą ulgę. - Zastanawiam się przez chwilę. - Sądzę też, że bardzo dobrze jej zrobiła możliwość skoncentrowania się w pełni na sobie - dodaję nie bez celu, przyglądając się, jak wiąże sznurowadła. - W ich małżeństwie mu-

siało się dzieć znacznie więcej, niż dostrzegałyśmy, bo od lat nie widziałam jej tak zadowolonej.

W rzeczywistości Kate opróżnia zawartość domowej piwniczki z winami i co wieczór dzwoni do mnie, żeby opowiedzieć mi najnowsze wieści świadczące o tym, jakim idiotą jest Brendan, ale te drobne kłamstwa wynikają z dobrych zamiarów. Zależy mi - nie do wiary, że to mówię - żeby przykład Kate *zainspirował* Amy i pomógł jej zrozumieć, że powinna zwiewać ze swojego małżeństwa, a przynajmniej, żeby zaczęła o tym myśleć.

- No, to wspaniale! - cieszy się Amy i zeskakuje z kanapy. - Chcesz zabrać ze sobą butelkę wody? A przy okazji, próbowałaś tej wody witaminowej? Ostatnio kupiłam parę w Costco. Jest naprawdę dobra. Może weźmiesz jedną? - Rusza do kuchni, a ja za nią. Kiedy wyjmuję butelki z lodówki, zerkam na leżącą na blacie listę spraw do załatwienia, napisaną zamasztystym pismem: *Umówić nas do dentysty! Emma - lekcje pływania! Target - żarówki, podkoszulki dla M, worki do mrożonek!* Na parapecie nad zlewem stoi wazon świeżych stokrotek - może na przeprosiny od Mike'a za coś, co zrobił? Na myśl o tym przechodzi mnie dreszcz. Mój wzrok pada na odmrażającą się w zlewie gotową zapiekankę.

- Tylko mnie nie krytykuj - śmieje się Amy, kiedy zauważa, na co patrzę.

- Nigdy w życiu - odpowiadam, zmuszając się do figlarnego uśmiechu.

- W niektóre wieczory jestem po prostu zbyt zmęczona, żeby gotować - wyjaśnia.

Dlaczego? - rozmyślam. Z powodu czegoś, co zrobił Mike? Bo jesteś zbyt zdenerwowana? A może przez cały dzień płakałaś? Bo twój organizm jest zbyt wyczerpany fizycznie i psychicznie, żeby poradzić sobie z gotowaniem?

Oddycham głęboko, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości.

- Rozumiem - odpowiadam.

Staram się przywołać na twarz życzliwy uśmiech - może to być dobry początek rozmowy, którą chciałabym przeprowadzić, ale ona już idzie w kierunku frontowych drzwi i zamiast jej twarzy widzę podskakujący koński ogon.

- Wiesz, to wspaniale, że Kate tak dobrze sobie radzi z tą sytuacją, ale co z Brendanem? - mówi, kiedy dochodzimy do przedpokoju. - Ta scena w piekarni była naprawdę okropna. Musi być w ogromnym stresie. Powinien z kimś porozmawiać.

Kiedy jej słucham, jakaś część mnie najchętniej chwyciłaby za ten koński ogon, obróciła ją i zmusiła do spojrzenia mi w oczy oraz wyjaśnienia, co ją obchodzi zdrowie psychiczne Brendana, skoro nie martwi się stanem psychicznym swojego męża - ani swoim.

Zamiast tego wyjaśniam:

- Zdaje się, że trzyma się całkiem nieźle, pomimo całego przygnębienia, jakie zademonstrował, kiedy przyszedł ze mną porozmawiać. Stephanie, ta druga kobieta, złożyła rezygnację jeszcze tego dnia, gdy wszystko się wydało, i wróciła na Środkowy Zachód. „Post” przeprowadził wczoraj internetową ankietę, z której wynika, że Brendan nadal ma duże poparcie.

Poza tym Kate mówiła, że Partia Republikańska stoi za nim murem, więc będzie mógł kontynuować kampanię nawet bez pieniędzy jej rodziny.

Po co tracimy czas na rozmowy o Brendanie? - myślę.

Przyszłam tu dziś z nadzieją, że będziemy kontynuować naszą rozmowę rozpoczętą w restauracji Finneli's. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej na temat jej podejścia do tego wszystkiego, jeśli mam jej pomóc.

- W każdym razie, niedawno... - zaczynam, ale przerywa mi dzwonek telefonu dobiegający z kuchni.

Jestem bliżej, więc biegnę i biorę z widełek bezprzewodową słuchawkę, żeby ją zanieść Amy. Przy okazji zerkam na ekranik.

- To Mike - mówię. - Wyświetla się „Medycyna Wewnętrzna. Langley i Rutherford”.

O wilku mowa...

- Cześć! - W głosie Amy brzmi uśmiech. - Och - odzywa się po chwili i odwraca ode mnie, po czym idzie z powrotem do kuchni.

Podążam tuż za nią.

- Ale... - wzdycha i drapie się po głowie. - Dobrze. - Teraz następuje długa chwila ciszy, w trakcie której Amy zbiera mikroskopijne paprochy z podłogi, poprawia ścierkę kuchenną zawieszoną na uchwycie przy piekarniku... i unika spoglądania na mnie. Jestem pewna, że to celowe.

Co ten fiut jej mówi?

- Nie, w porządku. Rozumiem - kończy i wyłącza telefon bez pożegnania. - Przepraszam. - W pokoju

zrobiło się mroczniej, zupełnie jakby nadciągała burza. Również twarz Amy wygląda, jakby ktoś zdalnie włączył w niej układ ściemniający. - Gotowa do spaceru? - pyta, wyjmując sobie coś z oka... albo udając.

- Czy wszystko w porządku?

Przygryza wargę.

- Powtórzyłaś Kate coś z tego, co ci mówiłam? - pyta.

- Oczywiście, że nie. - Co prawda, gdyby nie sprawa Brendana, już dawno bym jej powiedziała. Wprawdzie Kate nie jest osobą, u której szukałabym serdecznych słów otuchy, ale z pewnością doskonale się nadaje, gdy potrzebujesz kogoś, kto ci szczerze powie, jak postąpić.

- A Larry emu?

Potrząsam przecząco głową. To marna próba kłamstwa i obie o tym wiemy.

- Pamiętasz, jak ci mówiłam, że Mike zamierza skorzystać z pomocy terapeuty? Umówiłam go z psychiatrą na dzisiejsze popołudnie. To doskonała terapeutka, Waverly. Specjalizuje się... - przerywa, szukając właściwych słów - w problemie Mike'a. Napisała przełomową pracę o tym, jak można pomóc mężczyźnie się zmienić. - Znowu milknie, wyrzuca ręce w powietrze, po czym z rozpaczą potrząsa głową. - Nawet *on* był pod wrażeniem, kiedy przeczytał jej życiorys! - krzyczy, spoglądając w sufit.

Podchodzi do blatu koło lodówki, gdzie leży stos nieotwartych listów. Układa go równo, a po chwili robi to jeszcze raz.

- Ale najwyraźniej zmienił zdanie - mówi cicho. - Powiedział, że nie zamierza tam iść.

- Zmienił zdanie na temat terapii? - Zmuszam się, by mój głos brzmiał spokojnie. - Za kogo on się uwa... - Przerywam, przypominając sobie wskazówkę przeczytaną na jednej z przeglądanych stron internetowych: „Nie krytykuj partnera ofiary”.

Amy nadal szeleści pocztą.

- No. Powiedział, że właśnie zmienił zdanie - mówi. Po raz trzeci układa koperty w równy stosik, ze złością postukując nimi o blat, a w końcu wkłada wszystko do stojącego obok koszyka.

- Co o tym sądzisz? - Sama nie mogę słuchać poważnego i cikliwego tonu swojego głosu, który brzmi, jakbym *to ja* była terapeutką. Jednak nie mogę zdradzić, co naprawdę myślę, bo to mogłoby ją zrazić. Powtarzam sobie, że muszę ją teraz wspierać. Ona zapewne i tak doskonale zna moją opinię.

Kiedy Amy odwraca się w moją stronę, zaczyna jej się trząść dolna warga.

- To nie w porządku - szepce, jakby sama do siebie. - Musi się spotkać z terapeutką. Umówiliśmy się.

Przechodzi przez cały pokój do barku, sadowi się na jednym z wysokich stołków z kutego żelaza i zaczyna się bawić stosem serwetek z motywem Dnia św. Patryka. Dopiero wtedy w końcu się odzywa.

- Wszystko układało się tak wspaniale. - Ociera łyzy jedną z serwetek wyciągniętych ze stosu. - Oczywiście, wiem, co myślisz. - Rzuca mi szybkie spojrze-

nie - Wiem, że się martwisz. Gdyby chodziło o ciebie i Larry'ego, też bym się denerwowała.

Larry'emu i mnie coś takiego nigdy by się nie przytrafiło - myślę. No tak, ale zanim to wszystko się stało, Amy z pewnością miała takie samo przekonanie na temat swojego związku.

- Kilka tygodni temu odbyliśmy z Mikiem bardzo długą, szczerą rozmowę. - Zgarnia szczątki serwetki w mały stosik. - Było tak wspaniale, zupełnie jakby wehikuł czasu przeniósł nas z powrotem do początków związku. Prawdziwa sielanka. Nic złego się nie działo. - Widzę, jak drżą jej powieki. - W końcu po raz pierwszy od wielu lat rozmawialiśmy, *naprawdę* rozmawialiśmy. On wie, co narobił. - Przerywa. - Przeprasza mnie codziennie. - Znów pauza. - Wiem, że z pewnością go nienawidzisz.

Raczej czuję do niego odrazę.

- On nie jest taki, jak sądzisz, Waverly. Naprawdę nie jest. I udowadnia to każdego dnia - zapewnia.

- Oprócz dzisiejszego - wtrącam ostrożnie.

Amy robi powolny i długi wydech, jakby była balonikiem, który właśnie przekłułam.

- Bardzo dużo rozmawialiśmy na temat naszej przyszłości. Nie dalej jak wczoraj, już leżąc w łóżku, doszliśmy do wniosku, że na tegoroczne wakacje świetnie byłoby wynająć coś w regionie Outer Banks. Dziś rano napisałam maile do moich rodziców i sióstr, czy nie chcieliby wybrać się z nami. W ten weekend zamierzamy jechać do Waszyngtonu, żeby zabrać Emmę do zoo. - Znów wzdycha. - Po prostu nie mam pojęcia, jak

go przekonać, że powinien iść do terapeuty. Tak trudno było go nakłonić, żeby w ogóle zaczął o tym myśleć.

- Czy wspomniał, dlaczego dziś zmienił zdanie? - pytam.

W moim mózgu włączają się syreny, drogą między uszami pędzą wozy strażackie na sygnale. Chciałabym wykrzyknąć milion rzeczy („Uciekaj czym prędzej! Jak możesz nadal go kochać?”) i tylko najwyższym wysiłkiem woli zmuszam się do zadawania tych nijakich, ostrożnych pytań.

Potrząsa przecząco głową.

- Powiedział tylko, że ma mnóstwo pacjentów, a poza tym, że właściwie nie potrzebuje pomocy, bo sam już sobie uświadomił, jakim jest szczęściarzem, że ma taką wspaniałą rodzinę.

Mówi to takim smutnym, zrezygnowanym tonem, że odczuwam jednocześnie ogromne współczucie dla niej i niesamowitą wściekłość, że może być do tego stopnia zaślepiona przez tego... tego... Nie wiem nawet, jak go nazwać. Bo z pewnością nie jest człowiekiem.

Amy zerka na zegarek.

- Muszę sobie to wszystko przemyśleć - stwierdza.
- Wiesz co, Waverly? Przykro mi, ale muszę zrezygnować z naszego spaceru. Zupełnie zapomniałam, że mam jeszcze coś do załatwienia przed odebraniem Emmy.

- Do załatwienia? - Martwi mnie, że nagle zmienia plany. To do niej niepodobne. Tak samo zresztą, jak inne jej zachowania. - Amy, zaczynam się naprawdę

bać o ciebie - wyznaję. Muszę to powiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że grozi jej niebezpieczeństwo, więc nie mogę się przejmować tym, czy się obrazi. A jeśli coś jej się stanie tylko dlatego, że się nie odezwałam? - Możesz naprawdę na mnie liczyć - zapewniam ją. - Zrobię wszystko, żeby ci pomóc. Wszystko. - Muszę użyć całej siły woli, żeby nie zacząć jej błagać.

Przyjmuje to do wiadomości skinieniem głowy i uśmiecha się do mnie. Trochę zbyt łatwo. Teraz, kiedy wiem, co się dzieje w jej domu, każdy jej gest dostarcza mi ważnych informacji. Każdy jej uśmiech świadczy, że coś jest nie w porządku. Każde przesadne, typowe dla niej zachowanie stanowi wskazówkę, że coś ukrywa.

- Wiem, że mogę na ciebie liczyć, Waverly - odpowiada trochę zbyt beztroskim tonem, żeby mnie to uspokoiło.

- Pamiętaj, odezwij się, jeśli będę mogła ci jakoś pomóc. Zrobię wszystko - powtarzam.

Jadąc do pracy, dzwonię do Kate i opowiadam jej o wszystkim. Zajmuje mi to całe piętnaście minut, przy czym Kate wtrąca tylko pełne niedowierzania westchnienia, co dowodzi, jaka to poważna sprawa, i nieco tłumi moje wyrzuty sumienia, że nie dochowałam tajemnicy. Uświadomiłam sobie jasno, że sama nie potrafię pomóc Amy i potrzebuję do tego Kate.

- Nie mam pojęcia, co powiedzieć - odzywa się Kate, kiedy kończę. - Sama wiesz, że nigdy nie lubiłam Mike'a, ale też nigdy nie przyszło mi do głowy,

że może się posunąć do czegoś takiego. Więc ona naprawdę nie chce odejść od niego?

Pocieram zmarszczkę, która pojawiła mi się pomiędzy brwiami.

- Kate, uważam, że powinnaś z nią porozmawiać.

Wjeżdżam na mały, wysypany żwirem placyk za piekarnią i wyłączam silnik. Przy otwartych tylnych drzwiach stoi Donovan i pali papierosa. Kiedy mnie dostrzega, rzuca go na ziemię i przydeptuje, po czym odwraca się, żeby wejść do środka.

- Chcesz, żebym *ja* z nią porozmawiała? - pyta Kate z niedowierzaniem. - A co niby mam jej powiedzieć? Znamy się co prawda szmat czasu, ale tak naprawdę już od dawna ze sobą nie rozmawiamy. Nie w ten sposób. - Chwilę milczy. - Nie mamy ze sobą nic wspólnego.

- Daj spokój, Kate. Wiem, że nie jesteście sobie zbyt bliskie, ale przecież nie jest dla ciebie kimś obcym. Macie ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

- Tak? Ciekawe co? - Teraz mówi śmiertelnie poważnie. - Tylko dlatego, że małżeństwo każdej z nas okazało się katastrofą? - Muszę odsunąć telefon od ucha.

- Kate, przestań.

- Dlaczego? Powiedz prawdę, Waverly, dlaczego *ja*?

- No, bo choć nie powiedziała tego wprost, to chyba uważa, że ty masz to wszystko poukładane.

Kate wybucha śmiechem.

- Ona cię podziwia, Kate.

- Więc myślisz, że skoro ja rozstałam się z Brendanem, potrafię ją przekonać, żeby zrobiła to samo?

- Prawdę mówiąc, tak. - Bawię się przez chwilę nitką zwisającą z rękawa mojej kurtki. - No, proszę cię, Kate. Musimy ją z tego wyciągnąć.

- To może zadzwoń do jej rodziny? Przecież ma z nimi tak bliski kontakt. Jestem zaskoczona, że jeszcze z nimi o tym nie rozmawiała.

- Myślałam, żeby to zrobić, ale doszłam do wniosku, że się wścieknie i więcej się do mnie nie odezwie. Poza tym nie chcę denerwować jej rodziców. Nie wiem, jak się czułabym się dobrze, opowiadając im to, co tobie przed chwilą.

- Jezu, Waverly. Dlaczego próbujesz mnie namówić na to gówno?

- Namówić? Czy kiedykolwiek cię na coś namówiłam? Czy *ktokolwiek* namówił cię na cokolwiek?

Ledwie kończę wypowiadać te słowa, a po drugiej stronie zapada cisza. Natychmiast sobie uświadamiam, o czym obie myślimy - Brendanowi udało się namówić ją na wiele rzeczy.

Kate wzdycha.

- Zastanowię się nad tym.

- Obiecujesz?

- Jezu, Waverly! - niecierpliwi się.

- Już dobrze, dobrze.

Postukuję paznokciami w kierownicę i sprawdzam godzinę. Muszę wziąć się do pracy. Po drugiej stronie słyszę szum płynącej wody i stukot obcasów Kate na dębowej podłodze.

- To naprawdę wstrząsające - odzywa się Kate, już łagodniejszym tonem. - Zawsze myślałam o nich jako o nieskomplikowanych i rodzinnych osobach.

- Ja też - odpowiadam. - A Amy z pewnością najbardziej w to wierzyła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kiedy kończymy wydawanie lunchu, zmuszam się do zamknięcia w samotni mojego biura i przez następnych kilka godzin liczę pieniądze. Dzisiejsza wizyta u Amy do tego stopnia wytrąciła mnie z równowagi, że teraz z przyjemnością pogrążam się w pracy. A poza tym najwyższa pora się tym zająć, bo w minionym tygodniu skasowałam w poczcie głosowej rekordową liczbę sześciu wiadomości od Garyego z błaganiami o spłatę raty i dwie z banku z przypomnieniem, że minął termin płatności.

Kiedy już zagłębiam się w obliczeniach, z niedowierzaniem odkrywam, że nasze „niewiarygodne, supersmaczne muffiny pączkowe”, jak zaczęli je nazywać Jeannette i Randy, zwiększyły moją sprzedaż o całych trzydzieści procent. *Trzydzieści procent*. Dzięki głupim muffinom. Nie potrafię powiedzieć, od jak dawna wymyślam rozmaite nowatorskie sposoby ratowania firmy, od dostarczania obiadów, przez sprzedaż nowych produktów, po książkę kucharską, a tymczasem może się okazać, że z tego bagna wyciągną mnie muffiny, które sprzedaję tu od dnia otwarcia!

Sprawdzam swoje obliczenia jeszcze pięć czy sześć razy, co nie jest zbędną ostrożnością, jeśli zważyć, że z matematyką zawsze byłam na bakier. Boję się wprost

uwierzyć w to, co pokazują moje arkusze kalkulacyjne. Jeśli jeszcze chociaż przez parę tygodni sprzedaż utrzyma się na tym poziomie, to będę mogła spłacić zaległą ratę, zapłacić czynsz i nadal wypłacać pracownikom pensje oraz pokrywać wszystkie koszty działalności. Na moją pensję już nie wystarczy - zresztą mam wrażenie, że jeszcze długo jej nie zobaczę - i będę musiała naprawdę oszczędzać, ale wygląda na to, że będzie dobrze. Widmo przejęcia domu przez bank może zniknąć. Alec może przestać mnie dręczyć z powodu zaległego czynszu. Bębnę triumfalnie rękami o biurko i rozglądam się po maleńkim biurze. Mam ochotę pobic do kuchni i powiedzieć o tym Randyemu. Chcę powiedzieć to *komukolwiek*.

Oczywiście, powinnam przede wszystkim powiedzieć Larry'emu. Znów czuję leciutkie ukłucie - poczucie winy. Gdybym wcześniej była wobec niego szczera, teraz mogłabym do niego zadzwonić. Ale... właściwie... przecież mogę mu o wszystkim opowiedzieć i od razu wyjaśnić, jak sobie z tym poradziłam, więc w zasadzie to nawet dobrze, że przedtem trzymałam to w tajemnicy, prawda? I nie ma sensu znowu się wdawać w przesadne analizowanie wszystkiego, tłumaczyć sobie. Nie teraz, kiedy po raz pierwszy od miesiący mam powód, żeby optymistycznie spojrzeć na przyszłość swojej firmy. W końcu otwieram pocztę elektroniczną i piszę e-mail do jedynej osoby zdolnej docenić moje dobre wieści, czyli do Gary'ego. Kiedy czytam tę wiadomość przed wysłaniem, czuję się tak fantastycznie, jakbym właśnie zrównoważyła państwo-

wy budżet. Chichoczę pod nosem i potrząsam głową. *Muffiny pączkowe*. To wszystko jest niedorzeczne - i cudowne.

Kiedy wychodzę z biura, słyszę od Jeannette, że w międzyczasie wpadła organizatorka przyjęć i zamówiła pięć tuzinów muffinów pączkowych jako prezenty dla gości weselnych na uroczystość w stanie Maryland w przyszłym miesiącu. Idę do części dla klientów, gdzie Randy gawędzi z nowym klientem pochłaniającym łąpczywie babeczkę sernikową. Zaczynam z nimi rozmawiać, ale wchodzi trzy fryzjerki z salonu znajdującego się dalej przy naszej ulicy - chcą zjeść muffiny pączkowe. Po chwili wpada kurier UPS i też chce jednego, a po nim przychodzi sobowtór Alana Aldy z wnuczkiem. Około czwartej omawiam z Randym i Jeannette, co jest do zrobienia następnego dnia, po czym postanawiam świętować i wziąć wolne popołudnie. Przychodzi mi do głowy, żeby sprawić Larry'emu niespodziankę, gotując mu pyszny obiad. Nie stać mnie w tej chwili na produkty, z których chciałabym go przygotować - żeberka wołowe... albo, o! przegrzebki - ale jestem pewna, że potrafię przyrządzić doskonały posiłek z tego, co znajdę w domu. W tej chwili jestem po prostu pewna *wszystkiego*. Łapię pudełko z sześcioma muffinami i wychodzę, śpiewnie żegnając Randy'ego. Każda firma przechodzi wzloty i upadki, prawda? Musiałam to zrozumieć.

W końcu zdecydowałam się na risotto i godzinę później biorę się za jego przygotowanie. Larry zawsze je lubił w moim wykonaniu. Jak to dobrze

przestać wreszcie zajmować się swoimi problemami i dla odmiany zrobić coś dla niego. Obsmażam szpinak i pieczarki, które znalazłam w lodówce, a potem dodam puszkę białej fasoli doprawionej trzema plasterkami bekonu i rozmarynem, który hoduję w ogródku. W sumie to będzie całkiem niezłe. Biorę nożyczki kuchenne, żeby pójść ściąć rozmaryn, kiedy dzwoni telefon. Wyciągam go z tylnej kieszeni spodni i zerkam na ekran, spodziewając się zobaczyć numer piekarni. To Amy.

- Hej, Ame - mówię i umieszczam słuchawkę między ramieniem a szyją, żeby móc otworzyć drzwi.

- Jesteś w domu? - pyta rozgorączkowanym tonem.

- Jestem. Wszystko w porządku?

- Pojechałam do piekarni. Myślałam, że jesteś w pracy. Mogę przyjść? Jestem niedaleko.

- Tak, oczywiście. - Nagle przechodzi mnie dreszcz. Coś się stało. Zamykam tylne drzwi i wracam do kuchni.

- Za chwilę tam będę - zapowiada.

Wyłączam telefon i przyciskam go do piersi. *O co może chodzić?* Zmniejszam ogień pod garnkiem i pędzę do przedniej części domu, żeby wypatrywać przez okno minivana Amy. Jednak już po chwili widzę ją, jak nadchodzi ulicą, niosąc Emmę. *Dlaczego idzie pieszo? Gdzie jest jej samochód?*

Otwieram drzwi.

- Wszystko w porządku? - pytam, starając się ukryć strach ze względu na Emmę.

Amy kiwa potakująco głową. W oczach ma łzy.

- Zaparkowałam tam dalej na ulicy. Przepraszam, że wpadam tak zniecierpliwiona.

- Amy, nie przepraszaj - mówię i wówczas zauważam, że dźwiga ze sobą wypakowaną po brzegi ogromną torbę sportową z monogramem - tę samą, którą miała podczas wyjazdu na Florydę.

- Uhm - potwierdza, widząc moje spojrzenie, i delikatnie stawia Emmę na podłodze. - Możemy zostać u ciebie na noc?

- Oczywiście. Oczywiście! - *Czy to podłe z mojej strony, że się z tego cieszę?* Przyciągam ją do siebie i ścisnęłam. - Możecie zostać tak długo, jak będzie trzeba - szepczę jej do ucha.

Zabieramy Emmę do salonu i włączam jej program dla dzieci na kanale Nickelodeon, a Amy i ja przechodzimy do kuchni, skąd widzimy ją przez łukowe przejście, a jednocześnie możemy spokojnie porozmawiać.

- Co się stało?

Amy siada przy wyspie i ukrywa twarz w dłoniach. Po chwili zaczynając się trząść plecy, a ja sobie uświadomiam, że płacze.

- Och, Amy, już w porządku - uspokajam ją, mocno obejmując. - Wszystko będzie dobrze.

- Ja tylko... - Wpatruje się w sufit i potrząsa rękami, żeby wziąć się w garść, jakby liczyła, że strząśnie strach z koniuszków palców. - Po prostu, jestem taka zmęczona, Waverly. Taka bardzo zmęczona tym wszystkim.

- Nawet nie próbuję sobie tego wyobrazić. Jesteś taka silna, Amy. Pomyśl tylko, przez co przeszłaś.

Kiwa głową, przygryzając dolną wargę. Kiedy tak siedzi skulona, wygląda niemal jak dziecko.

- Niczym sobie nie zasłużyłaś na takie traktowanie. Nikt zresztą na to nie zasługuje - dodaje. - A co się stało?

- Ja tylko... Kiedy powiedział mi, że nie potrzebuje terapii... W kółko o tym myślałam po twoim wyjściu i po prostu... - Znow potrzęsa głową.

- Nie musisz mi niczego tłumaczyć. Po prostu cieszę się, że tu jesteś.

- Ale on się dowie, że tu jestem.

Kiwam głową.

- Poradzimy sobie z tym. Larry niedługo wróci.

- Może mógłby przestawić mój samochód? Zaparkowałam na ulicy, ale może lepiej postawić go w mniej widocznym miejscu. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że tak należy zrobić.

- Nie musisz mi niczego wyjaśniać - mówię.

- On zapewne tu przyjdzie.

- I co mamy zrobić? Nie otwierać?

- Myślę, że najlepiej, jeśli Larry mu otworzy. Może mniej się rozgniewa, jeśli ktoś z nim porozmawia.

Potakuję ruchem głowy. Nie muszę pytać Larry'ego, czy poradzi sobie z Mikiem. Nie muszę nawet go pytać, czy zechce to zrobić. Mogę na nim polegać we wszystkim. Dlaczego wciąż to do mnie nie dociera?

Około szóstej przygotowujemy się psychicznie na telefonu Mike'a, bo mniej więcej o tej porze powinien wrócić do domu. Larry przestawia samochód, a ja i Amy siedzimy z Emmą przy ławie, kolorujemy

obrazki i rozmawiamy szyfrem. Amy opowiada, że przeczytała całe tony książek o „tym problemie”.

- Było mi trochę łatwiej, kiedy mogłam spojrzeć na to obiektywnie, jakbym znów była na studiach, chociaż teraz wiem, że takie kliniczne podejście to był mechanizm obronny. W każdym razie ilekroć Emma zasypiała, sięgałam po te książki - opowiada. - Jestem w rozterce. Gdzieś w głębi mnie tkwi przekonanie, że każdemu należy dać drugą szansę - wyjaśnia mi, pomagając Emmie kolorować króliczka. Potem odkłada kredkę i zaczyna skubać łuszczący się lakier na paznokciu kciuka.

Potrzebuję dłuższej chwili zastanowienia, żeby jej odpowiedzieć.

- Amy, zasługujesz na to, żeby być kochana w taki sposób, w jaki ty obdarzasz miłością osoby obecne w twoim życiu. Jesteś najbardziej wielkoduszną i życzliwą osobą, jaką znam. Możesz mieć znacznie lepsze życie.

Przez chwilę patrzy na mnie bez słowa i nie umiem określić, czy się ze mną zgadza.

- Kupiłam mu cały stos książek na Amazonie - odzywa się w końcu. - Już same tytuły były przykre, na przykład „Koniec z przemocą domową”. Byłam z niego taka dumna, kiedy zaczął je czytać. W którąś sobotę przed kilkoma tygodniami zamiatałam podest przed domem, a on wyszedł do mnie ze swojego gabinetu. Myślałam, że nadrabia zaległości w rachunkach, a tymczasem trzymał w ręku jedną z tych książek. Od lat nie widziałam go tak radośnie podnieconego.

„Nie do wiary! Wiesz, tu są historie różnych facetów, które brzmią dokładnie jak moja”, powiedział. Miał wrażenie, jakby sam to napisał, i to obudziło w nim nadzieję, że naprawdę może się zmienić. Był taki pełen optymizmu i tak ciężko pracował. Co wieczór przez parę godzin przed snem czytał i nawet zaznaczał sobie markerem ważniejsze fragmenty, jakby nadal studiował medycynę.

Przerywa i spogląda na Emmę, która wesoło podśpiewuje: „Niosę do domu malutkiego trzmiela. Czy mamusia będzie ze mnie dumna?”. Amy śpiewa z nią kilka wersów, a wówczas twarz Emmy rozjaśnia się radością.

- Ale jakiś tydzień temu zauważyłam, że przestał się tym zajmować - ciągnie Amy.

Podziwiam jej zdolność tak szybkiego przenoszenia uwagi ze mnie na córkę i z powrotem na mnie, ale po chwili uświadamiam sobie, że zapewne dzięki temu przetrwała trzy minione lata.

- Nagle po prostu przestał czytać te książki, tak jakby to było chwilowe hobby, które bez żalu porzucił. Co wieczór, leżąc w łóżku, czekałam na odgłosy wskazujące, że bierze którąś z nich z nocnego stolika, ale się nie doczekałam. Zamiast nich przeglądał „Sport Illustrated” albo czasopisma medyczne. Kiedy kilka dni temu zapytałam go o to, odparł, że robi sobie przerwę, bo potrzebuje czasu, żeby utrwaliło się to, czego się dowiedział. „To wszystko jest takie intensywne, Amy”, powiedział. - Unosi brwi z rezygnacją. - Tak jakbym nie wiedziała.

Wyciągam dłoń, żeby uściskać jej nadgarstek. Prawie na nią nie patrzę, żeby się nie rozpłakać.

- Sama nie wiem, może to ja powinnam iść do terapeuty - stwierdza. - Myślałam o tym, żeby umówić się dziś przed Mikiem. On by się o tym nie dowiedział, bo odłożyłam w tajemnicy trochę pieniędzy. Mam je schowane w pudełku po tamponach pod toaletką. Uzbierało się prawie dziewięćset dolarów. Część wygoszparowałam z pieniędzy na zakupy, a poza tym odkładałam to, co znalazłam przy opróżnianiu kieszeni przed praniem.

Tak się cieszę, że to słyszę - czyli jednak myślała o odejściu.

- Mamusi, jestem głodna - odzywa się Emma.

- Och, zaraz coś ci przyniosę, kotku - mówię i wstaję z podłogi. Czuję się, jakby pękał mi kręgosłup. - Na co masz ochotę? Na banana czy krakersy? Bo niedługo będzie obiad.

Idąc do kuchni, słyszę, że dzwoni telefon Amy. Odwracam się, żeby na nią spojrzeć, a ona potakująco kiwa głową. Widzę, że przez dłuższy czas po prostu trzyma telefon - założę się, że bije się z myślami, czy nie odebrać - a potem naciska guzik i dzwonek milknie. Rzuca telefon za siebie na kanapę.

- Emmo - mówi, gładząc córeczkę po włosach - chodź, dziecińko, ukochaj mamusię.

Godzinę później Amy kładzie Emmę spać na górze. Larry i ja siedzimy na kanapie, udając, że oglądamy w telewizji mecz koszykówki drużyn uniwersyteckich, ale tak naprawdę nie potrafiłabym powiedzieć, kto gra, a co dopiero, jaki jest wynik. Głowa mi pęka od wy-

myślenia kolejnych scenariuszy tego, co może się dziś wydarzyć. A jeśli Mike kompletnie oszaleje? A jeśli ma broń? Telefon Amy, odłożony na stolik w narożniku, co chwilę wibruje. Prosiłam ją trzydzieści minut (i Bóg wie, ile połączeń) temu, żeby go wyłączyła, ale potrząsnęła przecząco głową.

- Musi być włączony - oświadczyła tonem, który nie zachęcał do dalszych dyskusji.

Za każdym razem, kiedy przestaje dzwonić, Amy czeka parę sekund, podnosi go, sprawdza pocztę głosową i odkłada z powrotem. Kiedy pytam, czy dobrze się czuje, kiwa tylko głową.

* * *

W końcu następuje to, czego się spodziewaliśmy - dzwoni dzwonek u drzwi. Larry spogląda na mnie, ściska mi kolano i podnosi się z kanapy, żeby otworzyć.

- Larry, jesteś pewien, że powinniśmy otworzyć? - pytam.

Najchętniej wezwałabym policję, ale Amy się nie zgadza. Chce najpierw wszystko przemyśleć. Jakoś nie wierzę, że *już* nie poświęciła wielu godzin na rozważanie, jakie ma możliwości, ale nie zamierzam się z nią sprzeczać. Najważniejsze, że jest tutaj.

- Tylko uchylę drzwi - odpowiada.

Ze swojego miejsca na kanapie doskonale widzę przedpokój, ale nie frontowe drzwi. Jednak to właśnie mi odpowiada, bo i tak będę wiedziała, co się dzieje, obserwując Larry'ego, a nie mogę ręczyć za siebie, co bym zrobiła, stając twarzą w twarz z Mikiem.

Larry chrząka i otwiera zamek, ale nie zdejmuje łańcucha.

- Gdzie ona jest? - słyszę.

- Cześć, Mike - mówi Larry.

- Gdzie jest Amy?

- Posłuchaj, Mike - zaczyna Larry spokojnym głosem. - Zamierzamy znaleźć sposób rozwiązania tej sytuacji, ale w tej chwili po prostu nie możesz jej zobaczyć. Ona potrzebuje trochę czasu, człowieku.

Wiem, że Larry nienawidzi Mike'a każdą cząsteczką swego ciała i z pewnością najchętniej od razu by go uderzył, ale jest tak opanowany, jakby pośredniczył w załagodzeniu sporu ze swoją babcią. Jego niezmierna dobroć napełnia mnie jednocześnie dumą i wstydem, że go tak traktuję.

- Hej, *człowieku* - przedrzeźnia go Mike - musisz natychmiast porozmawiać ze swoją żoną. Wpuść mnie!

- Nie musisz robić tego teraz - odparowuje łagodnie i stanowczo Larry. Przysuwa się bliżej do drzwi, żeby zasłonić Mike'owi wnętrze domu.

- Myślę, że nie rozumiesz - stwierdza Mike.

I właśnie wtedy Amy schodzi po schodach. Rzuca mi szybkie spojrzenie, po czym podchodzi do drzwi.

- W porządku - mówi, kładąc rękę na plecach Larry'ego.

Podrywam się z miejsca. *Nie, to nie jest w porządku* - myślę.

- Amy! Amy! - woła Mike, który usłyszał jej głos.

Podchodzę do przejścia pomiędzy salonem a przedpokojem. Czuję coraz silniejszy lęk, rozlewający się jak fala po mojej skórze.

- Amy, mogę to załatwić za ciebie - deklaruje Larry.
- Nie musisz z nim rozmawiać.

- W porządku - mówi Amy. - Potrafię to zrobić.

Larry niechętnie się odsuwa. Podchodzi do mnie i otacza mnie ramieniem. Chwytam jego dłoń. Zastanawiam się, czy Mike wie, że tu stoję. Nie potrafię się zmusić, żeby na niego spojrzeć. Ton jego głosu zmienia się, kiedy w drzwiach dostrzega Amy.

- Ame, co ty robisz? - mówi słodko, zupełnie jakby była dzieckiem, które przyłapał na zabawie mąką.

- Mike - wykrztusza z trudem Amy. - Ja po prostu... jestem bardzo, bardzo zawiedziona. - Płacze.

- Zawiedziona? A w jaki sposób cię zawiodłem?

Wbijam paznokcie w dłoń Larryego, a on mocniej mnie obejmuje. *Co za sukinsyn.* Ich rozmowa uświadamia mi, że dysfunkcyjność ich związku jest znacznie poważniejsza, niż sobie wyobrażałam.

- Mieliśmy umowę na temat terapii, Mike. - Amy zaciska palce na ościeżnicy drzwi.

- Ach, to o to chodzi? - mówi Mike ze śmiechem.
- Bez przesady!

- Mike, musisz mi to wyjaśnić. - Amy wyraźnie zbiera się w sobie. - Trudno mi uwierzyć w twoje zaangażowanie, jeśli nie zamierzasz korzystać ze specjalistycznej pomocy.

Jęk, jakim reaguje Mike, wyraźnie świadczy o tym, że nie traktuje jej poważnie. Chwytam się ramienia Larryego, bo tylko dzięki temu mogę się powstrzymać, żeby nie podbiec do drzwi, a wówczas słyszę jego odpowiedź:

- Posłuchaj. Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale wszystko sprowadza się do tego, że jestem facetem. - Śmieje się. (*On się śmieje!*). - Jest mi bardzo trudno rozmawiać o swoich problemach, a jeśli już mam o nich mówić, to wyłącznie z tobą.

- Larry, musimy to przerwać. - Głos mi się trzęsie, kiedy to mówię.

Amy znowu płacze i mam wrażenie, że bierze te bzdury za dobrą monetę.

- Amy, przysięgam, że jestem tak samo mocno zaangażowany jak wcześniej, ale chcę, żebyś to *ty* mi pomogła, a nie ktoś obcy. Masz przecież takie same kwalifikacje jak ci ludzie. Pamiętam, jakie dobre rezultaty osiągałaś z tymi dziećmi, kiedy jeszcze pracowałaś. Któż mógłby mi lepiej pomóc niż ty?

- Chodzi o to, że potrzebujesz terapeuty, który dobrze się zna na tym problemie - przekonuje go Amy, ale słabym głosem. - Lekarza, który specjalizuje się w... tym. Na nic ci się nie przyda terapeutka z podręcznikami z lat dziewięćdziesiątych.

No, i dobrze, żeby ta terapeutka nie była ofiarą twojej przemocy - dodaję w duchu, trzymając głowę na piersi Larryego. Jego serce bije równo jak metronom. Jeszcze mocniej go obejmuję, ściskając w garści jego koszulkę.

- Amy, jesteś mi potrzebna - nie rezygnuje Mike. - Jesteś moją żoną. Miłością mojego życia. Matką naszej najsłodszej dziewczynki. Jestem pewien, że potrafimy sobie z tym poradzić. Prawda? Prawda, że potrafimy wspólnie nad tym pracować?

Czuję, że żółć podchodzi mi do gardła. Widzę wyraźnie, jak ją urabia, a co gorsza, ona to kupuje.

- Potrzebuję trochę czasu, Mike - mówi w końcu Amy.

Słyszę, jak on głośno wciąga powietrze.

- Czasu na co?

- Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko przemyśleć.

- Czy ty mnie w ogóle kochasz, Amy? Czy naprawdę kochasz mnie tak, jak żona powinna kochać męża?

- Oczywiście, że cię kocham. - Najwyraźniej stara się go ugłaskać. - Oczywiście, Mike. Oczywiście.

Pushczam Larry'ego i robię krok do przodu. Amy spogląda na mnie, po czym przenosi wzrok z powrotem na Mike'a.

- Po prostu daj mi odrobinę czasu, dobrze? - mówi, wycierając nos rękawem.

- A l e Amy...

- Odrobinę czasu - powtarza, odsuwając się od drzwi. Zaczyna się trząść i głos jej się załamuje.

- Amy, przestań już... - Mike mówi coraz bardziej gniewnym tonem.

Spoglądam na Larry'ego. Podchodzi do drzwi, a Amy na szczęście wygląda na zadowoloną z jego pomocy.

- Mike, na razie skończymy - odzywa się Larry, wsuwając się stanowczo pomiędzy małżonków. - Proponuję, żebyś teraz trochę ochłonał, dobrze?

- Larry, to jest sprawa pomiędzy...!

- Mike, on ma rację. - Amy znów płacze.

Larry zamyka drzwi. Pędzę do Amy, która się na mnie osuwa.

Wczesnym rankiem następnego dnia siedzimy z Amy na ganku prowadzącym do ogrodu. Obie niewiele spałyśmy tej nocy. Ja nawet nie wchodziłam na górę, tylko zostałam na kanapie, przykryta kołdrą, którą babcia mi zrobiła, zanim wyjechałam na studia. Miałam wewnętrzne przekonanie, że muszę czuwać. Mój niepokój przerodził się w prawdziwy strach, tak że dokładnie pozamykałam wszystkie zamki i zasuwę oraz włączyłam alarm - po raz pierwszy od wielu lat. Po Mike'u spodziewałam się dosłownie wszystkiego. Wydzwaniał zresztą przez cały wieczór, a Amy dopiero koło północy zlitowała się nad nami i wyłączyła telefon.

W którymś momencie zapadłam jednak w drzemkę, ale nie obudziłam się po niej wypoczęta. Miałam okropny sen. Amy i Mike byli w salonie i oglądali teleturniej *Va Banque*. Początek snu był spokojny i zwyczajny. Prowadzący powiedział: „W sierpniu 2005 roku ta 'syberyjska syrena' została pierwszą Rosjanką sklasyfikowaną na pozycji liderki w tenisie kobiecym”, a Amy czym prędzej zapytała: „Kim była Maria Sharapova?”. Ale potem szybko zrobiło się bardzo nieprzyjemnie, wręcz groteskowo. Wszystko to było tak realistyczne, że jeszcze teraz, siedząc obok Amy popijającej kawę z wyszczerbionego kubka mojej mamy z logo NPR, widzę ją w tamtej sytuacji. W moim śnie spytała Mike'a, czy chce się pobawić w odgadywanie, bo kiedy jeszcze się umawiali, często

odpoczywali po stresach męczącego dnia, leżąc przytuleni na kanapie i wykrzykując na wyścigi odpowiedzi w tym teleturnieju. W reakcji na jej pytanie Mike z całej siły cisnął pilotem na stół, tak że ześlizgnął się z drugiej strony na podłogę. I wtedy się zaczęło. Amy tłumaczyła, że chciałyby trochę z nim posiedzieć, bo się stęskniła, a wtedy on zaczął obrzucać ją wyzwiskami - jaką jest pierdoloną idiotką, imbecylką, żalostną namiastką kobiety. Nagle zobaczyłam we śnie, jak jej głowa gwałtownie odskakuje po uderzeniu pięścią w kark, a z jego dłoni zwisa pęk jej włosów. „Wstawaj” - powiedział spokojnym, stanowczym głosem, jakby wydawał komendę psu. Miałam wrażenie, że jestem nią i odczuwam każdy jego bezlitosny cios. Koncentrowała się na dźwiękach. Jeśli będzie się wsłuchiwać w dźwięki, powinno to przytłumić ból. Brzęczyki sygnalizują zgłaszanie się zawodników do odpowiedzi. „Prawidłowa odpowiedź!” Jej noga. Jej plecy. Budzę się, szlochając. Jestem rozdygotana i denerwuję się, że obudziłam cały dom i będę musiała wyjaśniać dlaczego.

- Kotku, nie zrywaj ich, dobrze? Tylko oglądaj - woła Amy do Emmy.

Emma siedzi na wyłożonym cegłą patio z błyszczącymi fioletowymi okularkami przeciwsłonecznymi na nosie i przesuwając paluszkami po płatkach białych bratków, które posadziłam ubiegłej jesieni. Jest chłodno, pod bosymi stopami czuję wilgoć cegieł, ale jasne i świeże powietrze niesie już zapowiedź wiosny. Czeka nas dziś piękny dzień.

Amy najwyraźniej myśli o tym samym, bo po wypiciu łyka kawy zwierza się, że zawsze o tej porze roku zaczyna tęsknić za domem.

- W Karolinie Północnej wiosna przychodzi wcześniej i trwa długo - mówi, obejmując kubek obydwoma rękami. - Tutejsza się do niej nie umywa. Tam na każdym kroku widzisz różaneczniki obsypane mnóstwem kwiatów, a wokół skrzynek na listy tulipany i żonkile wyskakują z ziemi jak fajerwerki - wspomina tęsknym głosem. - Uwielbiam tę porę wiosną, kiedy za każdym razem, gdy wyjdiesz z domu późnym popołudniem, czujesz, że ktoś rozpala grilla.

Widzę, że te obrazy przynoszącej pociechę, a mnie przypominają mojego tatę. W letnie weekendy w roku pomiędzy moim gimnazjum a liceum, zamiast sypiać u koleżanek i wraz z nimi robić telefoniczne dowcipy chłopcom oraz grać w gry utwierdzające wiarę w moce nadprzyrodzone, spędzałam czas z tatą, który uczył mnie grillowania na starym grillu marki Weber. W naszej rodzinie to mama była mistrzem kuchni, ale kiedy robiło się ciepło, tata przejmował pałeczkę, oddając się swojemu ulubionemu zajęciu. W ogrodzie na tyłach domu grillowaliśmy żeberka i krewetki, kawałki kurczaka i hamburgery. Mama siadała z boku na jednym z naszych siatkowych krzeseł ogrodowych i popijając szprycera z plastikowego kubka, udawała, że czyta magazyn kobiecy, ale co chwilę strofowała ojca, ilekroć uznała, że za bardzo zbliżyłam się do ognia.

- Kilka tygodni temu postanowiliśmy, że nie pojedziemy do rodziców na Wielkanoc - odzywa się znów

Amy. - Po raz pierwszy nie spędzę u nich świąt. Mike narzekał, że jest zbyt zmęczony pracą, żeby jechać taki kawał na krótki weekend. Nie wyobrażasz sobie, jak rozczarowana była moja mama, gdy to usłyszała. Jak tylko odłożyłam słuchawkę, musiała natychmiast powtórzyć to moim siostrom, bo i Celia, i Claire zadzwoniły do mnie w ciągu dwudziestu minut od tej rozmowy. Mama powiedziała, że uszyła Emmie nową wielkanocną sukienkę, z małutkimi zajaczkami o puszystych ogonkach wyhaftowanymi dookoła dekoltu. Moje siostry zaplanowały dla dzieci poszukiwanie jajek wielkanocnych.

Bębni palcami po kubku. Słyszę piknięcie zamka samochodu mojej sąsiadki i widzę ją, jak zbiega po tylnych schodach do volvo stojącego na podjeździe za domem.

- Właściwie to teraz mogę jechać - stwierdza Amy.
- Wmówiłam sobie wtedy, że to nic wielkiego, jeśli tam nie pojedziemy, a poza tym powinniśmy sobie tworzyć własne wspomnienia we własnym domu. Pomyślałam, że gdyby mama i tata wiedzieli, że mamy problemy małżeńskie, sami powiedzieliby, że tak mam zrobić. Zostać w domu i skupić się na własnej rodzinie.

Przez lata naszej przyjaźni wielokrotnie spotkałam rodziców Amy i zdążyłam się przekonać, że stanowią wzorzec udanego małżeństwa. Któryś z magazynów mógłby spokojnie opublikować historię ich związku jako przykład dla młodszych, ilustrując ją ich zdjęciem, jak stoją, obejmując się nawzajem w pasie. Jej rodzice są słodko i nietypowo romantyczni, jak para z pocztów-

ki, którą trudno sobie wyobrazić w realnym świecie. Amy powiedziała mi kiedyś, że nadal trzymają się za ręce w samochodzie i piją nawzajem swoje zdrowie, jedząc obiad w restauracji. Trzeba przyznać, że wysoko ustawili poprzeczkę i być może między innymi dlatego Amy tak długo trzymała w sekrecie to, że jest maltretowana.

- Ame, kiedy zamierzasz powiedzieć rodzicom, co się dzieje?

Wzdycha, potwierdzając moją nową teorię.

- Wiesz, cały czas myślałam, że poradzę sobie z tym sama, jeśli tylko będę traktować swoją rodzinę jako rzecz najważniejszą. Wydawało mi się, że nie muszę mówić o tym problemie, bo wkrótce sam się rozwiąże. Będzie to tylko niewielka komplikacja w historii naszego związku, taki zgrzyt. Wiem, że to brzmi idiotycznie.

To nie ulega wątpliwości, ale teraz nic mnie już nie zaskakuje - to najchętniej bym jej powiedziała.

- Zawsze za największy możliwy koszmar uważałam sytuację, w której coś stałoby się Emmie, a zaraz po tym, że coś się popsuje w naszym małżeństwie - ciągnie Amy. - Wiesz, ostatnio na tyle się poprawiło, że przestałam się stale martwić, że Mike popadnie w stare nawyki, ale jednocześnie odkryłam, że coraz trudniej mi sobie wmawiać, że wszystko jest tak, jak powinno. Jedliśmy obiady, niemal nie odzywając się do siebie. Każde z nas zwracało się tylko do Emmy. Przypomniało mi to sytuację z gimnazjum, kiedy z koleżankami przygotowywałyśmy sobie na kartce tematy

do rozmowy, zanim zadzwoniłyśmy do chłopaka, który nam się podobał. Od lat czuję, że potrzebowałam takich samych ściąg, żeby umieć rozmawiać z własnym mężem. Niedawno przy obiedzie, kiedy Emma wyczyściła talerz, spojrzała na nas i zawołała: „Wszystko skończone!”. Moją pierwszą myślą było: „Dobrze, że ty to powiedziałaś”.

- Amy, tu nie chodzi o kryzys w małżeństwie, tylko o powiedzenie prawdy ludziom, którzy cię kochają. Ludziom, którym szczerze zależy na twoim szczęściu i którzy mogą ci pomóc wybrnąć z tej sytuacji - mówię.

- Wiem, wiem. Ale to takie trudne. Mój tata... - Głos jej zamiera.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Myślę o własnym ojcu, który miał to szczęście, że jego córka późno dojrzała i nie musiał mieć do czynienia z jej chłopakami. Mimo to nie krył, jakie to będzie dla niego trudne, kiedy nadejdzie pora randek.

- Najtrudniej wyjaśnić to, że nadal tak bardzo go kocham... nadal tak roztkliwiam się nad różnymi rzeczami, które mi się z nim kojarzą. Ten aseptyczny zapach jego gabinetu... Zawsze sobie żartowałam, że pachnie drewnianymi szpatułkami do gardła i watą. Poza tym jest uzależniony od tych miętówek Altoids. Kiedy zaczynam je ssać, nie mogę o nim nie myśleć.

Gdy to mówi, myślę o Larrym, którego znam tak dobrze jak własne odbicie w lustrze. Pomimo wszystkich moich obaw co do naszej przyszłości, to właśnie z nim wiąże się wszystko, co wiem o wspólnym part-

nerskim życiu. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, co musi czuć Amy.

- Tuż po naszym powrocie z Florydy przeszedł coś w rodzaju załamania i przeprosił mnie za wszystko. - Amy ścisza głos, żeby nie usłyszała jej Emma, która właśnie zbliża się w podskokach i stając na schodkach obok stóp Amy, prosi o swój kubek z pićiem. - Akurat zmywałam naczynia, a on wrócił po bieganiu. Usłyszałam, że chrząka i pociąga nosem za moimi plecami. Myślałam, że to normalny repertuar irytujących dźwięków, które zawsze wydaje podczas rozciągania się, ale kiedy obejrzałam się na niego przez ramię, okazało się, że siedzi na podłodze przy lodówce z głową między kolanami i płacze. Wcześniej tylko raz widziałam go płaczącego. Było to w nocy po tym, jak po raz pierwszy umarł mu pacjent, dwunastoletni rowerzysta potrącony przez samochód. Nie płakał na naszym ślubie. Nie płakał nawet wtedy, gdy urodziła się Emma. Zaczął mnie przeproszać. Powtarzał to w kółko. Powiedział, że nigdy nie chciał mnie skrzywdzić. To był pierwszy raz, kiedy okazał skruchę. - Przerzywa na moment. - Ile to czasu się zastanawiałam, czy kiedykolwiek doczekam się z jego strony przeprosin. Myślałam o tym, przeczucując kupony w sklepie spożywczym, kiedy brałam do ręki szampon podczas kąpieli Emmy, gdy siedziałam z tobą i Kate w restauracjach. A teraz, kiedy to się działo, mileżałam osłupiała. Szczerze mówiąc, nigdy nie zależało mi na odwecie, tylko żeby wszystko to mogło w magiczny sposób wyblaknąć w mojej pamięci. Modliłam się o amnezję. Bo chodzi o to, że mój

mąż nie jest łajdakiem, tylko nieszczęśliwym człowiekiem, który jest bardzo, bardzo chory. A przecież przysięgałam „w zdrowiu i w chorobie”. - Zamyśla się. - Przez długi czas siedzieliśmy w milczeniu. Mike płakał, a ja mu się przyglądałam. Później tego wieczoru, kiedy o tym wszystkim rozmawialiśmy, nasuwały mi się setki pytań: Co cię popycha do tego, żeby to robić? Dlaczego to robisz? Co czujesz, kiedy to robisz? Czy naprawdę żałujesz? Dlaczego przepraszasz akurat teraz? Ale trudno było przewidzieć, jak na nie zareaguje. Bałam się, że jeśli powiem coś niewłaściwego, ta dobra chwila się skończy. W każdym razie tamtej nocy postanowił zacząć chodzić na terapię. - Przerывa. - Czuję się taka zażenowana, kiedy ci to wszystko mówię. Larry jest naprawdę wspaniały. Musisz być przerażona tym wszystkim. Wasz związek jest idealny.

- Niezupełnie - stwierdzam.

Przez chwilę się zastanawiam, czy powiedzieć coś więcej. Nie wiem, czy uskarżanie się na własne problemy w tej sytuacji urazi ją, czy też przyniesie jej ulgę, bo oderwie jej myśli od udręki, którą przeżywa. Jej wyznanie ukazało z całą wyrazistością, przez co przechodzi. Trudno określić to innym słowem niż tragedia.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Spogląda na mnie sponad krawędzi kubka.

- Nie chcę cię dodatkowo obciążać swoimi bzdurami - mówię. - Nie teraz.

- Nie, proszę, powiedz. - Śmieje się niewesoło. - Może to poprawi odrobinę moje zdanie o sobie.

Przez chwilę przyglądam się jej uważnie, żeby zyskać pewność.

- No, dobrze - mówię w końcu i biorę głęboki oddech. - Mam naprawdę poważne problemy z piekarnią. - Zerkam przez ramię na tylne drzwi, bo Larry w głębi domu szykuje się do pracy.

- Naprawdę? - pyta zaskoczona.

- Tak. Problemy finansowe.

- Jest bardzo źle?

Przełykam ślinę.

- Mam mnóstwo długów. Przestało starczać na moją pensję mniej więcej w czasie, kiedy byliśmy na Florydzie. Stale spóźniam się z czynszem za lokal. I aż do wczoraj myślałam, że nie wywiążę się ze spłat rat pożyczki hipotecznej, co mogłoby doprowadzić do utraty domu. - W minionych miesiącach nieraz się zastanawiałam, czy wyznanie prawdy przyniesie mi ulgę, ale niestety, nie przyniosło. Mówienie prawdy jest bolesne.

- O mój Boże, Waverly. Nie miałam pojęcia. Ja ci zawracam głowę i zajmuję czas swoimi problemami, a ty borykasz się z mnóstwem własnych!

- Proszę cię, ani mi się waż przepraszać! - przerywam jej.

- Larry z pewnością jest dla ciebie ogromnym wsparciem.

- Zapewne byłby, gdybym mu powiedziała.

- Larry nie wie? Dlaczego mu nie powiedziałaś?

Biorę głęboki oddech. Dlaczego? *Dlaczego, dlaczego, dlaczego?*

- Myślałam, że poradzę sobie sama. Prawdę mówiąc, nadal tak myślę.

- Brzmi znajomo - zauważyła Amy. Spogląda na mnie i zaczyna się śmiać. Jest to porozumiewawczy śmiech oznaczający „Co, u diabła, się z nami dzieje?”.

Co, u diabła, się z nami dzieje? Odwzajemniam jej uśmiech.

- W tej chwili już od tak dawna trzymam to w tajemnicy, że można to uznać za oszustwo, zupełnie jakbym wykopała głęboką przepaść, i po prostu nie widzę dobrego sposobu, żeby mu wszystko wyznać. Nie mam pojęcia, jak zareaguje, kiedy się dowie, że byłam wobec niego tak nieuczciwa. Strasznie się boję, że mogę go stracić.

- Ale, Waverly, skoro groziła ci utrata domu... Przecież on mógł ci pomóc. On naprawdę powinien się dowiedzieć, a ty wtedy poczujesz się znacznie lepiej.

- Wiem o tym. - Obserwuję, jak Emma skacze po patio, jakby grała w klasy.

- Nie bądź dla siebie taka surowa. Jesteś bardzo niezależna i szanuję cię za to, ale nigdy nie przyjmujesz niczyjej pomocy. Nie możesz iść przez życie sama. Wiesz o tym, prawda?

- A dlaczego mówimy o mnie? Na koniec wystawisz mi rachunek? - Żartuję, ale jednocześnie jestem świadoma, że uchylam się od odpowiedzi.

- Mówię poważnie, Waverly. Musisz z nim porozmawiać. Larry to na pewno zrozumie.

- I na tym polega problem - jęczę. - Dlaczego ja tego nie widzę? To znaczy, ja to niby *wiem*. Ale wydaje

mi się, że sama tworzę problemy w naszym związku, tak jakbym go sabotowała.

- Może tak jest - sugeruje Amy.

- Ale dlaczego miałabym to robić?

Wzrusza ramionami.

- Może nie czujesz się godna jego miłości czy coś w tym rodzaju.

Unoszę brwi, rozważając tę możliwość. Chyba naprawdę czerpię pewne korzyści z osobowości, którą sobie stworzyłam... To znaczy, tak jak Kate jest tą piękną, a Amy tą słodką, tak ja jestem smutną, popieprzoną sierotą i w związku z tym mogę mieć niskie oczekiwania oraz wymigiwać się od odpowiedzialności. *Doskonałe posunięcie, Waverly* - myślę. I zobacz, do czego cię to doprowadziło...

Ściskam dłoń Amy.

- Sytuacja troszkę się poprawiła, więc wkrótce będę mogła mu powiedzieć... to znaczy, kiedy będę pewna, że domowi nic nie zagraża. - I opowiadam jej, jak Brendan mimowolnie wpłynął na rozkwit mojej firmy.

- Tak się cieszę, że u ciebie jest lepiej - mówi.

Wiem, że autentycznie cieszy się odmianą mojego losu, bo Amy taka jest, ale jednocześnie po jej roztargnionym spojrzeniu poznaję, że martwi się o własną przyszłość.

Jestem przekonana, że na przekór wszystkiemu, co się wydarzyło, nadal marzy o idealnym życiu rodzinnym budowanym z Mikiem. Widzę to równie wyraźnie, jak gdyby nad jej głową ukazał się komiksowy dymek, a w nim staromodna kołyska z radośnie

gruchającym maleństwem, rodzinne wieczory z grami planszowymi i popcornem oraz albumy pełne zdjęć upamiętniających kolejne lata szczęśliwych wspomnień. Pomyśleć tylko, jakie katusze jest gotowa znosić, żeby zrealizować tę wizję. Mam wrażenie, że od tak dawna tkwi w pewnych schematach myślenia i postępowania, że nawet jej nie przyjdzie na myśl, iż mogłaby pragnąć czegoś innego. I wtedy uderza mnie myśl: *Czy ja robię dokładnie to samo?*

Emma wstaje z kucek i podchodzi do nas. Amy ślini palec, żeby zetrzeć brudny ślad z jej policzka.

- Chodź tu, Emmo - mówię, biorę ją pod pachy i sadzam sobie na kolanach.

Włosy i rączki kleją się jej od muffina, którego zjadła przed chwilą.

- Mam dla ciebie propozycję - zwracam się do Amy, mrużąc oczy przed słońcem, które nagle zaczęło oślepiająco świecić. - Obiecaj mi, że porozmawiasz z mamą, a przynajmniej z którąś z sióstr, a ja wyjaśnię wszystko Larry emu.

Rozważa przez chwilę moją propozycję, marszcząc nos.

- Mogę ci obiecać - mówi, odwracając się do mnie i osłaniając dłonią oczy przed słońcem - że o tym pomyślę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Później tego wieczoru, idąc chodnikiem przed domem Kate i podziwiając kwiaty, które jej ogrodnik musiał zasadzić po mojej poprzedniej wizycie, nagrywam Amy wiadomość z pytaniem, czy wszystko w porządku, choć przede wszystkim chcę się dowiedzieć, czy zadzwoniła już do matki. Kiedy rozmawialiśmy godzinę temu, zastanawiała się, czy nie przejść się z Emmą na starówkę. Martwiłam się, że muszę ją zostawić samą, ale zapewniała mnie, że nic jej nie grozi i nie zamierza otwierać drzwi. Larry zaproponował, że nie pójdzie do pracy i z nią posiedzi, ale kategorycznie odmówił. Dlatego też, kiedy tylko wsiadłam do samochodu, wysłałam SMS-a do sąsiadki z naprzeciwka, freelancerki piszącej do różnych magazynów, która uważnie śledzi wszystko, co się dzieje na naszym osiedlu zza biurka strategicznie ustawionego przy frontowym oknie. Wiem, że nic nie umyka jej uwadze, ponieważ regularnie zamieszcza na osiedlowej liście dyskusyjnej marudne komentarze na temat tego, kto nie posprzątał po psie albo u kogo przez cały dzień paliło się zewnętrzne oświetlenie. Poprosiłam ją, żeby dała znać, jeśli przed moim domem zacznie się dziać coś dziwnego. Jestem pewna, że przez cały ranek nie oderwała wzroku od drzwi.

Jadąc długim podjazdem Kate, zwracam uwagę, że pod domem stoją dwa czarne SUV-y. Kiedy docieram do drzwi, okazuje się, że są szeroko otwarte. Wchodzę do środka i kieruję się do kuchni, wołając Kate. Mijając gabinet Brendana, zauważam dwójkę dwudziestokilkulatków pakujących dokumenty do kartonów. Dyskują na temat służby zdrowia. Typowi waszyngtońscy nudziarze.

Kate stoi w przeszklonych drzwiach oddzielających kuchnię od tylnego patio. Na stole kuchennym leży pół trójkąta brie, kilka krakersów i prawie pusty słoik oliwek - pewnie pozostałości lunchu.

- Hej - mówi, kiedy mnie dostrzega.

Ma na sobie rozpinaną koszulę z podwiniętymi rękawami i džinsy. Włosy związała w supeł z tyłu głowy. Jest nieumalowana. Jej uroda zapiera dech w piersiach. Niby znamy się tyle lat, ale czasami nadal daję się zaskoczyć.

- Jak sobie radzi Amy? - pyta.

Rano wszystko jej opowiedziałam.

- Nie najgorzej. - Chwytam słoik z oliwkami. - Zadzwoiłam do niej po drodze i podobno wszystko jest w porządku. Mike na szczęście się nie pojawił. Mogę się poczęstować? - Unoszę słoik.

- Na własne ryzyko. Są nie pierwszej świeżości. Umierałam z głodu, a nie miałam nic normalnego do jedzenia, więc wygrzebałam, co się dało.

Usiłuję wyłowić oliwkę palcami.

- A to kto? - pytam, wskazując ruchem głowy korytarz.

- Pracownicy Brendana. Kończą pakować jego papiery. Część już wywieźli wczoraj.

Zwracam uwagę, że Kate jest jakaś osowiała, co do niej niepodobne. Odwraca się w stronę otwartych drzwi z rękami skrzyżowanymi na piersi, jakby było jej zimno.

- Zanim przyszłaś, próbowałam sobie przypomnieć, dlaczego kupiliśmy z Brendanem ten dom - mówi tęsknym głosem.

Staję obok niej i spoglądam na ogród. Po prawej stronie znajduje się basen, a za nim, na końcu delikatnie nachylonego wzgórza porośniętego bujną trawą, altana, która za kilka tygodni okryje się kwiatami wisterii. Pamiętam, że poprzedniej wiosny Kate zapytała mnie, co to za roślina, a kiedy żartobliwie wytknęłam jej, że nie wie, co rośnie w jej własnym ogrodzie, przewróciła tylko oczami i stwierdziła, że nie po to płaci ogrodnikowi, żeby się tym zajmować. Ponieważ akurat zaczynałam wpadać w tarapaty finansowe, pomyślałam wtedy - tylko trochę gorzko - że powinna zwolnić ogrodnika i zatrudnić mnie.

- Wiesz, że przez te dwa lata, kiedy tu mieszkaliśmy, *ani razu* nie weszliśmy do basenu? - opowiada. - Nie wydaliśmy ani jednego przyjęcia. Nigdy nie poszliśmy razem do altany, żeby zjeść śniadanie albo poczytać gazetę. - Potrzęsa głową. - Nasz ogród to kolejna bezsensowna fasada. Zasadniczo mieszkam tu sama, bo Brendan zawsze albo pracuje... albo zajmuje się diabli wiedzą czym - dodaje pod nosem. - Pięćset pięćdziesiąt metrów kwadratowych dla jednej osoby. Po takim domu powinno się kręcić pełno

ludzi, może nawet dzieci. - Rzuca mi spojrzenie. - No wiesz, hałas. Życie. - Potrząsa głowajeszcze raz.

Przyglądam się jej, nie wiedząc, co powiedzieć. Była taka nieugięta, od kiedy romans Brendana wyszedł na jaw. Zastanawiam się, co sprawiło, że nagle zebrało jej się na tego rodzaju przemyślenia.

Rozlega się dzwonek telefonu. Kate idzie do kuchni po słuchawkę.

- Ech! - Przewraca oczami na widok numeru, który pojawił się na wyświetlaczu. - Moja matka. Dzwoni i dzwoni. „Błagam cię, byś to jeszcze przemyślała” - przedrzeźnia nadęty sposób wypowiedania się Evelyn. - „Katherine, ośmieszasz się. Co zamierzasz robić, kiedy od niego odejdziesz?” - Kate odpycha wciąż dzwoniący telefon w poprzek blatu. - Myślałam, żeby pojechać na safari. Do Botswany. Ostatni raz byłam na czymś takim jako nastolatka, ale teraz można wynająć świetnego przewodnika, który cię zabierze do najlepszych rezerwatów. Może chcesz się przyłączyć? - Unosi pytająco brwi.

Że co? Zanim zdążę odpowiedzieć: „Nie, Kate, nie mogę wyjechać do Afryki tylko dlatego, że mnie naszło takie widzimisie”, do kuchni wchodzi jeden z pracowników Brendana.

- Przepraszam. Pani Berkshire? Zaraz kończymy - mówi pośępnym tonem, jakby kuląc się ze strachu.

Zdaję sobie sprawę, że poza zwyczajowym robieniem kawy szeregowym pracownikom sztabów wyborczych zleca się najróżniejsze uwłaczające zadania, ale to musi być wyjątkowo krępujące.

- Dobrze - odpowiada zdawkowo, rzucając w jego stronę nieuważne spojrzenie, po czym odwraca się z powrotem do mnie, zostawiając go samego sobie, wyraźnie zmieszanego. - O czym to ja mówiłam?

Afrykańskie safari - myślę.

- Nie pamiętam - odpowiadam i zauważam kątem oka, jak pracownik Brendana umyka z kuchni.

Nie mam teraz ochoty rozmawiać o tym, dlaczego nie mogę sobie pozwolić na luksusowe wakacje.

- Dzięki Bogu. Nie mogłam się doczekać, kiedy sobie pójdą - mówi, gdy chłopak znika nam z oczu. - Panoszyli się tu przez dwa dni, jakby byli ekipą ratowników przysłaną do usunięcia wycieku chemikaliów. - Słyszemy, jak zamykają się drzwi frontowe. - Chodź, chcę się upewnić, że wszystko zabrali. - Podążam za nią ciemnym, przypominającym jaskinię holem. Kate jest boso, więc słychać tylko skrzypienie podeszew moich tenisówek. Nie zdawałam sobie sprawy, jak pusty może się wydawać ten dom. Jak bardzo człowiek może czuć się w nim samotny.

Gabinet Brendana delikatnie pachnie okazjonalnie palonymi przez niego cygarami. Jest to jedyny pokój w domu Kate, w którym dotychczas nie byłam. Ściany pokrywa dębowa boazeria. Dywan ma kolor pola golfowego. Już od samego stania tutaj robię się spięta. Kate bez zastanowienia podchodzi do przeciwległej ściany, gdzie wisi fotografia przedstawiająca ją i Brendana stojących na bocznym tarasie domu z nogami przesłoniętymi balustradą, na której rozwieszono flagę USA. Rozpoznaję, że jest to ich oficjalny portret przy-

gotowany na potrzeby kampanii. Kate trzyma dłonie złączone w talii. Prawa dłoń Brendana spoczywa na jej ramieniu. Wyglądają na godną zaufania, serdeczną parę. Aż chciałoby się mieć takich sąsiadów. Kate zdejmuje portret ze ściany i stawia go na podłodze za biurkiem Brendana, tak żeby nie było widać zdjęcia.

- Dość tego - mówi. Następnie po kolei otwiera i zamyka puste szuflady i szafki na dokumenty. - Wygląda na to, że nic nie zostało. - Spogląda na mnie i kiwa głową na znak, że jest zadowolona z wyniku inspekcji. - No dobrze - stwierdza.

Stoimy na środku gabinetu i patrzymy sobie w oczy.

- Wszystko w porządku? - pytam, przyglądając się jej podejrzliwie.

Kiwa głową, ale bez przekonania.

- Chodzi o to, że... - Wzrusza ramionami.

- Bardzo szybko to poszło, prawda?

- Tak. No właśnie - mówi.

Siada po turecku na zielonym dywanie. Robię to samo.

- Brendan dzwonił dzisiaj sześć razy - opowiada.

- Liczyłam. Jakbyśmy byli parą licealistów, którzy ze sobą zerwali.

Staram się przypomnieć sobie licealne przygody Kate i towarzyszące im zerwania. Jej romanse nie przypominały scen ze *Śłodkiej doliny*. Faceci zamiast zabierać ją na imprezy przed meczami futbolowymi i pić studniówkowym winem z sokiem, zapraszali ją do luksusowej restauracji Inn at Little Washington i zabiegali o jej względy, stawiając jej martini.

- A co mówi, kiedy dzwoni?

- Nie odbieram jego telefonów, a on nie nagrywa się na pocztę głosową. Poza tym i tak nie chcę słuchać jego głosu. Nie chcę się z nim widzieć. Wczoraj podpisaliśmy wniosek o separację. Brendan najpierw bezsensownie się uparł, żebyśmy zrobili to osobiście, razem, a potem przez całe spotkanie powtarzał, jakby mu się taśma zacięła, że bardzo mu zależy, żebyśmy się pogodzili.

- A ty chciałabyś się z nim pogodzić?

- Nie. Nie wiem. Cholera, właściwie nie wiem, czego chcę.

Kate mnie niepokoi. To chyba pierwszy raz, kiedy słyszę coś podobnego z jej ust. Z jej zmartwionej miny wynika, że myśli o tym samym.

- Cóż, witaj w klubie. Ja sobie nie przypominam, żebym kiedykolwiek wiedziała - próbuję ją pocieszyć.

Czego chcę od życia? Te słowa coraz częściej kołatają mi się po głowie. Czasami irytują mnie całymi dniami - czuję wtedy, jakby jakiś niewidzialny palec raz za razem pukał mnie w skroń. Czego chcę od życia? Czego chcę od życia?

Kate rzuca mi kpiący uśmieszek.

- Jasne.

- Tęsknisz za nim?

Zastanawia się przez chwilę.

- Tęsknię za nim już od bardzo dawna. Zdałam sobie z tego sprawę wczoraj, kiedy siedziałam w sali konferencyjnej u tego prawnika. Przyglądałam się jego twarzy, kiedy podpisywał papiery, i odniosłam wraże-

nie, że mam do czynienia ze złudzeniem, wytworem wyobraźni. Pomyślałam sobie: „*Kto* to w ogóle jest?”. Ale potem wróciłam tu i ta cisza mnie przeraża. Są takie chwile, że aż tęsknię za reporterami, bo przynajmniej słychać było jakieś odgłosy na dworze. Chyba wystawię dom na sprzedaż.

- Dokąd chcesz się przenieść?

Wzrusza ramionami.

- Podobało mi się w Georgetown, gdzie mieszkaliśmy zaraz po ślubie.

Każdemu by się podobało! Mieszkali niedaleko francuskiej ambasady w trzystumetrowej pokazowej willi Brendana. Budynek był tak piękny, że „Washingtonian” opublikował specjalny artykuł na jego temat.

- Zawsze zostaje apartament moich rodziców w Ritzu. - Kate wzdycha, jakby wolała mieszkać w przyczepie kempingowej, niż zniżyć się do tego poziomu.

Na szczęście, zanim udaje mi się przeanalizować straszny dylemat Kate, która może sobie wybierać pomiędzy kilkoma domami, podczas gdy mnie ledwo udaje się utrzymać jeden, odzywa się moja komórka. *Może Amy* - myślę. Wyciągam telefon z przedniej kieszeni spodni.

- To z piekarni - mówię. - Chwileczkę.

- Heeej! - Randy jest wyraźnie podekscytowany. - Masz sekundkę?

- Jasne. Nawiasem mówiąc, za chwilę do was jadę.

- Siedzisz? - pyta. Wyczuwam z jego głosu, że się uśmiecha.

- Żebyś wiedział. Na podłodze - odpowiadam, przeciągając dłonią po dywanie. - Co się dzieje?

- Odwiedziła nas dzisiaj pewna dziennikarka.

- O Jezus. - *Czy ta historia z Brendanem nigdy się nie skończy?*

- Nie, nie, nic z tych rzeczy. No, może tak pół na pół.

- No dobra, opowiadaj.

- Kobieta była z „New York Timesa”. Chcą napisać o nas artykuł. To *znaczy, piszą* artykuł o naszej piekarni. To znaczy, trochę o Brendanie, ale też o piekarni. I o muffinach.

- Co? - Serce zaczyna mi trzepotać jak wtedy, kiedy odkryłam, ile ostatnio zarobiliśmy. - Powiedz coś więcej.

- Ta dziennikarka powiedziała, że pisze artykuł na pierwszą stronę działu Sunday Styles. Fragment o nas będzie gdzieś tam głębiej, ale, kurczę, to pierwsza strona, Waverly. W Sunday Styles. W „New York Timesie”. Jak stwierdziła - starałem się to zapamiętać dosłownie - ma to być „humorystyczne, ale i życzliwe spojrzenie na charakterystyczne miejsca związane ze skandalami politycznymi”.

- No, super - wydaję z siebie jęk.

Spoglądam na Kate. Ma ten sam nieobecny wyraz twarzy co w chwili mojego przyjazdu. Teraz nawet mnie to cieszy. Wolę, żeby tego nie słyszała.

- Nie martw się, Waverly. Wszystko będzie dobrze. Ponoć mają być o nas tylko dwa akapity. Tej dziennikarce zależy, żeby uwzględnić Maggie's, bo jesteśmy

na czasie, ale poda nasz adres i wspomni o muffinach
- relacjonuje Randy.

- Po prostu nie chcę, żeby to wypadło niezręcznie
- staram się tak dobrać słowa, żeby nie zwrócić uwagi
Kate.

- Waverly, zastanów się chwilę. - Randy ma mnie
dość. - Nawet jeśli trochę głupio wyjdzie, w co szczerze
wątpię, to mówimy o pieprzonym „New York Time-
sie”. Czy do ciebie dociera, że jak ten artykuł wyjdzie,
to większość właścicieli cukierni z całego kraju, nie
wspominając już o naszej miejscowej konkurencji,
zzielenieje z zazdrości?

- No tak, tak. - Nie potrafię już dłużej powstrzymać
uśmiechu. - Masz rację.

- Szykuj się, dziewczyno. Niedługo będziesz
sławna.

- Ech, jakoś w to wątpię. Do zobaczenia.

- O co chodziło? - pyta Kate.

Przyglądam się jej, jak siedzi ze skrzyżowanymi
nogami. *Jak jej o tym powiedzieć?* Ostatnio podczas ro-
bienia rachunków przeszło mi przez myśl, że to trochę
porąbane, żeby źródłem mojego wyczekiwanego latami
sukcesu okazał się rozpad małżeństwa przyjaciółki. Po-
tem jednak zobaczyłam wyniki i cóż... Przełykam ślinę
i zaczynam opowiadać. O wszystkim po kolei. W głębi
duszy wiem, że zwierzam się jej w nadziei, iż odwróci
to jej uwagę od faktu, że Brendan niechcący stał się dla
mnie źródłem darmowej reklamy. Fascynuje mnie, z jaką
łatwością przychodzą mi te wyznania teraz, kiedy już
raz opowiedziałam o wszystkim Amy. Czyżby rozmowa

z Larrym też miała być łatwiejsza, niż zakładam? Raczej wątpię, ale może jeśli wmówię sobie dostatecznie mocno, że nie będzie tak źle, to przynajmniej zdobędę się na odwagę, żeby w ogóle zacząć.

- Cóż, cieszę się, że wiedzie ci się coraz lepiej - stwierdza krótko Kate po wysłuchaniu mojej opowieści. W jej głosie nie słychać ani szczypty sympatii. Pociera nos, po czym energicznie podnosi się z ziemi i otrzepuje dłonie.

- Kate.

- Nie, nie - ucisza mnie. - Cieszę się, że mogliśmy ci pomóc.

Auć.

Temat pieniędzy przewinął się wówczas, kiedy uruchamiałam piekarnię, ale poza tym nigdy nie rozmawiałam o tym z Kate. W każdym razie nie w ten sposób. To jakby rozmawiać w obcym języku - bez sensu. Podczas gdy ja regularnie spędzam długie godziny przy biurku, gryząc ołówki i klepiąc w kalkulator, aż dostaję zawrotów głowy od niekończącego się ciągu cyfr, Kate prawdopodobnie nawet nie sprawdza, ile pieniędzy ma na kontach. W jej świecie pobieranie pieniędzy z banku należy pewnie do tej samej kategorii zajęć, co nalewanie wody z kranu - człowiek nie zastanawia się, skąd się wzięła, ponieważ w rurze najwyraźniej jest jej nieskończony zapas.

- Kate, proszę, nie złość się. Wiem, że to dziwne... cała ta sytuacja... Też nie podoba mi się, w jaki sposób się to odbyło.

Obojętnie kiwa głową.

- Wiesz, to wcale nie jest tak, że klienci pytają o Brendana. Nikt o nim nawet nie wspomina. Ludzi interesują wyłącznie muffiny. Poza tym przecież nie zerujemy na tej okazji, sprzedając T-shirty z podobizną Brendana, czy coś w tym rodzaju. Odmówiłam wywiadów. Od początku tylko siedzę i obserwuję rozwój wydarzeń. A że stało się, co się stało... cóż.

Kate unosi brwi i kiwa głową.

- No. Ale nie widzę, żebyś była zmartwiona.

- Kate, proszę cię. Nie masz pojęcia, co ja ostatnio prze...

Śmieje się.

- Prawda, nie mam. Pewnie za bardzo skupiłam się o rozpadzie swojego małżeństwa.

- Kate, jak możesz. - Nagle robi mi się nieprzyjemnie gorąco. W tym pokoju musi być ze sto stopni. Ściągam kardigan, pod którym mam T-shirt, i biorę głęboki oddech. - Mogę zadzwonić do tej dziennikarki i poprosić ją, żeby nie pisała o Maggie's.

Kate przewraca oczami.

- Nie, nie. Nie rób tego. Co mi tam po dodatkowej odrobinie uszczypliwego rozgłosu? - Przykłada dłoń do skroni, zamyka oczy i bierze długi, głęboki oddech. - Wiesz co? Przestań się tym przejmować - stwierdza zmęczonym głosem. - Jeśli to ma uratować twoją piekarnię przed bankructwem, to nie mam nic przeciwko.

- Ale, Kate...

- Serio, Waverly. Nic mi nie będzie.

Niedługo potem wracam do piekarni, a Randy i Je-annette witają mnie oklaskami.

- Przestańcie, proszę - potrząsam głową. Po rozmowie z Kate jestem rozdarta.

- Dałem tej dziennikarce twój adres e-mailowy - mówi Randy. - Powiedziała, że prześle ci wiadomość z pytaniami.

Upewniam się, że nic się nie pali - ani dosłownie, ani metaforycznie - oraz że żadnemu z klientów w części frontowej niczego nie potrzeba, po czym ruszam do biura. Opadam na krzesło obrotowe i otwieram skrzynkę pocztową. Jest: ternkin@nytimes.com. Wiadomość jest miła i krótka:

Pani Brown,

przepraszam, że nie mogłam na panią czekać. Artykuł pojawi się w niedzielnym wydaniu gazety. Nie wiem, czy będziemy mieć miejsce, ale czy na wszelki wypadek zechciałaby pani przystać przepis na muffiny? (Nawiasem mówiąc, świetne - zjadłam jednego, kiedy byłam poprzednio). Jeśli ma pani jakiegokolwiek pytania, proszę się nie krępować i pisać.

Piszę odpowiedź, w której zamieszczam przepis i pytanie, czy mogłaby mi przesłać artykuł do wglądu, zanim go opublikują. Próbuję wyjaśnić, że jestem dobrą znajomą Kate Berkshire i zależy mi na tym, żeby nie zaszkodzić jej i Brendanowi, ale w końcu to wymazuję. Jeśli pani Ternkin czytała cokolwiek, co pojawiło się w prasie na temat wybuchu Brendana, to na pewno zdaje sobie sprawę, że Kate to moja przyjaciółka. Klikam „wyślij” i przez kilka minut w roztargnieniu kręcę się na krześle. Chciałabym się cieszyć, ale wciąż wracam pamięcią do wyrazu twarzy Kate, kiedy jej

opowiedziałam, co się dzieje. W głębi duszy jestem wściekła, że nie potrafi zrozumieć mojej sytuacji, ale kiedy zaczynam sobie wyobrażać, jak bym się czuła na jej miejscu, to nie wiem, co myśleć. Jej bajkowe życie zostało starte w proch. Choć stara się udawać, że decyzja o odejściu od Brendana nią nie wstrząsnęła, jestem pewna, że musiała to strasznie przeżyć. Najwyraźniej pozostaje mi trzymać kciuki za artykuł i mieć nadzieję, że nie skłóci nas do reszty.

Chwytam telefon, żeby opowiedzieć Larry'emu o historii z gazetą. Myślę o tym, że skoro Amy i Kate znają już prawdę, będę musiała przyznać mu się do swojej sytuacji finansowej. Jest czwartek. Obiecuję sobie, że załatwię to do niedzieli, zanim wyjdzie artykuł. Wybieram numer Larry'ego, ale zaraz się rozmyślam - Amy jest sama w moim domu, więc powinnam sprawdzić, jak sobie radzi.

- O, właśnie miałam do ciebie dzwonić - informuje mnie zaraz po odebraniu telefonu.

Serce podchodzi mi do gardła.

- Wszystko okej? - pytam pełna obaw.

- Tak, tak, wszystko w porządku. Właściwie to... właściwie to jestem w domu.

- A .

Jakoś bardzo dziwnie to powiedziała.

- No, w domu.

- Zaraz, zaraz. Jesteś *u siebie*?

- T a k .

- Ale... Amy, co się dzieje? Pojechałaś coś zabrać? Mike'a nie ma? Zadzwoiłaś do mamy? - Wszystko

wiruje mi przed oczami, chociaż siedzę nieruchomo na krześle.

- Nie, nie. Po prostu... musiałam wrócić do domu. Zadzwoiłam dzisiaj rano do Mike'a i ustaliliśmy kilka spraw. Jakoś sobie z tym poradzimy.

- Co? - Czuję, jakby podłoga zapadała mi się pod nogami.

- Trudno to wytłumaczyć. Nie mogę go tak po prostu zostawić, Waverly. To mój mąż.

- Mąż, który cię bije - mówię. Pieprzę strony internetowe i ich gówniane zalecenia, żeby nie krytykować znęcającego się partnera. Ktoś musi do niej dotrzeć! Serce mi łomocze, jakby w mojej piersi ktoś bił w bęben. Tysiąc bębnów. - Amy, przykro mi, ale popełniasz błąd. On cię znowu skrzywdzi. Nie jesteś tam bezpieczna. Musisz się wynieść z domu. Pomyśl, jak to się odbije na Emmie.

Amy gwałtownie chwyta powietrze.

- Jak to się odbije na Emmie? Waverly, czy ty naprawdę sądzisz, że o tym nie pomyślałam? Jak śmiesz?

Cholera. Ona potrzebuje kogoś, na kim będzie mogła się oprzeć. Jeśli teraz ją do siebie zrażę, to mogę ją stracić na zawsze.

- Przepraszam, Amy. Naprawdę mi przykro. Po prostu bardzo, bardzo się o ciebie martwię. Mike cię znowu pobije. Wiesz o tym.

- To jest mój dom, Waverly. Wiem, co sądzisz o Mike'u. Widzę, jak zaciskasz zęby, kiedy jego imię pojawia się w rozmowie, i rozumiem to. Gdybym była na twoim miejscu i tobie przytrafiło się coś podobnego,

zareagowałabym tak samo. Ale musisz zrozumieć, że nie znasz mojego męża tak dobrze jak ja, i nie masz pojęcia, jak bardzo mu zależy, żeby się zmienić, mimo tego, co się działo przez ostatnich kilka dni. Dzisiaj rano odbyliśmy długą rozmowę i Mike zgodził się pracować z terapeutą, bo wie, że to dla mnie bardzo ważne. Zrozumiał to, kiedy u ciebie przenocowałam.

- Czyli nie zamierzałaś od niego odejść? Chciałaś tylko zwrócić jego uwagę?

Przez chwilę milczy.

- Muszę myśleć o przyszłości, Waverly. Muszę patrzeć na sprawy optymistycznie. Mój mąż nie jest potworem. To nadal ten sam mężczyzna, w którym zakochałam się wiele lat temu. Tyle że jest chory. W jego rodzinie też była przemoc. Wiem, że jeśli się postara, to się z tego otrząśnie. On pragnie stać się z powrotem takim, jakim był kiedyś, Waverly Tak mówi.

Z biegiem czasu odkryłam, że wiele osób postrzega specyficzny optymizm Amy jako objaw braku inteligencji. Nieraz zdarzyło mi się widzieć, jak ludzie, którzy wcześniej nie mieli z nią do czynienia, traktują ją jak idiotkę. Owszem, jej żywiołowy entuzjazm bywa równie denerwujący jak zachowanie prowadzących poranne programy telewizyjne, a na dodatek prawdą jest, że woli rozmawiać o swoim najnowszym promocyjnym nabytku z Targetu niż o stanie gospodarki, ale Amy nie jest głupia. Dlatego właśnie cała ta sytuacja jest tak frustrująca. Problem w tym, że Amy ma charakter, który każe jej wszystko naprawiać. Zajmuje się wszystkimi ze swojego otoczenia, starając się, żeby ich

życie układało się, „jak należy”, jakby to było równie łatwe, jak wywabienie plamy z dywanu. Udało się jej nawet przekształcić tę umiejętność w karierę zawodową. To jeden z powodów, dla których ją uwielbiam, ale teraz okazuje się, że postanowiła poświęcić własne szczęście, by ratować małżeństwo.

- Słuchaj, wiem, że chciałabyś, żebym do tego podeszła jak Kate. Rozstała się z nim bez zbędnych ceregieli i zaczęła od nowa. Przykro mi, ale nie mogę. W odróżnieniu od niej mam normalne, prawdziwe małżeństwo oparte na miłości. Nie mogę z niego uciec jak z kiepskiej imprezy.

- Amy, rozumiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne - próbuję innej taktyki. - Rozumiem też, jak bardzo kochasz Mike'a - wykrztuszam z trudem. - Ale bardzo się boję, że coś ci się stanie. Co powiesz na to, żebyście się umówili z Mikiem, że pomieszkaś u mnie, dopóki on nie zrobi postępów w terapii?

- Ale ja muszę być w domu, żeby mu w tym pomagać.

- Amy...

- To jest mój dom, Waverly. Nie mogę go opuścić. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale tu jest moje miejsce.

Osuwam się na krzesło i opieram głowę o blat biurka.

- Jeżku, Amy, nie podoba mi się to. Zaslługujesz na dużo więcej.

- Zdaję sobie z tego sprawę - mówi. - I w końcu dostanę wszystko, czego potrzebuję tu, w domu. Właśnie o to walczę.

Rozłączam się z oporem, kiedy Amy stwierdza, że musi lecieć. Chwytam się, za co popadnie, żeby odpuścić złe myśli - czyszczę skrzynkę mailową, układam papiery na biurku, wyrównuję książki kucharskie stojące na regale. Nie wiem, co ze sobą zrobić. Nie chcę w tym stanie dzwonić do Larry'ego. Kate jest na mnie wściekła. Amy... nie wiem. Czuję się, jakbym zawiodła wszystkie najważniejsze dla mnie osoby.

Otwieram szufladę biurka i rozgrzebuję znajdujący się w niej śmietnik w poszukiwaniu pinezki, którą mogłabym przypiąć do ściany na zewnątrz biura planując na zbliżający się tydzień. Nagle z tyłu szuflady wytacza się stary flakonik perfum. Zupełnie o nich zapomniałam. To jedna z tych buteleczek z kulką, ozdobiona napisem „L'Air du Temps”. Zapach mojej mamy. Kupiłam te perfumy pod wpływem impulsu kilka lat temu, kiedy byłam z Amy na zakupach świątecznych w centrum handlowym.

Zdejmuję zatyczkę z flakonika i wcieram zapach w nadgarstki. Boże, to jak aromaterapia. *Mama*. Dawno temu, kiedy miałam dwadzieścia kilka lat i wciąż jeszcze pracowałam jako nauczycielka, wykorzystaliśmy z Larrym wolne z okazji rocznicy urodzin George'a Washingtona i wyjechaliśmy do winnicy niedaleko Charlottesville. Udało nam się znaleźć dwa krzesła przy stole w pokoju do degustacji. Niestety, kiedy tylko wsunęłam się na siedzenie, zwróciłam uwagę, że kobieta obok pachnie perfumami mamy. Pamiętam, że starałam się skupić na wykładzie sommeliera na temat wirginijskich win, ale nie mogłam powstrzymać łez

cisnących się do oczu. W końcu musieliśmy wyjść. Zapach obudził zbyt wiele wspomnień: jak machałyśmy do siebie, zginając jeden palec, kiedy mama zamykała drzwi po nakryciu mnie do snu, jej głośny śpiew, który rozbrzmiewał za każdym razem, kiedy w radiu pojawiła się piosenka Lindy Ronstadt, jej zwyczaj bawienia się moimi włosami, kiedy razem oglądałyśmy w telewizji filmy klasy B.

Siedzę już dłuższy czas, rozmyślając i z roztargnieniem nawijając kosmyk włosów na palec, kiedy z zadumy wyrывa mnie dzwonek telefonu. Larry. Nie odbieram. *Nie mogę* odebrać. Jedyna osoba, z którą chcę mieć teraz do czynienia, to mama. A jej nie ma.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

To zaledwie dwa akapity. Jeden. Dwa. Ale w ciągu sześciu godzin, które minęły od chwili, gdy niedzielny „Times” trafił na stoiska z gazetami, odebrałam więcej telefonów i obsłużyliśmy więcej klientów niż kiedykolwiek przez te wszystkie lata. Oczywiście, spodziewaliśmy się wzmożonego ruchu, ale nie aż takiego i z pewnością nie przed poniedziałkiem. Kto czyta w gazecie o muffinach i natychmiast biegnie, żeby je kupić? Okazało się, że sporo osób, bo w którymś momencie rano kolejka do kasy sięgała do drzwi.

Przygotowuję następną porcję, a przebiegająca obok mnie Jeannette obdarza mnie szybkim uściskiem. Randy co chwilę przybija mi piątkę. Nigdy mu nie zdradziłam, jak poważne mamy problemy, bo się bałam, że odejdzie, ale najwyraźniej sam się domyślił. Zresztą nic dziwnego, skoro tak często był świadkiem moich rozmów telefonicznych z bankiem, księgowym i idiotą wynajmującym mi lokal.

Mam właśnie zacząć napełniać foremki do muffinów, kiedy wchodzi Larry z całym plikiem gazet.

- Myślę, że można bezpiecznie powiedzieć, że interes kwitnie! - woła do wszystkich.

Jeannette odpowiada mu triumfalnym mruknięciem i pędzi z powrotem do części dla klientów.

- To wprost niewiarygodne - mówi do mnie Larry.
- Prawda? Istne szaleństwo! - zgadzam się, łapiąc gazetę ze stosu.

Ja chyba też zwariowałam! - myślę. Nadal nie powiedziałam o niczym Larry'emu. Kiedy parę dni temu przygotowałam się do tego psychicznie, a nawet przećwoczyłam w kuchni na głos, co powiem, Larry po powrocie z pracy poinformował mnie, że tego dnia zwolniono Kyle'a. Wprawdzie oznaczało to, że Larry raczej nie straci swojej posady, ale z drugiej strony jego bliski kolega został bez pracy. Był tak przygnębiony tą sytuacją, że nie miałam serca dobijać go jeszcze swoimi wyznaniem.

No dobrze, wykorzystałam to jako wymówkę.

Szukam w gazecie odpowiedniej strony i z Larrym zagląającym mi przez ramię czytamy artykuł. Znam go już prawie na pamięć:

Tuż pod Waszyngtonem, w malowniczej miejscowości Maple Hill, znajduje się Maggie's, piekarnia, gdzie Brendan Berkshire, główny kandydat na stanowisko gubernatora Wirginii, przeszedł ostatnio załamanie nerwowe, które zostało sfilmowane i które wielu waszyngtońskich demokratów radośnie nazwało początkiem końca jego triumfów - czy na pewno tak będzie, przekonamy się po czerwcowych prawyborach. Ale prawdziwą sensacją jest ta przytulna piekarnia, gdzie właścicielka, Waverly Brown, przez siedem dni w tygodniu oferuje domowe wypieki oraz dania śniadaniowe i lunchowe.

Aktualnym przebojem jest jej muffin pączkowy, słodki smakołyk, o który klienci dosłownie się biją od czasu, gdy bloger z Politico, który pierwszy opublikował wybuch

Berkshire a, wspomniał, że akurat gojadł, kiedy sfilmował tę scenę. Jest cynamonowy, aromatyczny i pyszny... a wiele osób mogłoby zapewne uznać, że przydałoby się więcej takich smakołyków w tym mieście.

- Niezłe, co? - stwierdzam, wpatrując się w nieco ziarniste zdjęcie wielkości znaczka pocztowego przedstawiające fasadę piekarni.

Nie starczyło miejsca na mój przepis, ale to i dobrze. Najważniejsze, że nie było wzmianki o Kate. Dokładnie przeanalizowałam wszystkie cztery zdania i nie znalazłam niczego, o co mogłaby się wkurzyć.

- Fantastyczne - mówi z entuzjazmem Larry, delikatnie poklepując mnie po plecach. - Jestem z ciebie taki dumny.

- Nie do wiary, co tu się dziś dzieje! - Wystawiam głowę za drzwi, żeby popatrzeć na tłum kłębiący się przed kasą. - Zupełnie, jakbyśmy wystawili reklamę, że rozdajemy pieniądze.

Larry śmieje się i potrząsa z niedowierzaniem głową.

- Cholerne muffiny! To znaczy, nie zrozum mnie źle, są dobre, tyle że sprzedajesz je od lat.

- Wiem! - śmieję się. - To niewiarygodne.

- Chcesz, żebym został i pomógł?

W pierwszych miesiącach funkcjonowania piekarni Larry często pomagał, kiedy brakowało mi personelu albo nie mogliśmy nadażyć z zamówieniami.

- Dzięki, nie musisz. Donovan ma dziś wolne, ale Randy zadzwonił do niego, a on powiedział, że przyjdzie. Za to chętnie cię odprowadzę.

Proszę Jeannette, żeby dokończyła partię, którą robię, po czym prowadzę Larry'ego do frontowej części. Kluczemy wśród tłumu, a ja co chwilę dziękuję stałym klientom, którzy wykrzykują gratulacje lub unoszą kciuk na mój widok. Już prawie docieramy do drzwi wejściowych, kiedy słyszę znajomy głos:

- Waverly! Waverly, tutaj!

Kiedy się odwracam, widzę Gary'ego, mojego księgowego, w stroju do ćwiczeń, z kawą i muffinem w ręce.

Cholera, niedobrze.

- Larry! Cześć! Lata cię nie widziałem - woła Gary.

W sumie to najpierw Larry poznał Gary'ego, grając w lokalnej lidze futbolu flagowego, a dopiero potem ja go zatrudniłam. Teraz witają się tym w połowie uściskiem dłoni, a w połowie przybiciem piątki, który mężczyźni tak lubią. Serce bije mi dwa razy szybciej. Larry nie ma pojęcia, ile czasu spędzałam ostatnio z Garym.

Zanim zdążę wymyślić, jak pokierować rozmową, żeby Gary mnie nie zdradził, on trąca mnie ręką, w której trzyma kawę, i mówi:

- Gratulacje, Waverly! No, jeśli interes dalej będzie się tak kręcił, to absolutnie nie będziesz musiała się martwić o tę pożyczkę pod zastaw domu.

Czuję, że Larry gwałtownie obraca głowę w moją stronę.

Niech cię szlag, Gary!

Do Gary'ego najwyraźniej dociera, co narobił, bo oczy mu się rozszerzają i błyskawicznie żegna się z nami, mówiąc Larry'emu, że muszą się spotkać na piwie, po czym pospiesznie odchodzi.

- Pożyczka pod zastaw domu? - powtarza Larry.

Mam wrażenie, że wyrosło pomiędzy nami pole siłowe. Nie potrafię na niego spojrzeć. Nie potrafię, nie potrafię.

- Waverly.

Czuję się jak dziecko. *Jestem* dzieckiem.

Mija dziesięć, dwadzieścia sekund. Biorę głęboki wdech.

- Chodźmy do mojego biura, porozmawiajmy.

Słucha moich wyjaśnień z palcami złożonymi w wieżyczkę. Nigdy nie widziałam u niego tego gestu. Wygląda zbyt poważnie. Zbyt ponuro. Zupełnie nie przypomina siebie. A ja teraz potrzebuję wyluzowanego Larry'ego. Larry'ego z rękami za głową, swobodnie odchylonego w fotelu do tyłu. Larry'ego wystukującego melodie jakiegoś klasycznego utworu rockowego.

Opowiedziałam mu o wszystkim, a on nie odezwał się ani słowem. Nawet się nie poruszył.

- Stale myślałam, że jeśli tylko uda mi się znaleźć sposób na rozwiązanie tych problemów, nie będziesz musiał się martwić - mówię, zbliżając się do końca spowiedzi. Zmuszam się do uśmiechu, ale sama czuję, że jest mało przekonujący. - A teraz wygląda na to, że będzie dobrze! Więc w zasadzie nie było potrzeby, żeby ci o tym mówić. Na dodatek miałeś swoje kłopoty związane z *twoją* pracą. Nie chciałam ci dokładać dodatkowego ciężaru.

Stoję przed nim, jak mi się wydaje, całe wieki, prze-
stępuję z nogi na nogę i bawię się brzeżkiem swojej ście-

reczki, którą wyciągnęłam z tylnej kieszeni. Randy ma rację - naprawdę traktuję ją jak ukochaną przytulankę.

- Ile długu jest na karcie kredytowej?

O, Boże. To pierwsza rzecz, którą ma ochotę powiedzieć? Po tym wszystkim, co mu właśnie wyznałam?

Wpatruję się w swoje stopy.

- Około dwudziestu siedmiu tysięcy dolarów.

- Dwudziestu siedmiu? - Larry nerwowo łapie powietrze.

- No, nie roztrwoniłam ich na nowe torebki! - krzyczę piskliwie. - Wszystko poszło na firmę. Możesz nie wierzyć, ale prowadzenie takiej piekarni to ogromne koszty.

- Możesz nie wierzyć - przedrzeźnia mnie - ale to rozumiem. Nie zapominaj, że dorastałem jako jedno z siedmiorga dzieci właścicieli sklepu żelaznego, Waverly. Myślisz, że nie wiem, jak to jest prowadzić własną firmę? - Przegarnia palcami włosy i spogląda na mnie. - Wiem, że to trudne, ale, na Boga, dlaczego nic nie powiedziałaś? Mogliśmy stracić nasz dom?

- Nie. Nie sądzę. W każdym razie teraz już nie. Dam radę spłacić zaległości.

- Cholera jasna - mówi, najwyraźniej coś sobie przypominając. - To dlatego wyłączyli kablówkę, kiedy byłaś na Florydzie?

Zamykam oczy

- Tak. - Do *diabła*. - Ale teraz mam już wszystko pod kontrolą. Już więcej nic podobnego się nie zdarzy.

- Waverly, nie rozumiesz najważniejszej rzeczy. Tu nie chodzi o to, czy teraz nad tym panujesz. Martwię się tym, że nie miałaś potrzeby, żeby mi o tym powie-

dzieć. Cholera, po dziesięciu latach nie potrafisz być ze mną szczerą, Waverly?

Czuję się, jakbym ledwo odstawiała od ziemi. Czuję się mniejsza od pchły. Czuję się jak zero.

- Tak mi przykro - mówię. - Nie wiem, dlaczego...

- Potrząsam głową.

- Mogłem ci pomóc.

- Nie chciałam twojej pomocy.

- Ale jej potrzebowałam.

Odwracam się od niego. Wiem, że ma rację.

- Przepraszam - mówię.

- Przestań mnie przeproszać, Waverly. Powiedz mi lepiej, dlaczego mnie okłamywałaś.

Normalnie niemal nie zauważam hałasu w pracy - stukotu garnków i patelni, brzęczenia silnika miksera, stłumionego gwaru rozmów gości w przedniej części cukierni, trzasku talerzy wrzucanych do zlewu, wody płynącej z kranów, rechotu młodszych pracowników, podśpiewywania Jeannette oraz śmiechu Randy'ego i wykrzykiwania przez niego zamówień. Teraz, w tej chwili dzwoniącej ciszy między nami, mam wrażenie, że potrafię wyróżnić każdy z dźwięków składających się na tę kakofonię. Obracam się do niego, żeby spojrzeć mu w twarz. Patrzy na mnie i czeka.

- Chciałam sama sobie z tym poradzić.

- To nie jest odpowiedź. Dlaczego mnie okłamywałaś?

- Bo chciałam sama sobie z tym poradzić! - krzyczę. - Bo czułam się jak pieprzony nieudacznik, Larry. Bo było mi wstyd za siebie. Nadal mi jest!

- Zupełnie tego nie rozumiem. Przecież nie jesteś pierwszym przedsiębiorcą, który miał zły rok. Zresztą, to nie wyjaśnia okłamywania mnie. To mnie powinnaś się zwierzać, Waverly. Po to tu jestem.

- Wiem.

- Nie sędzę - stwierdza. Podnosi się zza mojego biurka. - To bardzo niedobrze.

Przez miniony rok, gdy próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy Larry dowie się o wszystkim, zakładałam, że wpadnie we wściekłość. Będzie krzyczał i wymachiwał palcem, trzaskał drzwiami i wychodził. Ale to milczące rozczarowanie jest o wiele gorsze. Wiedziałam, że będzie na mnie zły, ale w mojej głupocie nie przyszło mi do głowy, że będzie tak gorzko zawiedziony.

- Larry, ja po prostu nie chciałam, żebyś doszedł do wniosku, że nie potrafię poradzić sobie sama - odzywam się cicho. - Wiesz, jaka jestem dumna ze swojej pracy. Nie chciałam prosić o pomoc.

Larry przez chwilę postukuje palcami o krawędź biurka i dopiero potem odpowiada:

- I właśnie o to chodzi, Waverly. Nie ma nic złego w proszeniu o pomoc. To, że kogoś potrzebujesz, nie oznacza, że jesteś słaba. Myślałem, że to wiesz.

- Przepraszam - powtarzam.

- Być może dlatego tak bardzo zajmowały cię problemy Amy i Kate - stwierdza.

Nie patrzy na mnie. Wziął długopis z mojego biurka i teraz kręci nim w dłoni. Długopis spada, a on go podnosi. I tak w kółko.

- Co masz na myśli? - pytam.

W końcu podnosi na mnie wzrok.

- Być może martwiłaś się tak obsesyjnie swoimi przyjaciółkami, żeby uniknąć rozwiązywania własnych problemów.

Jestem wstrząśnięta, że mógł coś takiego powiedzieć, ale nie mam czasu na ripostę, bo Larry wstaje i rusza ku drzwiom. Zresztą w głębi ducha wiem, że zapewne ma rację.

- Powinnaś tam wrócić - stwierdza, wyciągając kluczyki z kieszeni.

Przechodzi obok mnie i żegna się z Randym. Siatkowe drzwi, przez które wyszedł, wracają na miejsce, a ja jeszcze przez kilka minut stoję w progu biura, przyglądając się zamieszaniu w kuchni. Potem wytieram dłonie w swoją ściereczkę i idę do części dla klientów, gdzie gra muzyka i wszyscy są radośni - i to dzięki mnie.

Zmieniam Jeannette za kasą i zwracam się do następnego klienta:

- Czym mogę służyć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Tydzień później czekam w taniej restauracji, gdzie umówiłam się z Amy na lunch. Nie widziałyśmy się od czasu, gdy spędziła u nas noc, a na dodatek z naszych dawnych regularnych rozmów telefonicznych pozostała żałosna namiastka. Amy nie dzwoni do mnie wcale, a kiedy ja próbuję i pytam, co u niej, odpowiada w nietypowy dla niej, pospieszny sposób, że wszystko w porządku. Potem ona pyta, jak u mnie w pracy, i zanim się obejrzę, kończy, twierdząc, że musi natychmiast gdzieś pędzić. Zaczynam rozumieć, jak frustrujące może być troszczenie się o osobę, która nie chce naszej pomocy.

Jest to nasze tradycyjne spotkanie, więc jeszcze bardziej podejrzany jest fakt, że Amy dotychczas nie przyszła. Każdej wiosny biorę tydzień wolnego i rozpoczynamy moje wakacje lunchem w Paulsens, starym barze samoobsługowym w przerdzewiałym baraku, który działa przy Main Street już od lat czterdziestych dwudziestego wieku. Co roku przez pierwszych dziesięć minut naszego lunchu Amy strofuje mnie, że nigdzie nie wyjeżdżam:

- Nie masz dzieci! Proszę, w imieniu nas wszystkich, które je mamy, *wyjeżdż dokądś!* Do Brazylii, Irlandii... chociaż do Miami. Gdzieś, gdzie będziesz mogła przez całą noc szaleć, a w dzień spać.

Nie rozumie, jak ja uwielbiam po prostu być w domu bez żadnych obowiązków i planów. Mogę sobie poczytać zaniedbywane książki kucharskie i pogotować według ulubionych przepisów. Jeśli mam ochotę, jem pieczonego kurczaka na śniadanie, nie myję zębów aż do południa i oglądam powtórki *Seinfelda* po popołudniowej drzemce. Snuję się po domu i robię, co chcę, a pod koniec tego tygodnia jestem przekonana, że odpoczęłam bez porównania lepiej, niż gdybym go spędziła w pięciogwiazdkowym spa, trwoniąc swój fundusz emerytalny, na co kiedyś chciała namówić mnie Kate.

Z oczywistych przyczyn w tym roku nie mogę sobie zrobić wakacji, nawet polegających na leniuchowaniu w domu. Jednak wspominając o tym Amy kilka dni temu, poprosiłam ją, żebyśmy mimo to spotkały się na naszym tradycyjnym lunchu. Wiedziałam, że to swego rodzaju szantaż emocjonalny, ale muszę się z nią zobaczyć, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Pochyliłam się na stołku, żeby zerknąć na drzwi wejściowe, gdzie wije się sznur klientów. Nadal ani śladu Amy. Sprawdzam godzinę na telefonie komórkowym. Czekam już prawie dwadzieścia minut i w tym czasie czterokrotnie do niej dzwoniłam. Z każdą upływającą minutą serce bije mi coraz szybciej. Czyjej nie ma, bo po prostu się spóźni? Czy wystawia mnie do wiatru, bo jest na mnie zła? Czy też dzieje się coś gorszego?

Obok mnie przy ladzie siedzi może dwudziestoletnia kobieta z włosami ufarbowanymi na żółty blond, kojarzący mi się z ciastem z kremem bananowym, które sprzedają latem. Jest zaczytana w artykule z „US

Weekly" o aktorce filmów klasy B, która się zwierza: „Jak w końcu schudłam!”. Waham się przez chwilę, czy jej przeszkadzać.

- Eee, przepraszam bardzo. - Pochyliam się w jej kierunku. Właśnie wzięła do ust duży łyk mlecznego koktajlu czekoladowego i stara się go szybko przełknąć, uśmiechając się z zażenowaniem i unosząc palec do góry.

- Przepraszam. - Robię słodką minę. - Czy mogłabym zasięgnąć pani opinii? Ile razy zadzwoniłaby pani do przyjaciółki, z którą jest umówiona na lunch, zanim uznałaby pani, że wystawiła panią do wiatru?

- Hm - mówi, patrząc w sufit i jednocześnie wsuwając rękę pod bluzkę, żeby poprawić ramiączko stanika. - No, to chyba zależy od „przyjaciółki”. Jak dobrze się znać? - Unosi brwi i konspiracyjnie pochyla się w moją stronę. - Ile razy pani dzwoniła?

- Cztery.

Krzywi się.

- Myślę, że *on* już nie przyjdzie - oznajmia takim tonem, jakby przekazywała mi złe wieści.

- Och, ale to nie jest „on” i nie randka.

Kiwa głową ze współczuciem, dając mi do zrozumienia, że możemy udawać, że to nie randka, jeśli tak mi łatwiej.

- Naprawdę chodzi o moją przyjaciółkę - upieram się.

Nie wiem, dlaczego czuję potrzebę, żeby się tłumaczyć przed dzieckiem, i to dzieckiem, które - miejmy nadzieję - w końcu zrozumie, że używa zdecydowanie za dużo tuszu do rzęs.

- Ona przechodzi trudny okres - ciągnę. - A ostatnio, kiedy się nie pokazała, stało się jej coś złego, dlatego się martwię, że... - Oczy dziewczyny przybierają nieobecny wyraz. - Mniejsza o to. Przepraszam, że przeszkodziłam.

- Nic nie szkodzi. - Wzrusza ramionami i dotyka mojej ręki. Jej sztuczne paznokcie są zimne i twarde jak moneta. - Wszystkie przez to przeszłyśmy. - Kiwa ponuro głową.

Odwzajemniam to skinienie. Nie ma sensu jej przekonywać, że mówię prawdę. Spoglądam na telefon i staram się zmusić go siłą woli, żeby zadzwonił. Jest 12.36. Daję Amy czas do 12.40. Jeśli do tej pory nie wejdzie do baru, pojedę do jej domu.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Larry'ego lub Kate, żeby zasięgnąć ich rady, ale nie chcę przeszkadzać Kate, która i tak ma dość na głowie, a co do Larry'ego... Kiedy wieczorem po swoim wyznaniu wróciłam do domu, nieco podchmielona po dwóch kieliszkach szampana, który sprezentowali mi pracownicy, wsunęłam się do łóżka i przytuliłam do jego boku. Zaczęłam płakać i go przeproszać, tak że w końcu się obudził, a wówczas usłyszałam:

- Musisz zdecydować, czego chcesz. - Nie objął mnie, żeby mnie pocieszyć. Nawet się nie odwrócił.

- Tak mi przykro, że cię zawiodłam - łkałam, wycierając nos ręką.

- Przestań już myśleć o tym, jak mnie zawiodłaś, Waverly - powiedział tak wyraźnie, że stało się jasne, iż wcale nie spał, kiedy kładłam się do łóżka. - Musisz

w końcu zdecydować, czego właściwie ode mnie oczekujesz. Bo skoro nie potrafisz mi się zwierzyć, skoro mnie nie potrzebujesz, to nie wiem, co tu w ogóle robię.

- Ale ja cię kocham.

- Zastanów się nad tym - uciał.

Od tamtej pory chodzę wokół niego na paluszkach. W pracy mamy takie szaleństwo, że mogę to wykorzystywać jako wymówkę, żeby jak najdłużej być poza domem i unikać poważnej rozmowy, którą - jak wiem - i tak musimy odbyć. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy obydwójce jesteśmy w domu i nie śpimy, rozmawiamy praktycznie o niczym - jak ci minął dzień i tak dalej. Larry nie chce ze mną rozmawiać. Ja ze swojej strony staram się regularnie go informować o postępach w spłacaniu należności („Dziś zapłaciłam ratę pożyczki hipotecznej... Myślę, że w następnym miesiącu będę mogła wcześniej zapłacić czynsz...”), takjakby to mogło zrekompensować błędy, jakie popełniłam.

Wypijam łyk wody sodowej i znów patrzę w kierunku wejścia, gdzie tłum głodnych klientów stale się powiększa. Stoją bezładną masą pod ścianą i przenoszą wzrok ze stolika na stolik, wypatrując niemal opróżnionych talerzy, sięgania po portfel czy innych oznak, że miejsca za chwilę się zwolnią. Niewątpliwie interes tu kwitnie, zauważam, i żałuję, że nie mogę zachęcić oczekujących, żeby odwiedzili znajdującą się kawałek dalej doskonałą piekarnię, o której wspomniano w „New York Timesie” w ubiegłą niedzielę.

Kelnerka za ladą przechodzi obok, patrząc znacząco na mnie, a następnie na oprawione w plastik

menu, które mi rzuciła, kiedy siadałam. Wiadomo, co myśli - „Jeśli nie zamawiasz, ustąp miejsca komuś, kto chce jeść”. Przeglądam spis oferowanych potraw. Przez całe rano chodziła za mną kanapka z bekonem, sałatą i pomidorem, ale teraz już sama myśl o niej powoduje, że żołądek podchodzi mi do gardła. *Umówiliśmy się na 12.15, prawda”?*

Ponownie zerkam na telefon: 12.39. Nie ma na co czekać.

Rzucam na ladę kilka dolarów za wodę sodową i zeskakuję ze stołka, starając się nie zauważać współczującego uśmiechu mojej sąsiadki i grymasu zniecierpliwienia kelnerki, kiedy ruszam ku drzwiom.

Amy nigdy mi nie wybaczy tego panikarskiego zachowania, jeśli się okaże, że to zwykłe nieporozumienie. Z drogi dzwonię do niej jeszcze dwa razy, co daje w sumie sześć telefonów w ciągu pół godziny. Boże, wszystko bym dała, żeby to było zwykłe nieporozumienie.

Po przyjeździe do jej domu stoję na betonowym podeście frontowej werandy i podzwaniem kluczykami, starając się przerwać ciąg straszliwych scen, które sobie wyobrażam od chwili wyjścia z baru. Trzykrotnie naciskam dzwonek. Nikt nie otwiera.

Boże, proszę, żeby nic jej nie było.

Staram się dostrzec coś w środku przez półprzejrzyste zasłony wiszące w oknach po obu stronach wejścia, ale to nic nie daje. Odwracam się i spoglądam na domy po drugiej stronie ulicy. Wszystkie garaże są zamknięte, nie widać żadnych samochodów na pod-

jazdach. Na końcu jednego z nich leży sterta zwilgotniałych gazet przypominających zwiędłą sałatę. Mogłabym zrobić nago gwiazdę na trawniku Amy, a i tak nikt by nie zwrócił na to uwagi. Może ten wszechobecny spokój skłania ludzi do przeprowadzania się do takich dzielnic, ale dla mnie jest tu dziwnie. Domy wyglądają z zewnątrz tak nieskazitelnie - otoczone żywopłotami przyciętymi tak równo i starannie, jakby zajmował się nimi wojskowy fryzjer, z drzwiami wejściowymi ozdobionymi okolicznościowymi wieńcami i wycieraczkami witającymi gości. Zastanawiam się, kim są sąsiedzi Amy - gdzie pracują, skąd pochodzą, jak spędzają wieczory po powrocie do domu pod koniec dnia... i co sądzą o młodej rodzinie mieszkającej naprzeciwko.

Mam już zrezygnować z czekania i obejść dom, żeby spróbować zajrzeć do środka przez przesuwne szklane drzwi obok kuchni, kiedy po drugiej stronie słyszę jakiś dźwięk, jakby ktoś poruszał klamkę.

- Amy? - Pukam energicznie w drzwi. - Ame, czy to ty? - Znów usiłuję zajrzeć przez okno, ale trudno tam cokolwiek dostrzec. Klamka znów się porusza. - Amy?

- Nie umiem otworzyć - mówi cienki głosik zza drzwi.

Emma!

- Emmo, kotku, czy to ty? - Serce bije mi szybciej, w rytmie niecierpliwego pukania palcami w drzwi.

Znowu poruszenie klamki.

- Emmo? Tu Waverly.

- Ciocia Wave-u-rli? - pyta Emma piskliwym głosem.

- Emmo, gdzie jest twoja mamusia? Czy jest tam mamusia? - Czekam na odpowiedź. *Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy* - odliczam sekundy, starając się zachować spokój, żeby jej nie przestraszyć.
- Emmo, kochanie? Czy jest twój tatuś? Czy jesteś sama? Czy jest ktoś dorosły, kto może otworzyć drzwi?

- Mamusia jest na górze - odpowiada dziewczynka.

Ulga ogarnia mnie z taką siłą, jakby ktoś mnie oblał nią z wiadra nad drzwiami. *Cholera, Amy*. Czy po prostu zapomniała? Uderzam w dzwonek kilka razy z rzędu.

- Emmo, możesz poprosić mamusię, żeby podeszła do drzwi?

- Mamusię?

- Tak, kotku. Przyrowadź mamusię do drzwi. Możesz to zrobić?

- Nie!

Do diabła! To nie jest pora na przekomarzanie.

- Emmo, daj spokój. Proszę, idź po mamusię.

- Nie. Mamusia śpi.

Ogarnia mnie lodowaty chłód. Śpi? Kiedy Emma jest na nogach? Niemożliwe. Jednak przecucie mnie nie myliło. Stało się coś złego. Cofam się i podnoszę wycieraczkę w poszukiwaniu zapasowych kluczy, potem sprawdzam jeszcze pod doniczkami po obu stronach wejścia. Nic z tego. Wybieram numer domowy Amy i słyszę wewnątrz domu stłumiony dzwonek.

- Emmo, czy możesz otworzyć drzwi?

- Są zamknięte.

- A czy jest w nich klucz, kotku?

- Klucz? - Wyraźnie nie ma pojęcia, o co mi chodzi. Nie mogę tracić czasu na tłumaczenia.

- Emmo, kochanie, zostań tutaj, dobrze? Ja pójdę od tyłu i spróbuję wejść do środka tamtędy.

Biegnę, otwieram furtkę od ogrodu i pędzę dalej, potykając się po drodze o zwinięty wąż. Przeskakuję nad schodkami werandy, żeby jak najszybciej dotrzeć do przesuwanych szklanych drzwi.

Cholera, też zamknięte!

Oślaniam oczy dłońmi i zaglądam do środka. W kuchni znów panuje nieskazitelny porządek - serwetki schludnie ułożone w serwetniku na środku kuchennego stołu, jabłka i pomarańcze w niebieskiej misie na blacie.

Co się tu, do diabła, dzieje?

Bębnię ręką w drzwi, wołając Emmę.

- Emmo! - Walę pięścią. - Emmo, chodź tutaj, tu Waverly. - Wpatruję się w okno i w końcu widzę Emmę, jak okrąża narożnik, ściskając w objęciach podniszczonego pluszowego królika. - Kotku! - Klękam, żebyśmy mogły patrzeć na siebie na tym samym poziomie przez szybę z grubego szkła. - Powiedz mi, czy możesz obudzić mamusię?

- Mamusia jest na górze - odpowiada dziewczynka, unosząc jedną dłoń wewnątrz do góry, jakby była maleńką kelnerką trzymającą niewidzialną tacę. - Mówiłam ci, ona śpi.

- Rozumiem, kochanie. A czy możesz ją dla mnie obudzić? - Wyciągam z kieszeni telefon i ponownie

dzwonię na domowy numer, licząc, że dzwonek obudzi Amy.

- Ona od dobranocki jest na górze.

- Emmo, czy dobrze się czujesz?

Dziewczynka wpatruje się we mnie, trzymając mocno króliczka i mnąc jego ucho pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym. Z pewnością coś jest nie w porządku. Emma powinna być w przedszkolu, a Amy powinna siedzieć ze mną w Paulsen's i być już w połowie zapiekanej kanapki z tuńczykiem i majonezem, którą zawsze faszeruje chipsami ziemniaczanymi.

Rozglądam się po podwórku, a potem po identycznych ponurych, pozbawionych drzew ogródkach sąsiadów, postukując palcami w podbródek. *Czy to będzie idiotyzm?* I zanim zdążę zmienić zdanie, wybieram numer alarmowy 911. Emma nadal obserwuje mnie w milczeniu z drugiej strony szklanych drzwi, stojąc tak blisko szyby, że niemal dotyka jej pępuszkiem. Zmuszam się, żeby się do niej uśmiechnąć, a potem delikatnie do niej macham, zginając palce w kostkach. Odwzajemnia ten gest.

- Dziewięć jeden jeden. Co się stało?

- Eee... - zaczynam. Trzymam telefon prawą ręką, a lewą potrząsam przy boku, usiłując się uspokoić. - Chodzi o moją przyjaciółkę. Stoję przed jej domem i boję się, że coś jej się stało. Jej córeczka, trzyletnia, stoi po drugiej stronie zamkniętych na klucz drzwi i mówi, że mama śpi.

- Czy słyszy pani jakieś hałasy? Albo coś innego, co daje pani powód sądzić, że przyjaciółce stało się coś złego w domu?

Nawet dyspozytorka dyżurująca pod telefonem alarmowym zachowuje się, jakbym przesadnie reago-
wała.

- Tak, mam powody, żeby sądzić, że coś jej się stało.
- Proszę kontynuować.

Zamykam oczy.

- Wiem, że w jej domu dochodziło do przemocy fizycznej.

- Jaki to adres? Zaraz kogoś wyślemy.

Podaję żądane informacje i wsuwam telefon do kieszeni.

- Emmo, kotku, trzymaj się - mówię. - Już tu jadą ludzie, którzy za chwilę otworzą drzwi.

Pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy na widok policjanta, który podjechał pod dom i właśnie wysiada z samochodu, to że wygląda jak nastolatek przebrany w policyjny mundur. Jestem zawiedziona, bo tu potrzebny jest ktoś poważny i z doświadczeniem, a nie dzieciak, który sprawia wrażenie, jakby przez cały dzień objeżdżał okolicę, opowiadając sobie z kolegami przez radiotelefon pieprzne dowcipy.

- To pani dzwoniła? - pyta, zatrzasnąc drzwi radiowozu i idąc podjazdem w moim kierunku.

- Tak. - Splatam dłonie, żeby przestały się trząść. - Córeczka mojej przyjaciółki jest w środku i mówi, że jej mama śpi na górze, ale myślę, że coś się stało.

Policjant zatrzymuje się w połowie podjazdu i otwiera notes, w którym zaczyna coś zapisywać - *powoli*.

- Powiedziała pani dyspozytorce, że uważa pani, iż w tym domu dochodziło do przemocy? - Mówiąc

to, nie podnosi wzroku, tylko kontynuuje metodyczne, staranne pisanie.

- Tak, przyjaciółka mi powiedziała, że mężą maltretuje fizycznie. Albo maltretował.

Nadal pisze, a po chwili zaczyna postukiwać końcem długopisu w notes, jakby szukał właściwego słowa.

- To które? - mówi, patrząc na mnie.

- Co „które”? - pytam zdezorientowana.

- Maltretuje czy maltretował? Powiedziała pani jedno i drugie.

- Aha. - Pomimo dziecięcej twarzy ma odznakę i broń, co mnie onieśmiela, i tak zapewne ma być. Zmuszam się, żeby nie odwrócić wzroku i rozegrać to właściwie dla dobra Amy. - Powiedziała, że przestał, ale szczerze mówiąc, nie wierzę jej.

Znów zaczyna pisać.

- W porządku - mówi w końcu.

Wkłada notes do kieszeni i rusza w kierunku domu. Idę tuż za nim.

- Jej córeczka jest po drugiej stronie drzwi - uprzedzam go, bo nie chcę, żeby ją przestraszył. Policjant puka do drzwi, po czym dwukrotnie dzwoni.

- Jej córeczka, Emma, jest zaraz po drugiej stronie drzwi - powtarzam. - A przynajmniej była minutę temu.

Próbuje coś zobaczyć przez okna, jak ja przedtem.

- Nic nie... - zaczynam.

Znowu stuka, tym razem głośniej.

- Policja! - woła. - Tu policja!

Słyszę głos Emmy zawodzącej za drzwiami.

- Emmo, kochanie? - Wsuwam się przed niego i przyciskam ucho do drzwi, nie zwracając uwagi na jego spojrzenie.

- Emmo, kochanie?

Nic.

- Emmo, dziecinko, powiedz coś, proszę.

Spoglądam na policjanta.

- Musiała odejść. Już jej nie słyszę.

Odwraca się ode mnie i skubie wargę kciukiem i palcem wskazującym. Najwyraźniej usiłuje zdecydować, co robić dalej. Dlaczego po prostu nie wyłamię drzwi, nie wybije okna czy coś w tym rodzaju?

- Emmo! - Walę z całej siły w drzwi. - Czy może pan jeszcze czegoś zrobić? - zwracam się do policjanta.

Ignoruje mnie i dalej wpatruje się w przestrzeń.

- Emmo! - wołam jeszcze raz.

W końcu policjant obraca się do mnie i mówi:

- Nie wolno mi bez powodu wejść do domu, ale skoro wygląda na to, że to dziecko jest w domu samo...

- Nie jest sama. Powiedziała, że jej matka śpi na górze.

Kiwa głową, ale nie potwierdzająco, tylko żeby mnie uciszyć.

- Zadzwońię po wsparcie - stwierdza i rusza z powrotem do radiowozu.

Po męczącym, pełnym niepokoju wyczekiwaniu, które trwało pewnie kilka minut, ale mnie wydawało się wiecznością - podczas którego ja nadal waliłam w drzwi i zaglądałam przez wszystkie okna na parterze,

a policjant siedział w samochodzie i wysyłał SMS-y lub robił Bóg wie co - przyjeżdża w końcu drugi policyjny radiowóz. Wygląd policjanta, który z niego wysiada, działa na mnie bardziej uspokajająco. Jest starszy, ma policzki jak u basseta i postawę sugerującą, że służył w wojsku. Jest również bardziej kompetentny od pierwszego. Bierze z bagażnika taran i razem z kolegą zaczynają uderzać nim w drzwi. Stoję na chodniku przed domem i modłę się, żeby nie było za nimi Emmy. Kiedy drzwi w końcu ustępują, chcę natychmiast wbiec do środka. Młodszy policjant czeka, aż drzwi całkowicie się otworzą i dopiero wówczas daje krok do środka. Ruch wygląda na tak starannie opracowany, że musiał go ćwiczyć w domu przed lustrem. Z przygnębieniem zastanawiam się, czy kiedykolwiek już to robił.

Kiedy drugi policjant wchodzi do domu, ruszam za nim.

- Nie wolno, proszę pani, przykro mi - mówi i wyciąga rękę, żeby mnie zatrzymać. - Na wszelki wypadek musi pani pozostać na zewnątrz.

Opieram się bezwładnie o futrynę. *Co to znaczy, na wszelki wypadek?* Czuję taki przypływ adrenaliny, że dostaję zawrotów głowy. Mój wzrok pada na stolik w przedpokoju. Widzę kluczyki Amy na tacy i zdjęcie Emmy ubrudzonej tortem, z jej pierwszych urodzin. Popołudnie zrobiło się wietrzne i muszę odgarniać sobie włosy z twarzy, a mój niepokój jeszcze bardziej pogłębia niski i głuchy jęk powiewów wiatru. Usiłuję się skupiać na odgłosach wydawanych przez policjantów, którzy dysząc, wbiegają po schodach.

- Jesteśmy z policji - mówi po chwili jeden z nich.
- Czy coś tu się stało? Jestem tu, by pomóc.

Gdzie jest Emma?

- Emmo? - wołam. - Emmo, tu ciocia Waverly.

Nie mam czasu się zastanowić, czy wejść do środka i jej szukać, bo dobiega mnie głośny tupot kroków na schodach. Pochylam się w stronę wnętrza domu.

- Mówiła pani, że gdzieś tu jest jej córka? - mówi starszy z policjantów, w którego postawie i wyrazie twarzy widoczne jest teraz jeszcze większe napięcie.

- Tak, tak! - krzyczę. *Coś się stało. Boże. Co się stało?*

- Rozmawiała ze mną, stojąc po drugiej stronie drzwi. Za ledwie chwilę temu!

- W porządku. - Wyjmuje radiotelefon i naciska guzik. - Tu posterunkowy Dillard. Znajduję się przy 42 Green Leaf Court. Proszę przysłać karetkę.

Karetkę.

Łapię się ściany, żeby nie upaść na ziemię, a drugą rękę wyciągam do policjanta.

- O Boże, co się stało?! - krzyczę głosem drżącym ze strachu. - O, nie! Boże! Proszę mi powiedzieć, że nic jej nie jest!

Kładzie swoją dłoń na mojej, tam gdzie chwyciłam go za przedramię, i delikatnie odczepia moje palce.

- Czy ma pani kogoś, po kogo może zadzwonić? - pyta.

Szczęście w nieszczęściu, że Larry pracuje dziś w domu, kończąc artykuł, który ma dostarczyć do czasopisma naukowego. Przyjeżdża niecałe pięć minut po karetce. Siedzę przed domem na mokrej ziemi, trzymając Emmę na kolanach. Okazało się, że schowała się w rogu swojego

pokoju za stertą pluszowych zwierzątek. Nie odezwała się ani słowem od czasu, gdy policjant wyniósł ją z domu.

Larry podbiega do nas i pyta cicho:

- Jak sytuacja? - Zerka przy tym na Emmę.

- Niczego mi jeszcze nie powiedzieli - mówię, bawiąc się kosmykiem włosów dziewczynki. - Przyjechali ratownicy, weszli do domu z policjantami, a potem wyszli, żeby wziąć nosze. - Kręci mi się w głowie, zupełnie jakbym przed chwilą obracała się w kółko, tak jak to robiłyśmy z mamą na podwórku, kiedy byłam dzieckiem.

- A co z policją?

- Wszyscy są w środku.

Razem z karetką przyjechał jeszcze trzeci radiowóz.

Larry wstaje i idzie w kierunku domu. Wyciąga szyję, usiłując coś dostrzec bez podchodzenia zbyt blisko do frontowych drzwi. Słyszę w pewnej odległości dźwięk jadącego samochodu i modlę się, żeby nie zmierzał tutaj. Nie potrafię sobie wyobrazić, co by się stało - co bym zrobiła - gdyby pokazał się tu Mike. Ale nie przyjedzie... Z pewnością nie. Nie mógłby. Jestem teraz przekonana, że ma coś wspólnego z tym, co się tu stało. Samochód, który słyszałam - ciężarówka z firmy zajmującej się pielęgnacją trawników - mija skręt w naszą uliczkę. Mocniej obejmuję Emmę. Nie widziałam jeszcze żadnego z sąsiadów Amy. Jeśli ktoś jest w domu, to zapewne uznał, że najlepiej obserwować sytuację zza zasłony. Przyglądam się po kolei oknom, usiłując kogoś wypatrzeć.

Larry wraca i klęka obok mnie.

- Dzwonili jeszcze do kogoś? Zadawali ci jakieś pytania? - Kręci młynka kciukami tak jak wówczas, kiedy martwi się o swój laptop, pracując w domu.

Pociągam go za rękaw bluzy z polaru, a wówczas siada koło mnie, obejmuje mnie ramieniem i delikatnie podszczypuje Emmę w rączkę, uśmiechając się do niej. Opowiadam mu, że młodszy policjant spisał moje zeznanie. Nie chciał wiedzieć nic poza podstawowymi informacjami - jak się nazywam, w jakim jestem wieku i jak długo znam Amy i Mike'a. Kiedy poprosił, abym potwierdziła, że powiedziałam, iż w ich domu dochodziło do przemocy fizycznej, a ja zaczęłam odpowiadać, przerwał mi i stwierdził, że potrzebuje tylko oświadczenia, iż tak powiedziałam. Niczego więcej. Zanim zdążyłam go przekonać, żeby pozwolił mi dokładniej o tym opowiedzieć, odwrócił się i poszedł z powrotem do domu.

Oczy mam przez cały czas utkwione w drzwiach wejściowych.

- Nikt mi niczego nie powiedział. Po rozmowie ze mną tamten policjant przyniósł Emmę. - Gładzę dziewczynkę delikatnie po plecach. Wrywa pojedyncze źdźbła trawy i układa je w równych rządkach na mojej nodze.

- Nikt nie zadzwonił do Mike'a? - szepce mi Larry do ucha, trzymając usta tak blisko, że aż mnie to łąskocze.

Potrząsam przecząco głową, a on przyciąga mnie bliżej do siebie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Larry i ja śpiewamy właśnie z Emmą, usiłując sobie przypomnieć słowa „Jedzie pociąg z daleka”, kiedy w końcu wynoszą Amy z domu. Ratownicy mocno trzymają oba końce noszy z solennie ponurym wyrazem twarzy żałobników niosących trumnę. W chwili, kiedy ją dostrzegam, tracę nad sobą kontrolę, chociaż obiecywałam sobie, że zachowam spokój ze względu na Emmę.

Biegnę ku noszom, potykając się po drodze, bo nogi mam jak z waty. Wykrzykuję jej imię, a wówczas jej głowa obraca się w moim kierunku. Amy jest półprzytomna. Patrzy na mnie zmrużonymi oczami, jakby nie potrafiła przypomnieć sobie, kim jestem. Jej spojrzenie jest mętne jak woda w stawie.

Jest ubrana w poplamioną farbą, wystrzępioną bluzę Uniwersytetu Północnej Karoliny, którą ma, od kiedy ją znam, a zapewne nawet dłużej. Widziałam ją w niej setki razy. Teraz opadają mnie wspomnienia - wyraźne i szybko zmieniające się obrazy, zupełnie jakbym przerzucała kartki w jednej z tych dziecięcych książeczek, gdzie z obrazków robił się film: jak jemy posiłek na wynos i oglądamy sitcom *Will i Grace* w naszych mieszkaniach po pracy, jak przywożę jej lasagne w dniu, kiedy wróciła z Emmą do domu, jak wspólnie

malujemy meble w piekarni przed otwarciem i jak kuleje kilka tygodni temu.

Usta ma otwarte, jakby zamarły w pół słowa. Kiedy przysuwam się bliżej, wciskając pomiędzy jednego z ratowników a nosze, dostrzegam posiniaczoną skórę wokół jej prawego oka oraz zaschniętą krew przy nosie, ustach i oczach. Dolną część ciała ma przykrytą prześcieradłem, ale kiedy unosi je podmuch wiatru, widzę, że jest naga od pasa w dół, a jej uda pokrywają niezliczone siniaki, tworzące przerażającą paletę kolorów - czerni, fioleto i czerwieni. Na jej szyi też widać ślady, wszystkie zażółcone na krawędziach, jak papier, który długo leżał na słońcu.

- Czy ona wyzdrowieje? - krzyczę do wszystkich, którzy zechcą mi odpowiedzieć.

- W takim stanie znaleźliśmy ją w łóżku - wyjaśnia jakiś głos za mną.

Odwracam się i widzę młodego funkcjonariusza, który przyjechał tu pierwszy po moim telefonie.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej.

- Nie ma pełnej świadomości, co się dzieje, jest zdezorientowana, więc to może być jakiś uraz mózgu.

- Mówi to tak swobodnym tonem, jakby opowiadał o akcji podczas meczu futbolowego.

Rzucam się w stronę karetki i łapię jednego z ratowników za kurtkę.

- Jadę z wami - oznajmiam.

- Przykro mi, proszę pani, ale nie możemy na to pozwolić. Musi pani jechać za nami - odpowiada.

Czuję, że za chwilę oszaleję. Obracam się w stronę, gdzie przedtem siedziałam, i widzę, że Larry z Emma

są już w samochodzie. Biegnę do drzwi dla pasażera, które czekają na mnie otwarte.

Kiedy pędzimy do szpitala, poprzedzani przez karetkę, której syrena wyje jak zwierzę, siedzę mocno przytulona do Emmy na tylnym siedzeniu. Trudno określić, ile ona z tego rozumie, ale obawiam się, że więcej, niż sądzimy. Jeszcze w domu Amy, kiedy czekaliśmy, aż ratownicy ją wyniosą, powiedziałam Emmie, że jej mamusia jest chora, a ci mili ludzie dadzą jej lekarstwa, żeby poczuła się lepiej. W jej ponurym skinieniu głową nie było nic dziecięcego, podobnie jak w tym, że potem po prostu się odwróciła i dalej bawiła trawą, nie zadając żadnych pytań. Obudziło to we mnie podejrzenie, że widziała już niejedno, i z pewnością były to sceny, których żadne dziecko nie powinno oglądać.

W lusterku spotykam spojrzenie Larry'ego. Uśmiecha się do mnie smutno, tym nerwowym uśmiechem z zaciśniętymi ustami, którym ludzie obdarzają cię, kiedy nie mogą ci dać niczego innego. Widziałam go wielokrotnie w tygodniach po śmierci moich rodziców i wolałabym już nigdy go nie oglądać.

Syrena zawodzi złowieszczo, a my pędzimy obramowaną drzewami wstęgą autostrady biegnącej wzdłuż Potomacu. Trzymam się wolną ręką siedzenia tak kurczowo, jakbym się znajdowała na tratwie, a wokół szalały wody wzburzonej rzeki.

Od czasu śmierci rodziców byłam w szpitalu Georgetown tylko raz. Było to po narodzinach Emmy i musiałam zmobilizować całą siłę woli, żeby podczas

półgodzinnej wizyty uśmiechać się i zachwycać nie-mowlęciem. Miałam wtedy ochotę wyskoczyć przez okno. Z tym miejscem wiąże się dla mnie zbyt dużo strasznych wspomnień i wszystkie one nagle wracają, gdy wysiadam z samochodu Larryego i wchodzę do jasno oświetlonego holu oddziału ratunkowego. Widzę ladę rejestracji, gdzie kiedyś stałam, pytając, jak znaleźć rodziców, oraz zatłoczoną poczekalnię, która kojarzy mi się z dworcem autobusowym. Jeden z ratowników informuje mnie, że Amy zabrano do części urazowej i że jak już będzie coś wiadomo, lekarz wyjdzie i znajdzie mnie.

Larry zabrał Emmę do naszego domu, więc przez dwadzieścia minut stoję sama w pobliżu stanowiska pielęgniarek w głównej części zabiegowej. Dwaj chirurdzy o potężnych klatkach piersiowych, ubrani w bluzy i czepki, mierzą mnie wzrokiem, przechodząc do jednego z zasłoniętych pomieszczeń znajdujących się na obwodzie sali. Zza wysokiej lady oddzielającej stanowisko pielęgniarek od reszty sali wygląda jedna z sióstr i pyta, czy czegoś potrzebuję. Niewątpliwie im tu zawadzam, ale nie mam zamiaru odejść. Pielęgniarka zaczyna mi wyjaśniać, jak trafić do poczekalni, lecz jej przerywam, bo wiem, gdzie to jest. Pamiętam wysiedziane krzesła i słodko-zgniły zapach maszyny z przekąskami. Pamiętam stołówkę, kawiarenkę i to właśnie stanowisko pielęgniarek, gdzie można się spotkać z serdecznym współczuciem lub otwartą irytacją, zależnie od tego, kto ma dyżur. Za dwa miesiące przypada szesnasta rocznica śmierci moich rodziców, a dla

mnie nadal jest zbyt wcześnie, by tu wracać. Nie chcę ponownie oglądać tego wszystkiego. Nigdy.

Stoję nieruchomo w jednym miejscu, jakbym miała pod stopami namalowany znak „X”. Lekarka, która mnie w końcu odnajduje, nie była na szczęście jedną z osób opiekujących się wówczas moimi rodzicami. Jest rumiana i pulchna, ma wygodną krótką fryzurę i jasnofioletowy golf pod fartuchem. Z wyglądu przypomina wychowawczynię z przykościelnego przedszkola. Uśmiecha się uprzejmie i wyciąga dłoń, żeby się przedstawić. Nazywa się doktor Meyer. Prowadzi mnie do wnęki, gdzie będziemy mogły spokojnie porozmawiać.

Kiedy tam stajemy, opiera się o ścianę i powoli kołysze do przodu i do tyłu, jakby chciała podrapać sobie swędzące miejsce na plecach. To swobodne zachowanie mogłoby mnie do niej zrazić, gdyby nie troska w głosie i utrzymywanie przez cały czas kontaktu wzrokowego, pomimo że nieustannie przechodzą koło nas jacyś ludzie. Ja również opieram się o ścianę.

- U pani przyjaciółki stwierdziliśmy krwiak nad-twardówkowy - mówi. - Jest to uraz mózgu powstający w wyniku krwawienia z tętnicy oponowej środkowej, która jest jedną z tętnic doprowadzających krew do mózgu. Krwiak, czyli nagromadzenie krwi, utworzył się po zewnętrznej stronie opony twardej, czyli warstwy ochronnej otaczającej mózg. - Układa prawą dłoń w kształt litery C, żeby zilustrować swoje wyjaśnienia. - W tej chwili jest operowana. Nasz zespół neurologów stara się usunąć krwiak.

Gapię się na smugę na ścianie zajęj głową i czekam, aż mój umysł przyswoi jej słowa.

- Czy wyzdrowieje? - pytam bełkotliwie. W ustach mam tak sucho, jakbym żuła trociny.

- Taki krwiał powstaje w wyniku urazu czaszkowo-mózgowego, czyli jakiegoś uderzenia w głowę. Może to być skutek wypadku samochodowego albo pobicia. - Ze sposobu, w jaki to wszystko mówi, wnioskuję, że już wielokrotnie udzielała takich wyjaśnień. - Wiem, że musiała się pani przerazić, kiedy ją zobaczyła. Czy wydawała się zdezorientowana? Nie do końca przytomna?

Kiwam potakująco głową, mam wrażenie, że się przewrócę od tego ruchu. Wykonuję kilka głębokich oddechów. Lekarka mówi dalej. Opieram głowę o ścianę.

- Jej powrót do zdrowia zależy od tego, ile czasu minęło od urazu. Zazwyczaj ofiary mają tak zwany okres przejaśnienia świadomości krótko po urazie, a potem ich stan szybko się pogarsza. Czy rozmawiała pani z nią dzisiaj? Czy uskarżała się może na zmęczenie albo ból głowy?

- Dziś z nią nie rozmawiałam.

Po przyjsciu do piekarni spędziłam nieco czasu w Internecie, czytając komentarze na temat artykułu w „Timesie”. Zrobiłam sobie cappuccino. Porozmawiałam z Randym o przepisie na tort czekoladowy z orzechami laskowymi, który znalazłam w „Food &c Wine” poprzedniego wieczoru. Zadzwoiłam do rolnika, który dostarcza mi jajka. A w międzyczasie Amy... Otrząsam się z tych myśli i usiłuję ponownie skupić uwagę na słowach lekarki.

- Na szczęście przy tego rodzaju urazach są bardzo duże szanse pełnego powrotu do zdrowia, jeśli pacjent dostatecznie szybko zostanie zoperowany.

- A jeśli nie? Co, jeśli minęło zbyt dużo czasu? - Przykładam dłonie do ust, tak że palce krzyżują się ze sobą.

Lekarka wyciąga rękę i ściska mnie uspokajająco w ramię.

- Co wtedy? - Teraz już przypominam sobie to okropne uczucie, kiedy nic nie wiesz, kiedy masz wrażenie, że jesteś jedyną niewtajemniczoną osobą w szpitalu.

- Musimy poczekać kilka godzin, żeby móc powiedzieć coś pewnego - wyjaśnia. - Czy jest ktoś, kto mógłby z panią poczekać? Czy mogę do kogoś zadzwonić?

Potrząsam niecierpliwie głową.

- Chwileczkę. A jeśli czekała zbyt długo? Co, jeśli nie wróci do zdrowia?

- Nie zastanawiamy się teraz, co ewentualnie może się zdarzyć - odpowiada. - Do tej pory operacja przebiega pomyślnie i na tym się skupmy. Czy na pewno nie mam do nikogo zadzwonić?

- Sama to zrobię - mówię.

Lekarka wyciąga rękę, żeby poklepać mnie po ramieniu, a ja się wzdrygam. Zauważa to i się cofa.

- W porządku - mówi. - Znajdę panią, jak tylko dowiem się czegoś nowego.

Opieram się bezwładnie o ścianę i ześlizguję po niej na podłogę. Patrzę, jak doktor Meyer lawiruje w tłu-

mie ludzi, zręcznie omijając nosze i wózki inwalidzkie, jakby była doświadczonym narciarzem zjeżdżającym po dobrze znanym zboczu. Kiedy znika za dwuskrzydłowymi drzwiami, biorę głęboki wdech i sięgam do przedniej kieszeni dżinsów po telefon.

- Numer w Chapel Hill w Karolinie Północnej - mówię, kiedy zgłasza się operatorka. - Davis i Margaret Lane. - Z trudem przełykam kluczę blokującą mi gardło. - Tak, to dom prywatny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Nie mogę tak po prostu siedzieć i czekać. Jeśli będzie duży ruch, miną co najmniej cztery godziny albo i więcej, zanim rodzina Amy tu dojedzie. Kiedy mama Amy podniosła słuchawkę, spodziewając się zapewne, że usłyszy jedną ze swoich córek, sąsiadkę czy telemarketera, wyjąkałam, że Amy miała wypadek i muszą tu przyjechać jak najszybciej. Powiedziałam, że ma uraz głowy, a kiedy spytała, gdzie jest Mike, odparłam, że nie wiem i że Emma jest bezpieczna u nas w domu. To jej wystarczyło. Oznajmiła, że zaraz wsiadają do samochodu, i odłożyła słuchawkę. Nie histeryzowała, czego się obawiałam, i nie zadawała zbędnych pytań. Szczerze mówiąc, po zakończeniu tej rozmowy miałam wrażenie, że spodziewała się i obawiała takiego telefonu.

Mam wyrzuty sumienia, że zostawiam Amy samą, ale nie mogę tu zostać. Po prostu muszę coś zrobić. Dzwonię zatem do Kate i proszę, żeby przyjechała do szpitala. Kiedy się pojawia, ma łzy w oczach.

- Zadzwoń do ciebie, jeśli coś się będzie działo
- zapewnia i wciska mi kluczyki do ręki, bo przecież mój samochód nadal stoi na podjeździe u Amy. - Jedź.
- Kiwa głową. - *Jedź.*

Parkuję przed posterunkiem policji w Maple Hill. Zapadł już zmierzch, który normalnie jest moją ulu-

bioną porą dnia, ale dziś wydaje mi się jakiś gniewny i złowieszczy. Zapinam kurtkę, żeby choć trochę osłonić się przed wiatrem, i z rękami w kieszeniach ruszam w stronę budynku, mnąc po drodze w kieszeni wilgotną chusteczkę. Doktor Meyer nie potrafiła mi powiedzieć, kiedy Amy zdoła zacząć mówić ani czy w ogóle to nastąpi. Dlatego chcę przemówić za nią i modłę się tylko, żeby umieć powiedzieć wszystko, co trzeba.

Komisariat policji znajduje się w samym środku miasta. Mieszkam tu przez całe życie, a jednak stojąc przed wejściem, uświadamiam sobie, że właściwie nigdy dotąd go nie zauważałam. Za rogiem jest wyremontowane staromodne kino, do którego Larry zaciąga mnie co pewien czas na klasyczne westerny, a przy następnej przecznicy działa warsztat ramiarski, gdzie parę lat temu oprowiłam kilka przepisów mojej babci, żeby powiesić je w biurze. Jak mogłam nie zauważyć kawalkady radiowozów policyjnych ustawionych jak kostki domina przed tym budynkiem albo dumnego masztu flagowego na niewielkim trawniku w środku okrągłego podjazdu, masztu, na którym głośno łopocze flaga stanu Wirginia? Dochodzę do wniosku, że gdyby do piekarni wbiegł ktoś spocony i zdyszany, domagając się informacji, gdzie jest najbliższy posterunek policji, musiałabym się przez długą chwilę zastanowić, żeby mu pomóc. Jakie to dziwne, że tylu rzeczy nie zauważamy, dopóki nie stają się nam potrzebne.

Na posterunku jest znacznie ciszej, niż sobie wyobrażałam, co stanowi ostry kontrast z zamieszaniem

na oddziale ratunkowym, z którego niedawno wyszłam. Za kontuarem siedzi funkcjonariusz wpatrujący się uważnie w ekran swojego komputera.

- Chciałabym porozmawiać z kimś na temat swojej przyjaciółki, Amy Rutherford - zaczynam, ale mój głos ani w połowie nie brzmi tak stanowczo, jak wcześniej w mojej głowie, gdy ćwiczyłam tę kwestię. - Pana koledzy znaleźli ją dziś po południu w jej domu. Jestem Waverly Brown. Złożyłam zeznanie.

- Rutherford? - powtarza policjant, marszcząc brwi. Drapie się po policzku. Ma ospowatą skórę, której przydałoby się golenie. - Proszę chwilę poczekać.

Wstaje i znika za drzwiami w przeciwną stronę, zamykając je za sobą.

Zatem czekam, szurając stopami po usianym błyszczącymi plamkami linoleum. W pewnej chwili otwierają się drzwi w korytarzu po mojej lewej stronie i wpada przez nie podmuch wiatru.

- To absurdalne! - krzyczy jakiś głos.

Obracam się w tamtą stronę.

Mike!

Idzie w kajdankach pomiędzy dwoma policjantami i jest jakieś dziesięć metrów ode mnie. Najchętniej rzuciłabym się na niego i stłukła go na kwaśne jabłko. Chcę, żeby cierpiał. Ale przyszedłam tu dla Amy, dlatego zmuszam się, żeby stać nieruchomo. Zadanie wydaje się niemal niewykonalne - czuję się jak przyciągana ogromną siłą, jakbym była po stronie przegrywających podczas niewidzialnego przeciągania liny. Ale muszę zachować spokój. Jestem tu dla Amy.

- Hej! - wrzeszczy, próbując zwrócić moją uwagę.
- Waverly!

Nie potrafię się opanować i ponownie obracam głowę w jego kierunku. Wyciąga szyję w moją stronę jak pies, który usiłuje zerwać się ze smyczy. Zresztą, jest to doskonałe porównanie, bo serce pompuje mi krew z taką szybkością, jakby atakował mnie wściekły pitbul. Kiedy spotykają się nasze spojrzenia, przekonuję się, że wszystko się zmieniło. Dotychczas na jego widok czułam, że raczej go nie lubię, i zastanawiałam się, co Amy w nim widzi. Teraz stał się dla mnie ucieleśnieniem czystego zła.

- Waverly! Halo... Waverly! - Chwytam się mocno kontuaru przed sobą, bo cała się trzęsę z gniewu. Przecież dobrze wie, że go słyszę, bo nikogo poza mną w mrocznym korytarzu nie ma. Na szczęście, zanim mój gniew znalazł ujście, Mike z eskortą znikli za jakimiś drzwiami.

- Proszę pani? - Nawet nie zauważyłam, że policjant już wrócił.

- Przepraszam - mówię, rozluźniając palce zaciśnięte na krawędzi kontuaru. Z trudem łapię oddech.

- Proszę pani, z naszego raportu wynika, że złożyła pani zeznanie na miejscu zdarzenia.

Najwyraźniej nie usłyszał, że to właśnie mówiłam, kiedy przyszedłam.

- Owszem, ale mam znacznie więcej do powiedzenia. Czy mogę z kimś porozmawiać? Uzupełnić swoje zeznanie? - Spoglądam w głąb korytarza. - Przed chwilą widziałam jej męża. W kajdankach.

- Panujemy nad wszystkim. Ktoś do pani zadzwoni, jeśli będziemy potrzebowali jeszcze jakichś informacji.

- Postukuje niecierpliwie końcem długopisu o kontuar.

Łapię za ten długopis, a policjant gwałtownie odchyła się do tyłu. Muszę to zrobić dla Amy.

- Przepraszam - mówię, patrząc mu głęboko w oczy - ale muszę z kimś porozmawiać. Proszę. *Proszę.*

Przewraca oczami, ale mówi:

- Proszę mi dać chwilę. Zobaczę, czy ktoś jest wolny.

Pokój przesłuchań jest zimny jak chłodnia w mojej piekarni, a składane metalowe krzesło - wskazane mi ruchem głowy przez policjantkę siedzącą teraz po drugiej stronie stołu - chwiejne i przerdzewiałe na szarych brzegach.

Za każdym razem, kiedy się poruszam, jedna z nóg krzesła przeraźliwie skrzypi. Po trzecim czy czwartym razie zaczynają mi przemykać przez głowę najdziwniejsze myśli: że jest to dźwięk przypominający otwieranie wieka trumny, podobny do odtwarzanego tuż przed pierwszymi taktami „Thrillera”. I od razu przypomina mi się Jenny Ryan, w dzieciństwie moja koleżanka z sąsiedztwa, z którą spędzałyśmy całe godziny w jej salonie, usiłując się nauczyć choreografii do tego utworu - w kółko zatrzymywałyśmy i przewijałyśmy z powrotem taśmę na magnetowidzie Betamax jej rodziców. Z tym wspomnieniem kojarzy mi się następne, tym razem związane z Amy tańczącą na tarasie na dachu pubu sportowego w dzielnicy Adams Morgan, dokąd chodziłyśmy, mając po dwadzieścia

kilka lat. Zawsze ciągnęła mnie ku sobie, kiwając głową w rytm muzyki: „No, dalej, Waverly! Co się przejmujesz, że nikt inny nie tańczy! Nigdy więcej nie zobaczysz tych ludzi!”. Zawsze jej się wyrywałam, bo wolałam stać oparta o barierkę, popijać piwo i patrzeć. Jeśli już mnie namówiła, żebym z nią zatańczyła, to dopiero pod koniec nocy w bezpiecznym schronieniu któregoś z naszych, położonych naprzeciw siebie mieszkań. Muzyka ryczała przy otwartych drzwiach, a sąsiedzi z góry wrzeszczeli, że mamy się uciszyć i iść spać. Dzisiaj żałuję, że jej odmawiałam.

Siedząca naprzeciw mnie policjantka - porucznik Dillon, jak przeczytałam na jej biało-czarnym plastikowym identyfikatorze - nawet nie drgnie, kiedy opisuję szczegółowo związek Amy i Mike'a. Staram się przypomnieć sobie wszystko, nawet najdrobniejsze szczegóły, ale pani porucznik wcale mi tego nie ułatwia. Opowiadam jej o obrażeniach, które widziałam. Niemal słowo w słowo przytaczam, co Amy mi opowiedziała w restauracji Finelli's. Relacjonuję, jak Mike odmówił chodzenia na terapię oraz jak ją poniżał w naszej obecności. Mówię, że zaledwie dziesięć dni temu Amy przyszła do mnie z wyładowaną torbą i powiedziała, że od niego odchodzi.

Porucznik Dillon w żaden sposób nie sygnalizuje mi, czy mówię za dużo czy za mało, właściwe czy niepotrzebne rzeczy. Co gorsza, w żaden sposób nie daje też do zrozumienia, że jest jej przykro z powodu tego, co spotkało Amy. Chcę wierzyć, że nie może ulegać emocjom, jeśli ma dobrze wykonywać swoją

pracę - że jest to z korzyścią dla nas wszystkich - ale nawet kiedy jej mówię o pręgach na plecach Amy oraz jak Mike się do niej zwracał, spogląda na mnie tak beznamiętnie, jakbym recytowała menu z chińskiej knajpki. Po prostu pisze i pisze w położonym przed sobą żółtym notatniku, pochylając głowę tak nisko, że widzę przetłuszczoną białą skórę przedziałka wyglądającego, jakby go robiła wzdłuż linijki. Ciekawe, skąd się bierze u tutejszych funkcjonariuszy policji takie zamiłowanie do obszernych notatek. Przerывam, żeby nabrać powietrza i zastanowić się, co jeszcze mogę jej powiedzieć. W pokoju słychać tylko skrzypienie przekłętego krzesła i szuranie długopisu porucznik Dillon po papierze.

- Więc o co jest oskarżony? - pytam.

- Nie mogę udzielić pani takich informacji, pani Brown - odpowiada, nie podnosząc głowy. Chociaż siedzi po drugiej stronie stołu, i tak czuję kwaśny zapach oddechu po kawie zmieszanego z wonią miętówek, które nie zdołały go zamaskować. - Więc mówi pani, że przyjaciółka poinformowała panią, iż pracują nad rozwiązaniem problemu? Czy ma pani jakieś powody, by przypuszczać, że *tak nie jest*?

Pochylam się gwałtownie do przodu. *Czy ta bezduszna suka w ogóle mnie słucha?*

- Tak - odpowiadam, zmuszając się, by mówić spokojnie. - To znaczy, nie mam konkretnych powodów. Ja tylko... Ona mi powiedziała, że to trwało od lat, a ostatnio ilekroć miałam z nim kontakt, był zawsze bardzo rozgniewany i, jak wspomniałam, ona

powiedziała, że postanowił nie korzystać z pomocy, co uznałam za zły znak... i ona również. Była gotowa od niego odejść, a potem zmieniła zdanie. Przerazała ją. Żyła w strachu przed nim. Szczerze mówiąc, uważam, że zrobił jej pranie mózgu. - Potrząsam głową z niedowierzaniem. - I co? - dodaję, unosząc głos. - Jest teraz w stanie krytycznym, bo pobił ją prawie na śmierć. - Zaczynają mi płynąć łzy, więc zaciskam oczy, żeby je powstrzymać.

Policjantka spogląda na mnie, ale nadal nie podnosi głowy.

- Przepraszam. - Potrząsam głową, trzymając dłonie obrócone wewnątrz ku zawilgoconemu, szaremu sufitowi. - Po prostu jestem osobą, która nie wierzy, że jeśli ktoś maltretuje żonę, to nagle pewnego dnia przestanie i zmieni się we wspaniałego męża. To znaczy... ona mi *powiedziała*, że on ją uderzył. Ona mi *powiedziała*, że to trwa od trzech lat. A ja widziałam siniaki.

- Ale nie może pani powiedzieć nic konkretnego o maltretowaniu w *ostatnim okresie*?

- Przecież tamte siniaki widziałam niecały miesiąc temu!

- Ale od tamtej pory nic?

Przecieram dłońmi twarz i marzę, żeby po ich odsunięciu - a nie chcę tego robić - odkryć, że zostałam magicznie przeniesiona w inne miejsce, gdzie nic z tego wszystkiego się nie wydarzyło. Będę na plaży na północnym wybrzeżu Oahu lub w barze w Amsterdamie... wszędzie, byle nie tu.

Mrugam i odzyskuję ostrość widzenia.

- No, więc raczej nie wspomniała mi o żadnych konkretnych incydentach od czasu tego, o którym już opowiedziałam - odpowiadam jej w końcu. Przygryzam wargę, usiłując sobie przypomnieć coś jeszcze. I wtedy sobie uświadamiam - mój dziennik. - Nie wiem, czy to w czymś pomoże, bo tam się powtarza to wszystko, o czym pani opowiedziałam, ale prowadzę dziennik. I chociaż ostatnio nic w nim nie pisałam o Amy, to robiłam notatki, kiedy mówiła mi o konkretnych rzeczach. - Wskazuję na leżący przed nią notes. - Wszystko to, co powiedziała - powtarzam.

- Jakiego rodzaju notatki? - Policjantka pochyliła się w moją stronę.

Czyżby coś ją w końcu zainteresowało?

- No... ja nie prowadzę szczegółowego dziennika - mówię. - To znaczy, nie robię zapisków na całe strony. To tylko po parę zdań, na przykład: „3 lutego, obiad we włoskiej restauracji. Amy opowiedziała mi, że Mike ją bije”.

Porucznik Dillon kiwa głową i robi kolejne notatki. Przysięgam, że ten niebieski tusz będzie mi się śnił po nocach.

- Ale są datowane? Przy notkach podaje pani datę?

- T a k .

- O, to dobrze. To naprawdę dobrze.

Odwzajemniam jej skinienie. *Wreszcie coś.*

- Myślę, że to na razie wystarczy - stwierdza i, przesuwając długopisem od brzegu do brzegu kartki, sprawdza pobieżnie swoje notatki. Potem sięga do kieszeni,

żeby wyjąć wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić, jeśli coś jeszcze przyjdzie pani na myśl.

Wyciągam rękę, żeby wziąć wizytówkę, ale ona kładzie ją z trzaskiem na stole, jak krupier rozdający karty do blackjacka. Zaczyna wstawać.

- Chwileczkę - mówię do wtóru pisku, jaki wydaje krzesło, gdy się podnoszę. - Co będzie dalej?

- Zostaną mu postawione zarzuty. - Walczy z długopisem, usiłując go zatknąć za ucho.

- Jak i e zarzuty? - naciskam.

- Skontaktujemy się z panią, jeśli zajdzie taka potrzeba - kończy i sięga do klamki.

- Ale proszę poczekać! O co go oskarżycie? - wołam.

Potrząsa odmownie głową.

- Będziemy w kontakcie.

Po powrocie do samochodu dzwonię do Larryego, żeby sprawdzić, co z Emmą. Larry mówi, że w drodze do domu zatrzymali się w sklepie i kupili mrożoną pizzę na kolację oraz składniki do zrobienia deseru lodowego. Przed chwilą wrócili do domu po zabawie na podwórku, a teraz Emma pracowicie układa monety, które wysypali z kulistego akwarium, gdzie Larry wrzuca drobne.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

Potrząsam przecząco głową, po czym uświadamiam sobie, że mnie nie widzi. W końcu udaje mi się wykrztusić:

- Nie jest dobrze, Lare. Jak ja się wytłumaczę jej rodzicom?

- Ona jest prawdziwą szczęściarą, że cię ma, kotku. Wszyscy jesteśmy szczęściarzami.

Od czasu naszej kłótni po raz pierwszy okazuje mi czułość i chciałabym móc mu powiedzieć, jak bardzo mi to pomaga i jaka jestem mu wdzięczna, ale po ostatnich godzinach jestem tak rozdygotana, że z obawą myślę o prowadzeniu samochodu, a już z pewnością nie potrafię ułożyć składnych zdań.

- Dziękuję ci - mówię tylko. - Za wszystko. Powiedz Emmie, że wkrótce przyjadą jej dziadkowie i ciocie.

Kiedy wracam do szpitala, znajduję Kate w poczekalni, gdzie rozmawia przez telefon ze swoim prawnikiem.

- Nadal nic - mówi bezgłośnie. Siadam obok niej, a ona otacza mnie ramieniem. Wtulam się w nią i opieram o nią głowę. Ścisza mnie mocniej. - Wszystko będzie dobrze - mówi, a ja zamykam oczy, choć raz wdzięczna za jej niezachwianą pewność.

Mam wrażenie, jakby otaczający mnie ludzie byli zjawami, które co kilka godzin zmieniają kształt. Najpierw starsza kobieta i jej dorosłe dzieci rozmawiają przyciszonymi głosami o zawale męża i ojca. Potem zwały mężczyzna z brodą ubrany w stolarskie spodnie chodzi w kółko po poczekalni, rozmawiając warkliwie przez telefon ze swoim ubezpieczycielem. Po nim pojawia się młode małżeństwo. Siedzą przez półtorej godziny, nie odzywając się do siebie, ale ścisza ją się nawzajem tak mocno za ręce, że nawet ze swojego miejsca widzę zbielałe kostki ich palców.

Gapię się na ogromny płaski ekran telewizora po przeciwnej stronie sali - Pat Sajak i Vanna White w *Kole Fortuny*, jakiś sitcom z nagranyimi nieustannymi śmiechami, zwiastun wiadomości z godziny dwudziestej trzeciej. Szczerze mówiąc, w tej chwili przyjąłabym obojętnie nawet wiadomość, że dziki tłum z pałkami zamierza za chwilę szturmować szpital. Nie mogę się ruszyć. W umyśle tkwi mi jeden obraz, który odtwarza się w kółko jak zepsuta płyta winylowa: Amy z otwartą czaszką leżąca na stole operacyjnym. I dręcząca myśl, że być może nie doszłoby do tego, gdybym do kogoś zadzwoniła, zrobiła *cokolwiek*, kiedy Amy mi opowiedziała, co się dzieje w jej domu. Stale powtarzała, że wszystko jest w porządku. Nie wolno było jej wierzyć.

Zmuszam się do wstania z drapiącej kanapy dopiero, kiedy matka Amy dzwoni do mnie z parkingu na zewnątrz szpitala. Czekam na nich w holu, a kiedy ukazują się za plecami sprzątacza polerującego podłogę froterką elektryczną, uświadamiam sobie, że nie widziałam ich co najmniej rok. Ze zdenerwowania zaczyna mi się kurczyć żołądek, jakby pełzały w nim jakieś żyjątka.

Całą czwórkę prowadzi mama Amy, wyglądająca jak mażoretka idąca na czele bardzo ponurej orkiestry. Jej srebrne, sięgające ramion włosy mają taki sam kolor jak bluzka i powiewają za nią jak skrzydła. Krok w krok za nią, tuż za jej lewym ramieniem, idą siostry Amy, Celia i Claire. Są tak podobne do Amy, że sprawiają wrażenie dwóch połączonych laleczek z papieru, od których oderwano trzecią. Celia, która jest teraz

w ciąży, wygląda niemal dokładnie tak jak Amy, gdy spodziewała się Emmy. Ojciec Amy idzie z tyłu, robiąc jeden krok na ich dwa, jakby sądził, że zwalniając tempo marszu, będzie mógł odwlec konieczność zmierzania się z sytuacją. Chociaż od ślubu Amy widziałam go tylko parę razy - rozmawiałam z nim na temat wędkarstwa muchowego podczas jednego z przyjęć urodzinowych Emmy i o ciasteczkach jego matki, kiedy Amy przyprowadziła ich, żeby zobaczyli piekarnię - mam wrażenie, że wyczuwam wszystkie jego myśli dzięki samemu przyglądaniu się, jak ku mnie idzie. Jego zwieszona ramiona i zaciśnięte w gniewnym łęku pięści odzwierciedlają dokładnie moje uczucia.

Kiedy mama Amy mnie dostrzega, rusza szybszym krokiem i już po chwili mocno mnie obejmuje, jakby poprzez mnie mogła dotknąć Amy. Wiem, że nie da się jej pocieszyć, więc gryzę się mocno w wewnętrzną część policzka, żeby się nie rozkleić.

- Waverly, jak to się stało? - pyta Claire trzęsącym się głosem. - Nie potrafię zrozumieć, jak to się stało.

Cała czwórka patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Teraz muszę im wyjaśnić, dlaczego Amy znalazła się w szpitalu, i kiedy tak stoję naprzeciw nich, dociera do mnie, że byłoby to bez porównania łatwiejsze, gdybym zebrała się na odwagę, żeby do nich zadzwonić, kiedy się dowiedziałam o maltretowaniu - zamiast dać się jej przekonać, że „wszystko jest w porządku”.

- Od jak dawna to trwa? - pyta nagle Margaret, a jej oczy się zwięzają. Przykłada dłonie do piersi, bierze

głęboki oddech i przygryza usta. Dopiero po chwili mówi dalej. - Bije ją już od jakiegoś czasu, tak?

Jest mi tak trudno na nich spojrzeć, jakbym miała ciężarki przyczepione do powiek, ale kiedy w końcu mi się udaje, widzę, że musieli już wcześniej rozważyć taką możliwość i być może wcale nie będą zaskoczeni tym, co im opowiem. Mają zdeterminowany wygląd osób dysponujących jakimś planem, co mnie w pewnym stopniu uspokaja. Od jak dawna wiedzą? Czy przyszło im to na myśl po moim dzisiejszym telefonie czy też już wcześniej snuli takie przypuszczenia i starali się odpedzać od siebie ten lęk tak jak ja?

- Tak. - To wszystko, na co potrafię się zdobyć. - Powiedziała mi kilka tygodni temu.

Margaret robi krok naprzód i obejmuje szczupłymi, pięknymi dłońmi moje ramiona. Przyciąga mnie do siebie i wpatruje się we mnie z pełną współczucia stanowczością, którą kiedyś widywałam u swojej mamy.

- Opowiedz nam teraz o wszystkim, co wiesz - prosi.

Spoglądam wzdłuż długiego korytarza ku sali, gdzie Amy walczy o życie, po czym odchrząkuję i zaczynam mówić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Następnego dnia około szóstej rano Lany przyjeżdża z Emmą pod szpital, zabiera mnie i obie siostry Amy, po czym zawozimy całą trójkę do znajdującego się niedaleko szpitala hotelu Holiday Inn. Amy znajduje się na oddziale intensywnej opieki medycznej i nie będzie wiadomo, na ile udała się jej operacja, póki się nie obudzi po podanych środkach.

- Jak się czujesz? - pyta, kiedy tylko wysadzamy pasażerki. Kładzie mi dłoń na kolanie, jednocześnie powoli ruszając spod wejścia. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale wybucham płaczem. Widząc to, Larry błyskawicznie skręca w lewo na parking przed hotelem i gasi silnik. Chowam głowę między kolana i szlocham tak gwałtownie, że zbiera mi się na wymioty. Jeszcze chyba nigdy tak nie płakałam - nawet po śmierci rodziców, kiedy zagłuszałam swoje zawodzenie, puszczając wodę z prysznicą, żeby babcia nie słyszała. Wszystkie emocje, które dotychczas powstrzymywałam, zalewają mnie wielką falą i choć Larry tak cierpliwie mruczy, że wszystko będzie dobrze, i tak delikatnie głaszcze mnie po plecach, to czuję, że zapadam się coraz głębiej i głębiej. Kiedy wreszcie udaje mi się złapać oddech, zamiast się wyprostować, wsłuchuję się w miękki głos prezentera ra-

diowego opowiadający o aktualnej pogodzie: „Czyste niebo i dużo słońca” - mówi.

Larry kładzie mi dłoń na tylnej części głowy i delikatnie przeczesuje moje włosy palcami.

- A jak poszło z rodziną? - pyta.

Wyjaśniam, że było dokładnie tak okropnie, jak to sobie wyobrażałam. Przebrnęłam przez wszystkie szczegóły z tą samą otwartością, co składając zeznanie na policji. Tak było niemalże łatwiej - wypłuć to z siebie niczym przyznanie się do winy, którym po części było. W miarę jak mówiłam, miałam okazję obserwować kalejdoskop uczuć na ich twarzach - najpierw zaskoczenie, potem zmartwienie i złość, wreszcie strach. Okazało się, że nie mieli o niczym pojęcia.

- Amy stale mnie zapewniała, że nad tym pracują - powiedziałam na koniec. Zabrzmiało to tak nie-dorzecznie, że nie umiałam się zmusić, żeby na nich spojrzeć. Odtwarzam tę scenę w myślach dziesiątki razy, jakbym wierzyła, że jeśli dostatecznie się ukorzę, to uda mi się zmienić rzeczywistość.

Larry musi zdążyć na poranne zebranie, więc włącza ponownie silnik i ruszamy do domu. Jest godzina szczytu, więc chociaż wyjeżdżamy z miasta, to jednak Waszyngton i samochody na obwodnicy prawie stoją. Oboje zasadniczo milczymy. Zastanawiam się, czy wciąż jest na mnie zły. Posuwamy się do przodu w ślimaczym tempie, mijając od czasu do czasu zielone znaki sygnalizujące zjazd z autostrady. Dla zabicia czasu przyglądam się ludziom w otaczających nas samochodach: Hinduska w garniturze prowadząca saaba

i popijająca kawę z wielkiego kubka ze znajomym logo, czwórka mężczyzn w moim wieku podwożących się wzajemnie do pracy, zanoszących się śmiechem, para wpatrzona pustym wzrokiem w przednią szybę, pewnie znudzona, zmęczona, albo i to, i to. Wszyscy wyglądają tak bardzo normalnie. Odpowiedzialni ludzie mozolnie zmierzający do pracy. Tacy zrównoważeni. Tacy doskonali. Jeszcze tydzień temu zazdrościłabym im, wyobrażając sobie, że prowadzą życie, jakiego sama zawsze pragnęłam. „Też bym chciała tyle zarabiać, żeby mogła sobie codziennie pozwolić na taką wielką kawę”, pomyślałabym, widząc tę kobietę. „Też bym chciała jeździć do pracy z koleżankami i śmiać się od rana”. „Jakie to słodkie, że dwójka ludzi może wspólnie zaczynać i kończyć dzień”. Teraz jednak... teraz, gdzie nie spojrzę, widzę koszmary. Kobieta z saaba potrzebowała takiej wielkiej kawy, bo nie mogła zasnąć, martwiąc się bliskim rozwodem. Cwórka śmiejących się mężczyzn dowiedziała się, że ich dział zostanie zamknięty, i starają się robić dobrą minę do złej gry. Zmęczona para nie rozmawia ze sobą, ponieważ przed wyjazdem do pracy on ją uderzył. Spoglądam na Larry'ego i chwilę potem chwytam jego dłoń.

Odwzajemnia mój uścisk.

Przyglądam się kierowcy samochodu mijającego nas z prawej strony. Przystojny. Granatowy garnitur. Podśpiewuje coś. Gdzie się podział Mike?

Wchodzę do domu i zauważam, że na blacie kuchennym czeka na mnie niespodzianka od Larry'ego: stare opakowanie tabletek nasennych Unisom. Musiał

je wygrzebać z kartonu z lekarstwami, który trzymamy w bieliźniarce. Obok leży liścik: *Wyspij się. Zadzwoń po zebraniu. Kocham Cię.*

Przenoszę się do salonu i opadam najeden z ozdobionych kwiecistym motywem foteli, które odziedziczyłam po babci. W lustrze na przeciwległej ścianie widać moje odbicie. Wyglądam, jakbym włożyła palce do popielniczki i pod każdym okiem namalowała sobie popiołem szeroką smugę. Białka oczu mam poprzecinane czerwonymi żyłkami, tak że wygląda jak wnętrze starej, delikatnej filiżanki z chińskiej porcelany. Mój wygląd dokładnie odzwierciedla moje samopoczucie.

Przesuwam palcem wzdłuż krawędzi wzoru na obiciu i zastanawiam się, kiedy przyjdzie Kate. Wczoraj znikła ze szpitala chwilę po tym, jak pojawiła się rodzina Amy, ale obiecała, że napisze SMS-a i mnie odwiedzi. Odniosłam wrażenie, że nie chce się narzucać. Zanim wyszła, porozmawiała jeszcze chwilę z mamą Amy i zaferowała, że zadzwoni do znajomego lekarza.

Przykładam opuszki palców do worków pod oczami. Powieki tak mi opuchły od płaczu, że wyraźnie je czuję, kiedy mrugam. Przypominam sobie niedzielne popołudnie sprzed dawien dawna - miałam wtedy pewnie piętnaście albo szesnaście lat - kiedy pokłóciłam się z mamą. Nawet nie pamiętam o co. Poszłam się wyzalić przed babcią, co skończyło się tak, że siedziałyśmy razem w tym właśnie pokoju, a ja wyłam wniebogłosey. Żeby coś zaradzić na opuchliznę, babcia przyniosła

z kuchni paczkę mrożonego groszku. Spytałam ją, czy mogłabym z nią zamieszkać, na co ona się roześmiała i stwierdziła, że „może kiedyś”. Nie mogę uwierzyć, że o mały włos straciłabym ten dom.

Na stoliku obok mnie stoi oprawione w ramkę czarno-białe zdjęcie. Widać na nim mnie, w wieku dziesięciu, może jedenastu lat, z mamą i tatą. Jesteśmy na plaży. Mam na sobie kostium kąpielowy ozdobiony tęczą przecinającą pierś niczym szarfa i klęczę na piasku przy wodzie. Z jednej strony stoi mama, mocno opalona, z rzadko widywanym wjej dłoni papierosem. Po drugiej stronie tata w spranym T-shircie, szortach i przedpotopowych adidasach, wyglądających jak pierwsza na świecie para adidasów Nike. Mamy identyczne uśmiechy, szerokie i spontaniczne, jakbyśmy się śmiali z tego samego żartu.

Dzwonek do drzwi.

- I co z nią? - pyta Kate, kiedy jej otwieram.

- Na razie czekamy. Margaret obiecała, że zadzwoni, kiedy tylko się czegoś dowie.

Kate upuszcza torbę na mój wytarty orientalny dywanik i wyciąga w moim kierunku ręce. Ma na sobie drogo wyglądające džinsy i buty kowbojskie z wężowej skóry, jakby się wybierała na potańcówkę ludową do Four Seasons. Obejmuję ją. Pachnie pudrem i perfumami, co przywodzi mi na myśl sklepową półkę z kosmetykami do makijażu.

Idziemy do salonu i opadamy na przeciwne końce kanapy. Przytulam do piersi ozdobną poduszkę. Kate robi to samo. Uzmysławiam sobie, że siedziałyśmy już

tak, na tej właśnie kanapie, dziesiątki razy: w czasach liceum babcia zapraszała nas na polskie kruche ciasteczka z dżemem, po śmierci rodziców przesiadywałyśmy tu z Kate w Święto Dziękczynienia i Boże Narodzenie, pełne po brzegi jedzenia, które przyrządzałam z babcią... a teraz to.

- A jak sobie radzi jej rodzina? - pyta Kate.

- Mniej więcej tak, jak można się było spodziewać.

- Przechesuję palcami obu dłoni włosy. - Ojciec Amy przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Kiedy im wszystko opowiedziałam, odwrócił się zdegustowany, tak jakby odchodził z drużyny, i poszedł się schować w narożniku poczekalni. Siedział tam z twarzą ukrytą w dłoniach, aż pojawił się lekarz z wieściami o Amy.

- A Mike? Wciąż nie wierzę, że widziałas go na posterunku.

- Policja była w szpitalu i rozmawiała z rodziną Amy. A Mike, ze względu na to, jak mocno pobił Amy, jest oskarżony o „umyślne okaleczenie”, czyli coś w rodzaju usiłowania zabójstwa. Jeśli go skazają, to spędzi sporo czasu za kratkami.

- Bardzo dobrze. Ile dokładnie?

- Pięć do dwudziestu lat.

- No, to świetnie! - Twarz Kate się rozjaśnia. - Co, coś nie tak?

Wzruszam ramionami.

- Szczerze mówiąc, dla mnie teraz ważne jest tylko to, aby się okazało, że Amy nic nie będzie. Poza tym nie ma się z czego cieszyć. Policja bardzo szybko mi wyja-

śniła, że to, co Amy wczoraj przeszła, nie ma większego znaczenia. Nawet gdyby Mike miał udokumentowane wcześniejsze dopuszczanie się przemocy, to może nie przyznać się do winy, kiedy odczytają mu akt oskarżenia, a jeśli zatrudni dobrego prawnika, to jeszcze dzisiaj po południu wyjdzie za kaucją.

Kate otwiera usta w osłupieniu.

- To największy kretynizm, jaki w życiu słyszałam.
- Zastanawia się, skubiąc kciukiem i palcem wskazującym dolną wargę. - Znam ludzi, którzy mogliby pomóc - stwierdza.

- Póki Amy śpi i tak nie możemy nic zrobić. Najpierw musimy się dowiedzieć, czy ona w ogóle...

- Tak - przerywa mi w porę.

Następnych kilka minut spędzamy pogrążone w myślach. Wciąż mam przed oczami Amy w szpitalnym łóżku i za każdym razem, kiedy wbrew swojej woli przypomnę sobie, dlaczego tam trafiła, serce podchodzi mi do gardła, jak wtedy, kiedy się o tym dowiedziałam. Nigdy się z tym nie pogodzę. Nigdy.

Kate zaczyna nerwowo stukać butem o ławę.

- Nie chce się wierzyć - jej wściekły głos wypełnia cały pokój - że coś takiego mogło się przytrafić Amy. Jednej z nas.

- T a k i e rzeczy dzieją się codziennie, Kate. - Jestem zmęczona. Mój umysł ma dość. Zaczynam odczuwać skutki ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Kate wzrusza ramionami.

- Nie kobietom takim jak Amy. Zonom lekarzy. Mamom zgłaszającym się na ochotnika do opieki nad

dziećmi w przedszkolu. Organizatorkom składowych sąsiedzkich przyjąć.

- Wiesz, chyba jednak nie masz racji - odpowiadam, odchylając głowę na oparcie kanapy i studiując kształt plamy, którą woda zostawiła na suficie. - Nie ma znaczenia, czy to kobiety takie jak my... czy zupełnie od nas różne... To się przytrafia wszystkim. Dziewczynom z biednych dzielnic mieszkającym z chłopakami alkoholikami, ale też piosenkarkom i aktorkom.

- No tak, ale spodziewałabyś się czegoś takiego? Państwo doktorostwo Rutherford?

- Nie - kręcę głową. - Nie. To znaczy... zobacz, ile czasu minęło, zanim zaczęłam coś podejrzewać. Cała ta sprawa zupełnie nie mieści mi się w głowie. I już chyba tak zostanie.

Kate unosi się ze stosu poduszek, na którym się umościła, i wygina ramiona do tyłu.

- Cóż, wygląda na to, że ten rok jest pełen niespodzianek - śmieje się niewesoło.

- Kate, a ty jak sobie radzisz? Ale masz mi powiedzieć *prawdę*. Wystarczy tych dowcipów.

- Ja? - Kate bębni palcami w policzek, zastanawiając się nad odpowiedzią. - Myślę, że powinnam się była tego spodziewać. Tak przynajmniej uważam.

- Co? To absurdalne - odpowiadam. - Ja z pewnością nigdy bym nie pomyślała, że Brendan, czy ktokolwiek inny, mógłby ci to zrobić. Każdy, kto się wam przyglądał, widział idealną parę. Oboje jesteście piękni, wykształceni, wytworni i bogaci. Macie wszystko, cze-

go nas uczyć, że należy pragnąć. I mówię to szczerze, bo sama ci wielokrotnie zazdrościłam.

- Nie przesadzaj. - Kate przewraca oczami.

- Serio - odpowiadam i patrzę na nią, żeby zrozumiała, że nie żartuję. - Z mojego punktu widzenia twoje życie to bajka. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Moje za to...

- Tak, tak - wzdycha. - Nie musisz już nic więcej mówić.

- Chodzi mi o to - kontynuuję - że nikomu nie przyszłoby do głowy, że coś takiego może cię spotkać. - Przez chwilę się zastanawiam, czy warto kończyć tę myśl. - Tobie również.

Kate krzyżuje ręce na piersi i opada z powrotem na poduszki. Patrzy nieobecny wzrokiem na pokój i przesuwając językiem po wewnętrznej stronie policzka, wyraźnie przebywając myślami gdzie indziej.

- Może nie powinnam była tego mówić - tłumaczę się - ale wiesz co? Jeśli ta sytuacja z Amy czegoś mnie nauczyła, to tego, że nie wolno nam siedzieć beczynnie, jeśli podejrzewamy, że jedna z nas cierpi. Teraz pozornie wygląda, że masz się całkiem dobrze. Naprawdę. Nie znam nikogo o równie silnym charakterze. Ale bardzo chciałabym wiedzieć, czy *rzeczywiście* wszystko u ciebie w porządku.

Kate spogląda mi w oczy.

- Tak. Już mówiłam. Pozbyłam się zbędnego bagażu i nie zamierzam się więcej tym przejmować. - Uśmiecha się szeroko, a w kąciakach jej oczu pojawiają się kurze łapki. - Życie jest piękne.

Unoszę brwi.

- Naprawdę? Jestem twoją najlepszą przyjaciółką... Właściwie to powiedzmy sobie szczerze, twoją jedyną prawdziwą przyjaciółką. A ty zamierzasz mi wciskać optymistyczne slogany, żeby wyjaśnić, jak przeżyłaś niewierność męża?

Kate przechyliła głowę na bok i wpatruje się we mnie z ustami otwartymi ze zdziwienia. Nie potrafię ocenić, czy zaraz wstanie i wyjdzie czy też wreszcie zacznie ze mną normalnie rozmawiać.

- No dobrze, chciałaś prawdę, to masz - mówi w końcu, prostując się ponownie i klepiąc po udach.

Uśmiecham się.

- Prawdą jest taka, że czuję się jak idiotka. Po części na pewno dlatego, że nie zauważyłam, co się święci, i nie przyłapałam go, zanim narobił nam wstydu. Ale przede wszystkim wkurza mnie, że się zgodziłam na udział w tej całej farsie. - Pociera oczy dłońmi. - To znaczy, wiedziałam, w co się pakuję, wychodząc za Brendana. Za to właściwie nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Przez ostatnie kilka tygodni dużo się nad tym zastanawiałam, krążąc po tym bezsensownie wielkim domu, i nadal nie wiem. Brendan był doskonałym przykładem tego, czego nienawidziłam w swoim życiu. Całe to pozerstwo. Kolacje z ludźmi, których nie możesz znieść, ale czujesz, że powinnaś utrzymywać z nimi kontakty. Ciągłe przejmowanie się, co gazety o tobie napiszą. Boże, za każdym razem, kiedy wchodziłam na to cholerne podium, czułam się jak oszustka. - Delikatnie osusza kąciaki oczu małym palcem. - Nie

wiem, jak to się stało, Waverly. Byłam taka pewna, że nie wyrosnę na drugą matkę, a jednak kiedy poznałam Brendana, z miejsca rzuciłam wszystko, co było dla mnie ważne. Uwielbiałam te czasy, kiedy ciągle byłam w podróży, ale nieustanne upomnienia ze strony matki, że czas dorosnąć i się ustatkować, doprowadzały mnie do szału. A potem... - rzuca mi przelotne spojrzenie.

- Aż wstyd się przyznać.

- Tak?

- No wiesz, czułam się trochę osaczona. Po jednej stronie matka i jej narzekanie, że zachowuję się dziecinnie, włączając się po świecie. Z drugiej strony ty i Amy, obie w udanych związkach. Czułam, że chyba nie mam wyboru i muszę się ustatkować. Poza tym uroda nie jest wieczna.

- Myślę, że w towarzystwie Brendana czułaś się dobrze - mówię. - Należał do kręgów, które znasz, tak że wasza znajomość potoczyła się dość naturalnie.

Kate kiwa głową.

- Dlaczego mnie nie powstrzymałaś? - pyta nagle.

- Bo powiedziałaś, że go kochasz.

- Prawda. - Przez chwilę nic nie mówi. - I wiesz, na początku wyglądało na to, że on też *mnie* kocha i nie ma to nic wspólnego z... - Robi ręką gest w powietrzu.

- No wiesz.

- On cię kocha, Kate. Może i zachował się jak idiota, ale nie mam wątpliwości, że cię kocha.

Skinieniem głowy daje do zrozumienia, że się zgadza.

- Zadzwoiłam do niego - mówi. - Wczoraj w nocy, jak wyszłam ze szpitala.

- O?

- No. - Kate przyciąga kolana do piersi. - Po tej całej przeprawie z Amy i wizycie w szpitalu... nie wiem, no, po prostu doszłam do wniosku, że czas na zawieszenie broni. - Kręci głową. - Nagle wydało mi się bardzo dziecinne, żeby nawet z nim nie porozmawiać.

- I jak poszło?

- Właściwie nie najgorzej, o dziwo. Opowiedziałam mu o Amy. Przeraził się tak samo jak my wszyscy. No i był zdziwiony. Potem, wiadomo, zaczął mówić o naszym związku, że mimo tego, że zdecydowałam się go zostawić, jest wdzięczny za wspólnie spędzone lata, szczególnie z perspektywy tego, czego właśnie się dowiedział. Poza tym wreszcie podziękował mi za wszystko, co robiłam dla jego kampanii, co było miłe. Stwierdził też, że jest mu przykro, że nie poświęcał mi więcej uwagi, ale myślał, że jestem szczęśliwa.

- Też tak myślałam. To znaczy, wiadomo, ciągle narzekałaś, jak to ty, ale nie odnosiło się wrażenia, że coś jest nie tak.

- No a co miałaś myśleć? Jak mogłam nie być szczęśliwa? Kiedy w dziale miejskim „Washington Post” co drugi dzień publikują artykuły o tym, jaka to jesteś fantastyczna, a otaczający cię ludzie zarabiają na tym, że ci się podlizują, to dla normalnych ludzi przyglądających się z zewnątrz twoje życie jest bajką. To zresztą próbowałam sobie wmawiać: „Kate, powinnaś się cieszyć. Powinnaś być wdzięczna za to wszystko”. A jednocześnie w miarę upływu czasu między mną a Brendanem coraz gorzej się układało. W końcu doszło do tego,

że właściwie nie odzywaliśmy się do siebie, chyba że chodziło o pracę albo jego chęć posiadania dzieci... a nawet to nie były normalne rozmowy, tylko raczej jego próby przekonania mnie przez dziesięć sekund, które mu dawałam. Hmm, jeśli mam być zupełnie szczerą - robi przerwę i żartobliwie wskazuje na mnie palcem - *a najwyraźniej nie mam wyboru*, to miałam do niego okropny żal za wciągnięcie mnie w tę kampanię, co było bez sensu, bo wcale mnie nie zmuszał. To ja go namawiałam, żeby zdecydował się kandydować. Sama odeszłam z pracy i zapomniałam o sobie. - Zagryza usta. - A on, cóż, on zapomniał o mnie. Właściwie trudno mu się dziwić. Z całego serca starałam się sprostać wyobrażeniom o idealnej żonie, bo wydawało mi się, że tego powinnam pragnąć.

Kate milknie, a ja po raz pierwszy w historii naszej wieloletniej przyjaźni widzę, jak na jej twarzy pojawia się wyraz głębokiego zamyślenia.

- Wciąż go kocham. Naprawdę. Ale czuję też, że coś się ze mną dzieje, jakbym zrzuciła z siebie krępujące ubranie. Rozumiesz, o co mi chodzi? Od kiedy nie muszę się przejmować Brendanem - a przynajmniej kampanią - mogę z powrotem *być sobą*. Nie sądzę, żeby mi się to udało, gdyby nic nie zakłóciło naszego spokoju. Dlaczego tak trudno zachować swoją tożsamość przy innych? Dlaczego nie umiemy uczciwie się przyznać, na czym nam zależy?

Widzę, że się nad tym zastanawia.

- Nie wiem. - Sięgam myślami do dziesiątek godzin, które spędziłam, zamartwiając się swoim zwią-

kiem z Larrym. - To co w końcu zamierzasz zrobić?

- pytam. - Jesteś pewna, że chcesz od niego odejść?

- Sama już nie wiem, czego chcę - odpowiada, wyrzucając ręce w powietrze. - Ale, co śmieszne, wcale mnie to nie martwi.

Przez chwilę znów siedzimy w ciszy. Jedną z wielkich zalet wieloletniej przyjaźni jest to, że można spokojnie wspólnie pomilczeć. Przysłuchuję się skrzypieniu i odgłosom zgniatania wydawanym przez śmieciarkę za oknem.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

- pyta Kate.

- Hmm?

- Tak na serio, to zawsze trochę zazdrościłam Amy.

- Naprawdę? - O, to *jest* ta szczerość, o którą mi chodziło.

- Wiem, że twierdziłam co innego. - Kate kręci głową. - I nie zmieniam wcale zdania ze względu na to, co się jej przytrafiło. Naprawdę. Cały czas jej zazdrościłam. To moja mała tajemnica. Bo Amy zawsze była prostą osobą, ale w dobrym tego słowa znaczeniu, no wiesz, zawsze taka szczęśliwa, i nie czuła potrzeby gonienia za tym całym gównem, które nam narzucają inni ludzie. A mnie matka wyszkoliła, żebym się przejmowała największymi głupotami... reputacją, pozycją społeczną. Amy całe życie była wolna od tego. Miała wszystko, czego... - opamiętuje się - no, wydawało się, że ma wszystko, czego pragnęła. Śliczny dom, rodzinę.

- Zdecydowanie - przytakuję.

- Trochę to ironiczne, nie sądzisz?

- Co dokładnie?

- No wiesz, Amy i ja, *zdawało się*, że obie miałyśmy wszystko zapewnione w życiu, a jak przyszło co do czego, to okazało się, że to tylko złudzenie.

- Zawsze myślałam, że w odróżnieniu ode mnie wiecie, czego chcecie od życia.

- Co ty opowiadasz! Z naszej trójki to ty masz najlepiej poukładane w głowie. Jesteś naszym oparciem.

Wypuszczam gwałtownie powietrze.

- Co? Chyba oszalałaś.

- Naprawdę! - zapewnia Kate, ale zauważa, że wstałam i zaczęłam przestawiać czasopisma i bibeloty na stoliku do kawy, i słusznie dochodzi do wniosku, że nie mam ochoty rozmawiać o sobie. Wskazuje na moją komórkę leżącą na najnowszym numerze „Journal of American History” Larryego. - Nikt się jeszcze nie odezwał?

Biorę telefon do ręki, żeby się upewnić.

- Nie.

- To w międzyczasie - mówi Kate i pochyla się w moją stronę - powinniśmy zająć się tym, czego Amy teraz najbardziej potrzebuje.

- Czyli?

- Zastanowimy się, jak rozwiązać kwestię Mike'a. - Kate wstaje i idzie po torebkę, która została po drugiej stronie pokoju. Chwilę w niej grzebie, po czym wyciąga mały, oprawiony w skórę notatnik. - Tak się składa, że znam świetnego prawnika.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Później tego dnia przerzucam stertę kardiganów na wyprzedaży w sklepie J. Crew w Georgetown Park, usiłując zająć czymś myśli. Po tym, jak Kate zawiozła mnie po mój samochód, który od poprzedniego dnia stał u Amy, wróciłam do domu i zapadłam w głęboki, tak bardzo mi potrzebny, sen. Jednak już trzy godziny później nagle się przebudziłam i czym prędzej sprawdziłam telefon. Niestety, żadnych nieodebranych połączeń poza jednym od Randy'ego. Przez dziesięć minut chodziłam po pokojach, ale w końcu stwierdziłam, że niepokój i tak nie da mi ponownie zasnąć i będę tylko niepotrzebnie wszystko rozpamiętywać od nowa, dlatego ubrałam się i pojechałam do Georgetown, żeby być jak najbliżej szpitala, kiedy Margaret w końcu zadzwoni.

W sklepie za moimi plecami młoda Azjatka przykłada dzinsy do swojej wąskiej jak u dziecka talii i pyta koleżankę o zdanie. Obok jakaś kobieta zaciekle przepokopuje stertę sztruksów w poszukiwaniu swojego rozmiaru. Uświadamiam sobie, że kipię gniewem - niemal słyszę, jak jego poziom gwałtownie się podnosi. Jak te kobiety mogą się spokojnie zajmować swoimi codziennymi sprawami, podczas gdy jedna z moich najlepszych przyjaciółek leży niedaleko z rozłupaną głową? Czyżby otaczało mnie pole siłowe oddzielające nasze rzeczywi-

stości? Na zewnątrz niego budzi się wiosna i powietrze pachnie słońcem, a wewnątrz, gdzie stoję, panuje ciemność, wilgotny chłód i kłująca cisza, która sprawia, że masz ochotę wrzeszczeć. W miarę, jak minuty mijają, a Margaret nie dzwoni, jestem coraz bardziej niespokojna - w okropny, dręczący sposób, jakby moje ciało chciało się wyrzucić na drugą stronę. Idę w kierunku kosza z ozdobami do włosów, wydaję szylkretową klamrę, przez chwilę obracam ją bezmyślnie w rękę i wrzucam z powrotem. I wtedy doznaję olśnienia: z takim właśnie okropnym poczuciem, że „nikt nie wie, przez co przechodzę”, Amy musiała się borykać codziennie.

Dwadzieścia minut później, zaraz po tym, jak wcisnęłam wieczko na papierowy kubek z kawą kupioną w Dean & DeLuca po niezwykle wygórowanej cenie, mój telefon w końcu dzwoni. Patrzę na kod strefowy: 919. *Wreszcie!*

- Margaret? - Nie zawracam sobie głowy powitaniem.

- Waverly, ona się obudziła.

- I?

- Trzeba trochę poczekać, zanim się dowiemy czegoś pewnego. Nadal jest oszołomiona po operacji, a lekarze mówią, że musi być ściśle monitorowana przez następnych kilka godzin, żeby wszystko postępowało we właściwym kierunku, ale... och, Waverly. - Jej głos się rwie. - Rokowania są bardzo optymistyczne!

Gdyby nie gorąca kawa, którą trzymam, zaczęłabym skakać z radości.

- Ona chce cię zobaczyć - dodaje Margaret. - Przyjeżdżaj tu jak najszybciej.

Skóra Amy jest kredowoszara, jakby ktoś upudrował ją cementem. Jej ogoloną głowę spowija turban z gazy umocowanej plastrami. Ciało rysujące się pod szpitalną pościelą wydaje się kruche i drobne jak u dziecka. Wokół jej głowy, ramion i klatki piersiowej widzę płataninę rurek i przewodów podłączonych do kroplówek i monitorów stojących za jej łóżkiem jak strażnicy. Zakrywam usta złożonymi dłońmi, żeby powstrzymać łzy, i szybko idę w jej kierunku.

- Czy mogę cię uścisnąć? - pytam skrzekliwym głosem.

- Tak, tak, oczywiście - odpowiada, a na jej twarzy rozlewa się zmęczony uśmiech. Ostrożnie otaczam ją ramionami, po czym delikatnie dotykam jej policzka bokiem swojego. Jej rodzina czeka na zewnątrz, żebyśmy mogły chwilę побыć same.

Siadam na krawędzi winylowego krzesła stojącego przy jej łóżku i wraz z nim przysuwam się bliżej niej, ale po chwili muszę zmienić pozycję, bo oślepiam mnie jasne słońce wpadające przez pionowe żaluzje.

- Możesz zasunąć te żaluzje, jeśli chcesz - mówi Amy.

Potrząsam przecząco głową i delikatnie kładę dłoń na jej ręce. Mam ogromną ochotę jej dotykać, trzymać ją za rękę lub przykładać dłoń do jej policzka, żeby nieustannie potwierdzać, że leży tu żywa i przytomna, żeby udowodniać sobie, że wyzdrowieje.

Amy obraca głowę na poduszce i patrzy na mnie sennym wzrokiem.

- J a k się czujesz? - pytam. To jedyne, od czego można zacząć.

- Hmmm - zastanawia się. Próbuje wzruszyć ramionami. Spoglądam na wenflon wychodzący z jej dłoni.

Przypominam sobie, jak odwiedziłam ją w szpitalu rano po narodzinach Emmy. W jej pokoju pełno było członków rodziny, a pielęgniarki pospiesznie wchodziły i wychodziły. W powietrzu krzyżowały się ożywione, radosne rozmowy: „Dziecko urodziło się tak szybko, Amy była taka dzielna, widziałas te maleńkie stópki Emmy?”. Teraz jesteśmy tylko we dwie, a w sali panuje cisza zakłócana jedynie pikaniem sprzętu monitorującego pracę jej serca.

- Czuję się obolała - odpowiada w końcu Amy. - Tak, jakbym od dawna nie używała swojego ciała... Przypomina mi to okres, kiedy znów zaczęłam biegać po urodzeniu Emmy. Czy to nie dziwne?

Ściskam delikatnie jej ramię.

- Nic mnie nie boli w dosłownym tego słowa znaczeniu, tylko... jestem bardzo zmęczona.

Kiwam potakująco głową i znów ściskam jej rękę. *Dzięki Bogu, ona żyje.*

- Wywiercili mi dziurę w głowie. Mam teraz tytanowe płytki. - Chichocze cicho. Najwyraźniej coś jej się przypomniało. - Kiedy byłam mała, błagałam mamę, żeby pozwoliła mi się obciąć tak jak Cyndi Lauper. Wiesz, tak jak na okładce albumu „Girls Just Wanna Have Fun”. Teraz chyba spełniło się moje marzenie. - Uśmiecha się i widzę przebłysk dawnej Amy. Potem jej głos słabnie: - Nie mogę się już doczekać, żeby zobaczyć Emmę.

- Nic dziwnego. A kiedy będziesz mogła?

- J u ż mi pozwolili. Ale poprosiłam, żeby poczekali, bo muszę najpierw pomyśleć, co jej powiedzieć. Claire jest z nią w hotelu. A przy okazji, dzięki za pomoc w tym wszystkim.

Kiwam głową.

- Amy, wiesz, że możesz ze mną porozmawiać... o tym wszystkim. - Mam wrażenie, że z każdym powtórzeniem te słowa stają się coraz mniej skuteczne, że przeradzają się w coraz słabszą mantrę, której ona nie chce słuchać.

- Wiem - odpowiada. Niezdarnie usiłuje chwycić moją dłoń.

Moja przyjaźń z Amy, w przeciwieństwie do przyjaźni z Kate, cechuje się również fizycznym okazywaniem serdeczności. Amy ma po prostu taką naturę, a ja się przy niej też tego nauczyłam. Kiedy rozmawiamy, często dotykamy dłońmi ramienia drugiej, wyjmujemy sobie nawzajem włoski z oka, usuwamy paprochy ze swetrów oraz ściskamy się na powitanie i pożegnanie, nawet jeśli między jednym a drugim upłynęły zaledwie minuty. Jednak nie pamiętam, żebym kiedykolwiek trzymała ją za rękę. Teraz czuję, że jest lekka i wilgotna, jak dłoń dziecka.

- Czuję się dobrze - odzywa się Amy.

Z trudem przełykam ślinę przez ściśnięte gardło i mocniej zaciskam dłoń wokół dłoni Amy.

- Naprawdę. Dobrze. - Spogląda w kierunku końca łóżka. Ze swojego miejsca nie potrafię dostrzec, czy zamknęła oczy.

- Najważniejsze, że żyję - mówi w końcu. Kiedy podnosi na mnie wzrok, widzę łzy w jej oczach. Ja też muszę otrzeć jedną z policzka. - Będę najszczęśliwsza, kiedy już stąd wyjdę. Zacznę zostawiać to za sobą.

Przytakuję ruchem głowy, jednocześnie myśląc o wszystkim, z czym będzie musiała się uporać, kiedy wyjdzie. Nie będzie to powrót z transparentem „Witamy w domu” powieszonym w salonie i balonikami przy skrzynce pocztowej. Nawet kwiaty wydają się nieodpowiednie. A czy w ogóle będzie chciała wrócić do tamtego domu? Czy zostanie w Wirginii?

- Wiesz, że możesz zatrzymać się u mnie? - mówię.
- Dopóki sobie wszystkiego nie poukładasz.

Nie odpowiada.

- Co się stało? - wyrzucam z siebie szybko, zanim zacznę się wahać, czy w ogóle pytać.

Amy odwzajemnia moje spojrzenie. Potem ściska moją dłoń.

- Nic mi nie będzie.

- Rozmawiałaś z policją? O tym, co zamierzasz zrobić?

Kiwa potakująco głową.

- Chwilę temu.

- Słyszałam o aresztowaniu - mówię, postanawiając na razie się nie przyznawać, że widziałam Mike'a na komisariacie. - I jak to dalej będzie wyglądać? Będzie rozprawa czy...?

- Och. - Przez jej twarz, tak szybko jak ptak prze-latujący za oknem, przemyka niemal niezauważalny grymas niezadowolenia. - Mam nadzieję, że nie.

Marszczę brwi.

- To co w takim razie? Przyznał się, że to zrobił? Zamierza współpracować? Pójdzie do więzienia? - Jest tyle pytań, które chciałabym zadać.

Amy kręci się niespokojnie.

- Nie chcę, żeby poszedł do więzienia - mówi tak cichutko, że nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam.

- Chwileczkę! Co takiego?

- Gdyby to zależało ode mnie, wycofałoby zarzuty. - Amy wysuwa swoją dłoń z mojej. Przesuwa palcami po bandażu opasującym jej czoło, dotykając go tak, jakby czytała pismo Braille'a.

- To co, to w takim razie po prostu współpracuje... czy co? - Jestem kompletnie zdezorientowana.

Amy zamyka oczy i próbuje potrząsnąć głową, ale jest to ledwie zauważalne.

- Nie, nie. Nic takiego, Waverly. Nie chcę w to angażować policji, prawników, wszystkich tych rzeczy...

- Zaciska usta, jakby była zdegustowana. - Ta kobieta zadzwoniła do mnie kilka godzin temu. Przysięgam, że to było dosłownie kilka minut po tym, jak się obudziłam. Nawet nie miałam jeszcze okazji porozmawiać z rodzicami. To była jakaś adwokatka przydzielona mi przez stan, czy coś takiego.

- Amy, spokojnie, spokojnie... - Widzę zdenerwowanie na jej twarzy. To pewnie może jej zaszkodzić. - Powiedz spokojnie, kim była ta kobieta. Nie spiesz się.

- Adwokatką. - Podnosi na mnie wzrok. - Adwokatką - wzdycha - specjalizującą się w sprawach związanych z przemocą domową.

Kiwam potakująco głową.

- Wyjaśniła mi, jakie zarzuty postawiono Mike'owi, a kiedy powiedziałam, że nie chcę, żeby go o cokolwiek oskarżali, odparła, że to już nie zależy ode mnie. *Nie do wiary!* Powiedziała, że to sprawa kryminalna i stan wnie- sie przeciw niemu oskarżenie, nawet jeśli ja nie chcę brać w tym udziału. Powiedziała, że to standardowa procedura.

- Ale ja nie rozumiem. - Wyciągam do niej rękę.
- Nie chcesz, żeby go oskarżyli? - Może dla niej to w tej chwili za dużo. Może jeszcze nie myśli jasno. Z pewnością potrzeba sporo czasu, żeby dojść do siebie po urazie i operacji, a co dopiero, żeby się uporać z psy- chicznymi konsekwencjami tego, co ją spotkało. Może nie powinnyśmy teraz o tym rozmawiać.

- Nie odejdę od niego, Waverly. On potrzebuje pomocy.

Szybko cofam dłoń z łóżka, jakby coś mnie oparzy- ło. *Czy ja dobrze słyszę?*

- Chwileczkę. - Łapię się metalowej poręczy mo- jego krzeselka. - Co?

- Nie odejdę od niego.

- Eee - jąkam się. - Rozmawiałaś o tym ze swoją rodziną?

- Właśnie o to chodzi, Waverly. Mike jest moją rodziną. Emma jest moją rodziną.

Oślupiałam. Nie ma na to innego słowa. Patrzę na nią leżącą w szpitalnym łóżku i uświadamiam sobie, że widzę już tylko zewnętrzną powłokę kobiety, którą niegdyś znałam. Czy Amy nadal gdzieś tam jest? Jakie zakłęcie byłoby potrzebne, żeby sprowadzić ją z po-

wrotem? Czy to w ogóle *możliwe*? Nie wiem nawet, co powinnam czuć. Jestem zdesperowana, wściekła, załamana, przerażona. Chciałabym na nią nakrzyczeć, że chyba postradała rozum. „Przecież on cię prawie zabił!” - wrzasnęłabym najchętniej. „I cię zabije!”

Kiedy w końcu zbieram się w sobie, żeby jej odpowiedzieć, ledwo wyduszam z siebie starannie dobrane słowa. Usiłuję zachować spokój.

- Amy, uważam, że to niekorzystnie wpływa na Emmę. Naprawdę sędzę, że to jest z krzywdą dla niej.
- Wiem, że to tani chwyt, ale kieruje mną rozpacz.

Spogląda na mnie.

- Waverly, to jeden z powodów, dla których wiem, że musimy to rozwiązać. Właśnie dla Emmy.

Nie do wiary, że doprowadził ją do takiego stanu.

- Amy - błagam. Moje tętno przypomina furkot nakręcanej zabawki. - Kochanie, tylko zobacz. Tylko zobacz, co on ci zrobił.

- Wiem. Nie jestem głupia, Waverly. Wiem - mówi. - Ale on jest chory. To dowód, że potrzebuje mnie bardziej niż kiedykolwiek.

- Amy, dlaczego najpierw się nad tym nie zastanowisz? Przecież nie musisz natychmiast podejmować decyzji. Tak wiele przeszłaś.

- Waverly, on się nie przyznał do winy. Niedawno dzwonił do mnie jego prawnik i przyjął ode mnie oświadczenie, że mam zamiar z nim zostać. Dzięki temu oraz faktowi, że nie ma przeszłości kryminalnej, wyjdzie za kaucją jeszcze dzisiaj. Kiedy wrócę do domu, zajmiemy się procesem i postaramy się o zmniejszenie

zarzutów. Wiem, że tego nie rozumiesz, ale to jest moje małżeństwo. To właśnie muszę zrobić. Nie jestem dzieckiem. Wiem, co robię.

Zaglądam w brązową głębię jej oczu i usiłuję odnaleźć ślad kobiety, którą kiedyś znałam. W holu ktoś się śmieje. Wydaje się to makabrycznie odpowiednim akompaniamentem.

Amy wyciąga do mnie dłoń, poruszając palcami, żebym ją złapała. Spoglądam na nią i w końcu niechętnie i z rozpaczą zaciskam na niej moją.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

- Waverly, co się stało? - Na mój widok Margaret zrywa się z miejsca, zrzucając na podłogę czytany magazyn, a jej twarz blednie.

- Ona z nim zostaje! - wybucham bez zastanowienia.

Ojciec Amy wydaje z siebie dźwięk, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałam, dźwięk przypominający okropny, gardłowy jęk zranionego zwierzęcia. Wybiega, zanim zdążę zareagować, prawie wpadając na mnie w drodze na korytarz. Mogłam jednak pomyśleć, zanim się odezwałam. Margaret spieszy za nim, potem Celia. Stoję bezradnie sama na środku poczekalni, podczas gdy inni czekający tu ludzie bawią się telefonami lub przeglądają gazety, udając, że mnie nie usłyszeli.

Siedzę tam przez godzinę, wstając co pięć lub dziesięć minut, żeby zerknąć na salę Amy, tak jakby dostatecznie długie i intensywne wpatrywanie się miało mi pozwolić zajrzeć przez zamknięte drzwi, co się tam dzieje. *Boże, proszę, żeby rodzina zdołała przemówić jej do rozsądku* - modłę się w myślach. Jeśli ich też nie posłucha, to znaczy, że sytuacja jest beznadziejna.

Wstaję po raz kolejny, żeby przyjrzeć się drzwiom, i widzę nadchodzącą korytarzem Margaret. Drzwi do sali Amy są znowu zamknięte, więc najwyraźniej jej ojciec i Celia nadal tam są.

- Chodźmy na kawę - proponuje Margaret, ciałniej owijając się długim, srebrnym kardiganem.

Nie odzywa się do mnie, gdy idziemy korytarzem, czekamy na windę i kierujemy się do bufetu. Idąc za nią, dostrzegam, że ma taki sam sprężysty krok jak Amy. Po drodze do bufetu mijamy kilku lekarzy, a gdy któryś z nich przytrzymuje nam drzwi, Margaret z uśmiechem mówi: „Dziękuję!”. Jej głos brzmi tak radośnie, jakby lekarz właśnie jej powiedział: „Udało się usunąć guz, a węzły chłonne są czyste!”. Albo: „To zdrowy, duży chłopczyk!”. Jestem pod wrażeniem, że potrafi tak grać, zupełnie jakby nie usłyszała niedawno wiadomości z rodzaju tych, które potrafią na zawsze zmienić trajektorię czyjegoś życia.

Natychmiast przywodzi mi to na myśl moją mamę, której stan umysłu był zawsze doskonale widoczny dla całego otoczenia. W miejscach publicznych - czy to w restauracji, czy w kinie - mówiła zbyt głośno i nie przejmowała się, kto jej słucha, przepychała się przez tłum i zrzucała rzeczy ze stolików, nawet tego nie zauważając. Mój tata mawiał, że idzie przez życie jak pracy do przodu futbolista. Towarzystwo matek innych osób zawsze powoduje u mnie falę silniejszej niż zazwyczaj tęsknoty za mamą. Nie potrafię się powstrzymać przed porównaniami.

Siadamy. Margaret wlewa do kawy dwie śmietanki i wysypuje dwa pakieciki cukru.

- Amy zawsze ze mnie żartuje, że robię z kawy deser - zauważa.

Stuka plastikowym mieszadełkiem o brzeg papierowego kubka, po czym uważnie odkłada je na serwetkę po swojej prawej stronie.

- *Waverly* - zaczyna powoli, jakby po raz pierwszy wymawiała moje imię. Rozgląda się po przestronnej sali. Nie tylko my siedzimy tu ponuro nad kawą. - Tak bym chciała wiedzieć, gdzie się podziała moja mała dziewczynka - mówi cicho. - Od twojego telefonu nie przestaję się zastanawiać, co takiego zrobiłam źle, że do tego doszło. Czy nie pokazałam jej, jak bronić własnego zdania? Czy nie nauczyłam jej szacunku dla samej siebie? Czy nie uświadomiłam jej, jak sprawić, żeby inni cię szanowali? - Wymawia *inni*, jakby to był wulgarny wyraz. Wiem, co to znaczy. - Wiesz, jakie my, kobiety, jesteśmy. Zresztą, sama nie wiem... - W zamyśleniu przebiega koniuszkami palców po ustach. - Może jestem zbyt staromodna. Zawsze pilnowałam, żeby nasze córki miały dobre maniery, żeby dobrze traktowały innych. Teraz rozmyślam nad tym wszystkim, czego powinnam była je nauczyć, zamiast strofować za zbyt późne wysłanie liścików z podziękowaniami czy włożenie nieodpowiedniego stroju do szkoły. - Potrząsa głową. - Dziewczęta - mówi niemal bolesnym tonem.

- Margaret, nie możesz się obwiniać o to, co się stało - protestuję. - Jesteś cudowną matką. Amy zawsze to powtarza. Mówiła, że gdyby udało jej się wychowywać Emmę chociaż w połowie tak dobrze, jak ty postępowałaś w stosunku do niej, Celi i Claire, to będzie przekonana, że właściwie wykorzystała życie. Ileż to razy mi opowiadała, jak siadałyście razem przy kuchennym

stole i rozmawiałyście w czasie, gdy odrabiała lekcje. Wyraźnie widać, że są to dla niej piękne wspomnienia.

- Dziękuję - mówi Margaret. Trzęsącymi się rękami podnosi filiżankę do ust. - Davis twierdzi, że powinniśmy wynająć kogoś, aby sprawdził przeszłość Mike'a. Może znajdzie w niej coś, co pomoże go zamknąć. Ta sytuacja jest niezwykle trudna dla nas wszystkich, ale myślę, że przede wszystkim dla Davisa... To straszne być ojcem i widzieć, jak inny mężczyzna traktuje twoją dziewczynkę w taki sposób.

Biorę pakiecik cukru ze stojaka na stole i zaczynam obracać go w rękę.

- Skąd wiedziałaś? - pytam, myśląc o tym, co powiedziała tuż po przybyciu. - Czy w ogóle wiedziałaś?

- No, muszę powiedzieć, że nigdy nie podejrzewałam czegoś takiego - odpowiada. - Nigdy. Gdybym wiedziała, co się dzieje, już dawno bym tu przyjechała.

Krzywię się. *Dlaczego niczego im nie powiedziałam?*

- Mike wydawał się nam trochę mało uczuciowy, ale zawsze zachowywał się wobec nas uprzejmie - wyjaśnia. - Dziwiłam się, że tak mało mówi o swojej przeszłości i matce, ale uznałam, że po prostu jest skryty. Ostatnio podczas kilku naszych spotkań nie podobało mi się, jak traktował Amy. Krytykował ją przy nas, więc podejrzewałam, że kiedy są sami, jest jeszcze gorzej. Ale nawet na myśl mi nie przyszło, że może dochodzić do czegoś takiego, przynajmniej dopóki nie zadzwoniłaś. A wówczas stało się coś dziwnego. Natychmiast po naszej rozmowie zadzwoniłam do Celi, a ona od razu powiedziała: „To jego sprawka”. Zbyt łatwo uznałyśmy

to za oczywiste. Chodzi mi o to, że najwyraźniej podświadomie już to wiedziałam. Moje ciało to wyczuło, zanim jeszcze mózg sobie to uświadomił, bo wcale nie byłam tak zaskoczona, jak powinnam.

- Bardzo cię przepraszam, że ci nie powiedziałam.
- Kiedy to mówię, nie potrafię spojrzeć jej w oczy.
- Powinnam była do ciebie zadzwonić.

- Nie, nie, nie przepraszaj. Rozumiem, dlaczego nie zadzwoniłaś.

- A jednak powinnam była - stwierdzam. - Byłam głupia, uznając, że zachowanie jej sekretu świadczy o mojej lojalności. - Wypijam niewielki łyk kawy i natychmiast odstawiam kubek na stół. W żołądku pali mnie od kwasu. Nic nie jadłam od ponad doby, więc kawa ze szpitalnego bufetu z pewnością nie wyjdzie mi na dobre.

- Waverly, co powinniśmy zrobić? - pyta Margaret.

W końcu podnoszę na nią wzrok i widzę, jaka jest przerażona. To już nie jest ta sama kobieta, która wczoraj prowadziła swoją rodzinę jak generał wiodący armię na bój o życie. Teraz wygląda na bezsilną.

- Nie wiem - odpowiadam łamiącym się głosem.
- Musi się dać coś zrobić. - Zaczynam mieć trudności ze sformułowaniem logicznej myśli.

Szarpią mną skrajne emocje. Denerwuję się tak mocno, że najchętniej wyciągnęłabym Amy siłą ze szpitalnego łóżka i zabrała gdzieś, gdzie stałaby się dawną sobą. Tak bardzo ją kocham. Ale jednocześnie jestem na nią taka wściekła, że chwilami wolałabym nigdy jej nie znać. Prawdę mówiąc, w pewnym sensie tak właśnie jest.

- Musi być coś, co możemy zrobić - powtarza Margaret. Zachowujemy się tak, jakbyśmy myślały, że dzięki powtarzaniu tego w kółko doznamy w końcu olśnienia. Margaret bierze serwetkę i energicznie wydmuchuje nos. Odchrząkuje. - Po prostu musi. - Spogląda na mnie. - Bo jeśli nie...

- Wiem. - Kiwam poważnie głową. - Bo jeśli nie.

Przy stoliku obok siada jakaś rodzina - matka, ojciec i dwóch małych chłopców. Matka stawia na środku stołu tacę, a jej synowie natychmiast się na nią rzucają, łapiąc zawinięte w folię bułeczki miodowe, butelki soku i papierowe torebki z frytkami. Matka i ojciec postukują słomkami o stół, żeby łatwiej zdjąć z nich osłonki, i żadne z nich nie zauważa, że ich ruchy są zsynchronizowane. Obie z Margaret ich obserwujemy.

- Opowiedz mi, co słychać u ciebie - prosi, kiedy odwraca się z powrotem w moją stronę.

- U mnie?

Spogląda znacząco na rodzinę obok.

- Dobrze byłoby posłuchać dla odmiany o czymś innym.

A, oczywiście - myślę. Nie chce, żeby tamci słyszeli naszą rozmowę o Amy.

- Cóż - zacznam. - W sumie to dużo się wydarzyło.

Opowiadam jej o problemach z firmą i pieniędzmi, a potem w końcu o Larrym. Kiedy dochodzę do tej części, robi coś, czego w życiu bym się nie spodziewała - zaczyna się śmiać.

- Co takiego? - pytam.

- Och, przepraszam, kochanie. Tylko po prostu...
- Zakrywa usta dłonią i potrząsa głową, nadal chichocząc. - Wygląda na to, że nie pojmujesz sedna sprawy.

- Nie rozumiem.

Znów się śmieje.

- Nie chcę być wobec ciebie protekcyjna, kochanie. - Bierze głęboki oddech i przełyka ślinę, po czym poważnie. - Czy wiesz, że jesteśmy z Davisem małżeństwem od czterdziestu czterech lat? Zaręczyliśmy się zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Znaliśmy się przez całe życie. Dorastaliśmy w sąsiedztwie, chodziliśmy do tej samej szkoły i tego samego kościoła - ale nie znałam go w takim sensie, o jakim mówisz. Nie byłam go „pewna”. *Nadal* nie jestem. Nie wiem, czy na przykład nie ucieknie choćby jutro z tą śliczną rudą pielęgniarką, która zajmuje się Amy. - Śmieje się. Miło znów widzieć, jak się śmieje. - Ale na tym częściowo polega zabawa. Dojrzewacie razem i osobno, popełniacie błędy i je naprawiacie. A z każdym mijającym rokiem więcej się dowiadujecie - o sobie samych i o sobie nawzajem - i, miejmy nadzieję, bardziej się kochacie, pomimo wszystkich tych rzeczy, które zrobiliście źle. Na tym polega bezwarunkowa miłość. Prawdziwa, szczerza i niepowtarzalna miłość.

- Tak - mówię, chociaż trochę brakuje mi tchu.

- Nie wiem, dlaczego nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

- Postaraj się nie martwić aż tak bardzo - dodaje Margaret, sięgając w poprzek stołu, żeby poklepać mnie po ręce. - Wszystko się ułoży. - Spogląda na mnie,

uświadamiając sobie ironię tych słów w obecnej sytuacji.

- Pozostaje nam mieć nadzieję, prawda?

Potakuję ruchem głowy.

- Prawdopodobnie to jedyne, co możemy zrobić.

Kiedy wracamy do poczekalni, Davis informuje nas, że nic się nie zmieniło. On i Celia rozmawiali z Amy, aż ogarnęła ją senność, po czym wyszli, żeby mogła się przespać.

Zegnam się z nimi. Muszę sprawdzić, co się dzieje w piekarni, nawet jeśli miałabym tam wpaść tylko na chwilę i przekonać się, że wszystko toczy się gładko.

Kiedy odwracam się, żeby odejść, widzę, jak Margaret i Davis się obejmują. Nie potrafię sobie wyobrazić, co czują. Z pewnością mieli piękne marzenia dotyczące przyszłości córek, wyobrażali sobie ich dyplomatoria i śluby, potem dzieci - a swoje wnuki - i mieli nadzieję, że będą szczęśliwe. To, co spotkało Amy, musi być dla nich druzgocącym przeżyciem.

Myślę teraz o swoich rodzicach, którzy nieustannie mi powtarzali: „Jedyne, na czym nam zależy, to żebyś była szczęśliwa”. Kiedy dorastałam, było to zarówno błogosławieństwo, jak i przekleństwo. Z jednej strony cieszyła mnie świadomość, że nie muszę zostawać prawnikiem czy kończyć innych upragnionych przez rodziców studiów, ale z drugiej, chciałam czasem, żeby bardziej mną pokierowali. Żadne z nich nie wyrażało swojego zdania na temat mojej przyszłości. Nie przywiązywali wagi do tego, w co się ubieram ani z kim utrzymuję kontakty. Jestem przekonana, że gdyby jeszcze żyli i zapytałabym ich o zdanie na temat mojej

firmy lub związku, odparliby to, co zawsze: „Jedyne, na czym nam zależy, to żebyś była szczęśliwa”.

Słuchając Margaret, uświadomiłam sobie, że zbyt usilnie starałam się to zrealizować. Oczywiście, rodzice *nie żądali*, żebym była szczęśliwa, ale nawet jeszcze zanim zginęli, patrzyłam na to w taki właśnie sposób. Przypuszczam, że wynikało to z tego, że byłam jedynaczką. Zawsze czułam, że mają tylko jedną szansę, więc ja muszę zrobić wszystko, jak należy. Kiedy mówili: „Jedyne, na czym nam zależy, to żebyś była szczęśliwa”, nie czułam ulgi czy spokoju, tylko obracałam w kółko w myślach jedno bezlitosne, agresywne, wieczne pytanie: *Jak? Jak? Jak?*

Przez całe dorosłe życie walczyłam, żeby osiągnąć jakiś wyższy cel. Ale po rozmowie z Margaret i tym, jak zobaczyłam ją obejmującą się z Davisem, uświadomiłam sobie, że moi rodzice byliby ze mnie dumni, a ja będę szczęśliwa tylko pod warunkiem, że przestanę kwestionować to, co dostaję od życia, przestanę myśleć, że u kogoś trawa jest bardziej zielona, i zrozumiem, jaką jestem szczęściarą, że mam właśnie takie, trochę zabałaganione życie. Kiedy mama i tata zmarli, przekonałam się, jakie cenne jest życie, ale zamiast wykorzystać tę naukę i być wdzięczna za każdy dodatkowy dzień, który jest mi dany, usiłuję przekształcić swoje życie w superfantastyczne, bezbłędne arcydzieło. Teraz sobie uświadomiam, że jedyne, na czym mi naprawdę zależało, to mieć własne życie, jedyne w swoim rodzaju. Najwyższy czas zacząć się nim cieszyć.

Znajduję przed szpitalem swój samochód i opadam na przednie siedzenie. Jednak przed włożeniem klucza

do stacyjki wyjmuję telefon i wystukuję wiadomość przeznaczoną dla Larry'ego: *Kocham cię.*

W chwili, kiedy chcę wrzucić wsteczny bieg, słyszę sygnał, że dostałam SMS-a. *Ja też cię kocham* - brzmi wiadomość. - *Przyjeżdżaj do domu.*

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Mijają dwa tygodnie. Akurat rozmawiam z jedną z klientek na temat tego, czy utrzyma się moda na czerwone babeczki z kremem z serka mascarpone, kiedy w przedniej kieszeni spodni zaczyna wibrować mój telefon.

- Przepraszam, muszę to odebrać - mówię i wstaję od stolika, podpierając się rękami. To Margaret z codzienną porcją wieści na temat Amy. Jedną ręką wciskam przycisk z zieloną słuchawką, a drugą podnoszę z mijanego stolika kubek po kawie, który wkładam do plastikowej wanienki zaraz przy wejściu do kuchni.

- Cześć, Margaret - mówię. - Jak się dzisiaj czuje?

Amy wyszła ze szpitala pięć dni temu. Lekarze są dobrej myśli. Wygląda na to, że w pełni wyzdrowieje, aczkolwiek, co ważne, przez następnych kilka tygodni musi dużo wypoczywać, aby jej ciało mogło się zregenerować. Nie mam pojęcia, jak ma się relaksować w obecnych warunkach. Od kiedy oświadczyła, że wraca do Mike'a, jej rodzina i ja niemal bez przerwy odwieździliśmy, przedstawiając na zmianę swoje argumenty.

Ojciec: - Dobrzy mężczyźni - tacy, dla których warto się poświęcać - nie dopuszczają się takich rzeczy. Mike powinien siedzieć w więzieniu, Amy. Czemu to do ciebie nie dociera?

Claire: - On cię znowu pobije, Amy.

Celia: - W głębi serca wiesz, że tak będzie.

Matka: - Jeśli jesteś zdeterminowana ratować ten związek, to chociaż zamieszkaj u nas, póki się nie poprawi. Martwimy się o twoje bezpieczeństwo, kochanie.

Ja, załamując ręce jak staruszka: - Niech najpierw idzie na terapię, tak jak początkowo planowałaś, a dopiero potem do niego wróć... Pomyśl o Emmie... Porozmawiaj z Kate... Wprowadź się na razie do mnie i Larry'ego.

My wszyscy: - Dlaczego nie widzisz, co on ci robi?

Mimo naszych protestów Amy wróciła do siebie i jest teraz - co nam się nie mieści w głowie - pod niemal wyłączną opieką Mike'a. Kiedy powiedziała Margaret, co postanowiła i że jej decyzja jest ostateczna, ta próbowała ją namówić, żeby porozmawiała ze szpitalnym psychiatrą. Niestety, nie zgodziła się. Jesteśmy bezsilni. W rezultacie Amy jest w domu, a jej zdrowie znajduje się w rękach mężczyzny, który niemal ją zabił.

Siostry Amy musiały wrócić do Karoliny Północnej do swoich rodzin, ale Margaret i Davis postanowili zostać w Waszyngtonie. Wynajęli pokój w Marriotcie niedaleko centrum handlowego tuż przy osiedlu Amy. Każdego ranka Margaret odwiedza córkę, zabiera Emmę na spacer, a następnie raportuje mi rozwój sytuacji. Na razie nie widziała Mike'a. Amy robi wszystko, żeby ich ścieżki się nie przecięły i pewnie tak jest najlepiej dla wszystkich. Ojciec Amy, małomówny z natury, jest tak zdruzgotany tym, co spotkało najbardziej entuzjastycznie nastawioną do życia spośród jego córek,

że zupełnie przestał się odzywać. Margaret twierdzi, że spędza większość czasu w pokoju, dzwoniąc w różne miejsca i surfując po Internecie w poszukiwaniu haczyka prawnego, dzięki któremu mogliby raz na zawsze pozbyć się Mike'a.

Niestety, w rzeczywistości nic nie możemy zrobić. W dniu aresztowania Mike stanął przed sądem, nie przyznał się do winy i wyszedł za kaucją kilka godzin później. Ze względu na treść zeznania Amy, brak dowodów i czystą kartotekę oskarżenie o umyślne okaleczenie zmieniono mu na zwykłe pobicie członka rodziny, za które prawdopodobnie nie pójdzie do więzienia. Zamiast tego wlepią mu „rok w zawieszeniu”, co oznacza tyle, że od czasu do czasu będzie musiał się spotkać z kuratorem. Przeraza mnie, że osoba pokroju Mike'a może robić, co chce, i jest traktowana na równi z kimś, kto został przyłapany za zbyt szybką jazdę albo kradzież paczki gum do żucia.

W dniu wyjścia Amy ze szpitala przyglądałam się, jak dwie pielęgniarki usadzały ją w samochodzie ojca z taką troską, jakby była bezcennym antykiem. Spoglądając na mnie z ponurego tylnego siedzenia, Amy obiecała, że się odezwie.

- Jutro zadzwonię - powiedziała, rzucając mi przy tym uśmiech, jakbyśmy się żegnały po zwykłym wspólnym śniadaniu albo bieganiu.

Oczywiście nie zadzwoniła. Wiedziałam, że tak będzie, kiedy tylko otworzyła usta.

Martwię się, czy jeszcze kiedyś usłyszę głos mojej przyjaciółki. Amy wie, że poszłam na policję. Opowie-

działałam jej o rozmowie z porucznik Dillon i że dałam jej mój pamiętnik. Chciałam, żeby zrozumiała, że z Mikiem nie ma żartów. Błagałam ją, żeby się zastanowiła, co robi. Teraz dzień w dzień dzwonię do niej na komórkę i zostawiam wiadomości z prośbą, żeby dała znak życia, ale na razie bezskutecznie. Dzwoniłam też na telefon domowy, ale kiedy wreszcie ktoś odebrał, usłyszałam w słuchawce głos Mike'a - jego beztrojskie „halo” zabrzmiało, jakby właśnie grał z rodziną w Monopol. Upuściłam słuchawkę jak oparzona. Niezależnie od tego, jak bardzo boję się o Amy, nie potrafiłam się zmusić, żeby z nim porozmawiać.

Prawie nie śpię. W nocy umysł wypełniają mi straszliwe wyobrażenia o koszmarach czekających Amy w najbliższej przyszłości. Jeszcze nigdy nie mieliśmy takich czystych fug w łazience. Zawartość kredensów w kuchni ułożyłam w porządku alfabetycznym. Larry codziennie namawia mnie, żebym przyszła do łóżka, ale już mi się nawet nie chce próbować. Wczoraj około północy zadzwoniła Kate i kiedy usłyszała szum miksera w tle - robiłam cytrynowe kruche ciasteczka - zaczęła mnie błagać, żebym po prostu wskoczyła do samochodu i podjechała do Amy. Zaproponowała nawet, że sama przyjedzie i pójdziemy razem, ale to też mnie nie przekonało. Skoro wszystkie moje dotychczasowe działania okazały się bezsensowne, czemu teraz miałyby być inaczej?

- W i ę c jest to samo, co wczoraj - opowiada Margaret i ciężko wzdycha. - Tym razem poszedł kupić coś do jedzenia. Prędzej czy później skończą mu się wymówki i będzie musiał stanąć z nami twarzą w twarz.

- To, że Amy z takim uporem nie dopuszcza do waszego spotkania, daje do myślenia.

- Tak. I mnie przeraża. Widać, że on tu wszystkim rządzi, jakby Amy była bezwolną lalką. Nie umiem sobie wyobrazić, co on jej opowiada.

- Wolę o tym nawet nie myśleć - stwierdzam.

- A co u Emmy?

- Właśnie jesteśmy razem na placu zabaw. Na huśtawkach.

Chcę spytać, czy Amy powiedziała coś na mój temat, ale się powstrzymuję. Margaret wie, że regularnie wydzwaniam do Amy, ale podobnie jak ja, nie może zrozumieć, dlaczego ta nie chce ze mną rozmawiać. Margaret ma teorię, że Amy przekierowała swoją złość. Nie może sobie pozwolić, żeby się wściekać na Mike'a, więc znalazła zastępczy cel, a ja się doskonale nadaję na wroga - w końcu doniosłam rodzinie i byłam na policji.

Jeszcze przez chwilę się nie rozłączamy, żałując, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Niestety, wraz z upływem czasu staje się coraz bardziej oczywiste, że jesteśmy bezsilne. Póki Amy nie zmieni zdania, nie będziemy mogły jej pomóc. Zegnam się i mówię, że będę czekać na jutrzejszy telefon.

Jeannette najwyraźniej czekała, aż skończę rozmawiać, bo natygam się na nią, kiedy tylko opuszczam biuro.

- Co jest? Coś się stało? - pytam, obrzucając wzrokiem kuchnię.

- Wszystko w porządku - śmieje się. - Jezu, ale z ciebie paranoiczka.

Jeannette nie ma o niczym pojęcia. Poprzestałam na tym, że powiedziałam Randyemu. Zależy mi na tym, żeby praca została nieskalana - chcę zawsze móc się tu schronić przed resztą świata.

- Czekałam, żeby ci powiedzieć o facecie, który dzwonił. Powinno cię to zainteresować. - Podaje mi karteczkę. Jej odręczne pismo przypomina bazgroły Larryego - literki są tak malutkie, że muszę przysuwać kartkę do oczu, żeby je przeczytać: „Mark Brinson, Butterman Catalog”. I numer z kierunkowym, którego nie rozpoznaję. - Prosił, żebyś zadzwoniła jeszcze dzisiaj, jeśli będziesz mogła.

- Eee... czy to jest ten Butterman Catalog?

- T a k , ten od koszy z owocami. Moja mama zawsze miała jego katalog i zamawiała z niego prezenty na święta.

- Moja też.

Teraz przypominam sobie ten katalog, jak leżał na blacie. Miał pozaginane rogi i stała przy nim puszka dietetycznej coli, z którą mama się nie rozstawała.

Wychodzę tylnymi drzwiami na parking schowany za piekarnią i dzwonię pod numer z karteczki. Muszę trochę ochłonać, bo przy włączonych piecach w kuchni robi się nieznośnie gorąco. Inna sprawa, że na dworze jest niewiele lepiej. Niby mamy środek wiosny, ale kilka ostatnich dni bardziej przypominało lipiec. Ciągłe sły-szę, jak klienci żartują na temat globalnego ocieplenia, a czasami również bezmyślnego uporu republikanów, którzy wciąż w nie nie wierzą. Jakie to typowe dla waszyngtończyków, że z prostej rozmowy o pogodzie

natychmiast muszą zrobić dyskusję o poglądach politycznych.

- Mark Brinson, słucham - odzywa się głos po drugiej stronie linii.

- Dzień dobry, mówi Waverly Brown. Słyszałam, że pan dzwonił.

- Pani Brown! Dziękuję, że tak szybko pani odzwania. Co słyhać w stolicy naszego pięknego kraju?

Ble. Mówi przesadnie entuzjastycznym głosem zawodowego sprzedawcy. Natychmiast się zniechęcam.

- J a k o ś sobie radzimy. A pan skąd dzwoni?

- Z Oregonu. Z Portland, dokładnie mówiąc. Była tu pani kiedyś?

- Nie. Nigdy.

- Pięknie tu jest. Powinna nas pani odwiedzić. Może ta rozmowa panią zachęci.

- Muszę przyznać, że bardzo mnie interesuje, dlaczego pan do mnie dzwonił.

- Czy wie pani, czym się zajmuje nasza firma?

- Proszę mi mówić Waverly. Tak, widziałam wasze katalogi.

- Och, ale sprzedaż wysyłkowa to nie wszystko, czym się zajmujemy. Prowadzimy też dziesiątki sklepów w całym kraju. Nasza historia sięga lat trzydziestych dwudziestego wieku.

- Imponujące. Czego w takim razie chcecie od takiej osoby jak ja? - *Naprawdę* chciałam się dowiedzieć.

- Widzi pani, mam kuzynkę w Waszyngtonie, która, podobnie jak ja, uprawia triathlon. Brała pani kiedyś udział w triathlonie, pani Brown?

- Waverly - mówię ponownie, tym razem ze zniecierpliwieniem. - Nie. Trochę biegam, ale poza tym nie jestem sportowcem. Prowadzę firmę i nie mam zbyt wiele wolnego czasu. Rozumiem, że chciał pan porozmawiać w jakiejś sprawie biznesowej?

- W okolicach Waszyngtonu jest mnóstwo wspaniałych tras biegowych.

Odrzucam głowę do tyłu. *No dalej! Powiedz wreszcie, czego ode mnie chcesz!*

- Parę miesięcy temu odwiedziłem kuzynkę. Trenujemy razem do zawodów Ironman.

- Ho, ho, to jest coś.

- Tak, treningi są bardzo intensywne. Wracając do powodu, dla którego dzwonię... - *Wreszcie!* - Kiedy kilka tygodni temu byłem w Waszyngtonie, po długim treningu rowerowym kuzynka zabrała mnie do pani piekarni. Zjadłem jednego z tych pani sławnych muffinów pączkowych. I pozwolę sobie powiedzieć, że po dwugodzinnej jeździe na rowerze to był strzał w dziesiątkę. Jest pani naprawdę utalentowana.

- Dziękuję.

- Następnego dnia leciałem do domu. Przeglądałem w samolocie niedzielny „New York Times” i, co za zbieg okoliczności, zobaczyłem artykuł o pani! Co za zaszczyt! I to w pełni zasłużony!

- Dziękuję bardzo - mówię, zaczynając go odrobinkę bardziej lubić. Łapię się na tym, że uśmiecham się do siebie.

- To nasunęło mi pewien pomysł. Dwa tygodnie temu zadzwoniłem do piekarni i poprosiłem, żeby mi

tu przysłali kilkadziesiąt muffinów. Może pani pamiętać? Na mój prywatny adres.

Zdaje mi się, że Randy opowiadał mi o czymś takim, ale musiało to nastąpić mniej więcej w tym czasie, kiedy Amy była w szpitalu, bo dokładniej sobie tego nie przypominam, a powinnam. Jest kilka osób, przeważnie dawnych klientów, które się przeprowadziły i czasem dzwonią, żeby im przysłać ulubione smakołyki. Jednak nie zdarza się to na tyle często, żebym tego nie zauważała.

- Tak, pamiętam - kłamię. - I jak smakowały? Mam nadzieję, że dobrze zniosły podróż?

- Były fantastyczne, ale prawdę mówiąc, nie sprwadziłem ich dla siebie. Moim zadaniem jest wyszukiwanie nowych produktów dla naszej firmy wysyłkowej. A dzwonię, ponieważ chcielibyśmy wprowadzić pani muffiny do naszej oferty. Chcielibyśmy współpracować z panią, pani Brown.

Przestaję maszerować po parkingu i opieram się bezwładnie o jettę Randy'ego, zaparkowaną obok mojego samochodu.

- Szczegóły możemy omówić później, ale chciałem zacząć od tej wstępnej rozmowy, żeby się przedstawić i zorientować, czy panią to w ogóle interesuje. Interesuje to panią?

- Tak - mówię bez tchu. - Zdecydowanie mnie interesuje! - Wiem, że nie powinnam tak entuzjastycznie się zgadzać, ale nie potrafię się opanować. Moje muffiny mają być sprzedawane w całym kraju? Nie chcę uprzedzać rozwoju wydarzeń, ale mogłabym spłacić całą

pożyczkę hipoteczną. Mogłabym kupić lokal piekarni od tego zidiociałego Aleca. Nie czułabym ucisku w żołądku za każdym razem, gdy w skrzynce na listy znajdę rachunek. A nawet moglibyśmy z Larrym pojechać razem na wakacje. Albo choćby wyjść do porządnej restauracji.

- Cóż, to świetnie. Bardzo się cieszę, że jest pani zainteresowana. Przygotuję dla pani więcej informacji i porozmawiamy dłużej za kilka dni. Dobrze?

- Fantastycznie - odpowiadam.

Po podaniu mojego adresu e-mailowego i wielokrotnych podziękowaniach rozłączam się i wykonuję triumfalny taniec. Opadam na ciepłą maskę mojego starego, przerdzewiałego subaru i osłaniam oczy przed słońcem jedną ręką, drugą wybierając w telefonie numer Larry'ego.

- Halo - odzywa się. W tle słyszę odgłosy meczu baseballowego z telewizora.

- Nigdy nie zgadniesz - mówię, wprost nie wierząc w to, co za chwilę powiem. - Wyobraź sobie, że mam dobre wieści.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kilka dni później stoję wieczorem z Kate i Larrym przy wyspie w mojej kuchni nad ogromną miską *linguine*.

- Sami swoi - mówi Larry ze śmiechem i sięga widelcem do wspólnej miski.

Kiedy przełożyłam do niej makaron, Kate i Larry natychmiast się na niego rzucili, Kate z widelcem, który Larry podał jej w międzyczasie ze srebrnego pojemnika stojącego na blacie. Nie zwracamy sobie głowy osobnymi miseczkami.

- Myślę, że przydałoby się więcej pieprzu - mówię z pełnymi ustami. - Jak sądzicie?

- Zgadzam się - odpowiada Kate, również ze sporą porcją makaronu w buzi.

Sięgam po stojący za mną na blacie młynek z pieprzem i wykonuję kilka obrotów nad miską. Kate zaczyna nam opowiadać o wycieczce do Indii, na którą planuje się wybrać pod koniec maja po święcie Memorial Day.

- Czy to coś w rodzaju „Jedz, módl się i kochaj”? - żartuje Larry.

Kate unosi widelec nad głowę i robi ruch, jakby chciała go dźgnąć. Tylko Larryemu uchodzą u niej na sucho takie zaczepki. Kto inny wycofywałby się już

pospiesznie z kuchni z podniesionymi rękami, zapewniając, że nie miał nic złego na myśli.

- Prawdę mówiąc, spotkałam się wczoraj z Brendanem na obiedzie - rzuca Kate.

Odkładam widelec.

- Obiad? Wczoraj? - Zerkam na zegarek. - Tyle godzin minęło, a ty dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Nie chciałam ci przeszkadzać, skoro jesteś zajęta robieniem ogólnokrajowej kariery.

- T e ż coś.

Finalizuję umowę z wydawcą katalogu i wszystko dzieje się bardzo szybko. Muffiny będą prezentowane już w wydaniu na przyszły miesiąc. Pod koniec tygodnia przychodzą fotografi stylista żywności, żeby zrobić zdjęcia - mnie i muffinom. Umówiłam się nawet do fryzjerki Kate, a teraz tak się denerwuję tą wizytą, jakbym się wybierała na leczenie kanałowe. Mark Brinson twierdzi, że w pierwszej turze liczymy na dziesięć tysięcy zamówień. *Dziesięć tysięcy zamówień*. Nie wiem, czy kiedykolwiek to do mnie dotrze. W poczcie mam już pierwszy czek - za podpisanie umowy. Dzisiaj weszłam do Internetu i przelałam pieniądze na spłatę raty pożyczki hipotecznej za przyszły miesiąc. Teraz mogę już powiedzieć, że mój dom jest bezpieczny. Kiedy skończyłam, z ulgą spojrzałam na zerowy stan zaległości, ale nie skakałam z radości, jak przy wygranej w totka. Był to raczej ten rodzaj ulgi, który odczuwasz, kiedy gwałtownie skręcisz, unikając wypadku drogowego, do którego doszłoby z twojej winy. Obiecujesz sobie wtedy, że odtąd będziesz bardziej uważać.

- I jak się udał ten obiad? - pyta Larry. Dzięki temu, że nie zaprzysiężnia się z ukochanymi moich przyjaciółek, może uczestniczyć w babskich rozmowach.

- No - zaczyna Kate i przerywa, żeby połknąć kolejną porcję. - Przede wszystkim miał czas, żeby się ze mną umówić. To po pierwsze. Jeszcze kilka miesięcy temu nie przestałby pracować, nawet gdyby umarła jego matka.

Po tych słowach czuję, jak cała tężeję. Mimo że minęło tyle lat, nadal tak reaguję, kiedy ktoś wspomina o śmierci rodziców.

- A dokąd poszliście? - pytam.

- Oczywiście! Ty musisz spytać przede wszystkim o knajpę - dokuca mi. - Do restauracji Nora.

Obie ją lubimy, tyle że ja tam nie byłam już od kilku lat... Nie było mnie stać i takie tam inne problemy.

- Czy ktoś wam zawracał głowę? - zainteresował się Larry. - No, wiesz, wy dwoje w publicznym miejscu.

- Absolutnie nikt - mówi ze śmiechem.

Brendan i Kate przestali być sensacją, kiedy w prasie ukazały się zdjęcia dwóch kandydatek do tytułu Miss USA palących trawkę w pokoju hotelowym w Atlantic City przed konkursem. Zdaje się, że Miss Vermont i Miss Idaho. Kate żartowała, że to prawdopodobnie Brendan kupił im towar i wynajął fotografa.

- No więc, jak było? - pytam.

- Dobrze. Szczerze mówiąc, nawet przyjemnie. Dziwnie było tak razem siedzieć. Wynajął mieszkanie w dzielnicy Capitol Hill.

- Czyżbyś się jeszcze wahała? - pytam.

Wzrusza ramionami i spogląda na Larry'ego, który to zauważa.

- I co, dziewczęta? Mam wyjść, żebyście mogły to omówić ze szczegółami?

- Nie, nie - zaprzecza Kate. - Nie podjęłam jeszcze decyzji. Sama nie wiem, co myśleć. Nie wiem, co zrobić. Ale miło było posiedzieć razem, nawet jeśli czuliśmy się trochę skrępowani. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła na niego patrzeć, żeby od razu nie przypominały mi się jego zdjęcia z tamtą.

- Z pewnością - odpowiadam. - Przecież to dopiero początek. Jeśli tego właśnie chcesz, to początek.

Rozlega się dźwięk dzwonka do drzwi. Patrzymy z Larrym na siebie i wzruszamy ramionami.

- Ja otworzę - mówi Larry.

Odkłada widelec i wyciera ręce o dzinsy. Kiedy wychodzi z kuchni, spoglądam na Kate i pytam:

- Więc? Co jest?

Ale nie ma okazji mi odpowiedzieć, bo Larry woła:

- Kotku, chodź tutaj.

Idąc w kierunku drzwi frontowych, dostrzegam najpierw róż. Mój mózg dopiero po chwili - jakby kółka zębate obracały się w nim powoli - rejestruje źródło tego łososiowego koloru: różowy trenecz Amy. Stoi z Larrym w spodniach dresowych, płaszczu i czapce baseballowej, która tylko częściowo zakrywa bandaż na jej głowie. Emma stoi obok niej i wyciąga wysoko rączkę, żeby pokazać Larry'emu pluszowego pingwina, którego w niej trzyma. Przy jego zwalistej sylwetce obie wyglądają na bardzo malutkie.

- Dzwoniłam - mówię.

Nie wiem, dlaczego akurat te słowa pierwsze nawięły mi się na język.

Amy zaciska usta i pokazuje wzrokiem Emmę, jednocześnie głaszcząc ją po głowie.

- Nie powinnam prowadzić. - Dotyka czapki. - Nie odbierałam twoich telefonów.

Kiwam głową. Czuję, że staję za mną Kate.

- Amy! - zachłystuje się ze zdumienia.

Amy obrzuca pokój przestraszonym wzrokiem i w końcu zatrzymuje spojrzenie na mnie.

- Potrzebuję twojej pomocy - mówi łamiącym się głosem.

Czuję taką ulgę, że nogi się pode mną uginają i niewiele brakuje, żebym się przewróciła.

- W porządku - mówię. - Wszystko, czego tylko chcesz.

Amy tylko kiwa głową, bo nie ma potrzeby, żeby cokolwiek mówiła.

Dwadzieścia minut później postanawiamy, że Margaret i Davis przyjadą po Emmę i zabiorą ją do hotelu. Będzie tam bezpieczna. Poza tym lepiej, żeby jej tu nie było, kiedy będziemy ustalać, co robić dalej. Amy rozmawia przez telefon z matką, wyjaśniając jej, jak dojechać do mojego domu. Chodzi po moim salonie, okrążając ławę, jakby się poruszała po niewidzialnych torach kolejki elektrycznej. Wygląda niesamowicie krucho w za dużych spodniach dresowych i bluzie oraz turbanie z gazy pod czapeczką. Chciałabym ją poprosić, żeby usiadła i odpoczęła,

ale się boję, że powiem coś niewłaściwego i znów ucieknę.

- Nie, mamo, nie ma się czego bać. - Krzywi się w stronę telefonu. - Muszę tu zostać, bo trzeba to od razu załatwić. Wjazd do Karoliny Północnej tylko by to wszystko przedłużył. Nie, on nie wie, że odeszłam.

Odzywa się dzwonek, a my reagujemy tak, jakby jego delikatny dźwięk był alarmem ostrzegającym przed nalotem. Larry i ja skaczymy na równe nogi ze swoich miejsc na kanapie. *A jeśli to Mike?* Czuję, że skręca mi się żołądek, kiedy ostrożnie wyglądam zza zasłony. I tak nic nie widać, więc ruszam ku drzwiom.

- O Jezu - wzdycham z ulgą, kiedy zerkam przez wizjer. Przekręcam mosiężny zamek zamontowany na ciężkich drewnianych drzwiach. - To tylko moja sąsiadka. - Ta wścibska freelancerka.

Rozmawiamy może przez minutę. Okazuje się, że przyszła mi pogratulować artykułu w „Timesie”, tym samym budząc we mnie poczucie winy z powodu tego, że najchętniej zatrzasnęłabym jej drzwi przed nosem. Wreszcie odchodzi, a ja wracam do salonu. Kate niepokojnie postukuje nogą i bawi się jedną z bransoletek, które ma na ręce, czekając, aż Amy skończy rozmowę. Idę do kuchni, żeby nalać Amy kolejną szklankę wody. Kiedy wracam, już nie rozmawia.

- Amy, proszę cię, usiądź - mówię. - Z pewnością nie powinnaś tyle chodzić.

Kiedy kieruje się ku kanapie, obie z Kate podbiegamy, żeby jej pomóc. Powstrzymuje nas.

- Nic mi nie jest - mówi.

Przez chwilę wszystkie milczymy. Siadam naprzeciw niej na podłodze, opierając łokieć na ławie.

- Mama przynajmniej nie powiedziała „A nie mówiłam” - odzywa się ponuro. Mija kolejna minuta.
- Trudno uwierzyć, że potwór, przed którym się chowam, to mój mąż.

Kate i ja spoglądamy na siebie. Larry wymyka się z pokoju, żeby zająć się Emmą kolorującą książeczki w kuchni. Wie, że potrzebny jest nam czas spędzony tylko we trzy.

- A wiecie, że kiedyś jechał przez cztery godziny do Karoliny Północnej po trzydziestogodzinnym dyżurze w szpitalu tylko po to, żeby mi przywieźć barbecue z mojego ulubionego lokalu, bo wspomniałam, że wszystko bym za to oddała? - Zaczyna płakać.

Zrywam się z podłogi, żeby usiąść obok niej.

- Dojdiesz do siebie - mówi Kate, przesuwając się po kanapie, aż znalazła się obok niej. - Wszystko będzie dobrze - zapewnia ją.

Amy kiwa głową. Ma tęskny wyraz twarzy, jakby pragnęła, żeby pewność Kate jakoś jej się udzieliła, żeby mogła się nią otulić jak pożyczonym od niej kocikiem. Pociera dłońmi o uda i zaczyna mówić:

- Leżałam w łóżku, a Emma wtuliła się we mnie, opierając główkę na moim ramieniu. Oglądałyśmy *Matą syrenkę*. Dostała ją od Claire, kiedy byłam w szpitalu. Od kiedy wróciłam do domu, Emma stale chciała oglądać Ariel i księcia Eryka albo śpiewała piosenki z tego filmu. Mnie to nie przeszkadzało - wystarczało mi, że mogę się do niej przytulić. Nawet zaczynałam

już być zła, że w końcu będę musiała wstać z łóżka. - Zastanawia się przez chwilę. - Mike był na dole i szykował obiad. Wcześniej tego dnia powiedział, że może weźmie urlop, żeby się mną opiekować. I, jak stwierdził - przerywa i spogląda na mnie - zająć się sobą. Wiem, że mi nie uwierzycie, ale on naprawdę jest niewiarygodny. Trzy razy dziennie nosi na górę tace z jedzeniem. Rano płatki lub tosty, na lunch zupa i ciasteczka, które, jak Emma mówi, są od niej, piwo imbirowe w kryształowym kieliszku, jednym z tych, które dostaliśmy jako prezent ślubny. Kiedy leżę na górze z Emmą, słyszę, jak zmywa naczynia, odkurza, otwiera i zamyka pralkę. Wiem, że nikt inny nie zrozumie, jak się stara, ale ja rozumiem. Doszłam do wniosku, że to właśnie się liczy.

Nigdy nie rozumiem, jak może tak życzliwie o nim mówić - myślę, obserwując ją. Zupełnie, jakby była zagadką, której nigdy nie uda mi się rozwiązać, jakby była zjawiskiem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam.

- Nie myślcie, że nie wiedziałam, że to będzie trudne - ciągnie. - Uwierzcie mi, że przez ostatnich kilka tygodni miałam wrażenie, że wszystko, czego się nauczyłam w swoim trzydziestopięcioletnim życiu, po prostu uleciało - wszystkie prawdy moralne, wszystkie nauki. Nawet nie pozwalałam sobie na myślenie o tym, co mnie czeka, chyba że Mike przyszedł do sypialni porozmawiać o sprawie albo przekazać mi nowe informacje od swoich prawników. Nie chciałam się tym zajmować. Jeszcze nie teraz. Jeszcze potrzebowałam przynajmniej kilku dni, podczas których

będę mogła tulić się z córeczką i patrzeć, jak się cieszy, mogąc wyciągnąć swoje małe ciało obok mojego, tak jakby nadal była jego częścią.

Przypominam sobie zachowanie Emmy po tym, jak policjant wyniósł ją z domu - jak siedząc wówczas ze mną przed domem, wydawała się w pełni świadoma tego, co się dzieje, tak że wcale jej nie denerwowało panujące wokół poruszenie. Skręcałam w palcach jej ciemnoblonde loki, patrzyłam, jak wyrывa i starannie układa trawki, i myślałam, że wygląda, jakby czekała, aż wszyscy otaczający ją dorośli zrozumieją to, co ona już wie. A wiedziała zbyt dużo.

- Mike powiedział, że mamy większą szansę, żeby sprawa zakończyła się dla nas korzystnie, jeśli będę zeznawała na jego rzecz.

Dla nas korzystnie - myślę.

- Chciał, żebym zeznała, że przyjmował pewne leki, a kiedy to się stało, był dodatkowo pod wpływem alkoholu. Stwierdził, że łatwo będzie przygotować historię o leku, który w niewłaściwej dawce wywołuje halucynacje. - Spogląda na mnie. - Powiedział też, że to, co zeznałaś na policji, nie będzie miało znaczenia, jeśli ja będę utrzymywać, że to nieprawda.

On naprawdę jest wcielonym złem - myślę.

- On serio był pijany, kiedy doprowadził do tego, że wylądowałam w szpitalu, a normalnie prawie nigdy nie pije, jedynie czasem piwo. A ja zachowywałam się jak zdarta płyta, w kółko namawiając go na terapię. Ileż to razy mi powiedział, że pomogę mu lepiej niż ktoś obcy? Ale ja nie wierzyłam tak w siebie jak on we

mnie. Szkoda, bo chciałabym, żebyśmy potrafili przewyciężyć to razem, w domu. Jako rodzina. Jako mąż i żona. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, co zaszło kilka tygodni temu. W każdym razie niedokładnie. Wiem, że to było wcześniej rano, a ja stałe naciskałam drzemkę na budziku. Wywłókł mnie z łóżka i coś krzyczał, że przeze mnie zasnął.

Kate i ja spoglądamy na siebie.

- Kiedy byłam w szpitalu, zadzwonił po tym, jak wyszedł za kaucją. Był taki szczęśliwy, kiedy mu powiedziałam, że wracam do domu. Mówił, jaka jestem silna i jaki on jest wdzięczny, że ma mnie - osobę, która mu pokazała, na czym polega prawdziwa siła. Powiedział też, że musi się ode mnie uczyć. A potem, kiedy mama i tata przywieźli mnie do domu... wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył o tym, jak mu jest przykro. Zaczął się trząść, potem łkać, a w końcu opadł obok mnie na łóżko i błagał o wybaczenie. Pamiętam, że głaskałam go po plecach, próbując uspokoić. W kółko myślałam: „Na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie”. Myślałam też, że on jest znacznie bardziej chory ode mnie, w gorszym stanie niż ja kiedykolwiek będę. Nie ulegało wątpliwości, że mnie potrzebuje. Ale dzisiaj... - Potrząsa głową. - O Boże, dzisiaj...

- Co się stało? - pytam, z trudem wydobywając głos.

- Zaczął dzwonić telefon. Znowu. Emma i ja oglądałyśmy film. Ona bawiła się opatrunkiem na moim przedramieniu, tam gdzie miałam wenflon, rysując na nim palcem różne kształty. Ciągłe powtarzała, jak miło

spędza czas. - W jej oczach pokazują się łzy. - Nagle do pokoju wpadł Mike. Obie z Emmą aż podskoczyłyśmy, a zanim się zorientowałam, co się dzieje, on rzucił telefonem bezprzewodowym w ścianę za nami, tak jakby celował w nas. Jego oczy przybrały taki wyraz... Zaczął wrzeszczeć: „Twoje pieprzone przyjaciółki i twoja pieprzona rodzina muszą przestać tu wydzwaniać!”.

O Boże. To nie byłem ja - bo dziś nie dzwoniłam - ale i tak czuję się okropnie.

- Nigdy wcześniej nie zachowywał się tak przy Emmie. Czułam, jak się cała spięła. Była śmiertelnie przerażona. Wygadywał jakieś absurdy. Jak to nie wyjaśniłam wszystkim, że on potrafi się mną zaopiekować. Że nie wierzę w niego, zupełnie jak jego matka. Złapałam Emmę za rękę pod kołdrą, a ona mocno mnie ścisnęła. Próbowałam go powstrzymać. Wskazywałam wzrokiem Emmę, żeby dać mu do zrozumienia, że nie może tak się zachowywać przy córce. Powiedział: „Zdumiewa mnie, jak niewiarygodnie jesteś głupia”. Emma obróciła się w moją stronę tak nieznacznie, że Mike tego nie zauważył, ale ja to poczułam. Trząść się dosłownie każdy miesiąc jej małego ciała. A potem... - Potrząsa głową i bierze głęboki oddech. Zdenerwowana spoglądam na Kate. - To był... to był po prostu obłąd. Wiecie, że nie znoszę tego słowa, ale trudno to inaczej nazwać - stwierdza. - Złapał leżącego na łóżku pluszowego misia, którego mama dała mi w szpitalu. Emma go dla mnie wybrała, kiedy któregoś dnia były w Target. Spytał, skąd go mam, takim tonem, jakby mnie o coś oskarżał. Powiedziałam,

że Emma mi go dała. Wtedy zaczął wykrzykiwać: *"Emma* ci go kupiła? Nasza trzyletnia córka? Poszła do sklepu? Pojechała tam sama autem? Z własnymi pieniędzmi?". Wymachiwał tym misiem w naszą stronę i krzyczał coraz głośniej. To był jakiś absurd. Zaczął obrzucać mnie wyzwiskami, mówił, że jestem głupią dziwką... A potem nagle Emma się ode mnie oderwała i skoczyła na równe nogi. Krzyczała cienkim głosem: „Tatusiu, nie!”, i zamachiwała się na niego, żeby wyrwać misia. Odbijała się od materaca i skakała na niego, w kolorowej piżamce w babeczki i z płamą z jagód z przodu, krzycząc, żeby przestał. - Z trudem łapie powietrze. - I jakimś cudem przestał. Wyszedł z pokoju, jakby wcale go tam nie było. - Przerzywa na chwilę. - Siedziałyśmy, nasłuchując, kiedy wychodził z domu. Mogłam sobie wyobrazić każdy jego ruch, tyle razy już to widziałam. Spytałam Emmę, czy dobrze się czuje, całując ją raz za razem w czubek głowy, jakbym przykładała tam pieczętkę. Wiecie, co powiedziała?

Obie z Kate potrząsamy przecząco głowami, całkowicie oszołomione tym, co usłyszałyśmy.

- Powiedziała: „Mamusiu, chcę oglądać mój film”. Włączyłam go z powrotem i obserwowałam delikatne ruchy jej brwi towarzyszące akcji na ekranie. Teraz nie mam wątpliwości, że Emma rozumiała, co się dzieje, od dawna. Znacznie dłużej, niż mogłabym sobie wyobrazić. A może po prostu wypierałam to ze świadomości. - Zamyśla się na chwilę. - Nie mogę za to winić nikogo, prócz siebie. Przysięgam, że czuję się tak, jakbym wsadziła moją córeczkę na tratwę i odepchnęła od

brzegu, po czym machała jej na pożegnanie, patrząc jak uwięziona na niej bezradnie dryfuje. Możecie mi tłumaczyć, że to nie ja odpowiadam za to, że byłam bita, ale to ja podjęłam decyzję, żeby trzymać Emmę w tym domu i udawać, że nic złego się nie dzieje. Kilka godzin temu uświadomiłam sobie, że nie mogę tego robić już ani sekundy dłużej. Mieliśmy być rodziną. To mnie przy nim trzymało. Ale teraz wiem, że to miejsce w niczym nie przypominało domu, a my z pewnością nie byliśmy rodziną. Muszę ratować Emmę. A skoro zasłam już tak daleko, że potrafię to zrobić dla swojej córki, to maleńka częścią mnie dostrzega - w końcu - że muszę też ocalić siebie.

Oplatam ją ramionami.

- Och, Amy. - Z trudem wyjąkuje jej imię.

- Bardzo, bardzo przepraszam - łka.

Kate obejmuje ją z drugiej strony.

- Nie, nie, nie masz za co przepraszać - szepczę. -
Zupełnie za nic.

- Poradzisz sobie - mówi Kate. Ściska moją dłoń za plecami Amy.

- Poradzimy sobie z tym - zapewniam. - Wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Amy, sprowadzając się do naszego domu, przywiozła ze sobą kilka plastikowych toreb na zakupy. Wspomina, że kiedy szykowała się do opuszczenia domu, starając się to robić jak najszybciej i wyciągając rzeczy na chybił trafił, jakby uczestniczyła w podchodach na czas, uświadomiła sobie coś dziwnego. Mianowicie, że niejako udziela w ten sposób odpowiedzi na pytanie: „Co byś ze sobą zabrała, gdyby w domu wybuchł pożar?”. To właśnie był pożar. I chociaż minęły dopiero trzy dni, od kiedy odeszła od Mike'a, przekonuje się teraz, że fizyczny akt odejścia był najłatwiejszy. „Wykańcza cię wszystko, co się dzieje, zanim przekroczysz próg i później” - twierdzi.

Kiedy w najtrudniejszych chwilach rozważała odejście, wyobrażała to sobie inaczej. W ponure poranki, maskując korektorem ślady po jego pięściach na skroniach, układała w myślach listy rzeczy do zabrania: numery rachunków bankowych, paszporty, akt urodzenia Emmy, karty ubezpieczenia społecznego, dokumentację medyczną Emmy, swoją książkę adresową, segregatory z materiałami z dawnej pracy i ze studiów, medalion, który dostała od mamy na szesnaste urodziny, bransoletka z amuletami, którą zaczęła kompletować, kiedy była w ciąży z Emmą, kamea po babci,

album niemowlęcy Emmy, zdjęcia z okresu, gdy miała dwadzieścia lat, kronika ze szkoły średniej. Ulubione zabawki Emmy - podniszczony Elmo, pluszowy miś z drogerii, którego uwielbiała, pomimo drapiącego futerka, i książeczka *Bardzo głodna gąsienica*. Album ślubny. Nie wiedziała dlaczego, ale chciała zabrać album ślubny. Jednak wszystkie te plany okazały się niezbyt przydatne, kiedy trzeba było jak najszybciej zapakować rzeczy do furgonetki firmy przeprowadzkowej, żeby zdążyć, zanim Mike wróci z pracy i ją przyłapie.

- Byłam akurat w kuchni i wpychałam ładowarkę do komórki do torebki, gdy przyszła Emma i spytała, co robię. Wyjaśniłam, że przez jakiś czas zatrzymamy się u cioci Waverly, a wówczas na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech, który wystarczająco potwierdził, że podjęłam dobrą decyzję - opowiada.

Wjeżdżamy na podjazd Amy.

Niechętnie to robię, chociaż Amy jest w kontakcie z policją od chwili, gdy schroniła się w moim domu, a oni w pełni akceptują nasze plany. Mimo wszystko wolałabym, żeby ktoś z nich z nami tu przyjechał. Z kolei Amy twierdzi, że to niepotrzebne, bo ostatnio nikt nie widział Mike'a. Nie zastali go tu policjanci, którzy przyjechali po pierwszym telefonie Amy, kiedy oświadczyła, że jednak chce, żeby go oskarżono. Nie widzieli go sąsiedzi, współpracownicy ani, co gorsza, sama Amy. To jego zniknięcie budzi w nas niepokój, bo trudno przewidzieć, co knuje. Amy chce, żeby wydano mu zakaz zbliżania się do niej - co jest pierwszym z wielu kroków, które musi podjąć, żeby zapewnić sobie

bezpieczeństwo - ale policja nie może mu dostarczyć dokumentów, dopóki go nie znajdą.

Widzę, że tuż za nami staje samochód Kate. Jest niezwykle zimny majowy poranek. Kiedy wysiadamy z samochodów i się witamy, z naszych ust wydobywają się obłoczki pary.

- Co zrobimy, jeśli on jednak tu jest? - pyta Kate, zerkając na dom.

Amy potrząsa głową.

- Z pewnością go nie ma. Już dwa razy przyjeżdżali z biura szeryfa, żeby dostarczyć mu dokumenty.

Postanawiamy wejść do domu przez drzwi w garażu. Dzięki temu sprawdzimy, czy jest jego samochód, i w razie potrzeby możemy szybko uciec. Amy otwiera zamek bramy garażu i popycha ją, żeby otworzyć.

- Nie ma - stwierdza.

- Dzięki Bogu - mówimy z Kate jednocześnie. Wszystkie trzy idziemy przez mroczny, pusty garaż - najpierw Amy, potem ja, a na końcu Kate - ku drzwiom prowadzącym do wnętrza domu, a potem do kuchni.

Nie potrafię opisać swoich uczuć w chwili, gdy weszliśmy do środka i Amy zapaliła światło, ale musiałam złapać ją od tyłu za ramię, i nie wiem, czy żeby wesprzeć ją czy siebie. Dom został zdewastowany. Wszystkie talerze i szklanki roztrzaskano o podłogę. Zawartością lodówki - pojemnikami soków i mleka, pozostałościami z obiadu, ketchupem, dżemem i musztardą - najwyraźniej ciskano w szafki kuchenne. Czuć woń gnijącej żywności.

- Wielki Boże! - szepce za moimi plecami Kate.

Amy nie odzywa się ani słowem. Uważnie omija sterty szkła i śmieci, kierując się do salonu. Idę za nią.

- Ostrożnie, Amy - proszę.

Powinna teraz leżeć w łóżku i wracać do zdrowia. Wszyscy się martwimy, że może to opóźnić jej rekonwalescencję, ale ona się upiera, żeby jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca. Poprzedniego wieczoru rozmawialiśmy z Larrym, że być może to dla niej jedyny sposób, żeby przetrwać ten okres. Musi postępować stanowczo, żeby się nie załamać.

W salonie wszystkie zdjęcia są zniszczone, a telewizor wyrwany ze ściany. Poduszki z kanapy leżą rozrzucone na podłodze.

- Chodźmy na górę - mówi Amy.

Idziemy za nią. Żadna z nas się nie odzywa. Jedynym dźwiękiem są nasze kroki na skrzypiących schodach. W sypialni podłogę pokrywa większość jej ubrań i zawartość kasetki z biżuterią. Tak samo zdewastowane są łazienki i pokój gościnny. Jedynym nienaruszonym pomieszczeniem jest pokój Emmy. Kiedy to odkrywamy, wydajemy zgodne westchnienie ulgi.

Amy i Mike wykorzystywali zapasową sypialnię jako swoje biuro. Amy siada przy biurku i otwiera szufladę, gdzie trzymali książeczki czekowe do różnych rachunków. Nie ma po nich śladu.

- Muszę coś sprawdzić przez Internet - mówi.

Staje za jej plecami, kiedy włącza komputer.

- Nie do wiary - mówi, klikając kilkakrotnie myszką. - Internet nie działa. - Podnosi słuchawkę telefonu

stojącego na rogu biurka. - Telefon też nie. - Mogę użyć twojego? - pyta.

Wczoraj, kiedy próbowała zadzwonić ze swojej komórki, okazało się, że jest głucha. Powiedziała, że to prawdopodobnie sprawka Mike'a. Teraz już jesteśmy tego pewne.

Kate i ja obserwujemy ją, jak dzwoni do informacji po numer do swojego banku, a potem zgodnie z poleceniami automatycznej obsługi klienta naciska rozmaite klawisze, od czasu do czasu mrucząc pod nosem „konto” lub „stan rachunku”. W końcu wyłącza telefon, podaje mi go i nisko pochyla głowę, zasłaniając twarz dłońmi.

- Zabrał wszystko - mówi. - Wyczyścił wszystkie konta.

Zaczyna płakać. Prawdę mówiąc, nawet mnie to cieszy, bo poza tą pierwszą nocą w moim domu, była jak skamieniała.

- Jak do tego doszło? - pyta przez łzy. - Dlaczego mnie to spotkało?

Tak bardzo bym chciała umieć jej odpowiedzieć. Z pewnością nie powinno jej się to przydarzyć. Nie Amy. Nie jej, skoro dom i rodzina to było wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła.

Przez następną godzinę stoimy z Kate bezczynnie, podczas gdy Amy przeszukuje pokój za pokojem, usiłując zdecydować, co chce ze sobą zabrać. W sypialni wkłada do torby kilka stosików ubrań. W łazience otwiera i zamyka szuflady, ale w końcu niczego nie bierze. Po wejściu do pokoju Emmy siada na podłodze

i zaczyna przerzucać książki stojące w koszyku obok łóżka. Okropnie jest ją obserwować, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na słonecznie żółtej kołdrze Emmy, na której sama wygląda jak dziecko.

Stoję w drzwiach, z żalem stwierdzając, że nadal nie wiem, co powiedzieć. Kate była w łazience Amy pobierać roztrzaskane przez Mike'a puderniczki i pudełeczka na cienie do powiek. Podchodzi do mnie od tyłu i kładzie dłoń na moim ramieniu.

- No i co ja mam teraz zrobić? - Amy odrzuca na bok egzemplarz *Nawet nie wiesz, jak bardzo Cię Kocham* należący do Emmy. - Wypisać Emmę ze szkoły? Zatrudnić firmę od przeprowadzek? Jak mamy zdecydować, kto co zabierze? A co, jeśli Mike nie będzie spłacał hipoteki? Co trzeba zrobić, żeby sprzedać dom?

Kate rzuca się na pomoc, zanim zdążam zareagować.

- Spokojnie, wszystko będzie dobrze - uspokaja ją i siada na podłodze obok niej. - Wiem, że moja sytuacja pod wieloma względami jest inna, ale tak się składa, że kilka tygodni temu też siedziałam w sypialni i robiłam dokładnie to samo. No, poza tym, że u mnie to ja zdemolowałam pokój.

O dziwo, Amy się uśmiecha. Nie od ucha do ucha, ale to zawsze coś. Siadam na podłodze naprzeciw nich.

- Moim zdaniem najpierw powinnaś z kimś porozmawiać. Ja miałam Waverly. Jest w tym całkiem dobra.

Delikatnie trącam jej stopę swoją.

- Na razie nie przejmuj się sprawami organizacyjnymi. Z czasem wszystko się samo ułoży.

- Ale to był mój dom. Moja rodzina.

- Wiem, Amy. Wiem - mówi Kate i przyciąga Amy do siebie. Amy kładzie jej głowę na ramieniu i zaczyna płakać. Pierwszy raz w życiu widzę, jak Kate obchodzi się z kimś tak czule.

- Nie wiem, po co tu w ogóle przyszłam. Po co przebieram w tych rzeczach? Co mam nadzieję znaleźć?

- Wiem - mówi znów Kate. - Okropnie jest widzieć, jak wszystko, co znałaś, się rozpada. Ale obiecuję ci, że w ostatecznym rozrachunku to ci wyjdzie na dobre, chociaż teraz nie jesteś w stanie tego dostrzec.

- Wszystko jest zniszczone. Wszystko, co było moje i znajome.

- Na tym właśnie polega piękno tej sytuacji. Wiem, że na razie trudno ci to zrozumieć. Wiem też, że nasze problemy są zupełnie inne, Amy. Rozumiem to. Ale mnie po rozstaniu z Brendanem ogarnęło niesamowite uczucie ulgi i wydaje mi się, że ty również go doświadczysz. Nie mówię, że będzie łatwo - nie chcę cię okłamywać. Często jest mi smutno, ale jednocześnie czuję, że wszystko jest *tak, jak powinno*. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Amy nie odpowiada.

- Jedno, co mogę ci powiedzieć - kontynuuje Kate - to że teraz, kiedy wstaję rano i spoglądam na swoje odbicie w lustrze, znowu widzę w nim siebie, a nie ten...

- Gestem nakreśla okrąg dookoła twarzy. - Obraz tego, kim *powinnam* być. Wydaje mi się, że odkrywam, kim naprawdę jestem, albo może przypominam sobie rzeczy, które wcześniej wiedziałam. - Kate chwyta dłoń Amy. - Poradzisz sobie - mówi.

- Wiem, że usilnie się starałam trzymać wizji osoby, którą pragnęłam być, to nie ulega wątpliwości - odpowiada Amy. - A właściwie, którą, jak uważałam, *muszę* być. Starałam się być szczęśliwa.

- Dokładnie tak - mówi Kate. - Ale teraz już się przyznałaś, że coś było nie tak, a to jest najtrudniejsze. Tego się ostatnio nauczyłam. Musisz być ze sobą szczerą, jeśli chodzi o to, czego naprawdę chcesz, kim jesteś i co jest dla ciebie najlepsze. Jak ci się to uda, to reszta... - Wzrusza ramionami.

- Tak, tylko że - Amy przygryza wargę - jak to wszystko zostawię, to co dalej? Czym mam się zająć?

- Czymkolwiek chcesz - wyjaśnia Kate. - Będziesz mogła się zająć czymkolwiek chcesz.

Amy pociera oczy i przenosi na mnie wzrok.

- Hej - mówi, wyciągając do mnie ręce. - Dziękuję. Za wszystko.

- Nie ma za co - odpowiadam. - Sama też byś to zrobiła. Znając ciebie, zrobiłabyś *więcej*.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda. - Amy rozgląda się po pokoju. - Chodźmy stąd - stwierdza wreszcie. - Mam dość tego miejsca.

Schodzimy po schodach i kierujemy się do drzwi, niosąc po dwie torby każda. Trzymając w rękach rzeczy, które Amy zdecydowała się zabrać ze sobą do nowego życia, i rozglądając się po zdemolowanym domu, myślę sobie, że zanim odkryłam, co się dzieje z moją przyjaciółką, wyobrażałam sobie to miejsce jako bezpieczną przystań. Amy dbała, żeby tak wyglądało, a ja nie umiałam się powstrzymać od porównań: „Czy będę

kiedyś miała taką rodzinę?", „Czy też sprawiłabym sobie wtedy dom jak z obrazka?". Teraz jednak jestem mądrzejsza. Teraz już widzę, że wszystkie trzy oszukiwałyśmy, choć każda na swój sposób. Amy udawała, że ma szczęśliwą rodzinę. Kate zaangażowała się w rolę, do której nie była stworzona. A ja okłamywałam najbliższych, trwając w błędnym przekonaniu, że zaznam szczęścia tylko wówczas, gdy wszystko będzie idealne.

Wieczorem Amy daje się przekonać i bierze tabletkę nasenną. Emma wciąż jest z dziadkami w hotelu, a Larry szykuje się na górze do spania. Idę do kuchni i zatrzymuję zasuwę w tylnych drzwiach. Sprawdzam zamek okna nad zlewem. Co prawda nie wydaje mi się, żeby Mike miał się pojawić, ale na wszelki wypadek wolę być gotowa. Jak w tym starym przesądzie, że gdy masz przy sobie parasol, to nie będzie padało - może jeśli odpowiednio zabezpieczę dom, to uniknę nieproszonych gości.

Kilka minut później w kuchni pojawia się Larry. Skończyłam już zmywać naczynia i teraz szoruję maź oblepiającą płytę kuchenki.

- Hej - mówi i całuje mnie w czubek głowy. - Pomóc ci?

Kręcę głową. Widzę niewyraźny zarys jego odbicia w kafelkach nad zlewem. Powinien się wybrać do fryzjera, jak zwykle. Ma na sobie wiekowy T-shirt z logo Ramones.

- Amy ma szczęście, że ma takie dobre przyjaciółki - mówi, całując mnie jeszcze raz w głowę i delikatnie przesuwając rękę po moich plecach.

Przytakuję i przestaję szorować, po czym odwracam się do niego.

- Dzięki za pomoc - mówię, obejmując go. -
Z Emmą. Ze wszystkim.

- Nie ma sprawy.

Nie ma sprawy - powtarzam w myślach.

Wcześniej, po trzeciej i ostatniej próbie przekonania Amy do zjedzenia czegokolwiek, usłyszałam od niej coś, o czym nie mogę przestać myśleć. Stojąc w drzwiach między kuchnią a salonem i przyglądając się, jak Larry śpiewa z Emmą „Taki tyci pajak”, wypita łyk herbaty, którą jej wmusiłam, i stwierdziła:

- On będzie kiedyś wspaniałym ojcem. Jak wreszcie przyjmiecie do wiadomości, że jesteście dla siebie stworzeni i że powinniście założyć rodzinę.

Zważywszy na okoliczności, nie wiedziałam, co odpowiedzieć, więc uznałam, że najlepiej będzie milczeć. Podeszłam do Amy i spojrzałam przez jej ramię na Larryego, który skończył śpiewać i teraz składał kapelusz z kartki z działem sportowym gazety. Emma chichotała, wyciągała rączki i tańczyła wokół niego, nie mogąc się doczekać.

Zaciskam mocniej ramiona, którymi obejmuję Larryego w pasie. Upuszczam gąbkę za jego plecami. Wtulając się w jego pierś, wracam myślami do sceny w domu Amy, kiedy Kate ją pocieszała. Amy musiała być zaskoczona, a ja przypomniałam sobie wszystkie te niesamowicie miłe rzeczy, które mnie spotkały ze strony ledwie znanych mi osób, kiedy zginęli moi rodzice. Ludzie składali mi niezapowiedziane wizyty,

żeby podrzucić jedzenie, albo przysyłali serdeczne listy opisujące wspomnienia związane z rodzicami. Powoli przypominam sobie, co wtedy pojęłam - że muszę dbać o ludzi, którzy ciepło o mnie myślą, by miał mnie kto wesprzeć, kiedy znowu wpadnę w tarapaty - a wpadnę na pewno.

Myśląc o przeszłości, nie mogę się nadziwić, że ukrywałam swoje trudności przed ludźmi, którym najbardziej na mnie zależy. Czyż nie jest łatwiej - co dopiero teraz sobie uświadomiłam - po prostu pozwolić sprawom toczyć się ich naturalnym torem? I - myślę z rękoma splecionymi za plecami Larry'ego - trwać przy dobrym i szczerym mężczyźnie, skoro go mam? Potrzebuję go takim, jaki jest. *W tej chwili*. Muszę być sobą. *W tej chwili*. Pewnego dnia - miejmy nadzieję, że nieprędko - będę musiała pozwolić mu odejść, tak jak rodzicom. W międzyczasie powinnam się cieszyć tym, co mam. Bo mam naprawdę wiele.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Ostatniej nocy, kiedy wreszcie opadłam wyczerpana na kanapę, przyśniło mi się, że jest lato, a ja znów jestem dzieckiem. Siedziałam w moim pokoju na środku podwójnego łóżka stojącego pod oknem, łokcie miałam oparte o parapet i kreśliłam palcem esy-floresy na okiennej siatce przeciw owadom. Miałam na sobie zwiewną koszulę nocną, którą babcia, jak co roku, uszyła mi na początku lata. Była mokra w miejscu między łopatkami, gdzie wsiąkła w nią woda ze świeżo umytych włosów zaczesanych w grube, przylizane niczym focze futro pasma.

Siedząc z nosem przy siatce, czułam lato w powietrzu - ten niepowtarzalny zapach unoszący się z chodników podgrzewanych cały dzień przez słońce. Z dołu dobiegały dźwięki telewizji. Sztuczny śmiech wskazywał na to, że rodzice *oglądają Johnny'ego Carsona*. Wyobraziłam sobie mamę, jak siedzi wtulona w narożnik kanapy i popija gazowany napój z plastikowego kubka, a na jej nogach, opalonych po tenisie, w którego grała co weekend, leży dawno zapomniany tamborek. Ojciec na pewno siedzi obok niej na krześle i z zadowoleniem robi młynek palcami, oglądając, jak Johnny przekomarza się z Edem McMahonem.

Patrząc z okna sypialni na spokojną ulicę, przy której się wychowałam, mam ogromne poczucie bez-

pieczeństwa. Mimo że w każdym z tysięcy zacienionych miejsc mogło się kryć coś groźnego, wcale się nie bałam. Ani trochę. To był mój dom. Przewidywalny jak to, że po poniedziałku nastaje wtorek.

Nagle jakby ktoś odsunął zasłony i dorosła wersja mnie, wciąż siedząc na łóżku, na którym spałam jako dziecko, zdała sobie sprawę, że nadal może się cieszyć tym poczuciem bezpieczeństwa, bo jego źródło - moi rodzice - żyje głęboko w moich wspomnieniach i zawsze tam będzie, nieważne, ile błędów popełnię.

Podciągnęłam do piersi wyblakłą kapę z rysunkami Holly Hobbie, wsłuchałam się w cykanie świerszczy za oknem i poczułam pewność, że ten wewnętrzny spokój - ten dziecienny optymizm - będzie mnie teraz prowadził przez życie. Nie ma sensu marnować więcej czasu na martwienie się. Wciąż nie jest za późno na założenie rodziny. Myśląc o tym wszystkim, czego mnie nauczyły wszystkie te problemy z pracą i pieniędzmi oraz tragedie moich przyjaciółek w ciągu ostatniego roku, uświadomiłam sobie, że życie wcale nie jest takie złe. Każdego dnia rano wschodzi słońce.

Dwie godziny po wyjściu z łóżka wciąż czuję to samo. Szoruję zęby, żeby pozbyć się z ust smaku wczorajszej kawy, choć dzieli mnie raptem kilka minut od kolejnego kubka. Z dołu słychać kreskówkę Emmy. Amy i Larry rozmawiają z rodzicami Amy o pogodzie. Niesamowite, móc porozmawiać o czymś niezobowiązującym. Nikt nie wspomina o Mike'u, choć nie da się zaprzeczyć, że wszyscy o nim pamiętamy i pewnie jeszcze długo będzie nam zaprzątał myśli. Nie ma po-

trzeby zastanawiania się nad tym, co dalej. Na razie jest po prostu ósma w czwartkowy poranek. To wystarczy.

Odzywa się dzwonek do drzwi. To Kate, która uparła się towarzyszyć mi do fryzjera, z którym jestem umówiona przed sesją zdjęciową do katalogu. Wkładam szczoteczkę do zębów do stojaka obok szczoteczki Larry'ego, a potem wieszam swój ręcznik na jego na zapchanym haczyku na drzwiach. Spoglądam w lustro, dochodzę do wniosku, że wyglądam nie najgorzej, i ruszam na dół, gdzie czeka na mnie moja rodzina.

PODZIĘKOWANIA

Jestem niezmiernie wdzięczna mojej agentce, Katherine Fausset, za niedościgniony rozsądek oraz entuzjizm, z jakim podeszła do tej książki, oraz mojej redaktorce, Emily Griffin, za wnikliwość i profesjonalizm. Dzięki wam pisanie tej powieści było prawdziwą przyjemnością.

Dziękuję też Eileen Chetti, Erice Warren i reszcie zespołu wydawnictwa Grand Central. Matthew Crowley, Susan Laubach, Jason Sulham, Rita Anita, Claudia Ybarra, Michael Johnson i Chris Reisinger pomogli mi utrzymać poziom merytoryczny, wspaniałomyślnie dzieląc się wiedzą i doświadczeniem zawodowym. Dziękuję Jessice Crowley, Jayowi Lewisowi i Peterowi Kusekowi za przeczytanie wersji roboczych i podzielenie się cennymi uwagami.

Pracownicy National Domestic Violence Hotline pomogli mi nawiązać kontakt z kilkoma kobietami, które wykazały się niezwykłą odwagą i opowiedziały mi swoje historie. Dziękuję z całego serca za okazaną szczerłość. Mam dla was bezbrzeżny szacunek.

Przede wszystkim chciałabym podziękować rodzinie. Dziękuję, że sprawiacie, iż czuję się najszcześniejszą dziewczyną na świecie. Jesteście dla mnie wszystkim.

OD AUTORKI

Historia ta ma swój początek w plotkach, które wiele lat temu krążyły na temat znanej mi osoby. Mówiło się, że partner ją bije. Z wielu powodów w to nie uwierzyłam - i nadal uważam, że to nieprawda. Mimo to wciąż wracam myślami do pytań, które się wtedy pojawiły - a jeśli przemoc rzeczywiście miała miejsce, a ja siedziałam beczynn timer, podczas gdy moja znajoma przeżywała dramat? Zastanawiałam się też - i wstyd mi się do tego przyznać, bo wydaje się to oznaką lenistwa i egoizmu - czy w ogóle mogłam pomóc? Jedno pytanie nie dawało mi spokoju: gdzie leży granica pomiędzy sytuacją, w której uznanie, że „to nie twoja sprawa” może doprowadzić do tragicznych konsekwencji, a taką, gdzie nie należy się wtrącać? Do jakiego stopnia osoba trzecia może się angażować w cudzy związek, który właśnie przechodzi pewne trudności?

Z tymi pytaniami borykałam się, kiedy zaczynałam pierwszy szkic tej powieści. Z czasem, rzecz jasna, pojawiły się kolejne wątki. Nadal jest to w dużej mierze historia o tym, jak przyjaźnie i związki intymne oddziałują na siebie wzajemnie w życiu kobiet, ale ostatecznie motywem przewodnim stała się nasza skłonność do porównywania się z innymi ludźmi, w tym najserdeczniejszymi przyjaciółmi, do kreowania

własnego wizerunku oraz do postrzegania innych przez pryzmat własnego życia. Waverly nie jest z natury zazdrosna, a jednak męczy ją poczucie, że nie dorównuje przyjaciółkom. Choć, podobnie jak my wszyscy, zdaje sobie sprawę, że trawa u sąsiada wcale *nie* jest bardziej zielona, Kate wiele brakuje do szczęścia, a Amy i Mike nie są idealną rodziną - to nie potrafi się pozbyć przekonania, że tylko z nią jest coś nie w porządku. Wstyd, który odczuwa z tego powodu, sięga dostatecznie głęboko, by popchnąć ją do autodestrukcji.

Odnoszę wrażenie, że jest to problem charakterystyczny dla kobiet i choć spędziłam setki godzin, zastanawiając się nad tą historią - przy biurku, przy obiedzie, podczas biegania, podczas karmienia dwójki dzieci - nadal nie wiem dlaczego. Czy porównujemy się do siebie nawzajem, ponieważ czujemy, być może podświadomie, że otoczenie oczekuje od nas, byśmy miały jednocześnie urodę i majątek Kate, oddawały się dzieciom i rodzinie niczym Amy i prezentowały niezależną postawę jak Waverly? Czy ta pogoń za ideałem zaczyna się w gimnazjum od porównywania wyglądu („Dlaczego ona już nosi stanik, a ja nie?”), a wraz z upływem czasu przenosi się na inne sfery życia („Dlaczego ona wychodzi za mąż, ma dzieci, dostała awans, a ja nie?”). Może to po prostu kwestia ludzkiej natury, ale wszyscy wiemy, że głębsze pytanie pojawia się, kiedy skierujemy te wątpliwości przeciwko sobie: Co jest *ze mną* nie tak?

Odpowiedź, rzecz jasna, brzmi: „nic”. We mnie samej jest wiele z Waverly. Przez długi czas - w wieku

od kilkunastu do dwudziestu kilku lat - byłam prawdziwą perfekcjonistką, szczerze przeświadczoną, że niedociągnięcia w jakiegokolwiek sferze życia są domeną nieudaczników. Zmęczyłam się tym. Z czasem się przekonałam, że niedoskonałości są tym, co odróżnia jednego człowieka od drugiego i stanowi budulec naszych więzi. Udawanie, że ze wszystkim sobie radzimy, tylko nam szkodzi. Szczerze mówiąc, teraz najbardziej lubię osoby, które zapraszają mnie do swoich zabałaganionych mieszkań, ścierają ze stołu okruchy chleba, żeby mieć gdzie postawić dla mnie szklankę, a następnie opowiadają mi o paskudnym potworze, z którym akurat się zmagają. A ty?

Należę do osób uwielbiających cytaty. Niedawno natknęłam się na słowa Theodore'a Roosevelta, które doskonale podsumowują to, o czym piszę, i stały się dla mnie czymś w rodzaju hasła przewodniego dla tej książki: „Porównanie jest złodziejem radości”. Albo, jak mi kiedyś powiedział mądry znajomy: „Nie rozglądaj się dookoła. Bądź sobą”.